



CAROLLY ERICKSON

*Tajemny dziennik  
Marii Antoniny*

INTYMNE ZAPISKI KONTROWERSYJNEJ WŁADCZYNI

•Książnica•

**CAROLLY ERICKSON**

**TAJEMNY DZIENNIK  
MARI ANTONINY**



Pochłonęłam Tajemny dziennik Marii Antoniny w dwa dni, a kiedy skończyłam, raz jeszcze przeczytałam ostatnie strony, łakoma jak dziecko, które zbiera z talerzyka ostatnie okruchy tortu czekoladowego.

Judith Warner, „The New York Times Book Review”

W tej doskonałej powieści historycznej Maria Antonina odzyskuje dobre imię... fascynujący lecz skorumpowany dwór francuski, rosnące niepokoje społeczne, okrutne ubóstwo, intrygi - wszystko znajduje tu swoje miejsce.

Deirdre Donahue, „USA Today”

Carolly Erickson zamienia zimne fakty w gorącą literaturę, odkrywając przy tym bardzo ludzką prawdę ukrytą za maską historii.

India Edghill, autorka Quennmaker: A Novel of King David's Queen

*Dla Raffaella*

## PROLOG

Więzienie Conciergerie

3 października 1713

Mówią, że ta okropna rzecz nie zawsze działa jak należy.

Czasami potrzeba trzech lub czterech ciosów, by odciąć głowę. A czasem ci nieszczęśnicy krzyczą straszliwie przez całą minutę, zanim ich agonię przerwie jeden potężny cios.

Podobno ilość krwi jest niesamowita. Bucha wielkim strumieniem, gęsta i ciemnoczerwona, i trudno sobie wyobrazić, że jest jej w człowieku aż tyle. Już po odcięciu głowy serce nadal ją pompuje, uderzenie po uderzeniu.

Kat podchodzi dumnie do krawędzi szafotu, trzymając ociekającą krwią głowę skazańca z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami i ustami otwartymi w niemym krzyku. A kata oblewa buchająca nadal krew.

Powiedzieli mi, że mój mąż miał mnóstwo krwi. Był potężnym, postawnym mężczyzną, silnym jak wół. Mężczyzną, który uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu i miał silne dłonie robotnika. Aby go zabić, nie wystarczył jeden cios.

Nie pozwolili mi patrzeć, jak umiera. Wiem, że gdybym tylko była przy nim, na koniec mogłabym dodać mu sił. Tyle razem przeszliśmy aż do dnia, kiedy go zabrali. Nie próbował się opierać, gdy przyszedł po niego mer Paryża razem z innymi. Poprosił tylko o płaszcz i kapelusz i wyszedł za nimi. Nigdy więcej go nie ujrzałam.

Wiem, że miał dobrą śmierć. Mówią, że był spokojny i pełen godności, czytał psalmy w drodze na otwarty plac, gdzie czekała na niego ogromna machina z przerażającym ostrzem. Nie zwracał uwagi na okrzyki i wrzaski tłumu i nie szukał ratunku, choć byli tacy, którzy z radością by go ocalili, gdyby tylko mogli. Rozebrał się i rozpiął kołnierzyk koszuli, uklęknął i położył głowę pod ostrzem, nie pozwalając, by związali mu ręce jak pospolitemu zbrodniarzowi.

Na koniec próbował powiedzieć, że jest niewinny, ale zagłuszyli jego słowa warkotem bębnow i szybko spuścili ciężkie ostrze.

To było dziewięć miesięcy temu. Teraz przyjdą po mnie, swoją byłą królową, Marię Antoninę, znaną obecnie jako więźniarka 280. Nie wiem, kiedy to się wydarzy, ale na pewno niebawem. Widzę to w twarzy Rozalii, kiedy przynosi mi zupę i wodę pomarańczową. Porzuciła już nadzieję, że uda mi się ocaleć.

Przynajmniej pozwalają mi pisać ten dziennik. Nie wolno mi szyć ani dziergać z powodu ostrych igieł - jakbym miała dość sił, by kogoś ugodzić! - ale mogę pisać. Moi dozorcy nie potrafią czytać, więc wszystkie zapiski pozostają prywatne. Rozalia nieźle radzi sobie z czytaniem, ale jest bardzo dyskretna i mnie nie zdradzi.

Pisanie pomaga mi zapomnieć o tej straszliwej, ciemnej dusznej celi, w której mnie zamknięto, gdzie śmierdzi wilgocią, pleśnią i ludzkimi odchodami. W tym okropnym zimnie i wilgoci mam mokre buty, a chora noga boli bardziej niż kiedykolwiek mimo maści, którą wciera Rozalia. Ordynarni dozorcy, którzy pilnują mnie i innych więźniów, stojąc przy drzwiach, żartują ze mnie i śmieją się. W nocy leżę na twardej, zimnej pryczy, nie mogąc zasnąć, i wypłukuję oczy za synem, moim malutkim chou d'amour, Ludwikiem Karolem. A raczej za królem Ludwikiem XVII, jak muszę go teraz nazywać.

Och, gdybym tylko mogła go zobaczyć! Moje najdroższe dziecko, mojego małego chłopczyka króla.

Aż do ostatniego sierpnia widywałam go niemal codziennie, jeśli dość długo stałam przy oknie celi. Straszny stary zbir, który go pilnuje, Antoine Simon, prowadził go obok mojej celi w drodze na ćwiczenia na dziedzińcu, rzucając niewybredne żarty i ucząc go śpiewać Marsylianę.

Biedny Ludwik Karol, zaledwie ośmioletni, stracił ojca, którego kochał, a teraz pozbawiono go również kontaktów z matką. Jakże walczyłam, gdy przyszli go zabrać! Potrzebowali blisko godziny. Nie chciałam go puścić, krzyczałam i groziłam im. Na koniec zaczęłam ich błagać ze szlochem, żeby mi go nie zabierali. Ustąpiłam dopiero wtedy, gdy powiedzieli, że zabiją oboje moich dzieci.

Co zrobią z moim chłopcem? Otrują go? A może, co gorsza, zrobią z niego małego rewolucjonistę, każą uwierzyć w swoje kłamstwa? Oczywiście, będą próbowali go pozbawić królewskiego dziedzictwa. Dla nich nie ma żadnych królów! I królowych też nie. Tylko obywatel Kapet i wdowa Kapet oraz nasz syn Ludwik Karol Kapet, obywatel Republiki Francuskiej.

A co z moją Mousseline, moją Marią Teresą, ukochaną córeczką, zaledwie czternastoletnią? Jest o wiele za młoda, by zostać sierotą. Tęsknię za nią, tęsknię za wszystkimi moimi dziećmi. Za biedną małą Zofią, która nigdy nie czuła się dobrze i żyła zaledwie rok. I za moim najdroższym Ludwikiem Józefem, pierworodnym, biednym kaleką, który nigdy nie był silny, a teraz leży w grobie w Meudon. Ileż łez wylałam nad nim, nad nimi wszystkimi!

Wiem, że cierpię z nadmiaru emocji. Dzieje się tak, bo niedomagam i dają mi do picia

dużo wody pomarańczowej i eteru. Nie mam dość sił, by nad sobą panować. Jem tylko zupę i chleb, więc bardzo schudłam. Rozalia musiała zwięzić obie moje suknie. Dużo i często krwawię. Wiem, że coś jest nie w porządku, ale nie pozwalają mi zobaczyć się z lekarzem.

Jestem zmęczona, pełna łez i krwi, ale nadal się nie poddaję. W wiadomościach, które Rozalia wsuwa mi pod talerz z zupą, a które czytam, siedząc na nocniku, częściowo ukryta przed dozorcami za parawanem, pojawia się wiele pełnych nadziei wieści. Armie Austrii i Prus zbliżają się i wygrywają jedną bitwę za drugą z rewolucyjnym motłochem. Szwedzi być może wyślą flotę, która dokona inwazji na Normandię. Armie chłopów w Vendée - dzięki niebiosom na zawsze wiernych mieszkańców tego regionu! - walczą o przywrócenie monarchii.

To może się jeszcze wydarzyć i być może uda mi się tego dożyć. Paryż może zostać zaatakowany, a rewolucja zduszona. Być może mój Ludwik Karol zasiądzie na tronie ojca.

Jestem zmęczona, nie mogę już dłużej pisać. Ale mogę czytać, dopóki po mnie nie przyjdą. Mam ten dziennik, jedyną pamiątkę z młodości. Lubię do niego wracać, by raz jeszcze przeżywać szczęśliwe chwile, zanim dowiedziałam się, jak okrutny potrafi być świat. Zanim zostałam królową Marią Antoniną, a byłam jedynie arcyksiężniczką Antonią na dworze mojej ukochanej matki, cesarzowej Marii Teresy w Wiedniu. Mając przed sobą całe życie...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

17czerwca 1761

Nazywam się arcyksiężniczka Maria Antonia, ale zwań mnie Antoinette. Mam trzynaście lat i siedem miesięcy, a to jest zapis mojego życia.

Piszę ten dziennik za karę. Ojciec Kunibert, mój spowiednik, kazał mi zapisywać wszystkie grzechy, żebym mogła się nad nimi zastanowić i modlić się o wybaczenie.

- Pisz! - powiedział, przesuając dziennik w moją stronę. Podniósł przy tym gęste siwe brwi, co nadało jego twarzy srogi wyraz.

- Zapisuj, co przeskrobałaś! Wyznaj grzechy!

- Ale nic złego nie zrobiłam - odparłam.

- Zapisuj wszystko, co zrobiłaś, począwszy od zeszłego piątku. Niczego nie pomijaj!

Wtedy zobaczymy.

Bardzo dobrze, opiszę tu wszystko, co zrobiłam w dniu, w którym poszłam odwiedzić Józefę, i co się stało później, a potem pokażę moje zapiski ojcu Kunibertowi i odbędę spowiedź.

Zacznę od jutra.

18 czerwca 1761

Trudno mi opisać, co się wydarzyło, bo jest mi ogromnie przykro, że moja siostra tak cierpiała. Próbowałam to wyjaśnić ojcu Kunibertowi, ale on tylko otworzył dziennik i podał mi pudełko z zastrzonymi piórami. Karolina mawia, że jest bardzo surowym człowiekiem. Nie słucha żadnych wyjaśnień.

Oto więc co zrobiłam w piątkowy poranek.

Od mojej pokojówki Zofii pożyczyłam czarną pelerynę z kapturem, a na szyi zawiesiłam srebrny krucyfiks, jaki noszą siostry miłosierdzia. Przygotowałam koszyk z bochenkami świeżego chleba, dojrzałym serem i truskawkami z pałacowego ogrodu. Nie mówiąc Zofii ani nikomu innemu, dokąd się wybieram, poszłam wieczorem do starych opuszczonych stajni, gdzie przetrzymywano moją siostrę Józefę.

Odkąd tydzień temu dostała gorączki i zaczęła kaszleć, nie było jej nigdzie widać. Nikt nie chciał mi wyjaśnić, gdzie jest, więc musiałam sama się dowiedzieć i wypytywałam służących. Oni wiedzą o wszystkim, co się dzieje w pałacu, nie ma dla nich tajemnic nawet alkowa pani i pana. Od Eryka, stajennego, który dba o mojego konia Lizandra, dowiedziałam się, że w podziemiach starej szkoły jazdy znajduje się chora dziewczyna. Widział, jak w nocy



chodzą tam siostry miłosierdzia, a raz zauważył dworskiego lekarza, doktora van Swietena, który wszedł i wyszedł stamtąd bardzo szybko, zakrywając usta chusteczką. Był przy tym bardzo blady.

Byłam pewna, że w ciemnościach leży tam moja siostra Józefa, chora i samotna, czekając na śmierć. Musiałam do niej pójść i powiedzieć, że nie zapomniano o niej ani jej nie porzucono.

Otuliłam się więc czarną peleryną i wyszłam z pałacu. Świeca, którą trzymałam, drżała na wietrze, kiedy szłam przez dziedziniec, potem wzdłuż arkad, aż dotarłam na podwórze stajni. W starej szkole jazdy nie paliło się żadne światło, nikt tam nie wchodził, a w boksach nie trzymano koni.

Próbowałam myśleć wyłącznie o Józefie, lecz kiedy weszłam do ciemnego budynku zwieńczonego kopułą, ogarnął mnie strach. W ciemnościach rysowały się groźnie różne kształty. Kiedy oświetliłam je świecą, okazało się, że to szafy na uprzęże i puste pojemniki, w których kiedyś trzymano siano.

Wokół panowała cisza, słychać było tylko trzeszczenie starych belek pod dachem i rozlegające się w oddali nawoływania pałacowych strażników, którzy robili obchód. Znalazłam stopnie prowadzące do jeszcze większej ciemności. Zaczęłam powoli schodzić, modląc się, by nie zgasła mi świeca, i starając się nie myśleć o historiach o pałacowym duchu, które lubiła opowiadać Zofia. Była nim Szara Dama, która z płaczem spacerowała nocą po korytarzach i czasami wlatywała przez okna.

- Nie bądź głupiutka, Antonio - powiedziała moja matka, kiedy zapytałam ją o Szarą Damę. - Nie ma żadnych duchów. Nie żyjemy dalej jako duchy pozbawione ciała. Tylko chłopci wierzą w takie bzdury.

Szanowałam mądrość matki, ale nie byłam pewna co do duchów. Zofia mówiła, że widziała Szarą Damę kilka razy; inni zresztą też. Aby przestać myśleć o duchach, schodząc po schodach, zawołałam Józefę. Wydawało mi się, że usłyszałam słaby krzyk. Znów zawołałam i tym razem byłam pewna, że usłyszałam odpowiedź. Jednak głos nie należał do mojej siostry. Józefa miała silny, roześmiany głos. Ten, który słyszałam, był zduszony, słaby i okropnie niespokojny.

- Nie zbliżaj się, kimkolwiek jesteś - powiedział.

- Mam ospę. Jeśli się zbliżysz, umrzesz.

- Słyszę cię, już prawie jestem na miejscu! - zawołałam, ignorując ostrzeżenie.

Znalazłam ją w małym, przypominającym celę pokoiku, gdzie jedynym źródłem światła była latarnia wisząca na gwoździu w ścianie. Nie mogłam powstrzymać wymiotów,

smród był porażający. Potężny i duszący, nie przypominał smrodu zniszczenia lub brudu, lecz był upiornym odorem gnicia.

Leżąca na wąskim łóżku Józefa podniosła słabą rękę, jakby chciała mnie odpędzić.

- Proszę cię, najdroższa Antonio, zawróć. Nie podchodź.

Płakałam. Widok, który objawił mi się w słabym świetle latarni, był przerażający. Skóra Józefy była purpurowa i pokryta pęcherzami. Twarz miała opuchniętą i czerwoną, policzki groteskowo wydęte, a z nosa kapłała jej krew. Oczy też miała przekrwione.

- Kocham cię - rzekłam przez łyzy. - Modłę się za ciebie. - Postawiłam koszyk na ziemi, zastanawiając się, czy przybiegną szczury, żeby rzucić się na jedzenie, które przyniosłam. Ale wtedy przyszło mi do głowy, że panujący w pomieszczeniu smród jest tak okropny, iż nie zbliżą się nawet szczury.

- Strasznie chce mi się pić - dobiegł mnie głos z posłania.

Wyjęłam z koszyka wino i postawiłam je obok posłania Józefy. Podniosła się z trudem, sięgnęła po butelkę i zaczęła pić. Widziałam, że ma problemy z przełykaniem.

- Och, Antonio - westchnęła, gdy odstawiła butelkę. - Mam takie okropne sny! Nadciąga straszliwy ogień i wszyscy płoniemy. Pali się matka i krzyczy. Ojciec śmieje się, patrząc, jak wszyscy płoniemy.

- To choroba wywołuje koszmary. Wszyscy jesteśmy bezpieczni, nie ma żadnego ognia. - Pomyślałam, że to nieprawda. Trawi ją ogień krowiej ospy, przez który płonie gorączką i miesza jej się w głowie.

- Musisz dostać lekarstwo, wydobrzeć.

- Siostry dają mi brandy i walerianę, ale to nie pomaga. Wiem, że już straciły nadzieję.

- Ale ja nie. Wrócę, obiecuję.

- Nie. Nie przychodź tu więcej. Nikt nie może się do mnie zbliżyć.

Jej głos słabł! coraz bardziej. Zapadała w sen.

- Kochana Antonia...

Łzy płynęły mi jak groch, ale wiedziałam, że nie mogę zostać. Nie mogłam ryzykować, że ktoś zauważy moją nieobecność. Nikt nie wiedział, dokąd poszłam, nie powiedziałam nawet Karolinie, z którą dzieliłam sypialnię. Zostawiłam więc Józefę, wspierałam się na schody, wyszłam przez starą szkołę jazdy i pod oświetlonymi przez pochodnie arkadami wróciłam do pałacu.

Następnego dnia byłam w komnacie, kiedy doktor van Swieten przyszedł się zobaczyć z moją matką cesarową. Obecny był również mój brat Józef, który ma dwadzieścia sześć lat i właśnie pochował drugą żonę. Od czasu śmierci ojca matka szukała pomocy u Józefa w

rządzeniu swoimi licznymi ziemiami. Pewnego dnia po jej śmierci Józef będzie panował nad nimi wszystkimi, więc musi się uczyć. Już ma w sobie stanowczość, której zdaniem matki potrzebują wszyscy panujący. Słyszałam jednak, jak mówiła do hrabiego Khevenhiillera, że Józefowi brakuje jeszcze niezbędnego współczucia i troski o ludzi, które będą mu potrzebne, jeśli ma zostać dobrym władcą.

- Jak się czuje Józefa? - zapytała matka, kiedy lekarz skłonił się i szepnął: „Wasza cesarska wysokość”.

- To czarna ospa.

Dostrzegłam, że matka zbladła, a Józef odwrócił twarz. Czarna ospa była najgorszą odmianą krowianki. Nikogo nie pozostawiała przy życiu. Kiedy w Wiedniu szalała czarna ospa, dzieci wysyłano zawsze na wieś, żeby nas ustrzec przed chorobą. Służących chorych na czarną ospę wyrzucano z pałacu i wysyłano jak najdalej. Nikt nigdy nie wracał. A teraz moja siostra Józefa także umierała na tę chorobę.

- To przerażające - mówił lekarz. - Widywałem to zbyt często. Nie ma sensu próbować ocalić życia, kiedy człowiek zachoruje na ospę. Nie możemy uratować arcyksiężniczki. Tylko zarazi innych.

- Czy należycie się nią opiekują? - spytała matka.

- Oczywiście. Odwiedzają ją siostry miłosierdzia i dójki. - Było powszechnie wiadomo, że dójki nie zarażały się krowią ospą. Z jakiegoś powodu mogły opiekować się chorymi bez obaw o zarażenie.

- Nikt nie może wiedzieć, gdzie ona jest! - zagrzemiał Józef. - Nikomu z dworu nie wolno się do niej zbliżać. Nie możemy dopuścić do kolejnego wybuchu paniki, jak zeszłego lata.

Gdy tylko pojawiały się pierwsze przypadki krowianki, ludzie wpadali w panikę. Całe miasto bało się zarazy i wszyscy gorączkowo próbowali uciec. Podczas takich prób wiele osób tratowano, czasem na śmierć.

Nikt nie chciał, by panika zakradła się do pałacu, gdzie setki służących i dworzan mieszkały bardzo blisko siebie, służąc cesarzowej i naszej rodzinie.

- To zrozumiałe - odparł van Swieten. - Arcyksiężniczka znajduje się w miejscu, w którym nikt jej nie znajdzie.

Już miałam coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Stojąc obok matki, usłyszałam szelest jej czarnej jedwabnej sukni i uświadomiłam sobie, że drży.

- Nie mogę już stracić więcej dzieci - powiedziała.

- Najpierw drogi Karol, potem Joanna, zaledwie jedenastoletnia, biedna maleńka. A

teraz moja ukochana Józefa, taka młoda. Miała wyjść za mąż...

- Zostało ci jeszcze dziesięcioro, maman - przerwał jej ostro Józef. Wiedział, że choć jest najstarszym synem i dziedzicem, matka wolała Karola i bardziej go kochała.

- Z pewnością to wystarczająca liczba.

Lubię mojego brata Józefa, ale on nie rozumie, co to znaczy kogoś kochać. Gdy cztery lata temu zmarł nasz ojciec, Józef nie uronił ani jednej łzy, tylko prychnął z pogardą.

- Był leniwym nierobem, otoczonym próżniakami i pieczeniarczami - usłyszałam kiedyś, jak mówił. Nie chciał nawet położyć wieńca na grobie ojca, choć w czasie pogrzebu służył matce ramieniem.

Józef ma dwadzieścia sześć lat i był dwukrotnie żonaty, ale nie opłakiwał żadnej ze swoich żon ani biednego martwego maleństwa, które urodziła mu pierwsza z nich. Trudno jest mi zrozumieć Józefa.

- Jak długo jeszcze pożyje? - zapytał teraz van Swieten.

- Może kilka dni.

- Kiedy umrze, niech szybko zabiorą ciało. I żadnych oświadczeń. Nikt nie będzie za nią tęsknił. Jedna zbyteczna córka mniej lub więcej...

- Józefie! Wystarczy - odezwała się stanowczo matka. Słyszałam jednak panikę w jej głosie.

Mój brat ciągnął z goryczą:

- I chcę, żeby spalono ciało. Razem ze wszystkimi ubraniami i rzeczami.

- Dość! To co proponujesz, jest niechrześcijańskie. Nigdy na to nie pozwolę. Zapominasz się.

- Co za głupota! - mruknął Józef. - Wierzyć, że pewnego dnia ciała wszystkich zmarłych powstaną z grobów i powrócą do życia. To bajki opowiadane przez księży.

- Będziemy trwać przy nauce Kościoła - powiedziała cicho matka. - Nie jesteśmy poganami ani członkami jakiejś sekty. Poza tym Józefa jeszcze żyje. A dopóki żyje, jest nadzieja. Udaję się teraz do mojej kaplicy, żeby się za nią modlić. I zalecam, byś zrobił to samo. - Następnie zwróciła się do lekarza: - Pragnę, by mnie informowano o wszystkich zmianach w jej stanie.

Nie mogłam się już dłużej powstrzymać.

- Och, maman, ona się tak straszliwie zmieniła. Nie uwierzyłybyś! - Po mojej twarzy płynęły łzy.

Matka spojrzała na mnie z powagą. Józef obrzucił mnie spojrzeniem pełnym wściekłości. Doktor van Swieten zachnął się.

- Wy tłumacz się, Antonio - powiedziała spokojnie matka.

- Widziałam ją. Jest cała opuchnięta, czarna, sina i okropnie cuchnie. Trzymają ją w ciemnej norze pod starą szkołą jazdy, gdzie nikt nigdy nie zagląda. - Spojrzałam matce w oczy. - Ona umiera, maman. Umiera.

Zamiast otulić mnie czarną jedwabną suknią, jak oczekiwałam, matka cofnęła się o kilka kroków, tak że nie czułam już jej dobrze znanego zapachu, mieszaniny atramentu i wody różanej.

- Wasze cesarskie wysokości muszą się odsunąć - powiedział doktor van Swieten do matki i Józefa, którzy coraz bardziej się oddalali. - Ja się nią zajmę. Będziemy ją obserwować i wypatrywać śladów czarnej ospy. - Skinął na jednego z wysokich lokajów, którzy stali pod ścianą, czekając na rozkazy.

- Poślij natychmiast po mojego asystenta. I dójki.

Zabrano mnie do starych koszar straży i tam trzymano.

Pilnowały mnie dwie wieśniaczki, stara i młoda, dopóki nie zyskano pewności, że nie zachoruję jak siostra. Zabrano i spalono wszystkie moje ubrania, a Zofia przysłała mi nowe. Kiedy je wkładałam, na podłogę wypadł liścik od mojej siostry Karoliny.

Najdroższa Antoinette - pisała. - Wykazałaś się wielką odwagą, odwiedzając biedną Józefę. Wszyscy wiedzą, co zrobiłaś. Udajemy dezaprobatę, ale podziwiamy Cię. Mam nadzieję, że nie zachorujesz. Józef jest wściekły. Kocham Cię.

3 lipca 1761

Postanowiłam nie pokazywać tego dziennika ojcu Kunibertowi. To będą moje prywatne notatki. Wyłącznie moje.

Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni. Trzymano mnie z dala od biednej Józefy, która umarła trzy dni po mojej wizycie. Staram się nie myśleć o jej cierpieniu, ale wiem, że nigdy nie zapomnę, jak wyglądała, leżąc na posłaniu, na którym ją znalazłam.

Ojciec Kunibert mówi, że muszę się zastanowić nad moim nieposłuszeństwem i modlić o wybaczenie. Powinnam okazać wdzięczność, że przeżyłam. Ale nie czuję wdzięczności, tylko głęboki smutek. Nie wolno mi było uczestniczyć w krótkiej mszy żałobnej za Józefę, ponieważ nadal pilnowały mnie dójki, które rano i wieczorem badały mi rękę, ramiona i twarz w poszukiwaniu pęcherzy, mrucząc coś pod nosem i kręcąc nade mną głowami.

Myślałam o śmierci i o tym, że Józefa żyła tylko siedemnaście lat. Tak krótko! Dlaczego niektórzy żyją, a inni umierają? Nie mogę więcej o tym pisać, jestem zbyt smutna.

15 lipca 1761

Wreszcie doktor van Swieten pozwolił mi wrócić do komnat, które dzielę z Karoliną. Nie zachorowałam na ospę.

18 lipca 1761

Dziś rano Zofia obudziła mnie wcześniej i ubrała wyjątkowo starannie. Zapytałam dlaczego, ale nie chciała mi powiedzieć. Wiedziałam, że musi to być coś ważnego, kiedy zobaczyłam balową suknię z jasnoblękitnego jedwabiu z przybraniem ze srebrnej lamy i różyczkami z atlasu na gorsecie.

Wyszczotkowała starannie moje włosy, odgarnęła je z czoła i włożyła mi srebrnoszarą perukę. Była bardzo twarzowa i pomyślałam, że wyglądam w niej bardzo dorośle, zwłaszcza gdy Zofia przybrała ją sznurami pereł.

Zawsze mówiono mi, że jestem podobna do ojca, który był bardzo przystojny. Podobnie jak on, mam wysokie czoło i duże, szeroko rozstawione oczy. Są jasnoniebieskie jak oczy matki, która lubi, jak ubieram się na niebiesko, bo podkreśla to ich kolor.

Kiedy Zofia mnie ubrała, widziałam, że jest zadowolona z efektu. Uśmiechała się do siebie i nuciła coś pod nosem. Jest moją pokojówką od czasu, gdy skończyłam siedem lat. Ona miała wtedy piętnaście. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej nawet niż matka i Karolina.

Potem zaprowadzono mnie do wielkiego salonu, gdzie czekała matka. Towarzyszyło jej kilku mężczyzn, którzy wpatrywali się we mnie, gdy podchodziłam.

- Antonio, moja droga, to jest książę Kaunitz, a to diuk de Choiseul. - Obaj skłonili się przede mną, a ja schyliłam głowę, czując przy tym ciężar peruki, do którego nie przywykłam.

W tej chwili wystąpił naprzód mój nauczyciel tańca monsieur Noverre i dał znak dworskim muzykom. Poprowadził mnie w polonezie, a potem w allemande. Mężczyźni cały czas bacznie mi się przyglądali. Potem przyniesiono moją harfę i zagrałam kilka prostych melodii - nie jestem w tym zbyt dobra - a później zaśpiewałam arię herr Glucka, który uczył mnie grać na klawikordzie, kiedy byłam młodsza.

Następnie przyniesiono tacę z kawą i ciasteczkami. Usiadłam obok matki, która rozmawiała z księciem i diukiem o wielu różnych rzeczach. Czułam się dość głupio w balowej sukni, ale spędziliśmy pół godziny na miłej pogawędce, a ja starałam się jak najlepiej odpowiadać na zadawane mi pytania o wszystko: począwszy od edukacji religijnej przez znajomość geografii i historii po moje poglądy na temat małżeństwa.

- Naturalnie wasza wysokość na nadzieję wyjść kiedyś za mąż - rzekł przyjaźnie książę Kaunitz. - Jaka zdaniem waszej wysokości powinna być idealna żona?

- Idealna żona kocha szczerze swojego męża jak moja matka kochała ojca.

- I rodzi mu synów - dodał diuk de Choiseul.

- Oczywiście. Również córki, jeśli taka będzie wola Boża.

- Jak najbardziej. Córki też.

- Czy wierzysz, arcyksiężniczko, że żona musi być we wszystkim posłuszna mężowi?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Mam nadzieję, że kiedy wyjdę za mąż, razem z mężem będziemy decydować, co jest najlepsze, i działać wspólnie.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i wydało mi się, że widzę na ich twarzach cień rozbawienia.

- Dziękuję, arcyksiężniczko Antonio, za pani szczerą i uprzejmą.

Matka i mężczyźni wstali i pogrążeni w rozmowie przeszli przez ogromny salon.

- Od strony fizycznej jest idealna - ocenił diuk. - Jej edukacja pozostawia trochę do życzenia, ale można to naprawić. Ma wiele uroku...

- I dobre serce. Bardzo dobre serce - dodała matka.

Spacerowali powoli, rozmawiając. Księżę Kaunitz gestykulował, lecz diuk był bardziej opanowany w ruchach i tonie głosu.

- To sojusz, na który od dawna mamy nadzieję - powiedziała matka. - Związek Habsburgów i Burbonów zabezpieczy nasz los na długo po mojej śmierci.

- To nie Austria jest naszym wrogiem - odparł diuk

- lecz Brytania. Musimy się umocnić przeciwko Brytanii.

- I przeciwko Prusom - dorzucił księżę Kaunitz.

- To małżeństwo ochroni interesy zarówno Austrii, jak i Francji. A im wcześniej zostanie zawarte, tym lepiej.

1 sierpnia 1761

Mam poślubić delfina Ludwika, następcę tronu Francji Diuk de Choiseul przywiózł mi jego portret. Delfin jest brzydki, ale diuk zapewnia mnie, że jest bardzo miły i dobrze wychowany, choć nieco nieśmiały.

5 sierpnia 1761

Nie mogę myśleć o niczym poza wyjazdem do Francji. Razem z Karoliną rozmawiamy o naszej przyszłości. Ona jest zaręczona z Ferdynandem z Neapolu - księciem, którego miała poślubić Józefa - i przerabiają teraz wyprawę biednej Józefy, żeby pasowała na Karolinę, która jest dużo grubsza.

Obiecujemy pisać do siebie często, kiedy już wyjdziemy za mąż, ale jak często będziemy się widywać, gdy ja znajdę się już we Francji, a ona w Neapolu?

Bardzo nas ciekawi, jak wygląda pożycie w małżeńskiej sypialni. Wiemy bardzo niewiele, słyszałyśmy, że ma to coś wspólnego z rodzeniem dzieci i z tym, co ojciec Kunibert nazywa niegodziwością cudzołóstwa.

- Co to jest cudzołóstwo? - zapytałam go pewnego dnia.

- Niegodziwa cielesność. Grzeszny związek pomiędzy ludźmi, którzy nie są sobie poślubieni albo są poślubieni innym.

- Ale co to dokładnie jest?

- Zapytaj matkę - uciał krótko. - Po urodzeniu czternaściorga dzieci jest w tych sprawach ekspertem.

Jednak kiedy ją o to zapytałam, matka tylko krążyła wokół tematu i mówiła o pełnym miłości obowiązku żony, która powinna zadowolić męża bez względu na to, o co ją poprosi.

- A o co mnie poprosi?

- To sprawa między tobą i Ludwikiem.

To nie miało żadnego sensu. Próbowałam wypytać Zofię, ale ona tylko pokręciła głową.

- Dowiesz się - powiedziała.

W końcu postanowiłam zapytać służących. Pewnego dnia po powrocie z przejażdżki na Lizandrze obserwowałam w stajni, jak go szczotkują, i podeszłam do Eryka.

Eryk ma osiemnaście czy dziewiętnaście lat, jest mocno zbudowany, ma ciemne włosy i ciemnoniebieskie oczy. Lubię go i czuję się przy nim bezpieczna. Pewnego razu, kiedy Lizander poniósł, Eryk popędził za nami i zatrzymał wierzchowca, więc jestem mu za to ogromnie wdzięczna. Powiedział mi też, gdzie mogę znaleźć Józefę, czego nigdy nikomu nie wyznałam - ani matce, ani ojcu Kunibertowi w czasie spowiedzi, ani Józefowi, kiedy przyszedł do mnie i zażądał, żebym mu wyjawiała, jak się dowiedziałam o miejscu, w którym trzymano naszą biedną chorą siostrę.

Kiedy Eryk szczotkował Lizandra, oznajmiłam mu, że mam niebawem wyjść za mąż, a nikt nie chce mi powiedzieć, czego mam się spodziewać.

- Powiesz mi?

Eryk przerwał pracę, trzymając szczotkę przy potężnym brązowym zadzie konia.

- Nie ja powinienem wam o tym mówić, wasza wysokość - rzekł, nie patrząc mi w oczy.

- Ale wcześniej zawsze odpowiadałeś na moje pytania. Liczę na ciebie.

Zadrzał i upuścił szczotkę na słomę. Szybko, zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, chwycił mnie w ramiona i pocałował. Płonęłam. Nie mogłam myśleć, oddychać, nie



mogłam zareagować. To była najbardziej rozkoszna chwila w moim życiu.

Puścił mnie.

- Proszę - rzucił bez tchu. - Oto czego wasza wysokość może oczekiwać. Tego i jeszcze więcej. A jeśli ktoś się o tym dowie - pochylił się, podniósł szczotkę i znów zaczął szczotkować Lizandra - wyrzucą mnie albo rozstrzelają.

- Nie powiem ani słowa - uśmiechnęłam się. Chciałam, żeby znów mnie pocałował.

10 sierpnia 1761

Eryk będzie mi towarzyszył do Francji razem z Zofią, praczką i moim nowym nauczycielem, abbé Vermondem, który uczy mnie prawdziwej francuszczyzny zamiast jej dworskiej odmiany, którą mówimy w Wiedniu. Abbé twierdzi, że wszyscy mamy bardzo silny niemiecki akcent.

Przez wiele miesięcy nie będę wiedziała, kto jeszcze pojedzie ze mną. Matka mówi, że kiedy udam się do Francji, mam zostawić za sobą całe dotychczasowe życie. Muszę stać się Francuzką, żeby poddani męża zaakceptowali mnie jako swoją królową.

- Musisz jak najbardziej przypominać Francuzkę - powiedziała mi maman - ale głęboko w sercu na zawsze pozostaniesz Habsburżanką. Dzięki swojemu małżeństwu ocalisz Austrię. Dopóki Habsburgów i Burbonów będzie łączył sojusz, ten potwór Fryderyk Pruski będzie się trzymał z daleka. Nie będzie mógł nas pożreć, kiedy będziemy mieli lojalne poparcie Francji.

Abbé Vermond robi wszystko co w jego mocy, abym pojęła te ważne sprawy, ale muszę wyznać, że dużo bardziej interesuje mnie francuska moda.

Co tydzień dostaję z Paryża tuzin lalek ubranych w stroje, które nosić się będzie przyszej wiosny. Z tych strojów mam skompletować swoją wyprawę. Karolina jest bardzo zazdrosna. Jej wyprawa wypełni nie więcej niż dziesięć skrzyń, podczas gdy moja z łatwością wypełniłaby sto, jak mówi maman. Poustawiałam lalki pod oknami w naszej sypialni i codziennie po mszy i lekcjach z abbé Vermondem przechadzam się, udając, że to damy dworu, które składają mi pokłon.

7 września 1761

Przed kilkoma dniami przyjechaliśmy do Greifelsbrunn, jednego z naszych dworców myśliwskich. Mój brat Józef uwielbia polować, a matka jeździ na polowanie w powozie. Co wieczór upolowane jelenie, niedźwiedzie i dziki kładzie się na trawie, by wszyscy mogli je obejrzeć, a ich poroża i kły lśnią w świetle pochodni.

Ja chodzę na długie spacerzy z Karoliną. W lesie powietrze jest rześkie, a liście na wielkich drzewach już złocą się i czerwienieją.

Zofia zmierzyła mnie i jestem coraz wyższa. Przybrałam też na wadze i przesłano wiadomość do szwaczek, które w Paryżu pracują nad moją wyprawą, by staniki moich sukien były szersze i dłuższe.

Dorastam, lecz generał Krottendorf jeszcze się nie pojawił (tak w rodzinie nazywamy menstruację). Matka jest z tego powodu niespokojna, bo nie mogę wyjść za mąż, dopóki nie będę w stanie rodzić dzieci, a mam wyjechać do Francji już za siedem miesięcy. Generał odwiedził Karolinę po raz pierwszy, gdy miała czternaście lat, a Józefa piętnaście.

Mam nadzieję, że ćwiczenia fizyczne tutaj w Greifelsbrunn przyniosą dobry skutek i będę rosła szybciej. Jeżdżę konno z matką lub Karoliną, a potem jestem pełna energii. Zostaję w stajniach dłużej, by zobaczyć się z Erykiem. Nikomu nie powiedziałam, że mnie pocałował, ale często o tym myślę. Chcę znaleźć się z nim sama, żeby znów mógł mnie pocałować.

Wiem, że ojciec Kunibert by tego nie pochwalał, zwłaszcza teraz, kiedy jestem zaręczona z księciem Ludwikiem. Ale nic nie mogę na to poradzić. Moje uczucia są bardzo silne.

10 września 1761

Nadal jesteśmy w Griefelsbrunn. Za oknem jest ciepły jesienny wieczór i pada lekki deszczyk. Jestem sama. Karolina zachorowała, więc maman odesłała ją dziś rano do Schönbrunn na konsultację z doktorem van Swietenem.

Wybrałam się na przejażdżkę z Erykiem. Zamierzałam jechać sama, bo nie ma Karoliny, a wszyscy udali się na polowanie, ale koniuszy zatrzymał mnie i powiedział, że w lesie może być niebezpiecznie i że potrzebna mi jest eskorta. Kazał więc Erykowi jechać ze mną.

Serce waliło mi w piersi, ale starałam się nie okazywać zadowolenia, kiedy Eryk wyprowadził swojego wierzchowca i wyruszyliśmy. Ścigałam się z nim i wygrałam - rzecz jasna to on pozwolił mi wygrać. Jechaliśmy przez ciemny las, aż stanęliśmy na brzegu spokojnego zielonego jeziora. Nigdy wcześniej nie odjechałam tak daleko od dworku i nie miałam pojęcia o istnieniu tego jeziora.

Eryk zsiadł z konia, a potem zdjął mnie z grzbietu Lizandra. Kiedy poczułam dotyk jego silnych, ciepłych dłoni o mało nie zakręciło mi się w głowie ze szczęścia. Przeprowadziliśmy konie wzdłuż brzegu. Otoczenie było takie zaciszne: spokojna, ciemna tafla wody i zasłona żółtelistnych klonów na drugim brzegu. Niebo było zachmurzone i niebawem na tafłę wody zaczęły spadać krople deszczu.

- Schowajmy się tutaj. - Eryk zaprowadził mnie w gęstwinię.

Deszcz padał coraz mocniej i błoto poplamiało mi suknię. Moje buty były już niemal

całkiem zniszczone. Pod zwisającymi skałami kryła się ciemna jaskinia, do której wciągnęłam Eryka. Słysząc było tylko szum deszczu. Spojrzałam na niego, pragnąc, by mnie pocałował. Zastanawiałam się, czy ja miałabym dość odwagi, by pocałować jego.

- Wasza wysokość - powiedział cicho - pragnę cię posiąść. Ale nie wolno mi... Nam nie wolno.

- Tylko ten jeden raz - odparłam. - To się już nigdy nie powtórzy.

Usiadłam na miękkim mchu i pociągnęłam go obok siebie. Całował mnie raz po raz i myślałam, że umrę z rozkoszy. Nie mogłam znieść podniecenia i radości. Całowaliśmy się, ale to było wszystko. Nie doszło do niczego, co ojciec Kunibert nazwałby cudzołóstwem.

Eryk był bardzo czuły i wyznał, że kocha mnie od dawna. Powiedział mi, że jestem piękna i dobra i że nie jest godzien przytrzymywać mi konia, a co dopiero zostać moim kochankiem. Wyznał, że od czasu do czasu spotyka się z dziewczętami z pałacu, pokojówkami i podkuchennymi i sypia z nimi, a raz spał nawet ze starszą mężatką, jedną z dam dworu mojej matki.

- Z którą? - zapytałam, ale nie chciał mi powiedzieć.

- Wasza wysokość - powiedział w końcu, wstając i pomagając mi się podnieść z ziemi. - Jesteś o wiele za młoda i zbyt wysoko urodzona, by zadurzyć się w służącym. Musisz zachować swe pożądanie dla męża.

Przyznaję, że się rozplakałam, gdyż przypomniał mi się portret księcia Ludwika, który mi przysłano.

- Ale on jest brzydki! - wybuchnęłam. - Wygląda jak prosię!

Eryk roześmiał się.

- Prosię czy nie, będzie wielkim królem.

- Nic to dla mnie nie znaczy. - Nawet wypowiadając te słowa, wiedziałam, że nie są do końca zgodne z prawdą.

- To ważna sprawa dla waszej rodziny.

Nie chciałam, by to cudowne, czarowne popołudnie dobiegło końca. Wracaliśmy do dworku powoli, a kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się przed stajniami, Eryk pomógł mi zsiąść z niezwykle łagodnością. Ujął moją dłoń i pocałował.

- Wasza wysokość - powiedział, kłaniając się, i poprowadził konie do boksów.

Ruszyłam w stronę dworku świadoma, że mam mokrą i ubłoconą spódnicę, a włosy, które Zofia rano upięła, są w nieładzie. Gdy tylko mnie ujrzała, w jej oczach błysnęło zrozumienie, ale nic nie powiedziała. Pomogła mi tylko zmienić przemoczone ubranie i kazała stajennemu przynieść gorącą wodę na kąpiel.

Nadal otacza mnie ciepły kokon zadowolenia. Zastanawiam się, co Eryk o mnie myśli. Bo myśli na pewno.

Kiedy zmarła Józefa, przyszło mi do głowy, że to smutne, iż odeszła, nie znając miłości. Teraz uświadamiam sobie, że gdybym miała umrzeć jutro, nie byłabym podobna do siostry. Poznałam miłość i nic innego się nie liczy.

11 października 1761

Na dworze odbędzie się bal dla uczczenia moich zaręczyn. Znajdę się w centrum uwagi. Będzie to coś na kształt próby przed balami i dworskimi ceremoniami, które mnie czekają po przybyciu do Francji. Maman mówi, że muszę się przyzwyczaić do tego, że będę obserwowana i oceniana, zwłaszcza przez Francuzów, którzy uważają się za lepszych od innych.

Tak naprawdę lubię, gdy mnie obserwują i podziwiają, i w ogóle mi to nie przeszkadza. Uwielbiam bale i przyjęcia, piękne stroje, lubię słuchać orkiestry i tańczyć. Takie myśli z pewnością są niegodziwe, ale wiem, że jestem ładna i staję się coraz piękniejsza. Jestem najładniejszą z sióstr, wszyscy od lat tak uważają. Nie wyróżniałabym się spośród najpiękniejszych dam na dworze matki, ale wyobrażam sobie, że za kilka lat stanę się ich godną rywalką. Diuk de Choiseul twierdzi, że damy na francuskim dworze są o wiele piękniejsze, bardziej wyrafinowane i eleganckie niż damy w Wiedniu. Przekonamy się.

Wszyscy nazywają mnie teraz delfiną. Noszę pierścień przysłany przez narzeczonego razem z miniaturowym portretem w naszyjniku. Nie lubię, gdy przypomina mi się, jak on wygląda.

1 listopada 1761

Mój bal okazał się wielkim sukcesem. Potem byłam tak zmęczona, że spałam niemal przez cały dzień.

Suknię z bladozielonego jedwabiu przybraną kremową koronką, którą miałam na sobie, przysłano z Paryża i wszyscy ją podziwiali. Stanik usztywniono fiszbinami, co sprawiło, że moja talia wydawała się jeszcze węższa niż w rzeczywistości.

Książę Kaunitz tańczył ze mną.

- Madame la dauphine, jest pani ozdobą dynastii Habsburgów - powiedział, pochylając się, by ucałować moją dłoń. - Stała się pani niezwykle wyrafinowaną i pełną wdzięku młodą damą.

- Królewska, bardzo królewska - mruknął diuk de Choiseul, kiedy podszedł, by złożyć mi uszanowanie. - Musi pani jednak pamiętać, by codziennie nosić ten przyrząd, który zrobił dla pani dentysta. - Dentysta z Wersalu pracuje nad moimi zębami, a jest bardzo brutalny i

okrutny. Nie lubię go i przeklinam go po niemiecku, czego nie rozumie.

Mój wygląd i zachowanie na balu zadowoliły mamę, która uśmiechała się z aprobatą. Kiedy podszedł do mnie Józef, by ze mną zatańczyć, na jego często skwaszonej twarzy błąkał się uśmiezek zadowolenia.

- Moje uznanie, siostrze - rzekł, prowadząc mnie w polonezie. - Nie sądziłem, że stać cię na tak wytworne opanowanie.

Na balu zjawili się tulu goście, że nie byłam w stanie ze wszystkimi się przywitać, ale rozmawiałam z jak największą ich liczbą. Przyjmowałam komplementy i życzenia. Na palcu miałam pierścień, który przysłał mi Ludwik, i było to wielce komentowane.

Żałowałam, że Eryk nie może przybyć na bal, być może ubrany w elegancki mundur kapitana dragonów. Na pewno przyćmiłby nawet najbardziej przystojnych Polaków. Jakże cudownie byłoby z nim zatańczyć!

5 listopada 1761

Karolina wyjeżdża. Na dziedzińcu stoją karety i wozy wypełnione jej skrzyniami i pudłami. Obejmujemy się i płaczemy, mówię jej, że zawsze będę o niej myśleć i często pisać.

- Och, Antonio, tak się boję! A jeśli on mnie znienawidzi i odrzuci?

Okazywanie słabości było zupełnie niepodobne do Karoliny. Zrobiło mi się jej żal.

- Nie może odrzucić arcyksiężniczki Karoliny austriackiej. Jesteś wyżej urodzona od niego.

- Ale mogę go nie zadowolić. Mogę mu się... wydać nieładna.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Obie wiedziałyśmy, że jest niska i bardzo pulchna, a jej twarz można było określić tylko jako zwyczajną.

- Jeśli ma choć trochę rozumu, będzie cię cenił za twój spryt i silną wolę. Razem spłodzicie zdrowe dzieci.

Zbladła.

- Mam nadzieję.

Pozwolono mi jechać karetą, która eskortowała Karolinę przez osiem kilometrów drogą prowadzącą na południe przez góry oddzielające ziemie Habsburgów od Piemontu. Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie kareta rodziny musiała zawrócić, wysiadłam i ostatni raz objęłam Karolinę.

- Bądź szczęśliwa, najdroższa siostrze. Pisz do mnie długie listy. Opowiadaj mi o wszystkim.

Przytuliła się do mnie, a potem siłą oderwała i wsiadła do karety. Staliśmy, machając na pożegnanie, gdy konie przyspieszyły i zabrały ją.

Będę czekała na jej pierwszy list.

11 listopada 1761

Z pomocą matki i Zofii nareszcie zamówiłam wyprawę. Mam mieć czterdzieści siedem balowych sukien z jedwabiu i haftowanego brokatu i tyle samo sukien popołudniowych. Przygotowują też dwadzieścia sukien dworskich, a więcej uszyją, kiedy przybędę już do nowego domu. Moda francuska zmienia się tak szybko, że istnieje niebezpieczeństwo, iż cała moja wyprawa przed następną wiosną stanie się już niemodna.

Okrutny francuski dentysta, który torturując mnie, gada bez przerwy, mówi, że podczas każdego sezonu w Wersalu tylko niektóre kolory są do przyjęcia, więc jeśli moje suknie będą w niewłaściwym kolorze, wydam się niemodna.

- To delfina ma dyktować modę, a nie ją naśladować!

- powiedziałam z pewnym trudem, gdyż miałam w ustach jego palce.

- Oto słowa prawdziwej Francuzki! - odparł żywo i z pewnym rozbawieniem. - Być może jest dla pani jakaś nadzieja, mała arcyksiężniczko.

14 stycznia 1770

Przybył generał Krottendorf. Teraz mogę już wyjść za mąż. Delfin przysłał mi podarek. Otworzyłam go, gdy byłam sama, myśląc, że będzie to jakiś wyraz miłości. W złotej filigranowej szkatułce znalazłam jednak suszone grzyby.

20 lutego 1770

Biedna Karolina jest nieszczęśliwa. Napisała mi długi list, pełen tęsknoty za mną i całą rodziną.

Pisze, że Ferdynand jest dla niej chłodny, jego krewni jej nienawidzą i uważają, że jest dumna i wyniosła. Nie może z nikim rozmawiać po niemiecku, nawet z księdzem. Cały dwór ją potępia, bo jeszcze nie jest w ciąży. Na ten temat pisała ostrożnie, zapewne w obawie, że jej listy będą czytać szpiedzy. Jednak wyraźnie można wywnioskować, że jej noc poślubna była straszna i że nienawidzi małżeństwa prawie tak bardzo jak przebywania z dala od Wiednia. Pisze też jednak, że przynajmniej Zatoka Neapolitańska jest piękna, a przez całą zimę jest słonecznie i ciepło. Jest więc nieszczęśliwa w pięknym miejscu.

25 lutego 1770

Wreszcie dowiedziałam się, co dzieje się między mężem i żoną, kiedy leżą razem w łóżku.

Mój brat Józef przyszedł do mnie i powiedział, że doszły go słuchy, iż wypytyuję służbę, czego mam się spodziewać podczas nocy poślubnej.

- Wyciąganie takich wiadomości od służby nie jest właściwe - powiedział. - Na tematy

intymnie możesz rozmawiać tylko z mężem, krewnymi, lekarzem lub księdzem.

- Ale księża nic o tym nie wiedzą. To dla nich zakazane.

- Gdyby to tylko była prawda - odparł z żalem Józef, unosząc brwi z dezaprobatą. - Nie odbiegajmy jednak od tematu. Musisz wiedzieć, że wszystko sprowadza się do szpady i pochwy.

Dotknął zdobionej złotej rękojeści ceremonialnej szpady, którą nosił przy boku, i powoli wyciągnął ją z cienkiej skórzanej pochwy.

- Widzisz, jak idealnie szpada pasuje do pochwy, jak łatwo się ją wkłada i jej dobywa?

- Zilustrował swoje słowa, wyciągając szpadę w całości, a potem chowając kilka razy. - Mężczyźni i kobiety są właśnie tak zbudowani. Mężczyźni mają szpady, a kobiety pochwy. Pasują do siebie idealnie, no, zazwyczaj. Kiedy szpada pierwszy raz chowa się do pochwy, napotyka lekki opór i pojawia się odrobina krwi. Ale to szybko mija i cała operacja przebiega niezwykle gładko. - Swoją przebiegłość w tłumaczeniu zawilosci życia intymnego skwitował uśmiechem zadowolenia. - Całe to przeżycie dostarcza wiele przyjemności - dodał.

- Jeśli wszystko idzie gładko, to dlaczego Karolina jest nieszczęśliwa? - Pokazałam mu list od siostry. Przeczytał go i wzruszył ramionami.

- Musisz pamiętać, Antonio, że Karolina jest brzydka i bardzo nieprzyjemna. Nic dziwnego, że nie podoba się Ferdynandowi. Bałam się, że do tego dojdzie, kiedy aranżowaliśmy to małżeństwo. Józefa podobałaby mu się o wiele bardziej, zresztą podobałaby się bardziej każdemu. Kiedy mężowi nie podoba się żona, szpada nie jest silna i sztywna, lecz słaba i wiotka. Nie można jej schować do pochwy.

- Myślisz, że spodoba mi się księciu Ludwikowi?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Spodobałabyś się każdemu mężczyźnie.

Zapytałam go o złotą szkatułkę z zagadkową zawartością, którą przysłał mi książę.

- Może to afrodyzjak - rzekł po części do siebie.

- Co to takiego?

- Nieważne. Możesz zapytać o to księcia, kiedy go zobaczysz. To już niedługo.

5 marca 1770

Gęsie Odchody. Taki kolor ma moja nowa suknia na powitalną kolację, którą wydajemy na cześć Francuzów z Wersalu.

Powiedziano mi, że to najnowszy krzyk mody na dworze francuskim - nosić suknie w kolorach zwierzęcych odchodów. Wyobraźcie sobie! Jednym z kolorów ostatniego sezonu była Zmiażdżona Ropucha.

14 marca 1770

Cały Wiedeń jest udekorowany pochodniami i kolorowymi lampionami. Zapalone świece rozświetlają okna, a nocą wybuchają fajerwerki, rozbrzmiewa muzyka i odbywają się tańce. Dzień i noc w pałacowych kuchniach trwa gotowanie, pieczenie i duszenie. Kurczęta, jagnięta, prosięta i gęsi obracają się na tuzinach roznów nad płonącym ogniem, a w powietrzu unosi się smakowity zapach pieczonego mięsa.

Niemal co wieczór odbywają się bankiety, a za dnia prowadzają mnie na spotkania z sędziami i notariuszami, bym podpisała dokumenty, które zamienią mnie z poddanej mojej matki w poddaną dziadka mojego przyszłego męża, króla Francji Ludwika XV.

Pół roku temu prawie nie wiedziałam, jak nazywa się król Francji. Dziś, dzięki studiom z abbé Vermondem, potrafię wyrecytować genealogię króla Ludwika, sięgając trzysta lat wstecz, a także ważne wydarzenia z czasów panowania jego przodków. Znam nazwy większości francuskich prowincji i potrafię je odnaleźć na mapie Francji, która wisi na ścianie nad moim łóżkiem. Potrafię opowiedzieć historię Joanny d'Arc, świętego króla Ludwika IX i cynicznego Henryka IV, który powiedział „Paryż wart jest mszy” i został katolikiem, choć wcześniej był protestantem. Wiem, że przez Paryż płynie Sekwana i że wielka katedra w mieście nazywa się Notre Dame, Nasza Pani.

Niebawem zobaczę to wszystko na własne oczy.

21 marca 1770

Eryk przysłał mi podarunek, malutką suczkę. Nazwałam ją Mufti. Jest taka malutka, że mieści się w rękawie mojej sukni.

1 kwietnia 1770

Dziś odbył się mój ślub. Zamiast pana młodego w oświetlonym przez blask świec kościele stał przy mnie mój brat Ferdynand, który recytował słowa przysięgi małżeńskiej. Książę Ludwik wypowie je, kiedy przyjadę do Francji.

Cały dwór zjawił się na ceremonii, która była bardzo piękna i pełna powagi. Matka poprowadziła mnie wzdłuż nawy, kulejąc na obolałą nogę, z którą ma problemy od Bożego Narodzenia. Ale mimo to była szczęśliwa. Miałam na sobie piękną srebrną suknię i długi welon z koronki przysłany przez jedną z ciotek księcia Ludwika. To miał być jej ślubny welon, ale nigdy nie wyszła za mąż. Ciekawe dlaczego.

Matka mówi, że mogę zabrać Lizandra i Mufti ze sobą do Francji. 5 kwietnia 1770

Dziś po południu odbyłam smutną wizytę u matki, która wezwała mnie, by porozmawiać o moim nowym życiu we Francji. Z uśmiechem wstała zza biurka i pocałowała mnie, kiedy weszłam do jej prywatnego gabinetu. Jak zwykle na biurku leżały stosy papierów. Jej stary żółty kot spał pomiędzy dwoma stosami na kawałku miękkiej wełny, który



matka tam dla niego trzyma.

Nagle ogarnął mnie smutek i nie mogłam powstrzymać łez. Objęłam matkę i wdychałam zapach wody różanej.

- Och, maman, nie mogę znieść myśli, że cię opuszczę! Jakże będę za tobą tęsknić. Teraz już wiem, co czuła Karolina, kiedy wyjeżdżała, i dlaczego przez tyle wieczorów płakała przed zaśnięciem.

Matka poprowadziła mnie do dużego okna wykuszowego i usiadłyśmy razem, wyglądając na ogród. Zaczynały kwitnąć najwcześniejsze róże, czerwone, różowe i żółte, a drzewa owocowe niemal w całości były pokryte liśćmi.

- Wiem, co czujesz, Antonio - odezwała się po chwili matka. - Kiedy wyszłam za męża, musiałam porzucić znajome rzeczy. Był to wielki krok w nieznaną.

Ujęła moją rękę i położyła sobie na kolanach, od czasu do czasu poklepując ją z roztargnieniem. Było to zupełnie do niej niepodobne i wiedziałam, że przez to pozwala sobie okazać, jak bardzo mnie kocha. Z pewnością ugięła się tak tylko dlatego, że wyjeżdżałam. Zazwyczaj była bardzo silna i czule obojętna.

- Musisz pamiętać o trzech rzeczach, moje najdroższe dziecko. Regularnie uczęszczaj na mszę, zawsze postępuj jak Francuzi, nawet jeśli ich zwyczaje wydadzą ci się dziwaczne, i nie podejmuj żadnych decyzji, nie prosząc wcześniej o radę.

- Kogo, maman? Księcia Ludwika?

Ściągnęła usta i przez moment w jej oczach pojawił się wyraz niepokoju.

- Książę jest jeszcze młody, podobnie jak ty. Nie jest jeszcze... doświadczony. Pomocą służyć ci będą diuk de Choiseul, hrabia Mercy albo któryś z Austriaków. Przed wyjazdem Kaunitz poda ci nazwiska kilku osób na francuskim dworze, którym ufa. I bądź bardzo ostrożna, komu się zwierzasz spośród służby. Wielu z nich to opłacani informatorzy.

- Będę rozmawiać jedynie z Zofią.

Matka westchnęła i poklepała mnie po ręce.

- Pokonasz wszystkie przeszkody, jakie staną ci na drodze, Antonio. Masz dobre serce i odwagę Habsburgów. Nigdy nie zapominaj, kim jesteś i czyja krew płynie w twoich żyłach. Bądź dumna. I mając na uwadze dobro nas wszystkich, staraj się być rozważna.

- Będę, maman. Naprawdę.

Po rozstaniu z matką poszłam na spacer, by po raz ostatni spojrzeć na rzeczy, które kocham. Poszłam na pastwisko za mleczarnią i wdychałam zapach wilgotnej, ilastej ziemi. Zajrzałam do starej szkoły jazdy i zmówiłam modlitwę za duszę Józefy, na próżno starając się nie przywoływać jej obrazu, gdy leżała na łożu śmierci, groteskowa w swoim bólu.

Spojrzałam pod krokwie w poszukiwaniu gniazd szpaków i usłyszałam ciche kwilenie piskląt.  
Zasmuciłam się, gdy dotarło do mnie, że już nie będę patrzeć, jak dorastają i wysoko latają.  
Teraz to ja odlatuję.

## ROZDZIAŁ DRUGI

25 kwietnia 1770

Kareta trzęsie tak straszliwie, że prawie nie mogę pisać. To już trzeci dzień naszej długiej podróży. Tęsknię za rodziną. Mam przy sobie Zofię, Mufti i Eryka, który jako stajenny Lizandra znalazł się w moim orszaku. Kiedy wychyłam się z okna karety, widzę go na dalekim końcu długiej procesji karet i wozów, gdzie jedzie z innymi stajennymi. Gdy tylko przytulam Mufti, myślę o Eryku - choć teraz staram się myśleć o księciu Ludwiku, ponieważ jestem jego żoną i niebawem się z nim zobaczę.

Zeszłą noc spędziliśmy u mnichów w opactwie Himmelsgau, zbyt małym dla całego naszego orszaku. Większość służby musiała spać pod wozami i w namiotach na dziedzińcu; padał deszcz i wszystkim było bardzo niewygodnie. Opat bardzo nieprzyjaźnie potraktował francuskich dostojników i poczuli się urażeni. Podano nam bardzo mało jedzenia i jestem głodna.

30 kwietnia 1770

Podróżujemy już od dziesięciu dni i jest to bardzo męczące. Wieczorem padam na łóżko, a wszystkie mięśnie bolą mnie okropnie po nieustannym podskakiwaniu karety na wyboistych drogach. Czasami musimy wysiąść i iść piechotą, gdyż drogi są tak błotniste, że obciążona pasażerami kareta mogłaby ugrzęznąć.

Dwa dni temu złamaliśmy oś i musieliśmy czekać kilka godzin, aż ją naprawią.

Okolica, przez którą jedziemy, jest bardzo malownicza, z połaciami urodzajnej ziemi i kępami pięknych drzew. Wieśniacy orzą i sieją. Przerywają pracę, by patrzeć na przejeżdżający orszak. Spoglądają ze zdziwieniem na malowane karety i służbę w niebieskiej aksamitnej liberii - brudnej i zabłoconej, ale mimo to eleganckiej.

Nadal znajdujemy się na terenach, na których mówią po niemiecku, ale tutejsi wieśniacy mówią inaczej i mam problemy, by ich zrozumieć. Jesteśmy już prawie we Francji.

15 maja 1770

Jest już wieczór, a ja przebywam w zamku w Compiègne. Mam godzinę tylko dla siebie. Muszę koniecznie zapisać, co się wydarzyło wczoraj, gdy wspomnienia są jeszcze świeże, bo wszystko było bardzo dziwne. I tak bardzo inne od tego, czego się spodziewałam.

Wczoraj poznałam Ludwika.

Mój orszak zatrzymał się na skraju wielkiego lasu. Było późne popołudnie, a my podróżowaliśmy od wczesnego ranka. Jak zwykle byłam obolała i posiniaczona po ostrym

kołysaniu w karecie. Zatrzymaliśmy się przy moście i zauważyłam, że zebrało się tam już kilka karet i sporo jeźdźców, którzy na nas czekali. Kiedy wysiadłam z karety, podszedł do mnie jeden z francuskich oficjeli i nisko się uklonił.

- Madame, mam zabrać panią do księcia.

- Teraz? Po całym dniu podróży?

- Księżę woli, by spotkanie było nieoficjalne. Nie znosi ceremonii.

Przypomniałam sobie słowa matki, kiedy napominała mnie, bym postępowała jak Francuzi, choćby ich zwyczaje były bardzo dziwne - a może powiedziała: oburzające? Wsunęłam Mufti do rękawa sukni, gdzie zwykle przebywa, gdy wychodzę, i przeszedłam z eskortą przez most. Weszłam do lasu, pozostawiając za sobą resztę towarzystwa, które udawało, że wcale nas nie obserwuje.

Dookoła panowały cisza i półmrok. Gałęzie olbrzymich starych dębów i kasztanowców tworzyły baldachim nad naszymi głowami, a pod stopami wyrastały nowe pędy i pierwsze wiosenne kwiaty. Byłam oczarowana, bo przypominało to obrazki z książki.

- Księżę przyjeżdża tutaj - wyjaśnił mój przewodnik - kiedy pragnie znaleźć się daleko od trosk i ciężarów dworskiego życia. Zbudował tu dla siebie mały domek. Ustronie, jeśli woli to pani tak nazwać.

Dojrzałam wśród drzew niską drewnianą chatę z dachem krytym strzechą. Z komina unosiła się smużka szarego dymu.

- Muszę panią ostrzec, wasza wysokość - powiedział do mnie Francuz, gdy zbliżaliśmy się do chaty - że księżę, który jest bardzo nieśmiały, ma się na baczności przed obcymi...

Kiedy wypowiadał te słowa, w jednym oknie chaty dostrzegłam okrągłą, przerażoną twarz, która się nam przyglądała. To był księżę Ludwik. Rozpoznałam go od razu z portretów, które mi przysłano. Twarz niemal natychmiast zniknęła.

- Czy on wie, że przyjeżdżam?

- Uznaliśmy, że najlepiej będzie nie podawać mu dokładnej daty przybycia waszej wysokości, gdyż księżę denerwuje się na samą myśl o spotkaniu z nowymi osobami.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl.

- Ale wie, że przyjeżdżam i mamy się pobrać? - Tak naprawdę już byliśmy małżeństwem, bo uczestniczyłam w ceremonii ślubnej w Wiedniu, podczas której miejsce księcia Ludwika zajął mój brat.

- Oczywiście. Oczekuje waszej wysokości od wielu miesięcy.

Podeszliśmy do niskich drzwi chaty.

- Wasza wysokość, to ja, Chambertin. Przyprowaździłem gościa. Wyjątkowego, uroczego gościa.

Cisza. A po chwili zduszony, jakby dobiegający z oddali głos:

- Odejź.

Mój towarzysz zaczekał chwilę niewzruszony krótką odpowiedzią, po czym znów zawołał:

- Ona przyjechała z bardzo daleka tylko po to, żeby się zobaczyć z waszą wysokością! Proszę nas wpuścić.

Znów dobiegł nas zduszony głos zza drzwi:

- Jestem zajęty. Wróćcie za tydzień.

Odwróciłam się, by odejść.

- Księżę jest zajęty. Mogę wrócić jutro, kiedy wezmę kąpiel i coś zjem...

- Proszę, wasza wysokość. Wiem, jak sobie radzić z jego humorami.

Chambertin uniósł rękę, by zastukać do drzwi, ale w tej samej chwili Mufti, która siedziała w moim rękawie, wyłoniła się z koronki i ostro zaszczekała. Niemal natychmiast drzwi uchyliły się i przez szczelinę wyjrzał Ludwik.

- Czy to pies? Lubię psy.

- To Mufti, wasza wysokość. Przywiozłam ją aż z Wiednia. - Wyciągnęłam ją w stronę księcia, który otworzył drzwi, żeby nas wpuścić.

W środku panowała ciemność, którą rozświetlał jedynie ogień płonący na kominku i wisząca na ścianie latarnia. Na długich stołach leżały gałazki, łądygi, kawałki kory i liści, wszystkie opatrzone kawałkiem papieru zapisanym starannym charakterem pisma. Na półkach wiszących na ścianach stały słoje i kosze, a w oszklonej szafie znajdowały się gabloty z ćmami i motylami. Resztki kolacji księcia - talerz z zimnym mięsem, kawałek sera z wbitym weń nożem, bochenek ciemnego chleba i kufel piwa - leżały na niskiej ławie przy ogniu.

Księżę Ludwik wpatrywał się w nas szeroko otwartymi oczami, chłnąc moje upięte wysoko jasne włosy (kilka pasemek opadło luźno po całym dniu męczącej podróży), dzienną suknię z niebieskiego jedwabiu i naszyjnik z pereł. Mój wykwintny strój ostro odcinał się od surowego wnętrza chaty i skromnego ubrania księcia. W pantalonach i tunice z szorstkiego brązowego materiału przypominał wieśniaka.

Podalam mu Mufti.

- Nie gryzie - powiedziałam.

Z jego twarzy zniknął częściowo wyraz niepokoju, kiedy wziął psinę na ręce i zaczął

ją głaskać. Uśmiechnął się uroczym dziecięcym uśmiechem. Byłam wzruszona.

- Wiem, kim jesteś - odezwał się po długiej chwili.

- Wysłałem ci grzyby. Dostałaś?

- Tak. Dziękuję.

- Opracowuję wielki katalog wszystkich roślin, które rosną w lesie. Kiedy skończę, zabiorę się do katalogu owadów. Nikt dotąd tego nie zrobił.

- Bardzo godne przedsięwzięcie.

- Mój dziadek tak nie uważa - rzekł rozgoryczonym tonem Ludwik. - Ma o mnie bardzo niskie mniemanie. Ale ty mu się spodobaś, jesteś ładna.

- Cieszę się, że tak sądzisz. Pokażesz mi swoje rośliny? Kiedy książe oprowadzał mnie po chacie, nie był już tak nieśmiały i pokazywał mi jeden okaz po drugim. Pokazał mi też dziesiątki rysunków, a ja powiedziałam, że moim zdaniem są bardzo dobre.

- Chyba będę musiał się z tobą ożenić - zauważył po jakimś czasie, spoglądając na mnie groźnie.

- Tego od nas oczekują.

Przez jedną przerażającą chwilę wydało mi się, że książe wybuchnie płaczem. Ale on tylko sięgnął po moją dłoń i przycisnął ją do ust.

- No to się ożenię.

- Jeśli wasza wysokość jest gotów, powinniśmy dołączyć do pozostałych - wtrącił Chambertin.

Ludwik westchnął i oddał mi Mufti. Zgasił ogień i narzucił na ramiona zniszczony płaszcz, który wisiał na kołku przy drzwiach.

- Dobrze - rzekł, prostując ramiona. - Chodźmy.

To wszystko tak bardzo mnie zdumiało, że nadal się nad tym zastanawiam. Ten zimny, smutny chłopiec ma zostać moim mężem i władać Francją?

18 maja 1770

Jestem teraz delfiną. Wczoraj w obecności wielkiego tłumu arcybiskup Reims udzielił nam z Ludwikiem ślubu w kaplicy w Wersalu.

Całym sercem byłam z biednym Ludwikiem, który czuł się nieswojo i był bardzo niespokojny. Trzymałam go za rękę, gdy szliśmy przez długie galerie pałacu pomiędzy rzędami gapiów, i czułam, jak drży. Powtórzył przysięgę przed arcybiskupem cicho, co chwila się jękając. Ja wypowiedziałam ją głośno i wyraźnie, bez jednego potknięcia. Maman byłaby ze mnie dumna.

24 maja 1770

Jestem żoną - a jednak nie żoną. Ludwik co wieczór przychodzi do mojego łóża, jak nakazuje mu obowiązek, lecz odwraca się do mnie plecami i chrapie. Jestem samotna. Boję się, że mu się nie podobam. Co mam robić?

15czerwca 1770

Wszyscy się nagle na mnie rzucili. Dziś rano nie obudziła mnie Zofia, która zwykle przynosi mi poranną czekoladę, lecz hrabina de Noailles, która kazała mi włożyć szlafrok, gdyż miał mnie zbadać doktor Boisgilbert.

Na dźwięk nazwiska doktora Ludwik, który spał niespokojnie obok mnie, szybko usiadł i nie czekając na Chambertina, który zwykle go ubiera, szybko włożył spodnie na koszulę nocną i wypadł z komnaty.

Nie oszczędzono mi żadnego upokorzenia. Doktor szybko ustalił, że nie jestem w ciąży („Błona jest nietknięta”, rzekł obojętnym tonem do hrabiny), i wyraził opinię, że powodem braku mojego miesięcznego krwawienia są nerwy.

- Wasza królewska wysokość - zwrócił się do mnie, gdy zawiązywałam szlafrok i odzyskałam nieco godności - poinformowano mnie, że księżę co wieczór przychodzi do pani łóża. Król prosił mnie, żebym zapytał panią, czy próbował skunsumować małżeństwo.

- Jesteśmy... jak przyjaciele, jak brat i siostra - odparłam.

- Tak myślałam. Chłopiec jest jeszcze za młody. Musi dojrzeć.

Niedługo po wyjściu doktora Boisgilberta dostałam wiadomość, że odwiedzi mnie diuk de Choiseul. Wezwałam Zofię, która mnie ubrała i szybko upięła mi włosy.

- Monsieur - zaczęłam, gdy wprowadzono diuka

- zdaję sobie sprawę, że wszyscy są rozczarowani, iż nie jestem jeszcze przy nadziei. Ale to nie moja wina. Ludwik jest jeszcze chłopcem. I zachowuje się jak chłopiec, nie jak mężczyzna.

- Obawiam się, że na zawsze może pozostać chłopcem, chyba że poprowadzi się go w pożądanym kierunku. I to pani musi go poprowadzić. Musi urodzić się syn. Kilku synów. Proszę go zachęcić. Uwiesć. Po to tu panią sprowadziłem.

Przekazawszy mi tę krótką wiadomość, wyszedł.

Hrabia Mercy, który zjawił się po południu, był bardziej praktyczny. Jako przedstawiciel mojej matki na dworze francuskim, był przyzwyczajony do rozwiązywania problemów. I w przeciwieństwie do diuka żywił dla mnie współczucie. Skłonił się, potem usiadł obok mnie, ignorując surowe zasady panujące w Wersalu, dotyczące tego komu wolno, a komu nie wolno siadać w obecności członka rodziny królewskiej.

- Najdroższa Antonio - zaczął po niemiecku - jakie to musi być dla pani niepokojące i

przykre. Znalazła się pani w obcym miejscu, pośród obcych ludzi i tyle się od pani oczekuje. To wielki ciężar w tak młodym wieku. - Współczującym gestem objął mnie ramieniem i poczułam się trochę mniej samotna. - Rozmawiałem z doktorem Boisgilbertem - kontynuował - i chyba rozumiem, co się dzieje. W miłosnej potyczce książę Ludwik nie potrafi przejąć inicjatywy, jak na mężczyznę przystało. Mam rację?

- Skinęłam głową. - A zatem to pani, madame, musi się nauczyć robić to za niego. - Poklepał mnie po ręce i wstał.

- Znam pewną damę, która pani pomoże. Spotka ją pani jutro. Nazywa się madame Solange i jest naprawdę urocza. Wiem, że się pani spodoba. Należy do świata, o którym jak sądzę, niewiele pani wie. Francuzi nazywają go półświatkiem. Nie jest szanowana, ale na swoim polu nie ma sobie równych. Proszę słuchać uważnie, a wiele się pani od niej nauczy.

15 czerwca 1770

Spędziłam doprawdy niezwykle popołudnie! Jestem oczarowana madame Solange, która jest jedną z najpiękniejszych i najbardziej zachwycających kobiet, jakie spotkałam w życiu. Wiem, że moja matka nie pochwalałaby tej przyjaźni, gdyż jest przeciwna kurtyzanom i nakazuje swojej Komisji Czystości, by nakładała na nie grzywny i odsyłała z Wiednia. Ale ja bardzo lubię madame Solange i mam nadzieję, że znów ją zobaczę.

Zaprosiła mnie do swoich apartamentów, niewielkich, lecz urządzonych ze smakiem w bieli ze złoconymi gzymsami. Pokoje oświetlone dziesiątkami świec wypełniał pikantny kwiatowy zapach, a przez zaciągnięte zasłony nie wpadał blask popołudniowego słońca.

Poczułam, że sływa na mnie odprężenie, gdy pławiłam się w cudownym zapachu, miękkim świetle i ciepłym, pieszczotliwym głosie, którym zwróciła się do mnie madame Solange.

- Madame la dauphine, wyświadcza mi pani zaszczyt. Proszę do mnie dołączyć.

Zaprowadziła mnie do swego buduaru, gdzie stało łóżko z rzeźbionego mahoni z czerwonym baldachimem, a ściany wyłożono lśniącym, bladym jedwabiem. Madame Solange otworzyła szafę z polerowanego drewna i wyjęła przezroczystą koszulę nocną przybraną koronką i różowymi wstążkami.

- Będzie w niej pani pięknie wyglądać - powiedziała, podając mi delikatną koszulę, która prawie nic nie ważyła. W całej wyprawie nie miałam niczego tak nieprzyzwoitego i na myśl o tym, że miałabym ją włożyć, oblałam się rumieńcem. - Zaróżowione policzki bardzo pasują do waszej wysokości. Z jasnymi włosami, niebieskimi oczami, gładką, białą skórą i szczupłą figurą przypomina pani laleczkę, marzenie każdego mężczyzny.

- Ale nie mojego męża - odparłam.



- Mam nadzieję, że to się zmieni. Musimy sprawić, że nie będzie mógł się pani oprzeć.

Po chwili zaczęła opowiadać o sprawach miłości i kochania się, opisując, jak gładzić i pieścić mężczyznę, zabawnie go drażnić, sprawić, by mnie zapragnął. Kiedy mówiła, nie mogłam się oprzeć i myślałam o Eryku, o pożądaniu, jakie widziałam w jego oczach, i o dotyku naszych ust. Choć bardzo się starałam, nie mogłam się zmusić, by myśleć o Ludwiku z jego niezgrabnym, otyłym ciałem i smutną, pospolitą twarzą.

Słuchałam jednak i zadawałam pytania, a kiedy popołudnie dobiegło końca, poczułam się o wiele starsza i mądrzejsza życiowo. Samo przebywanie w obecności tej doświadczonej kobiety było lekcją światowości, gdyż wyrażała się tak otwarcie o ciele i jego naturalnych potrzebach, jakby uprawianie miłości było sprawą równie normalną jak jedzenie czy spanie.

Pomyślałam o ojcu Kunibercie i jego opowieściach o niegodziwej cielesności, a także przypomniałam sobie napomnienia matki o szczerości i swobodzie Francuzów. Choć może się to wydać bardzo kuszące, potrafi być też bardzo niebezpieczne.

Postanowiłam wykorzystać to, czego się nauczyłam, i sprawić, by mój mąż mnie pożądał. Gdybym tylko mogła porozmawiać z Karoliną, ileż bym miała jej do opowiedzenia! Nie odważę się jednak napisać jej w liście o moich przemyśleniach, gdyż całą naszą korespondencję czytają szpiedzy.

Zaczęłam trzymać ten dziennik pod kluczem, ponieważ hrabia Mercy ostrzegł mnie, żebym nie ufała moim francuskim pokojówkom opłacanym przez Choiseula, który chce się dowiedzieć wszystkiego o moim życiu prywatnym. Przypuszczam jednak, że większość z nich nie potrafi czytać, nie umiałyby więc odszyfrować tego, co tutaj piszę.

18 czerwca 1770

Wczoraj wieczorem madame Solange pomogła mi przygotować się do nocnej wizyty mojego męża. Włożyłam przezroczystą koszulę i rozpuściłam włosy, zwykle zaplecione w warkocze, tak że opadły falą loków na plecy. Wspólnie upachniłyśmy pokój za pomocą potpourri z goździków i wanilii. Zapaliłyśmy małe świece, a madame Solange przyniosła mi w podarunku satynowe nocne pantofelki. Umalowała mi usta i nałożyła róż na policzki, co sprawiło, że wyglądałam bardzo dorośle.

Potem wyszła, a ja czekałam na przybycie Ludwika.

Zjawił się dopiero po dziesiątej i był bardzo śpiący. Był też brudny i spocony, gdyż razem z robotnikami pracował przy kopaniu nowej piwnicy na wino. Rzucił na podłogę zabłocone ubranie i usiadł ciężko na łóżku, wciągając koszulę nocną przez głowę.

- Co to za zapach? - zapytał. - Chce mi się kichać.

Kładł się już, gdy dostrzegł cieniutką koszulę, oświetloną przez miękki blask świec.

Zaskoczony dosłownie zerwał się z łóżka. Zaklął głośno.

- Zakryj się! I zmyj tę farbę z twarzy! Kim ty jesteś, zwykłą prostytutką?

Chciałam uciec, tak bardzo się wstydziłam. Ale nie jestem tchórzem. Nie ustąpiłam pola.

- Chciałam cię tylko zadowolić, Ludwiku. Żeby mogła połączyć nas miłość. - Znalazłam chusteczkę, wytarłam twarz i zawiązałam szlafrok na pięknej koszuli.

Ludwik wrócił do łóżka. Położyłam się obok niego, nie wiedząc, co robić i powiedzieć. Czy próbując go uwieść, wszystko pogorszyłam? Czy utraciłam jego zaufanie, które udało mi się zdobyć?

Leżeliśmy obok siebie w milczeniu przez długą chwilę, która wydawała się godziną. Nie mogłam zasnąć. Zastanawiałam się, czy Ludwik śpi. Nie chrapał, więc przypuszczałam, że nie. Świece zaczęły skwierczeć w lichtarzach, a potem zgasły. W ciemności poczułam, że Ludwik się poruszył. Usiadł na łóżku i oparł się o poduszki'. Słyszałam jego oddech.

- Śpisz?

- Nie.

Poczułam jego dużą rękę na ramieniu. Był to czuły gest, który czasem wykonywał, prawie przyjacielski. Po długiej chwili zaczął mówić:

- Wiesz, to nigdy nie miałem być ja, ale mój ojciec. To on był następcą tronu.

Wiedziałam, o co mu chodzi, bo abbé Vermond zaznajomił mnie z drzewem genealogicznym Burbonów. Król Ludwik XV miał syna, który umarł młodo, przez co jego najstarszy żyjący syn, a mój mąż, został następcą tronu.

- Ale on umarł. Został mi po nim tylko stary czarny płaszcz, który noszę, gdy jadę do lasu. Nigdy nie przygotował mnie, bym mógł zająć jego miejsce. Nie spodziewał się, że umrze.

- Rozumiem.

- Nie mogę zrobić tego, czego wszyscy ode mnie oczekują.

- Możesz. Razem możemy. Pomogę ci.

- Nie każdy może być królem.

Usiadłam i spojrzałam na mojego ponurego męża.

- Chyba możesz zrezygnować z tronu? Tak już wcześniej bywało.

Ludwik prychnął.

- Nigdy mi na to nie pozwolą. Mój dziadek, Choiseul, wszyscy. Woleliby, żebym umarł.

- Moglibyśmy uciec do Ameryki. W przebraniu. Zostałbyś porucznikiem artylerii, a ja

twoją praczką.

Roześmiał się.

- Generał Lafayette szuka ochotników.
- Ale gdybyś pojechał do Ameryki, nie mógłbyś skończyć katalogu lasu.
- Chcę zostać - powiedział zdecydowanie Ludwik.
- Nie chcę tylko być królem.
- To jeszcze długo nie nastąpi - odparłam.
- Dziadek się starzeje. Boisgilbert twierdzi, że nie pożyje długo.

Postanowiłam zaryzykować i zapytać o to, co mnie najbardziej niepokoiło.

- Ludwiku, podobam ci się?

Odwrócił twarz.

- Tak - odparł bardzo cicho.

- To dlaczego...

- Nie mogę. Nie pytaj czemu. Po prostu nie mogę.

Smutek w jego głosie wystarczył, by mnie uciszyć. Po chwili wyjaśniłam:

- Nie chciałam cię dziś zaszokować, tylko zachęcić.

- Wiem.

Położyliśmy się przytuleni do siebie jak szczenięta, a jego ręka spoczywała na moim ramieniu. Niebawem jego ciężki oddech przeszedł w chrapanie. Powoli przyzwyczajam się do tego dźwięku.

27sierpnia T770

Od miesięcy bałam się pisać o Eryku, ale teraz, kiedy trzymam dziennik zamknięty na klucz, a klucz przy sobie przez cały czas, zaryzykuję i opiszę, co się wydarzyło.

Od czasu przybycia do Francji często widuję Eryka, ale nigdy nie jesteśmy sami. Wszędzie towarzyszy mi przyzwoitka: albo moja oficjalna strażniczka hrabina de Noailles, jedna z ciotek mojego męża, albo ktoś naślany przez Choiseula bądź Mercy'ego, aby mnie szpiegować. Kiedy więc jestem w stajniach lub jeżdżę na Lizandrze z Erykiem i innymi, każde wypowiedane przez nas słowo jest podsłuchiwane. On zwraca się do mnie z szacunkiem, a ja przyjmuję jego słowa i pomoc przy koniu tak, jak powinnam, i zwracam się do niego jak delfina do stajennego. Jednak kiedy nasze oczy się spotykają, pojawia się w nich niewypowiedziane ciepło i tajemne porozumienie.

Eryk z pewnością wie, bo cały dwór o tym plotkuje, że nie jesteśmy z Ludwikiem małżonkami w pełnym znaczeniu tego słowa. Czasami wydaje mi się, że dostrzegam w jego oczach cień litości. On starannie ukrywa swoje uczucia. Jest dla mnie miły i pełen szacunku,

ale to wszystko.

Wczoraj jeździłam z Yolande de Polignac, a Eryk wyruszył z nami jako eskorta. Byliśmy częścią większej grupy, w której znaleźli się dwaj bracia Ludwika i ich stajenni, ale my z Yolande ścigałyśmy się i sporo oddaliśmy się od reszty. Lizander potknął się i spadłam na ziemię. W jednej chwili Eryk zeskoczył z konia i uklęknął obok mnie. Zapewniłam go, że nic mi nie jest.

- Wasza wysokość, muszę z panią porozmawiać - szepnął, kiedy pomagał mi wstać.

- Oczywiście. Przyjdź na przyjęcie podczas rannej toalety, powiem szambelanowi, żeby cię wpuścił.

- Muszę z panią porozmawiać sam na sam. Na przyjęciu będzie pełno ludzi.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Jutro po mszy pójdę do spowiedzi. Kiedy wyjdę z konfesjonału, odszukam cię.

Dziś po mszy odbyłam spowiedź i kiedy wyszłam z bocznej kaplicy, gdzie znajduje się konfesjonał, Eryk czekał w mrocznej kruchcie. Wyglądał na strapionego. Podszedł do mnie i skłonił się.

- Wasza królewska wysokość, żenię się - szepnął. - Mój ojciec nalega, bym poślubił Francuzkę, a starszy stajenny obiecał, że kiedy się ożenię, zrobi mnie koniuszym, dzięki czemu będę miał z żoną mieszkanie.

Przez moment docierało do mnie, co przed chwilą usłyszałam. Mój przystojny Eryk, który mnie kochał i pragnął, miał się ożenić z inną. Z kobietą, którą otoczy pożądaniami i słodyczą. Zazdrościłam jej, kimkolwiek była. Zapanowałam nad sobą najlepiej, jak umiałam.

- Jeśli tego naprawdę chcesz, Eryku, to jestem szczęśliwa ze względu na ciebie i twoją przyszłą żonę, oczywiście.

- Nie tego naprawdę chcę - rzekł ze smutkiem w oczach. - Ale nie mogę mjeć tego, czego pragnę najbardziej. Sama wiesz, pani, najlepiej.

Odwróciłam wzrok, gdyż nie chciałam, żeby zobaczył łzy napływające mi do oczu. Zdałam sobie sprawę, że nadchodzi madame de Noailles. Nie martwiłam się, że podsłucha naszą rozmowę, bo mówiliśmy po niemiecku, ale nie chciałam, by pomyślała, że spoufałam się ze służącym. Już kilka razy upominała mnie za takie przewinienie.

- A zatem żadne z nas nie ma tego, czego pragnie

- szepnęłam i wyciągnęłam rękę, by uścisnąć jego ramię, odwracając się przy tym tak, by hrabina nie dojrzała tego gestu.

- Proszę zrozumieć, wasza królewska wysokość. Ona jest... oczekujemy dziecka. Mógłbym to wszystko inaczej załatwić, razem z dzieckiem miałaby opiekę i nie

musielibyśmy brać ślubu. Ale lubię ją, a kiedy zostanę koniuszym, będę mógł zapewnić byt rodzinie.

- Madame la dauphine, czy ten człowiek panią niepokoi?

- Nie, hrabino. Przekazuje mi tylko radosną wieść, że niebawem się ożeni.

Hrabina de Noailles obrzuciła Eryka spojrzeniem od stóp do głów.

- To jeden z waszych Austriaków, pani?

- Tak. To służący z dworu mojej matki.

- Przypominam, że czeka księżniczka Adelajda. Wasza wysokość obiecała zagrać dziś po południu W pikietę.

- Oczywiście. - Podałam dłoń Erykowi, który ją ujął i pocałował. Odwróciłam się, by ruszyć za hrabiną, która wychodziła już z kościoła. W ostatniej chwili odwróciłam się do niego.

- Nie powiedziałaś mi, jak nazywa się twoja wybranka.

Eryk zawahał się.

- To Amelia, pokojówka waszej wysokości.

Byłam tak wstrząśnięta, że musiałam usiąść w najbliższej ławce. Moja własna pokojówka! Wyznaczona przez Choiseula należała do mojego dworu i bez wątpienia była jego szpiegiem.

Była nieśmiałą, zamkniętą w sobie dziewczyną, ładną, lecz lekko wyzywającą w zachowaniu. Podobnie jak inne pokojówki, szydziła i żartowała, zmieniając pościel w moim łożu. Ignorowała zmarszczone brwi hrabiny de Noailles i rzucała złośliwe uśmieszki za jej plecami.

Eryk i Amelia byli więc kochankami, a teraz będą mieli dziecko. A Amelia naśmiewa się ze mnie, bo nadal jestem dziewicą. Słyszałam, że hrabina mnie woła, ale nie mogłam zebrać sił, by z nią pójść.

Eryk i Amelia, Amelia i Eryk. Myśl o nich towarzyszyła mi przez całe popołudnie, kiedy grałam w karty z ciotką męża Adelajdą i uczestniczyłam w przyjęciu w salonie madame de Polastron.

Byłam rozkojarzona i obawiam się, że mój stan został zauważony i skomentowany.

Nadal zastanawiam się nad tym nieoczekiwanym zwrotem wypadków. Oto ja, delfina, zostałam poślubiona księciu, który musi mieć synów i nie może ich spłodzić, a moja służąca Amelia jest przy nadziei - i to z mężczyzną, którego pragnę najbardziej!

15września 1770

Na dworze śpiewają okrutną piosenkę:

Panieczek, panieczek, Co ty wyrabiałeś?

Brzuch jak balon, brzuch jak balon, Z kim się pokładałaś?

Królewienko, delfineczko, Co ty wyrabiałeś?

Taniec, flirt, zabawa, Kiedy gzić się miałaś!

Wszyscy wiedzą, że piosenka opowiada o mnie i o mojej pokojówce. Zabroniłam służącym śpiewać te obraźliwe strofy.

To nie Amelia była problemem, lecz pazerna, wulgarna kochanka króla, madame du Barry, autorka tej paskudnej śpiewki. To ona była moim największym wrogiem. Nie zgodziłam się jej przyjąć, rozmawiać z nią ani nawet uznać jej istnienia. Nawet gdyby matka i hrabia Mercy nie nakazali mi się tak zachować, nie postąpiłabym inaczej, ponieważ kurtyzanom takim jak madame du Barry nie wolno mieć władzy.

Jak wyglądałoby życie w Schönbrunn, gdyby kochanka mojego ojca, księżna Auersperg, miała wpływ na cesarskie decyzje i kierowała życiem dworu? Rzecz jasna, księżna Auersperg, łagodna i miła, w niczym nie przypominała madame du Barry z jej wymalowaną twarzą i wulgarnymi sukniami o dużych dekoltach. Poza tym księżna była zawsze dyskretna, trzymała się na uboczu i nigdy nie pchała się do pierwszego szeregu.

Nie mogę całkowicie unikać madame du Barry, gdyż razem z Ludwikiem często musimy przebywać w obecności króla, a tam gdzie jest król, jest i jego kochanka - zwykle siedzi mu na kolanach lub przysiadła na poręczy jego krzesła. Przechadza się po salonach w sukniach lśniących od brylantów, którymi przyozdobione są nawet obcasy jej butów, co z dumą pokazuje, podnosząc suknię i kręcąc lubieżnie stopą. Król, już prawie starzec, obsypuje ją biżuterią, a ona prezentuje każdą nową błyskotkę w najbardziej niesmaczny sposób.

Pewnego wieczoru, żeby zrobić jej na złość, do gry w karty w królewskim salonie włożyłam brylant, który nazywamy Słońcem Habsburgów. To ogromny żółty brylant przywieziony z Indii, który swoim blaskiem przyćmiewa nawet pochodnie. Kiedy madame du Barry ujrzała ten niezwykle klejnot na mojej szyi, najpierw nie mogła oderwać od niego wzroku, a potem zauważyła na tyle głośno, by wszyscy ją słyszeli:

- Taki kamień może nosić tylko prawdziwa kobieta.

- Albo prawdziwa dama - odparłam, zwracając się do moich towarzyszy. - Ale przecież niektórzy nie mają pojęcia o tym, jak damy powinny się ubierać lub zachowywać. W efekcie przypominają zwykle ulicznice.

- Czy ktoś tutaj zna ulicznicę, która wyprowadza psy na smyczy wysadzanej rubinami? Lub śpi w złoconym łożu? Ma roczny dochód przewyższający milion liwrow? - du Barry zwracała się do wszystkich zebranych, unikając mojego wzroku, lecz nikt nie

odpowiedział jej spojrzeniem.

- Bogata ulicznica nadal pozostaje ulicznicą, nie sądzi pani, hrabino? - odezwałam się do hrabiny de Noailles, która dawała mi gorączkowe znaki, żebym przerwała słowną potyczkę z madame du Barry.

Na te słowa du Barry przeszła obok nas w swojej lśniącej sukni i usiadła obok króla, który zdążył już wypić sporo wina i siedział teraz oszołomiony, ze znudzonym uśmiechem na przystojnej niegdyś twarzy. Kochanka pogładziła go delikatnie po pokrytym zmarszczkami policzku pulchnym palcem zakończonym różowym paznokciem.

- Ludwiku drogi, kupisz mi wielki brylant?

- Co tylko zechcesz - odparł, uśmiechając się szerzej. - Weź wszystko, co chcesz.

Zerwała się i zawołała królewskiego skarbnika, który wyszedł z tłumu i skłonił się królowi.

- Daj jej, czego zapragnie - powiedział król, machając ręką.

- Zajmę się tym jutro, sire.

- Jutro! - wykrzyknęła madame du Barry wyraźnie poirytowana. - Za późno. Chcę teraz!

- Wasza wysokość - mruknął skarbnik głęboko zaniepokojony i wyszedł z salonu tak szybko, jak tylko pozwalała mu jego godność.

- Wydaje mi się, że Słońce Habsburgów czeka zaćmienie - powiedział mój dowcipny szwagier Stanisław, starszy z braci delfina.

- Być może, ale na horyzoncie maluje się już nowa jutrzienka - odparłam, a w salonie rozległ się cichy pomruk, bo wszyscy zrozumieli znaczenie moich słów. Na razie madame du Barry rządzi królem, ale jego dni są policzone, więc niebawem to ja zostanę królową i z radością przegnam z dworu ją i wszystkie kobiety do niej podobne.

## ROZDZIAŁ TRZECI

7 października

W powietrzu wyraźnie wyczuwa się chłód - i to nie tylko dlatego, że lato ustępuje miejsca jesieni - a kiedy wcześnie rano wybieram się na przejażdżkę, na trawie widać szron.

Brat mojego męża, Stanny - Stanisław Ksawery - szepcze do wszystkich, że to on, a nie Ludwik powinien być następcą tronu. Stanny jest wielkim, zawziętym chłopakiem, prawie tak wysokim jak Ludwik, i wielkim awanturnikiem. Dokucza Ludwikowi, żartując z jego strachu przed obcymi i miłości do lasu.

- Znów wybieramy się na grzyby? - zawołał do Ludwika któregoś dnia, gdy ten wychodził w swoim zniszczonym czarnym płaszczu.

- Nie twoja sprawa - mruknął Ludwik.

- Ta nagła potrzeba oddalenia się nie ma chyba nic wspólnego z przyjazdem mojej przyszej żony? - zażartował Stanny. - Wszyscy wiemy, jak bardzo lubisz kobiety.

Na te słowa inni w komnacie zaczęli cicho szydzić, a Ludwik, który już prawie stał w drzwiach, odwrócił się.

- Wytłumacz się.

- Chodziło mi tylko o to, że wydajesz się trochę nieśmiały przy swojej żonie. Być może wolisz więc uniknąć spotkania z moją Józefiną.

Śmiech w pokoju, choć stłumiony, nie budził żadnych wątpliwości. Pospieszyłam mężowi na ratunek. Podeszłam do niego z uśmiechem i czule ujęłam go pod ramię.

- W swoim towarzystwie czujemy się z Ludwikiem bardzo swobodnie, prawda, mój drogi?

Spojrzał na mnie z wdzięcznością i uściśnął mnie za rękę.

- Tak - przytaknęła, patrząc na brata ze złością.

- A kiedy efekty tej swobody staną się widoczne?

- Dzieci to dar Boga - powiedziałam. - Przychodzą, kiedy On zechce.

- No cóż, Bóg przysyła mi dziś narzeczoną aż z Italii i nie zamierzam być nieśmiały, kiedy już tu dotrze. - Słowa te skwitował głośny męski śmiech. - W rzeczywistości - dodał, podchodząc do Ludwika, który puścił moją rękę i lekko odepchnął mnie na bok - pójdę z tobą o zakład, Grzybiarzu. Założę się, że moja Józefina urodzi mi syna, zanim twoja żona zacznie rozsznurowywać gorset.

Ludwik uderzył Stanny'ego tak mocno, że ten o mało się nie przewrócił. Kiedy



odzyskał równowagę, spuścił głowę i walnął nią Ludwika w brzuch, aż ten stęknął jak raniony byk. Dwóch silnych lokajów musiało rozdzielić braci. Później tego samego dnia po kolacji Ludwik poszedł do pokojów Stanny'ego i rozbił jedną z jego cennych chińskich waz.

Dużo ze sobą walczą i czasami dołącza do nich ich młodszy brat Karol, zawsze biorąc stronę Stanny'ego. Stanny ma tylko piętnaście lat, a Karol trzynaście, ale już chodzą dumnie jak koguty, rzucając sobie nawzajem wyzwania, zawsze gotowi do bójki.

Stanny uważa, że jeśli będą mieli z żoną dzieci, a Ludwik i ja nie, to król uczyni go swoim następcą. Ludwik w istocie jest dziwny i nie potrafi zabierać publicznie głosu, przez co wydaje się trochę tępy, podczas gdy Stanny jest o wiele bardziej normalny i całkiem inteligentny. Jeśli do tego wszystkiego król zyska przekonanie, że nigdy nie będziemy mieli z Ludwikiem syna, który będzie mógł zostać królem i zapewnić ciągłość dynastii, to może rzeczywiście Stanny okaże się lepszym następcą tronu.

No, napisałam to. Wykorzystując prywatny charakter tego dziennika, muszę przyznać, że to całkiem prawdopodobne.

12 października 1770

Maria Józefina Sabaudzka, naręczona Stanny'ego, przebywa tu już od trzech dni i wszyscy mówią tylko o tym, jak bardzo jest brzydka. Jest nie tylko niska i gruba, ale ma też czarny wąsik nad górną wargą i okropne gęste brwi jak ojciec Kunibert. Ma czerwoną, usianą pryszczami twarz, a włosy uczesane w stylu, jakiego nikt na naszym dworze (zaczynam go już nazywać „naszym dworem”) nie nosił od blisko roku.

- Moja przyszła żona być może nie jest najpiękniejszą kobietą na dworze, ale jej krewni zapewnili mnie, że okaże się najbardziej płodną - zauważył Stanny, gdy usłyszał krytykę Józefiny. - Jej matka miała czternaścioro dzieci, a babka dziewiętnaścioro.

- Wszystkie były brzydkie - odparowała madame du Barry - czy tylko ona?

Stanny spojrzał na kochankę dziadka, a jego spojrzenie było równie pełne pogardy jak ton jego głosu.

- Wszyscy mieli w sobie królewską krew - powiedział z naciskiem. - I nie było wśród nich ani jednej nierządniczy.

Król nie obdarzył naręczonej Stanny'ego szczególną uwagą.

- Powinna umyć szyję - zauważył tylko, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Pamiętając własne niepewne i samotne pierwsze dni we Francji, zaprosiłam Józefinę na partyjkę pikiety i pożyczyłam jej część moich klejnotów, gdyż miała niewiele swoich, a Stanny nie okazał się zbyt hojny. Wygląda na to, że bogactwem Sabaudii są dzieci, a nie klejnoty czy złoto. Na dworze słyhać plotki, że posag Józefiny wyniósł zaledwie pięćdziesiąt

tysięcy srebrnych florenów i że większość nie zostanie nigdy wypłacona.

Na razie czujemy do siebie sympatię, choć Józefina jest bardzo cicha i mówi po francusku z silnym włoskim akcentem. Kiedy już się odzywa, wszystko brzmi bardzo monotonicznie. Na przykład: „Proszę podać herbatniki” albo „Jak uroczy jest twój mały mops”. Mam dwa nowe i obiecałam jej szczeniaka z następnego miotu.

28 października 1770

Żona Eryka jest coraz grubsza. Za każdym razem kiedy na nią patrzę i przypominam sobie, że nosi jego dziecko, czuję bolesne ukłucie w sercu.

4 listopada 1770

Ludwik wydał dziś bal dla uczczenia moich piętnastych urodzin. Na moją cześć włożył jeden ze swoich srebrnych strojów i próbował tańczyć. Wcześniej starał się nauczyć kroków poloneza i brał lekcje raz w tygodniu. Kiedy skrzypek gra melodię, próbuje za nią nadążyć na płaczących się nogach, by sprawić mi przyjemność. Jestem mu za to bardzo wdzięczna. Wiem, jak nie znosi eleganckich strojów i tańca. Dziś wieczór robił co w jego mocy, ale był bardzo niezgrabny i wszyscy starali się na niego nie patrzeć, kiedy tańczył.

Na balu byli Stanny i Józefina, a kiedy Stanny okrutnie naśladował nieporadne kroki Ludwika za jego plecami, rozległy się śmiechy. Ktoś, nie wiem kto, zaczął cicho śpiewać paskudną piosenkę o Ludwiku.

Tik tak.

Gdzie twój ptak?

Delfina mała Nigdy go nie widziała.

Bije godzina, Nie ma syna.

Biją godziny, Dziwka z delfiny.

Ludwik był tak tym wszystkim zdenerwowany, że kiedy opółnocy podano do stołu, zaczął się objadać pieczonym prosiakiem, truflami, zupą zółwiową i sosami, aż zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował na podłogę. Stanny wybuchnął śmiechem, a diuk de Choiseul wstał i oświadczył głośno, że bal dobiegł końca, i kazał muzykom przestać grać. Wszyscy wyszli w pośpiechu. Mój bal okazał się katastrofą.

77 listopada 1770

Dziś przyszedł do mnie hrabia Mercy. Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że chodzi o coś bardzo ważnego i skuliłam się w duchu. Hrabia zawsze jest uprzejmy, ale wie doskonale, co jest najważniejsze, i nigdy niczego nie ukrywa. Zaczęłam się bać naszych rozmów.

- Najdroższa Antonio, ufam, że w pełni wróciła pani do zdrowia - powiedział, kiedy rozgościł się w moim saloniku, odprawiając służbę machnięciem ręki.

- Tak, dziękuję, hrabio.

Skinął głową przyjaźnie, nie spiesząc się z wyjawieniem powodu swojej wizyty. Czekałam cierpliwie.

- Antonio, zastanawiałem się nad rozwiązaniem waszego problemu, pani i Ludwika. Zdaje sobie pani sprawę, że urodzenie Ludwikowi syna jest sprawą największej wagi. A najlepiej dwóch albo trzech. A ponieważ wygląda na to, że on sam nie jest w stanie spłodzić dziecka, chyba będziemy musieli się uciec do nieszkodliwego oszustwa. Dla dobra rodziny, by zachować sukcesję.

- Oszustwa? Jakiego? - dopytywałam się.

- Mówiąc otwarcie, znajdziemy innego mężczyznę, który zajmie miejsce pani męża.

Zamrugałam powiekami. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Zdaje sobie pani sprawę, że ryzyko jest ogromne. Trwały sojusz Austrii i Francji musi zostać umocniony przez narodziny dzieci. Dwie dynastie muszą złączyć się w jedną. Inaczej nasi wrogowie potraktują to jako zachętę. Nie mogę ukrywać przed panią faktu, że pojawiły się głosy o anulowaniu waszego małżeństwa i odesłaniu pani do Wiednia.

Serce zabiło mi mocniej. Jakżebym chciała wrócić do domu, do mamany, Józefa i całej mojej rodziny! Wiedziałam oczywiście, że ten powrót będzie upokorzeniem, porażką. Okryje moją rodzinę niesławą. I według słów Mercy'ego sprowadzę na nią polityczną katastrofę. Bardzo się starałam to wszystko zrozumieć.

- Jeśli nasze małżeństwo zostałoby anulowane, czy oznaczałoby to wojnę? - zapytałam po chwili.

- Bardzo możliwe.

- Matka za nic nie chciałaby znów wysłać naszych wojsk do walki.

- Zawsze lepiej znaleźć inne rozwiązanie. A jest nim moja propozycja. Sugeruję, abyśmy znaleźli silnego, zdrowego i dyskretnego młodego szlachcica, podobnego z budowy i kolorytu do pani męża, który zgodzi się zająć jego miejsce w łóżu. Kiedy na świat przyjdą dzieci, będą podobne do Ludwika, choć nie on będzie ojcem. Nikt nie pozna prawdy poza mną, panią, Ludwikiem i samym szlachcicem.

- Ale to będzie kłamstwo.

- Tak, ale dobre.

Spojrzałam na Mercy'ego.

- Czy kłamstwa kiedykolwiek są dobre?

- Jako długoletni dyplomata, zapewniam panią, że

Zapadła długa cisza, w czasie której zastanawiałam się nad słowami hrabiego. Dla

ocalenia mojego małżeństwa i potrzeb Austrii, mojej ukochanej ojczyzny, powinnam złamać przysięgę małżeńską i urodzić dzieci innego mężczyzny. A potem kłamać o tym światu, do końca życia okłamywać moich synów, córki i całą rodzinę.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Eryk! Dlaczego on nie miałby zastąpić Ludwika? Nie był wprawdzie szlachcicem, ale był silny, zdrowy i kochałam go. Przez chwilę pozwoliłam sobie marzyć o tym, że znajdę się w jego ramionach, będę go kochać, pożądam, pozwolę, by kochał mnie, jak mąż kocha żonę. Jakże byłabym szczęśliwa! Ale Eryk był żonaty. Oznaczałoby to, że musi zdradzić Amelię. Byłam pewna, że się na to nie zgodzi. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej nabierałam przekonania, że ja także nie mogę się zgodzić na takie oszustwo.

Nie powiedziałam o tym hrabiemu. Oświadczyłam tylko, że muszę napisać do matki, by zasięgnąć jej rady.

- Nie robiłbym tego - odparł hrabia. - Ona nie zrozumie. To sprawa galijskiej subtelności i wyrafinowania, a nie niemieckiej prawości. Musi się pani zachować jak Francuzka. Matka waszej wysokości nigdy nie byłaby do tego zdolna. A jednak przysłała tu panią, byś stała się częścią tego dworu i jego zwyczajów, więc w pewnym sensie tak. udzieliła swego przyzwolenia na wszystko, co możemy zdecydować.

To była prawda. Jednakże mamana ostrzegła mnie również przed liberalnymi francuskimi poglądami i subtelnościami. I powiedziała mi, żebym zawsze pamiętała, kim jestem i skąd pochodzę.

- Rozważę pańską sugestię, hrabio - rzekłam, podając rękę do ucałowania, by dać mu do zrozumienia, że uważam naszą rozmowę za skończoną - lecz na razie nie mogę skorzystać z pańskiej rady. Dziękuję, że mi jej pan udzielił.

Przycisnął suche wargi do mojego nadgarstka i kłaniając się, ruszył w stronę drzwi. Jednak zanim do nich doszedł, odwrócił się.

- Antonio, zależy mi wyłącznie na najlepszych interesach waszej wysokości i Austrii.

- Nigdy o tym nie wątpiłam, hrabio.

Ale zaczynałam wątpić. Kiedy po kilku godzinach wracam myślami do tamtej rozmowy, uświadamiam sobie, że hrabia gotów jest poświęcić mnie - mój honor, moralność i ciało - dla dobra Austrii. I ta świadomość przyprawia mnie o dreszcz.

Kto ochroni mnie przed mrocznymi i złożonymi intrygami tego świata?

27 listopada 1770

Zeszłej nocy moja mała mopsiczka urodziła dziewięć szczeniaków. Na razie wszystkie żyją, nawet to najsłabsze, nie większe od mojej pięści. Cztery są brązowe, jeden brązowy z

dwiema białymi łapkami i trzy brązowe z czterema białymi łapkami. Jeden jest w kolorze mleka, zupełnie jakby pochodził z innego miotu. Zrobiłam dla nich gniazdko w koszyku stojącym obok mojego łóża. Ludwik bardzo tolerancyjnie podchodzi do ich popiskiwań.

5 Grudnia 1770

Stanny i Ludwik pokłócili się dziś i pobili podczas mszy adwentowej i król, który siedział niedaleko, bardzo się rozgniewał. Nie przeszkadzała mu świątokradsza bójka w kościele, tylko hałas i zamieszanie. Lubi bez żadnych przeszkód spać podczas całego nabożeństwa.

Poszłam na bal i miałam na sobie Słońce Habsburgów, bo wiem, że madame du Barry mi go zazdrości. Wszyscy podziwiali moją jasnożółtą suknię, a kiedy spoglądałam w lustro, widziałam wielki brylant lśniący na mojej szyi jak płomień. Prezentowałam go z dumą, tańcząc z hrabią de Noailles, Mercym i kilkoma innymi. Ludwik nie będzie już więcej tańczył publicznie, nawet na balach w moich salonach.

Doszły mnie szeptki, że zbyt dobrze się bawię, ale je zignorowałam. Bo bawiłam się cudownie i było mi przykro, gdy o jedenastej Ludwik wstał i dał mi znak, że pora już iść. Wszyscy kłaniali się i dygali, gdy wychodziliśmy, i przypomniałam sobie, jak dwa lata temu w Schönbrunn ustawiałam ubrane modnie lalki i przechadzałam się wzdłuż ich rzędu, udając, że to damy dworu.

Wydaje mi się, że to było tak dawno!

1 8grudnia 1770

Wczoraj Amelia zaczęła mieć bóle, więc wezwałam doktora Boisgilberta, który zbadał ją, gdy leżała na kanapie w moim saloniku, a potem posłał po akuszerkę. Ja wysłałam pazia, żeby sprowadził Eryka, który przyszedł natychmiast. Usiadł na stołku przy kanapie, na której leżała Amelia, i wziął ją za rękę.

- Falszywy alarm - orzekła akuszerka, kiedy zbadała Amelię. - Jeszcze za wcześnie.

Wyszła, a my odetchnęliśmy z ulgą. Kryzys minął.

Wysłałam do sąsiedniego pokoju, aby poczekać na Józefinę, która miała przyjść, by obejrzyć szczeniaki. Obiecałam dać jej jednego w prezencie gwiazdkowym. Zjawiała się niebawem. Śmierdziała jak dojrzały ser i wyraźnie potrzebowała kąpieli.

Kiedy rozmawiałyśmy i Józefina wybierała szczeniaka, podsłuchałam kłótnię Amelii z Erykiem.

- Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej? - krzyczała.

- Mogłam umrzeć. Miałam straszliwe bóle. Straszliwe, nie rozumiesz?

- Ależ moja droga, przybiegłem najszybciej, jak mogłem. Król...

Amelia zakłęła.

- Zawsze ten król, książę i twoja mała faworytka, księżniczka! Chciałabym, żeby wszyscy... - urwała, a jej głos stał się stłumiony.

Wyobraziłam sobie, że Eryk zakrył jej usta dłonią, żeby ją chronić. Mówienie źle o rodzinie królewskiej mogło okazać się bardzo niebezpieczne, z czego doskonale zdałaby sobie sprawę, gdyby nie była taka rozgniewana. Klócili się nadal, lecz teraz ściszonymi głosami. Po kilku chwilach Eryk wszedł do pokoju, w którym siedziałam z Józefiną, niosąc na rękach Amelię.

- Jest wykończona. Za przyzwoleniem waszej wysokości chciałbym ją zabrać do domu.

- Naturalnie, masz moje przyzwolenie, Eryku. Mam nadzieję, że rano będzie silniejsza.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Rano Eryk przyszedł do moich apartamentów, kiedy układano mi włosy i nakładano róż. W tej codziennej ceremonii często uczestniczyły dziesiątki osób z nadzieją, że uda im się zamienić ze mną choć słówko lub wcisnąć mi do ręki liścik z jakąś prośbą. Dziś zjawiała się tylko grupka Węgrów z dworu mojej matki i z tuzin gapiów, którzy obserwowali, jak siedzę na środku pokoju przed dużym lustrem i niskim stolikiem, na którym ułożono grzebień, szczotki i szpilki. Moja srebrna peruka wisiała na złożonym stojaku.

André cesał moje długie włosy, gdy wszedł Eryk, który wyglądał bardzo przystojnie w liberii z bładoniebieskiego aksamitu, z białą pianą koronki przy szyi. Kiedy skinęłam głową, podszedł do stolika i usiadł przy mnie na niskim podnóżku. Wyglądał na zmęczonego.

- Jak się czuje Amelia? - zapytałam po niemiecku.

- Nadal narzeka na bóle, wasza wysokość. Nie spała dobrze.

- Każę akuszerce, żeby znów do niej przysłała - powiedziałam.

- Wczoraj byłaś, pani, bardzo dobra dla Amelii. Przyszedłem podziękować.

- Wiem, jaka jest dla ciebie ważna.

Posmutniał.

- Gdybyś tylko, pani, wiedziała, jak naprawdę jest między nami. Jak bardzo żałuję tego kroku, który zrobiłem zeszłego lata.

Mówił cicho, niemal szeptem, z oczami wbitymi w podłogę. Wyraźnie żałował, że poślubił Amelię, a mnie ucieszyło jego wyznanie.

- Zrobiłem to tylko dlatego, że ojciec nakłaniał mnie do ożenku, a starszy stajenny nalegał, żebym wziął ślub, zanim zostanę królewskim koniuszym.

- Pamiętam to bardzo dobrze. - Słyszając te słowa, podniósł wzrok, a ciepło i smutek w jego oczach sprawiły, że natychmiast ogarnęło mnie współczucie. Współczucie i - muszę to przyznać - miłość.

- Jakże żałuję, że sprawy nie mogły ułożyć się inaczej

- ciągnęłam, mówiąc bardzo cicho, tak że mogli mnie usłyszeć tylko Eryk i André, który nie rozumiał ani słowa po niemiecku. - Inaczej dla nas obojga.

- Ale wasza wysokość odniosła ogromny sukces. Jesteś, pani, tak pełna wdzięku i gracji, i bardzo piękna.

- I bardzo samotna.

- Jeśli kiedykolwiek będę mógł służyć waszej wysokości towarzystwem, proszę tylko rzec słowo.

- Dziękuję, Eryku. Być może to zrobię. Miło jest rozmawiać w ojczystym języku i słyszeć, jak ktoś w nim mówi.

- Przyszedłem także w innej sprawie - dodał. - Amelia prosiła, bym zapytał, czy kiedy nasze dziecko przyjdzie na świat, zechcesz, pani, zostać jego matką chrzestną.

Gdyby Eryk nie wyznał, że jest nieszczęśliwy w małżeństwie, jego prośba napełniłaby mnie głębokim smutkiem. Udział w ceremonii, w której Eryk i Amelia uczestniczyliby jako szczęśliwi rodzice, z pewnością by mnie zranił. Ale wiedząc, że się kłócą i są sobą wzajemnie rozczarowani, o wiele łatwiej będzie mi uczestniczyć w chrzcie. Prawdę mówiąc, nie mogłam się tego doczekać. Powiedziałam o tym Erykowi, który złożył długi pocałunek na mojej dłoni, po czym wyszedł.

28 grudnia 1770

Postanowiłam nie nosić już dłużej gorsetu. Fiszbiny kłują mnie i utrudniają oddychanie. Jednak madame de Noailles nalega, żebym go nosiła. Odmówiłam jej zdecydowanie, a moje pokojowe są mi posłuszne. Lubią mnie i nie znoszą madame de Noailles. Kiedy mnie ubierają, odkładają gorset na bok.

1 stycznia 1771

Mój mały bunt związany z gorsetem wywołał wielkie zamieszanie na dworze.

Naburmuszona madame de Noailles poszła do hrabiego de Mercy'ego i poskarżyła, że jestem nieposłuszna, a moje zachowanie to afront pod adresem króla, który wyznaczył ją, by mi doradzała. Choiseul usłyszał o konflikcie między mną a madame de Noailles i przysłał mi liścik z poleceniem, żebym natychmiast włożyła gorset. Abbé Vermond, który razem z Ludwikiem należał do nielicznego grona osób dostrzegających humor w całej tej sytuacji, przyszedł zapytać mnie z uśmiechem o „gorsetową wojnę” i przypomnieć o prośbie matki,

żebym we wszystkim naśladowała Francuzów. Jeśli francuskie damy noszą gorsety, ja też powinnam.

Przez tydzień oczy wszystkich były utkwione w mojej talii, która jest bardzo wąska bez względu na to, czy krępuje ją gorset czy nie. „Nosi czy nie?” - szeptano po obu końcach długich galerii. Nie zwracam uwagi na krytykę. Podjęłam decyzję i nie zmienię zdania, mimo że madame de Noailles głośno wyraża swoją dezaprobatę i krzywo na mnie patrzy.

Wojna została wypowiedziana. Postanowiłam podjąć wyzwanie.

6stycznia 1771

Postanowiłam pozbyć się nie tylko gorsetu, lecz również madame de Noailles.

Opracowałam plan. Będzie wymagał trochę przebiegłości i szczęścia, ale chyba się powiedzie.

7stycznia 1771

W moich apartamentach panuje takie zamieszanie, że przeszłam z Ludwikiem do starego skrzydła pałacu, gdzie mój mąż razem z robotnikami buduje ścianę. Znalazłam niewielki cichy pokój niedaleko miejsca prac, a kiedy lokaj rozpałił ogień na kominku, zrobiło się całkiem przytulnie. Jest ze mną Zofia. Siedzi przy ogniu i zwija w kłębki czerwoną włóczkę.

Potrzebuję trochę spokoju, bo madame de Noailles wywołała kompletny zamęt w moich apartamentach, wydając rozkazy, krzając się i krzycząc ze złością na służbę. Wszyscy pakują jej rzeczy do kufrow, gdyż została odesłana z dworu.

Oto jak to urządziłam. Wiedziałam od kilku miesięcy, że przy ładnej pogodzie król i madame du Barry wychodzą codziennie do ogrodu. Dziś rano też wyszłam na spacer w towarzystwie mojej szwagierki Józefiny i kilku dam dworu. Kiedy podeszłyśmy do fontanny Neptuna, zauważyłam po drugiej jej stronie króla i jego kochankę. On siedział na wózku, gdyż ma problemy z nogami, i zasnął, a głowa opadła mu na piersi.

Gdy stanęłam przy brzegu fontanny, aby podziwiać szemrzącą wodę, powiedziałam do Józefiny tak głośno, by madame du Barry mogła usłyszeć, że jutrzejszego wieczoru wydaję bal i chcę zaprosić króla i jego „dobrą przyjaciółkę”. Upewniwszy się, że jestem podsłuchiwana, dodałam, że już kilka razy chciałam ją zaprosić, ale madame de Noailles nie wyrażała na to zgody.

- Gdyby mnie tak nie ograniczała, mogłabym sama wybierać sobie towarzystwo - zauważyłam. - Jest na dworze kilka osób, które chciałabym lepiej poznać. Być może w przeszłości źle je osądziłam.

Wyobrażałam sobie, co madame du Barry musi myśleć i jak jest zdziwiona i



zadowolona, słysząc, że chcę ją lepiej poznać. Bardzo pragnęła zyskać akceptację i uznanie dworskiej elity. Choć otrzymywała od króla wiele klejnotów i cennych drobiazgów, odmawiano jej jednej rzeczy: włączenia do wyższej sfery. Teraz ja proponowałam jej wejście do tej elitarniej grupy, a raczej chciałam, żeby tak pomyślała.

Westchnęłam głośno.

- Gdyby tylko ktoś pomógł mi się pozbyć madame de Noailles! - Odeszliśmy od fontanny, oddalając się od madame du Barry i drzemiącego króla.

Zastanawiałam się, ile czasu będzie potrzebować królewska kochanka, by zacząć działać. Nie musiałam czekać długo. W południe madame de Noailles otrzymała wiadomość od nadzorca królewskiego gospodarstwa, w której informowano ją, że została zdymisjonowana jako moja doradczyni.

Usłyszałam okrzyk przerażenia, a po nim całą serię wściekłych przekleństw. Udawałam, że nie mam pojęcia, co się wydarzyło, ale pełen złości wzrok madame de Noailles powiedział mi, że zdaje sobie sprawę, iż to ja byłam zamieszana w jej dymisję.

- To wszystko, madame - powiedziałam lodowato, kiedy podeszła do mnie i oskarżyła o zaaranżowanie jej odejścia. - Dziękuję pani za służbę. - Mijając ją, wyszłam z pokoju i poszłam poszukać Ludwika, który zamierzał dołączyć do mularzy.

Tutaj przy ogniu jest tak miło i przyjemnie. Nie chcę stąd wychodzić. Ludwik często pracuje do późnego wieczora, gdyż jest silny i niezmierny. Mogę tu siedzieć nawet do północy i pisać w dzienniku, uśmiechając się na myśl, że madame de Noailles na zawsze zniknęła z mojego życia.

7 lutego 1771

Dwa dni temu Stanny i Józefina wzięli ślub i cały dwór uczestniczył w ceremonii w królewskiej kaplicy. Tworzyli bardzo brzydką parę.

1 marca 1771

Kiedy Ludwik przyszedł mnie odwiedzić dziś po południu, zauważyłam od razu, że krwawi mu warga, a jedno opuchnięte oko już zaczyna sinieć. Wchodząc do mojego saloniku, zachwiał się i usiadł ciężko na brokatowym krześle. Bardzo chciało mu się pić.

- To znów Stanny, prawda? - spytałam, wzywając Zofię, by przyniosła szmatkę i maść dla Ludwika.

- Założył się ze mną o dziesięć srebrnych florenów, że nie wypiję całej butelki porto w pięć minut. Prawie mi się udało. Ale potem zwymiotowałem. Nic nie mogłem na to poradzić. I wtedy go uderzyłem.

Ludwik posłusznie siedział nieruchomo, kiedy Zofia wycierała mu krew z twarzy i

nakładała maść na usta i podbite oko, a ja stałam obok zadowolona, że nie ma przy mnie madame de Noailles, która kazałaby mi usiąść, skoro delfin też siedzi. Jakże mi ulżyło, gdy się jej wreszcie pozbyłam!

- Musisz się nauczyć go ignorować, kiedy rzuca ci wyzwania, a potem obraża. Wiesz, że robi to tylko po to, by cię zezłościć. To go bawi. Jest podły.

Ludwik zwiesił głowę.

- Wiem.

- Poślij po Chambertina - szepnęłam do Zofii.

- Wiesz, co mi powiedział? - szepnął do mnie Ludwik, podnosząc na mnie pełen strachu wzrok. - Ze jego żona jest przy nadziei.

- Tak szybko?

Ludwik skinął głową.

- Mają to ogłosić podczas następnego spotkania rady królewskiej.

Znów pomyślałam o propozycji hrabiego Mercy'ego, by wziąć do łóżka innego mężczyznę. To uratuje sukcesję i da Ludwikowi trochę spokoju. Eryk. Eryk. Gdyby tylko to było możliwe!

Przybył Chambertin, łagodny i miły jak zwykle, i skinąwszy mi przepaszająco głową, odprowadził Ludwika do jego własnych apartamentów. Oprócz mnie to on najbardziej troszczy się o biednego Ludwika. Jest pokojowym, koniuszym i lokajem w jednej osobie. Robi wszystko co trzeba i nie spuszcza pobłażliwego wzroku ze swego pana.

28 marca 1771

Widziałam się z Erykiem i rozmawiałam z nim - on nadal mnie kocha! Nie mogę już dłużej pisać. Mogę tylko śpiewać, obejmować się ramionami i wirować albo jeździć na nowym wierzchowcu o imieniu Bravane, którego przysłał mi król, aż zupełnie opadam z sił.

Chcę krzyknąć: „Eryk mnie kocha!” całemu światu. Ale mogę tylko pisać o tym tutaj. Eryk mnie kocha. Eryk mnie kocha. Eryk mnie kocha.

5 kwietnia 1771

Minął już tydzień od mojej długiej rozmowy z Erykiem w małej altance wśród grabów w pałacowych ogrodach. Do rozmowy doszło po chrzcinach, kiedy poszłam do królewskiej kaplicy, by zająć miejsce jako matka chrzestna dziecka Amelii i Eryka. Dziewczynce nadano imiona Ludwika Antonina Teresa, na cześć Ludwika, mnie i mojej matki. Trzymałam ją w ramionach przy chrzcielnicy, kiedy ksiądz polewał wodą malutką główkę, mocząc przy tym koronkowy czepeczek, który wręczyłam jej w prezencie. Nie płakała. Była ciepła i pachniała mlekiem. Jest bardzo żywym dzieckiem, więc z wigorem kopała nóżkami i machała małymi

rączkami.

Zauważyłam, że podczas ceremonii Amelia unikała Eryka, nigdy na niego nie patrzyła i trzymała się z daleka.

Gdy chrzest dobiegł końca i ksiądz udzielił Ludwice Antoninie ostatniego błogosławieństwa, oddałam ją Amelii, która z ukłonem krótko mi podziękowała, a potem natychmiast wyszła z kaplicy z dwiema kobietami, chyba swoimi siostrami. Nie zaczekała na Eryka.

Kaplica szybko opustoszała. Na chrzcinach zgromadziło się niewiele osób, a ja zabrałam ze sobą tylko dwie damy dworu. Eryk rozmawiał z księdzem i wręczył mu sakiewkę z monetami. Powiedziałam damom, że chcę pospacerować w ogrodzie przed południowym posiłkiem i że wolę zostać sama. Odeszły.

Eryk dogonił mnie, kiedy szłam alejką między krzewami róż, które zaczynały pokrywać się pączkami.

- Wasza wysokość, czy mogę z panią pospacerować?

- Oczywiście, Eryku. Wiesz, jak lubię twoje towarzystwo. - Zwracałam się do niego oficjalnie na wypadek, gdyby ktoś mógł nas podsłuchać.

Poszliśmy do części ogrodu zwanej Wzgórzami Satory, naturalnego lasu, gdzie ścieżki toną w cieniu wielkich grabów. Wiedziałam, że przychodzi tu niewiele osób i czułam się z Erykiem swobodnie, zwłaszcza gdy weszliśmy do małej, pomalowanej na biało altanki i usiedliśmy obok siebie.

Bez słowa zaczęliśmy się całować długo i żarliwie, a kiedy skończyliśmy, Eryk ujął mnie za rękę i trzymał ją między swoimi dłońmi. Byłam zbyt szczęśliwa, by cokolwiek powiedzieć, radowałam się jego towarzystwem i dotykiem jego ust na moich. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w milczeniu. Ucałował moją dłoń i przycisnął ją do schylonej głowy.

- Jakżebym chciał, abyśmy nadal byli w Wiedniu - powiedział wreszcie głosem lekko ochryłym od emocji.

- Ja też często o tym marzę. Pragnę być szczęśliwa z Ludwikiem, ale to nie ma sensu. Myślę tylko o tobie, każdego dnia i każdej nocy.

- Amelia jest o ciebie zazdrosna. Śniło jej się, że zostawiłem ją dla ciebie. W pewnym sensie sen się sprawdził. Nigdy nie porzucę jej ani naszego dziecka, ale w sercu odszedłem już dawno.

- Czy ona cię kocha?

- Bardzo chce mnie posiadać. Aby się upewnić, że nikt inny tego nie zrobi.

- To nie jest miłość, lecz chciwość.

- Amelia jest chciwa. I złośliwa.

- Ludwik jest chciwy, tylko gdy je - zauważyłam ze śmiechem. - I nigdy nie widziałam, żeby był złośliwy. On naprawdę chce być miły, tylko nie umie tego okazać. Przeraza ludzi, jest taki dziwny.

- Ciebie też przeraza?

- Nie, jesteśmy przyjaciółmi. Ale nie potrafi dać mi miłości, której potrzebuję. Dlatego marzę o tobie.

- Najdroższa Antonio.

Przez chwilę milczeliśmy, a Eryk znów mnie pocałował. Czułam, że się przed nim otwieram, równie ufnie jak kwiat przed słońcem. Należę do niego, to wszystko.

- Muszę wiedzieć, czy darzysz mnie miłością, żebym mogła o niej myśleć i na niej polegać.

- Będę twoim kochającym przyjacielem do końca życia - wypowiedział te słowa z powagą jak uroczystą przysięgę. Kiedy to piszę, nadal słyszę jego głos.

Z oddali dobiegł hałas czyniony przez nadchodzących leśną ścieżką ludzi.

- Jeśli zobaczą nas razem, zaraz zaczną plotkować

- rzekł Eryk. Raz jeszcze ucałował moją dłoń i wstał.

- Na pewno jeszcze tu przyjdę - odparłam. - Do tej altanki.

Zniknął z ostatnim spojrzeniem i uśmiechem, a ja wyjęłam z kieszeni sukni książkę, którą zabrałam, by przechodzący ludzie zobaczyli, że czytam, i zostawili mnie w spokoju. Ale rzecz jasna wcale nie czytałam. Nie mogłam czytać ani myśleć, mogłam jedynie siedzieć, rozkoszując się powracającym wspomnieniem naszych słów.

Po półgodzinie tego upojnego zapomnienia wyszłam z altanki i wróciłam do pałacu, by zjeść obiad z Ludwikiem i jego ciotkami. Jednak byłam zbyt poruszona i ciotka Adelajda zbesztła mnie, że tylko dziobię jedzenie.

1 lipca 1771

Kilka dni temu Ludwik sprowadził na dwór dójkę - słodką dziewczynę, pulchną i rumianą, z rękami spierzchniętymi od codziennego dojenia krów. Stała zarumieniona ze wzrokiem wbitym w marmurową podłogę, prawie nie podnosząc na nas oczu. Widać było, że w pałacu czuje się nieswojo. Po chwili członkowie mojego dworu zaczęli się gromadzić, by ją obejrzeć. Większość z nich nigdy nie widziała dójki z tak bliska.

- Przyprowadziła swoją krowę - powiedział mi Ludwik. - Stoi na dziedzińcu. Chcę, żebyś tam z nią poszła i nauczyła się doić krowę i robić masło.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Ale ja już to świetnie potrafię! Matka nauczyła nas tego w dzieciństwie, poza tym wiele razy przyglądałam się dójkom w Schönbrunn. Co do robienia masła, to też w tym pomagałam. Wiesz, że to trwa całymi godzinami. Ale dlaczego miałabym marnować na to czas, skoro jest mnóstwo służących?

- Bo to ci dobrze zrobi - orzekł Ludwik głosem, który rzadko u niego słyszałam, trochę ojcowskim, lecz bardziej surowym niż czułym.

- Spędzasz za dużo czasu na beztroskich rozrywkach, które nie pomagają ci w pracy nad charakterem. Widzę, jak niemal codziennie przychodzą do ciebie szwaczki. Marnujesz czas na zamawianie nowych sukien, przymierzanie ich i przerabianie bez końca. Potem rozmawiasz o nich z twoimi głupimi, pustymi przyjaciółkami. A połowę życia spędzasz na balach.

- Lubię tańczyć i dobrze się bawić. Czyż po delfinie nie oczekuje się, że będzie prowadziła innych w tańcu?

- Należy znaleźć równowagę między rozrywkami i poważną pracą. Ja dla przyjemności jeżdżę na polowania, ale też kładę cegły i kopię piwnice, studiuję okazy przyrodnicze i uczę się robić zegary. Ty, madame, wymyślasz nowe style i nowe nazwy dla modnych kolorów. Słyszałem, jak o nich mówisz: Płonące Popioły, Brzuch Kielbia, Niedojrzała Gruszka, Brudny Deszcz! Co za głupota! Czy ta dójka nosi fartuchy w takich kolorach?

Wskazał na dziewczynę, której twarz przybrała barwę Krwi Gołębia. Wiedziała doskonale, że wszyscy na nią patrzą.

- Nie! Ona codziennie wkłada tę samą ciemną suknię oraz czysty biały fartuch i czepek. Zgadza się, moja droga?

- Tak, sire - odparła drżącym głosem.

Podeszłam do szafki, gdzie trzymam igły i nici, i wyjęłam robótkę, nad którą pracowałam.

- Posiadam wiele pożytecznych umiejętności - rzekłam do Ludwika, pokazując kolorową atlasową kamizelkę, którą szyłam dla króla, haftowaną w złote i srebrne lilie, z wyszukany królewskim monogramem.

- Bawisz się tym haftem od dwóch lat! I jeszcze nie jest skończony!

- Ale twój dziadek jest nią zachwycony. „Przynieś mi kamizelkę, moja laleczko”, mówi, kiedy mnie widzi. „Gdzie moja kamizelka?”. I wiesz, jaki jest dla mnie hojny. Dał mi klejnoty, które należały do jego pierwszej królowej, i płaci wszystkie rachunki szwaczkom. Nigdy nie pyta, czy potrafię doić krowy! - Zauważyłam, że ramiona biednej dójki zaczynają

drząc, więc podeszłam do niej. - Lubię krowy - dodałam kojącym głosem. - Bardzo. Pokażesz mi tę, którą przyprowadziłaś?

Pozwoliłam, by wyprowadziła mnie na dziedziniec. Poszło za nami wielu dworzan. Na dziedzińcu przywiązana do słupa stała starannie wyczyszczona brązowa krowa, z ogonem ozdobionym niebieskimi wstążkami.

- Bardzo ładna. Długo ją masz?

- Trzy lata, madame. Wychowałam ją od cielęcia. Zdobyła nagrody na wystawie rolniczej w Giverny. - Na twarzy dziewczyny załśniła duma.

- Naprawdę? Musi dawać doskonałe mleko.

Rozmawiałam dalej z dziewczyną, podczas gdy krowa machała ogonem. Gapie zaczęli się nudzić i odeszli. W końcu Ludwik też sobie poszedł, bo kiedy się rozejrzałam, nigdzie nie było go widać.

11 listopada. 1771

Dziś po południu Stanny pędził korytarzem do salonu króla i o mało mnie nie przewrócił.

- Jest! Jest! - krzyczał. - Mój syn przyszedł na świat!

Razem z Loulou ruszyliśmy za podekscytowanym Stannym i usłyszałam, jak mówi majordomusowi o dziecku.

- Muszę się zobaczyć z królem! Muszę osobiście przekazać mu tę wiadomość! - Twarz Stanny'ego była purpurowa i brakowało mu tchu.

Nieporuszony majordomus stał w drzwiach salonu i nie pozwalał mu wejść.

- Król - zaczął, strzepując drobinę kurzu ze złoczonej liberii - wypróżnia się. Polecił wyraźnie, by mu nie przeszkadzano.

- Ale wie, że moja żona rodzi. Będzie chciał się dowiedzieć o dziecku jak najszybciej!

- Musi mnie dopiero powiadomić o swoim pragnieniu - odrzekł majordomus i zatrzęsł drzwi salonu przed pulchną twarzą Stanny'ego.

Kilka godzin później wezwano mnie do królewskich apartamentów. Król lubi, gdy go odwiedzam. Mówi, że go rozweselałam i że dzięki mnie czuje się młodo. Kiedy przybyłam, Stanny nadal siedział na ławce w korytarzu obok kilku młodych paziów, którzy czekali, by roznieść rozkazy, gdy tylko król je wyda. Najwyraźniej Stanny nie przekazał mu jeszcze dobrych wieści.

Majordomus otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka, lecz zostawił za nimi wściekłego Stanny'ego. Kiedy zapytałam króla, czy wie o dziecku Stanny'ego i Józefiny, machnął lekceważąco starą, chudą ręką.

- Słabe i chore - powiedział. - I pewnie tak brzydkie jak jego rodzice.

18 sierpnia 1772

Król starzeje się szybko jak nigdy dotąd. W aksamitnym żakiecie i jedwabnej kamizelce wygląda na skurczonego. Kamizelka, którą dla niego zrobiłam, jest teraz za duża, ale i tak ją nosi.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciliśmy z gry w karty w królewskich apartamentach, Ludwik nagle wybuchnął płaczem.

- Nie chcę tego! Nie chcę! To niedługo nadejdzie, czuję to.

Przyzwyczałam się już do takich wybuchów i wiedziałam, że jeśli tylko cierpliwie poczekam, uspokoi się i będziemy mogli porozmawiać. Kiedy przestał płakać, zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

- Zauważyłaś, jak słabnie? Nie pamięta już nawet, jak się gra w pikietę, i zasypia co dziesięć minut. Parę dni temu słyszałem, jak Choiseul powiedział, że nie pożyje dłużej niż sześć miesięcy.

- A ja słyszałam, jak doktor Boisgilbert mówił - odparłam - że król może żyć jeszcze wiele lat. Czyż jego ojciec nie dożył siedemdziesięciu pięciu lat?

- Skąd mam wiedzieć?

- Sprawdź, to musi być zapisane w jednej z tych twoich książek.

- Jakie to ma znaczenie? Wiem tylko, że nie chcę być następnym królem!

- Ludwik Niechętny, czy tak chcesz, żeby cię zapamiętano?

- Lepiej niż Ludwik Nieszczęśliwy.

Wiedziałam, że nie ma sensu się z nim spierać. Wierzę, że kiedy nadejdzie właściwa pora, zrobi, co do niego należy. A ja mu pomogę. Tymczasem za tydzień ma się odbyć wielki bal, a ja mam mieć nową suknię w kolorze Zardzewiałego Miecza. Zrobię wszystko, by zapomnieć o naszych kłopotach i tańczyć aż do świtu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

25 kwietnia 1774

Jestem teraz niemal pewna, że za kilka dni lub tygodni zostanę królową Francji. Król zasłabł nagle dwa dni temu i trzeba go było zanieść do łóżka. Poinformowano nas o tym i natychmiast udaliśmy się z Ludwikiem do królewskich apartamentów, gdzie zebrali się chirurdzy i aptekarze. Było ich w sumie ośmiu i wszyscy wyglądali bardzo poważnie.

Nie mamy wstępu do królewskiej sypialni, wolno tam wchodzić jedynie madame du Barry. Doktor Boisgilbert mówi, że nie możemy widzieć się z królem, bo jest zbyt chory, ma gorączkę kataralną i nikogo nie poznaje.

Czekamy tu z Ludwikiem, godzina za godziną. Ludwik ściska mnie za rękę i mówi: „Czy on umrze? Czy umrze?”. Próbuję go uspokoić i razem modlimy się, by stała się wola Boga.

2 maja 1774

Nadal czuwamy w królewskich apartamentach. Król czuje się gorzej. Wyczuwamy to, bo doktor Boisgilbert unika odpowiedzi na nasze pytania; można to też wyczytać z zaniepokojonych twarzy chirurgów i aptekarzy, którzy w ciągu dnia przewijają się przez sypialnię. Jest ich teraz dziesięciu.

Dla zabicia czasu postanowiłam znów pisać w tym dzienniku. Przestałam w zeszłym roku, gdyż jeden ze szpiegów hrabiego Mercy'ego znalazł dziennik, wyłamał zamek i wszystko przeczytał. Hrabia poznał wszystkie moje sekrety. Pouczył mnie, że muszę dorosnąć, robić to, czego się ode mnie oczekuje, i więcej nie spotykać się z Erykiem.

Wiem, gdzie teraz będę trzymać dziennik, skoro znów zaczęłam pisać. W lepszej kryjówce.

5 maja 1774

Moje szwaczki szyją czarne żałobne suknie. Król wezwał arcybiskupa Paryża, by wysłuchał jego spowiedzi. Wszyscy są zdumieni. Król nie spowiadał się od czterdziestu

Król Ludwik umiera. Wyspowiadał się. Służba robi zakłady, którego dnia i o której godzinie król umrze. Ci, którzy służyli mu najdłużej, płaczą.

Kilka razy pytałam doktora Boisgilberta, czy mogę zobaczyć króla. Jak dotąd odmawiał.

14 maja, północ

Okropnie się wystraszyłam.



Dziś wieczór doktor Boisgilbert, zmęczony po wielu dniach czuwania przy łożu króla, wyszedł do przedpokoju i skinął na mnie. Ludwik spał na sofie i głośno chrapał.

- Zostało mu niewiele czasu - powiedział lekarz.

- Może pani przy nim posiedzieć. Ale proszę go nie dotykać. - Wyszedł, a ja podeszłam do drzwi i cicho je otworzyłam. lat.

Natychmiast uderzył mnie okropny smród i od razu sobie przypomniałam, że poczułam go, gdy umierała moja biedna siostra Józefa. W blasku świec widziałam twarz króla, usianą czarnymi krostami ospy. Miał zamknięte oczy i widziałam, jak walczy o każdy oddech.

Przy łożu siedziała madame du Barry. Początkowo myślałam, że trzyma króla za rękę, ale po chwili uświadomiłam sobie, że próbuje zdjąć mu pierścionek.

- Wynoś się! - krzyknęłam. - Wynoś się, ty złodziejko! Ty wiedzmo!

Wezwałam strażę i kazałam im wyprowadzić madame du Barry, której piskliwe okrzyki protestu były naprawdę przerażające.

- Dlaczego nie miałabym ich wziąć? - zawołała do mnie i zaklęła. - On ich już nie potrzebuje! Zapracowałam na nie!

- Zapracowałaś tylko na celę w lochu - odparłam z furią, kiedy strażę wyprowadzały królewską kochankę z sypialni. - A teraz zejdz mi z oczu!

Kiedy zniknęła, przysunęłam się do łoża na tyle blisko, na ile starczyło mi odwagi.

- Niech Bóg cię błogosławi, staruszku - szepnęłam.

- I niech oszczędzi ci bólu.

Z jękiem król otworzył podkrążone oczy. Zobaczył mnie i poznał.

- Moja laleczka - szepnął i znów zasnął.

Wychodząc z pokoju, drżałam. Zastanawiałam się, czy będę mogła zasnąć, pamiętając jego okropną twarz, straszliwy smród i widok chciwej madame du Barry, która zdierała pierścionek z chudych, białych dłoni.

10 maja. 1774

Dziś zostałam królową, a Ludwik królem. Stary król umarł, niech Bóg ma w opiece jego duszę.

11 maja 1774

Jesteśmy w drodze do Choisy. Wszyscy teraz mówią o mnie „królowa”, a nie „delfina”, nawet Zofia. Musieliśmy wyjechać z Wersalu, gdyż nowemu królowi nie wolno przebywać w pałacu, w którym umarł stary. Wiemy też teraz, że król miał ospę, a nie gorączkę kataralną, jak próbował nam wmówić doktor Boisgilbert. Wszyscy boją się ospy,

więc pałac szybko opustoszał.

Gdy tylko wieść o śmierci starego króla rozeszła się po korytarzach pałacu, ludzie zaczęli się tłumnie gromadzić w apartamentach Ludwika. Pokoje nabite są służącymi i urzędnikami, którzy chcą dostać nowe posady. Kiedy nie mogą zobaczyć się z Ludwikiem, zabiegają o audiencję u mnie. Nie mogę wszystkich przyjąć ani odpowiedzieć na wszystkie prośby, więc uciekam.

Ludwik obiecuje mi moje własne prywatne ustronie. Kiedy wrócimy do Wersalu, podaruje mi do wyłącznego użytku Petit Trianon, uroczy mały domek w pałacowych ogrodach.

25 maja 1774

Wszędzie panuje kompletne zamieszanie. Nie ma żadnego porządku. Nic nie działa jak należy. Wszyscy mają napięte nerwy i otacza nas pełen konfliktów chaos.

Powoli zacznym rozumieć, co się dzieje, choć jeszcze nie mam pewności. Wydaje mi się, że przed śmiercią starego króla diuk de Choiseul i madame du Barry rządili wszystkim. Byli wrogami, lecz wspólnie manipulowali królem i w efekcie wszyscy ministrowie oraz królewska służba robili mniej więcej to, czego od nich wymagano.

Teraz kiedy Choiseula pozbawiono urzędu i odesłano, a madame du Barry, na wyraźne polecenie moje i Ludwika, żyje na wygnaniu w jednej ze swoich nieuczciwie zdobytych posiadłości, nie ma już nikogo, kto panowałby nad dworem i zadbał, aby wszystko przebiegało sprawnie.

Czasami czuję się tak, jakby przez pałac przeleciał wicher, wyrzucając ludzi i rzeczy w różnych kierunkach. Mogę tylko przytrzymać się mocno jakiejś ciężkiej rzeczy, na przykład marmurowej kolumny lub żelaznej statuy, i czekać, aż wiatr przestanie wiać.

1 czerwca 1774

W tłumie ludzi podczas wczorajszego porannego przyjęcia ktoś poodcinał wszystkie złote chwosty od kotar.

7 czerwca 1774

Ludwik ma obsesję na punkcie oszczędzania pieniędzy. Minister finansów monsieur Turgot poinformował go, że w skarbcu zostało niewiele pieniędzy. Ludwik chodzi więc po pałacu, mrużąc: „Ekonomia, ekonomia”, i wydaje rozkazy ludziom, aby obniżali koszty.

Wpadł do moich apartamentów, kiedy akurat była u mnie krawcowa Rose Bertin i przymierzałyśmy nową jedwabną suknię w kolorze Uda Pchły. Towarzyszyła nam Loulou, gdyż mianowałam ją nadzorczynią mojego gospodarstwa. Ludwik podszedł do niej i wpatrywał się w jej twarz tak intensywnie, że aż się cofnęła.

- Wasza wysokość - powiedziała i dygnęła.

- Znam cię - oświadczył. - Widziałem cię na balu. Byłaś zbyt strojnie ubrana. Za dużo wydajesz na suknie.

Odwrócił się do mnie.

- Taki jest cel mojej wizyty - oświadczył bardzo oficjalnie. - Zwrócono moją uwagę na to, madame, że cała twoja bielizna zmieniana jest co trzy lata. Czy to prawda?

- Taki panuje zwyczaj, i to od czasów twojej prababki.

- Nie byłam pewna, czy to prawda, ale i tak to powiedziałam. Gdyby madame de Noailles nadal tu była i nadzorowała moje gospodarstwo, na pewno by wiedziała.

- Powiedz mi, czy naprawdę tak często potrzebujesz nowej bielizny? Czy praczki piorą ją tak mocno, że niszczy się po trzech latach? Nie! Odpowiedź brzmi: nie. Od tej pory będzie zmieniana co siedem lat!

- Ależ wasza wysokość - odezwała się Loulou. - Chcesz panie, by twoja żona nosiła łaachmany pod pięknymi sukniami?

Wiedziałam, że żartuje z Ludwika, i z trudem powstrzymałam śmiech. Rose Bertin, która klęczała na podłodze z głową pochyloną nad brzegiem mojej sukni, uśmiechała się.

- Lepiej, żeby chodziła w łaachmanach, niż żeby państwo miało zbankrutować - oświadczył król. - A skoro już mówimy o oszczędzaniu i sukniach, mam jeszcze jedno polecenie. Chodzi o te kosze, które nosicie pod sukniami.

- O paniery - wyjaśniłam.

- Stały się zbyt szerokie. Od tej pory mogą mieć tylko półtora metra.

- Półtora! Ależ obecna moda nakazuje, by suknie miały co najmniej trzy metry szerokości. Z pewnością wasza wysokość nie ma ochoty dyktować mody.

Ludwik obrzucił Loulou krótkowzrocznym spojrzeniem.

- Czemu nie? W minionych wiekach moi przodkowie narzucali prawa dotyczące materiałów, futer i tak dalej.

Moje prawa stanowią, że kosze nie mogą być szersze niż półtora metra!

Wyszedł, a my wybuchnęliśmy śmiechem. To absurd, że Ludwik zamierza się mieszać do naszych strojów. Codziennie kładzie się spać o jedenastej, czyli wtedy, gdy my dopiero zaczynamy się dobrze bawić. Chodzę do apartamentów Loulou albo odwiedzamy Yolande de Polignac, która wydaje bale nawet w dni świąteczne, lub spacerujemy po ogrodach z pochodniami. Loulou celowo prowadzi nas na Wzgórza Satory, gdzie od czasu do czasu spotykam się z Erykiem. Kiedy tam docieramy, szturcha mnie w żebra i śmieje się. Tylko ona zna mój sekret, ale boję się, że inni mogą się domyślać. Na razie do tego nie

doszło.

22 czerwca 1714

Zeszłego wieczoru Chambertin przyszedł do moich apartamentów ze służącym - młodym chłopcem, który trzymał się za bok, krzywiąc się z bólu. Twarz i ręce miał pokryte krwią, a spodnie podarte i poplamione. Pomimo obrażeń skłonił mi się nisko i nie podniósł wzroku, by na mnie spojrzeć.

Choć już dawno minęła północ, byłam jeszcze ubrana. Wcześniej byłam na balu, a potem poszłam do apartamentu Yolande na filiżankę czekolady. Byłam zmęczona i po pełnym przyjemności wieczorze trochę kręciło mi się w głowie. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że lokaj mojego męża przyszedł do mnie w pilnej sprawie i potrzebuje mojej pomocy.

- O co chodzi, Chambertin? Czy wydarzył się wypadek? Wiem, że to nie Ludwik, on już od dawna śpi.

- Nie, wasza wysokość. Proszę wybaczyć najście o tak późnej porze, ale nie wiedziałem, do kogo mogę się zwrócić.

- Wejdz, proszę. Wezwę doktora Boisgilberta, żeby obejrzał chłopca.

- Nie, nie. Proszę nie wzywać lekarza. To sprawa prywatna.

Wyczułam skrępowanie Chambertina i zaprowadziłam go razem z chłopcem do sypialni, gdzie przestraszona Zofia, która drzemała na kanapie, włożyła szlafrok i spojrzała na mnie wyczekująco. Mopsy podbiegły do mnie z głośnym szczekaniem, ale odpędziłam je z powrotem do kąta.

Chambertin poprowadził mnie do wnęki.

- Wasza wysokość, ten chłopiec był paziem księcia Stanisława. Ale nie może wrócić na służbę. Jeśli to zrobi, zostanie zabity. Jestem tego pewny.

Obejrzałam się na chłopca, który stał ze spuszczoną głową i twarzą wykrzywioną z bólu. Był bardzo młody, miał może trzynaście lub czternaście lat.

- Może zostać tutaj. - Podeszłam do chłopca, zapytałam, jak się nazywa, i zapewniłam go, że się nim zaopiekujemy. Skinęłam głową na Zofię, która przyniosła szkatułkę z maściami i bandażami. Poleciałam jej, żeby zabrała chłopca do warsztatu stolarskiego Ludwika na strychu, gdzie znajdowały się wolne pomieszczenia i stare meble w różnym stanie używalności.

- Dziękuję, wasza wysokość.

- Powiedz mi, co się stało.

- Jak pani wie, książę lubi ładnych, młodych chłopców. Niektórzy z nich odwzajemniają jego sympatię, lecz nie wszyscy. Wtedy książę wpada w gniew i bije ich.

Tego chłopca pobił już wcześniej, ale nigdy tak mocno. Gdybym akurat tamtędy nie przechodził i nie usłyszał jego wołania o pomoc, obawiam się, że...

- Rozumiem. - Stanny. Wściekły, sfrustrowany Stanny, który jak głosiła plotka, wołał chłopców od kobiet.

Teraz, kiedy stracił nadzieję, że zajmie miejsce Ludwika, wyzywał się na swoich paziach.

- Nie chciałem, żeby doktor Boisgilbert się o tym dowiedział. Opowiedziałby o tym zajęciu wszystkim na dworze.

- Oczywiście. - Zastanowiłam się przez chwilę. - Pytanie brzmi, gdzie chłopiec będzie naprawdę bezpieczny. Jeśli księżę dowie się, że przyjął go do siebie jako paza, wpadnie w furję.

- Księżę Stanisław długo chowa urazy - przyznał Chambertin. - I nigdy nie przebacza.

- Chłopiec musi jechać do Wiednia. Wyślę go z hrabią Mercym, kiedy we wrześniu wyjedzie do Schönbrunn. Do tego czasu może się ukrywać w warsztacie Ludwika. Stanny nigdy tam nie zagląda.

Zofia mówi, że młody monsieur de la Tour wypoczywa dziś wygodnie. Ma złamane żebro i wiele otarć na skórze, które bolą, ale zabandażowała mu pierś i dała opiaty na ból. Chłopiec poczuł wielką ulgę na wieść, że Stanny już go nie dopadnie, i ucieszył się ogromnie, że pojedzie do Wiednia. Powiedział Zofii, że chce poznać świat i zostać żołnierzem.

Ktoś powinien ukarać Stanny'ego i pokazać mu, gdzie jego miejsce.

1 sierpnia 1774

Ludwik powiedział mi, że wczoraj wieczorem dwóch szlachciców przyprowadziło do niego młodą aktorkę z Komedii Francuskiej w nadziei, że uczyni z niej swoją kochankę. On roześmiał się im w twarz i odprawił dziewczynę.

Wysłałam młodego monsieur de la Toura do Wiednia z hrabią Mercym. Chłopiec ukrywał się przed Stannym i nikt się nie dowie, dokąd pojechał ani dlaczego.

16 stycznia 1775

Nareszcie odzyskałam swój dziennik!

Trzymałam go pod kluczem w drewnianej skrzyni, którą zeszłej jesieni przewieziono bez mojej wiedzy do Fontainebleau. Wróciła dopiero wczoraj. Dwór często się przenosi i nigdy nie ma pewności, co zostanie zabrane, a co nie. Muszę znaleźć dla dziennika lepszą kryjówkę.

24 stycznia 1775

Przez ostatni tydzień padał gęsty śnieg, a dziś rano, kiedy wyszło słońce, razem z

Loulou i Yolande wyszłam do pałacowych ogrodów, by zażyć świeżego powietrza. Zjeżdżałyśmy z górki, lepiłyśmy bałwany i zrywałyśmy sople z dachów ogrodowych szop. Kiedy przechodziłyśmy przez ogród różany, potknęłyśmy się o dwa twarde przedmioty, a gdy dobrze się im przyjrzałyśmy, przekonałyśmy się, że to ciała. Odgarnęłyśmy śnieg i zobaczyłyśmy dwie przykryte małym kawałkiem koca, stare, zamarznęte kobiety, które przytuliły się do siebie, by się ogrzać.

Początkowo żadna z nas nie powiedziała ani słowa. Byłyśmy zbyt wstrząśnięte tym przerażającym widokiem.

- Pomyśleć tylko - odezwałam się, gdy zaczęłam dochodzić do siebie - że zeszłej nocy, gdy te dwie biedne kobiety tutaj zamarzały, my tańczyłyśmy na balu u madame Solange.

Poszłam do abbé Vermonda i zamówiłam u niego mszę żałobną za te kobiety, ale ponieważ nie mieliśmy pojęcia, kim były, musieli je pogrzebać na cmentarzu dla biedoty u Świętego Sulpicjusza.

5 marca 1775

Panuje bardzo ciężka zima, więc razem z Loulou i Yolande zbieram pieniądze wśród naszych przyjaciół i urzędników pałacowych, by kupić chleb dla biednych. Maman robiła to w Schönbrunn. Abbé Vermond zajął się zamawianiem bochenków w pałacowej kuchni i wczesnie rano nadzoruje ich rozdzielanie przy bramie pałacu.

Ludwik patrzy na to z ukosa, ale zawsze wkłada dziesięć lub dwadzieścia srebrnych florenów do mojej złotej szkatułki, kiedy myśli, że tego nie widzę.

11 marca 1775

W Paryżu panuje niepokój z powodu złej pogody i głodu. Włamano się do kilku piekarni. W Wiedniu nigdy by do czegoś takiego nie doszło, żołnierze zdołaliby temu zapobiec.

5 kwietnia 1775

Hrabia Mercy przybył, by porozmawiać z Ludwikiem, i poprosił, żebym była obecna przy ich rozmowie, co zdenerwowało mojego męża. Hrabia niedawno wrócił z Wiednia, gdzie jak mówi, rządzi teraz bardziej Józef niż maman. Józef narzuca wszystkim swoje pomysły i widzę, że hrabia uważa je za złe, choć wyraźnie tego nie powiedział.

- Przynajmniej w Austrii nie ma tej wiosny głodu, Bogu niech będą dzięki - oznajmił nam Mercy. - Finanse mają się nie najlepiej, ale przynajmniej ktoś nad nimi panuje. W przeciwieństwie do Francji.

Na te słowa Ludwik, który chodził nerwowo po pokoju i spoglądał na zegarek,

zatrzymał się i spojrzął ze złością na hrabiego.

- Monsieur Turgot poczynił wielkie postępy w ściąganiu dochodów, co za panowania mojego dziadka było niestety zaniedbywane.

- Monsieur Turgot zrujnował gospodarkę.

Ludwik, który zwykle się garbi, natychmiast się wyprostował.

- Ostro walczyliśmy z marnotrawstwem. Ja sam zwolniłem dwóch młodszych ogrodników i zredukowałem obsługę polowań o siedem osób.

- Ale znalazłeś im wszystkim pozycje w psiarniach i kuchni - przypomniałam Ludwikowi, który spojrzął na mnie z furią i mruknął:

- W obu miejscach brakowało ludzi.

- Problemy skarbu waszej wysokości sięgają daleko poza królewskie gospodarstwo. Choć koszty utrzymania pałacu są niewątpliwie nadmierne. Powiedziano mi, że niektóre bale kosztują ponad sto tysięcy srebrnych florenów.

Milczałam. Nie miałam pojęcia, ile kosztują nasze bale, ale byłam pewna, że dużo.

- Celem mojej rozmowy z waszymi wysokościami jest przekazanie wieści od jego cesarskiej wysokości. - Chodziło mu o Józefa. - Zwraca się do ciebie, sire, jak czuły brat, którym jest dzięki twojemu małżeństwu, i do ciebie, madame, jako swojej ulubionej siostry. Życzy wam obojgu udanego i pełnego sukcesów panowania. Przesyła listę propozycji i prosi usilnie, byście się do nich zastosowali.

Mercy wyjął kartkę papieru ze skórzanej teczki. Widniała na niej cesarska pieczęć.

- Proszę się zastanowić nad tymi zasadami panowania i zastosować je przy podejmowaniu decyzji.

Ludwik niechętnie wziął dokument.

- I ostatnia rada. Chodzi o te niepokoje w stolicy. Proszę nie pozwolić, by wymknęły się spod kontroli. Powiedziano mi, że zaatakowano dwa młyny i zabrano całe ziarno.

Ludwik wzruszył ramionami.

- Każdej wiosny dochodzi do zamieszek, kiedy kończą się zimowe zapasy. To nieuniknione.

- Ta wiosna jest inna, wasza wysokość. Ludźmi kierują dwie rzeczy: głód i gniew. Głód można kontrolować, obniżając cenę chleba, i namawiam waszą wysokość, by uczynił to jak najszybciej. Ale gniew, który ogarnia stolicę i rozciąga się na wioski tej zimy... Trudno mu przeciwdziałać. Ludzie obwiniają ministrów waszej wysokości za brak jedzenia. I choć nie rozumieją wszystkich zasad monsieur Turgota, mają rację. Gdy głód i gniew połączą się, może dojść tylko do katastrofy.

Po wyjściu hrabiego zaczęłam się zastanawiać nad jego słowami. Myślałam o tym nadal, gdy wybrałam się na konną przejażdżkę, choć ciężko było mi się skoncentrować na poważnych rzeczach, kiedy słońce świeciło tak mocno, powietrze było rześkie, a zapach kwitnących jabłoni niósł ze sobą obietnicę wiosny. kwietnia. 1775

Ludwik rozkazał wszystkim piekarzom obniżyć cenę chleba.

2 maja 1775

Obudził mnie dziś rano dźwięk, który przypominał muczenie stada krów. Zofia, która śpi w nogach mojego łóżka, gdy nie ma Ludwika, wstała już i wkładała szlafrok.

- Co to za hałas? - zapytałam.

Podeszła do okna, odciągnęła zasłony i skinęła na mnie, bym do niej podeszła. Na dziedzińcu w dole zobaczyłyśmy dziesiątki służących, którzy z krzykiem wbiegali i wybiegali z pałacu, a niedaleko gromadził się szwadron gwardzistów z oficerem, który wydawał im rozkazy. Po chwili oprócz głośniego muczenia usłyszałam przerażający trzask, a potem krzyki dobiegające z moich apartamentów i odgłos większego poruszenia na dziedzińcu. Usłyszałam, jak ktoś krzyczy: „To brama! Wyłamali bramę!”.

Szybko włożyłam podomkę i wyszłam do saloniku, gdzie stłoczyły się moje pokojówki i służące. Niektóre płakały, a wszystkie były bardzo przerażone. Powiedziałam im, żeby się nie martwiły, bo cokolwiek się wydarzy, będziemy bezpieczne, gdyż chroni nas król, mój mąż, i Gardę du Corps, straż królewska.

Zofia pomogła mi zebrać psy i razem ruszyłyśmy do apartamentów Ludwika, gdzie przy każdych drzwiach stały strażę, a na korytarzach widać było więcej żołnierzy. Dostrzegłam monsieur Turgota, z poczerwieniałą, posępną twarzą, który wychodził z pułkownikiem straży pałacowej, a kilku innych ministrów próbowało przyciągnąć uwagę Ludwika. Mój mąż nadal miał na sobie długą białą koszulę nocną, a na nogach stare zielone pantofle. Oglądał muszkiet, który dostał od strażnika, i próbował założyć zamek.

Nie wiem, jak długo czekałyśmy w apartamentach Ludwika, podczas gdy żołnierze wchodzili i wychodzili, a koniuszy przynosili wiadomości dla króla i oficerów. Wydawało się, że wszyscy mówią naraz, panował taki szum i zamieszanie. Przeszkadzałyśmy, więc znalazłyśmy spokojną wnękę i stamtąd obserwowałyśmy przebieg wypadków.

Niebawem dobiegły nas z zewnątrz wystrzały z muszkietów, krzyki i wrzaski. W całym tym zamieszaniu pojawił się służący z pałacowych kuchni z wielkim koszem ciastek i pasztecików, a my zjadłyśmy je łapczywie.

Niedługo potem usłyszałyśmy wystrzał z działa. Strzelali z dachu pałacu. Z każdym głośnym hukiem podłoga drżała nam pod stopami i zastanawiałam się, czy stary budynek to



wytrzyma. Zmówiliśmy modlitwę, a część moich pokojówek, te młodsze i bardziej płochliwe, wybuchnęła płaczem. Wystrzały ucichły mniej więcej po kwadransie i wydawało się, że w pokojach Ludwika znajduje się mniej ludzi i panuje większy spokój. Ludwik wyszedł, żeby się ubrać, a kiedy wrócił w mundurze dowódcy kawalerii, wyglądał jak prawdziwy król.

Około trzeciej po południu hałasy, krzyki i wystrzały z muszkietów ucichły. Nadal słyszeliśmy tętent koni na dziedzińcu, a do apartamentów wpadali podnieceni służący, przynosząc wiadomości dla Ludwika i wypełniając jego polecenia. Jednak życie w pałacu powoli wracało do normy. Zabrałam pokojówki, damy i psy z powrotem do siebie, część z nich wyczerpana zapadła w sen, a reszta zajęła się swoimi obowiązkami. Mnie uczesał roztrzęsiony André, który kilka ostatnich godzin spędził pod moim łóżkiem, a potem jak zwykle odbyłam toaletę.

Staralam się wszystkich uspokajać, ale oczywiście chciałam się dowiedzieć, co zaszło. Czy jesteśmy w stanie wojny? Czy ten hałas i strach jeszcze wróćą? Czy powinniśmy się przenieść do innego pałacu, gdzie będziemy bezpieczniejsi?

Wreszcie po kolacji dowiedziałam się, co się stało. Wieśniacy z pobliskich osad SaintPauld'Avray i Saumoy jak zwykle przyszli wcześniej rano pod bramy pałacu, by otrzymać bochenki chleba i resztki jedzenia z Bouche du Roi, królewskiej prywatnej kuchni. Abbé Vermond rozdawał bochenki, które ja zapewniłam. Jednak zamiast zabrać jedzenie i odejść, wieśniacy zostali i domagali się więcej. Tłum przy bramie rósł. Krzyczeli na abbé Vermonda i żądali, żeby przyniósł więcej chleba. Powiedział mi, że to go rozgniewało, więc krzyknął: „Kimże ja jestem, samym Jezusem Chrystusem, by rozmnażać chleb?”. Zaczęli z niego szydzić i nazwali go kreaturą króla, który chce ich wszystkich zagłodzić, żeby móc przejąć ich ziemie. Pluli na niego i podarli mu ubranie. Gdy wracał spieszenie do bezpiecznego pałacu, teraz już setki wieśniaków rzuciły się na żelazną bramę i próbowały ją wyłamać.

Abbé Vermond jest łagodnym człowiekiem, bardzo inteligentnym i wykształconym, zupełnie niepodobnym do zrzędlivego i rozdrażnionego ojca Kuniberta. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam go rozgniewanego. Ale był zły dziś wieczorem, kiedy przyszedł ze mną porozmawiać i pomodlić się za dusze zabitych ludzi. Powiedział, że wieśniacy nie czują wdzięczności za to, co dla nich robię, ani za to, że mogą bezpiecznie mieszkać blisko wielkiego pałacu w Wersalu.

- Nie wiedzą, że żołnierze króla chronią ich przed bandytami i pilnują, by rabusie nie niszczyli im zbiorów? Czy król nie bierze ich synów do armii i nie daje ich córkom pracy w mleczarniach, a nawet w samym pałacu? Przecież główny ogrodnik pozwala im jesienią

zbierać żołędzie na karmę dla świń oraz pomagać przy zbiorach kasztanów, jabłek i wiśni.

- Hrabia Mercy powiada, że wieśniacy wiedzą jedynie, iż poborcy podatkowi króla zabierają im wszystko, co mają, a królewscy piekarze żądają zbyt dużo za chleb.

- Ciemni ludzie pogardzają lepszymi od siebie. Są im posłuszni, boją się ich, ale w głębi serca czują pogardę.

Odmówiliśmy modlitwę za zmarłych. Dziś wielu zginęło, bo działo wypaliło prosto w tłum, który kłębił się na zewnętrznym dziedzińcu, a później wjechała weń kawaleria. Żołnierze cięli ostrymi szpadami na prawo i lewo. Przez całe popołudnie wyjeżdżały wozy pełne ciał. Dziedziniec posypano świeżym piaskiem, żeby zakryć krew. Abbé Vermond powiedział mi, że jutro naprawią bramę i niebawem nie zostanie żaden ślad po tym, co dzisiaj zaszło.

Nie zostanie żaden znak, ale ja będę pamiętać.

28 czerwca 1775

Ależ jest gorąco! Marzę o tym, by zanurzyć się w chłodnym jeziorze, mając na sobie tylko koszulę, ale tutaj za nic nie mogę tego zrobić. Pewnego popołudnia uciekłyśmy razem z Loulou i Yolande do Petit Trianon i biegałyśmy w fontannach.

11 lipca 1775

André wymyślił nową fryzurę na koronację. Ćwiczył ją na moich damach, a dziś po południu po raz pierwszy wypróbował ją na mnie. Szczotkował i stroszył mi włosy przez pół godziny, zagęszczając je pastą, a potem owinął je wokół dwóch poduszek z końskiego włosia i dodał jeszcze więcej pasem sztucznych włosów, aż cała wyszukana koafiura mierzyła prawie pół metra. W pasma wplótł miniaturowe złote korony wysadzone brylantami, tak że wszystko lśniło.

Efekt końcowy jest piękny, ale prawie nie mogę poruszać głową. Szpilki, które przytrzymują fryzurę, kłują mnie, a skóra swędzi mnie od pomady. Co gorsza, muszę spać w tej koronacyjnej koafiturze aż do samej ceremonii, która odbędzie się dopiero za kilka tygodni.

27 lipca 1775

Nareszcie mogę opisać wspaniałą koronację Ludwika, po której byłam tak okropnie zmęczona, że niemal przez cały czas spałam. Ludwik tak bardzo się jej obawiał, że przez wiele dni przed ceremonią doprowadzał się do wymiotów z obżarstwa. Pił herbatę rumiankową na uspokojenie, ale nadal nie mógł spać. Mnie też nie pozwalał zasnąć, chodząc stale po sypialni.

Myślałam, że zaszyje się w swoim ulubionym miejscu, chacie w lesie w Compiègne, żeby uniknąć koronacji, ale wykazał się wielką odwagą i dzielnie przetrwał całą ceremonię.

Byłam z niego bardzo dumna.

Siedział na złotym tronie w katedrze w Reims, arcybiskup włożył mu koronę na głowę, a wszyscy zakrzyknęli: „Niech żyje król!” i głośno bili brawo. Mnie też oklaskiwali, a kiedy ich mijałam, wyciągali ręce, by dotknąć mojej sukni. Tyle brudnych rąk, chwytających moją suknię. Tyle uśmiechniętych twarzy, bezzębnych ust, krzyczących i radujących się.

W drodze powrotnej do Wersalu Ludwik chrapał w karecie, nadal ubrany w aksamit i gronostaje. Przy drodze klęczeli biedacy, którzy wołali: „Daj nam chleba, wasza wysokość!”, ale nie mieliśmy chleba i pojechaliśmy dalej.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

13 kwietnia 1777

Józef jest tutaj! Nie widziałam go od tak dawna, że chcę spędzać z nim każdą minutę. Nie mogę się przyzwyczaić do tego, jak bardzo się zmienił. Wyprzystojniał i jest niemal całkiem łysy, jak dziadek na portretach w gabinecie mamany. Jego ubrania są zupełnie niemodne, ale twierdzi, że zupełnie o to nie dba. Razem z nim przyjechał ojciec Kunibert, ale staram się trzymać od niego z daleka, żeby nie mógł prawić mi kazań.

17 kwietnia 1777

Okłamałam ojca Kuniberta. Powiedziałam mu, że nie prowadzę już tego dziennika i że zaginął gdzieś wiele lat temu. Mówił, że wyglądam jak nierządnicą Babilonu w upiętych wysoko włosach i jedwabnych sukniach.

- Ależ skąd, ojczy - poprawił go z uśmiechem Józef.

- Raczej jak królowa Babilonu.

- Od ciebie też sporo się nasłucham, bracie - powiedziałam, a Józef roześmiał się tak bardzo, że w kącikach oczu pojawiły się głębokie zmarszczki. - Proszę, opowiedz mi jeszcze o mamany i innych.

Spełnił moją prośbę i opisał mi wiele zmian, jakie zaszły w Schönbrunn po moim wyjeździe. Było tyle do opowiadania, a Józef bardzo lubi mówić. Wreszcie poruszył temat najbliższy memu sercu.

- Jak się czuje mamany? - zapytałam. - Powiedz szczerze.

Poklepał mnie po ręce.

- Nasza droga mamany się starzeje. To proste. Traci siły. Cierpi na dolegliwości typowe dla starszego wieku, ale gnębi ją coś innego i nie może tego pokonać. Boi się.

- Boi się ognia piekielnego - wtrącił ojciec Kunibert.

- Jest grzesznicą.

Józef zignorował go i mówił dalej.

- Kiedy słabnie, lęka się, że straci władzę. Oddaje jej coraz więcej w moje ręce, a jednocześnie czuje do mnie niechęć, że ją przyjmuję. Boi się, że zmienię nasze imperium, i ma rację. Bo to zrobię. Pomimo swoich staromodnych idei jest bardzo mądra i dalekowzroczna. Zagląda w przyszłość i to ją przeraża, bo wie, że nie będzie mogła niczemu zapobiec.

Nie wiem, co Józef chciał przez to powiedzieć, ale już samo słuchanie go mnie

przerażało.

- Przyszłość, ha! - rzucił ojciec Kunibert. - Wszystko jest zapisane w Księdze Objawienia. Ten świat nie ma przyszłości. Skończy się, i to niedługo. Wszystkie znaki otym świadczą. Epidemia, zaraza, wojny i pogłoski o wojnach...

- Będzie wojna? - przerwałam mu, zwracając się do Józefa. - Hrabia Mercy nieustannie tak twierdzi.

Józef spojrzał na mnie.

- Nasza matka przysłała mnie tutaj, by pomóc zachować pokój. Mam porozmawiać z tobą, co zrobiłaby sama, gdyby mogła podróżować tak daleko i gdyby można się było bez niej obyć w Wiedniu, a to jest niemożliwe. Jeśli mogę być zupełnie szczery, Antonio, a raczej nie potrafię mówić inaczej, twoje frywolne zachowanie i niezdolność do urodzenia syna szkodzą Austrii bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. To może równie dobrze skończyć się wojną.

- Nazywają mnie austriacką dziwką.

- I gorzej.

- Co może być jeszcze gorsze?

- Nierządnicą Babilonu - powiedział ojciec Kunibert, pokręcił głową i wyszedł, głośno szurając nogami.

Razem z Józefem zjedliśmy obiad z doktorem Boisgilbertem jako naszym jedynym gościem. Rozmawialiśmy o Ludwiku.

- To tylko niewielka deformacja napletka, nic więcej

- wyjaśnił lekarz Józefowi. - Antonia wie o wszystkim. Wy tłumaczyłem jej, na czym polega problem. Dwa lub trzy szybkie nacięcia wszystkiemu by zaradziły. Ale on boi się bólu. Jedno spojrzenie na moje noże i prawie mdleje-

- To czemu nie pozwolić mu zemdleć i wtedy wykonać zabieg?

- Nie mógłbym tego zrobić z własnej inicjatywy.

- Nie, oczywiście - odparł Józef i zamyślił się nagle.

- Ale gdybym to ja wydał polecenie? A nawet nalegał?

- To chyba nie miałbym wyboru i musiałbym być posłuszny.

- A jeśli - ciągnął Józef, trzymając widelec w powietrzu - król zraniłby się i zemdleł, a pan podczas nastawiania kości lub opatrywania ran wyjął noże i zajął się innym drobnym problemem?

- Sądzę, że to da się zrobić w odpowiednich okolicznościach.

- Poluje pan, doktorze?

- Oczywiście.

- To dołączmy do króla, gdy wyprawi się na jelenia, dzika lub inne zwierzę, na które poluje się o tej porze roku. Może będzie miał wypadek.

- Ale nie poważny - rzuciłam przerażona tym, co mógł planować Józef.

- Jeśli jest tak niezgrabny na koniu jak na parkiecie, to z trudem uniknie wypadku.

To była prawda, Ludwik często spadał z konia. Kiedyś uderzył się w głowę i leżał bez czucia przez co najmniej pół godziny.

- Kiedy znów wybierze się na polowanie?

- Teraz, przy tak sprzyjającej pogodzie, poluje prawie codziennie - powiedziałam. - Przynosi mi swoje trofea.

- Miałam szafkę pełną uszu, rogów i śmierdzących ogonów, które mąż wręczył mi przez te wszystkie lata na dowód swoich łowieckich umiejętności.

- To mamy do zdobycia jeszcze jedno trofeum. - Józef uśmiechnął się. - Kawalek królewskiego napletka. Dar lasu dla Wenery, prawda doktorze?

27 kwietnia 1777 Zrobili to.

Józef i doktor Boisgilbert wybrali się na polowanie. Upili Ludwika tak mocno, że kiedy próbował przeskoczyć przez płot, spadł z konia. Cierpiał bardzo z powodu otarć na nogach i plecach, więc lekarz dał mu silny środek na sen. Prawie się nie opierał, kiedy położyli go na wozie, by wrócić do pałacu. Po drodze zatrzymali się, żeby rozciągnąć nad wozem płótno, gdyż zaczęło padać. Pod płótnem lekarz szybko przeprowadził zabieg.

Dziś Ludwik nadal odczuwa ból i wypoczywa.

2 maja 1777

Nareszcie.

10 maja 1777

Wszystko się zmieniło. Jestem teraz kobietą i mam nadzieję, że wkrótce zostanę matką. Ludwik jest zachwycony uprawianiem miłości jak dziecko nową zabawką. Aż rumienię się ze wstydu, gdy mam opisać dziecinne igraszki, którym lubi się oddawać. Na szczęście mogę rozmawiać z Loulou i Yolande oraz z madame Solange, choć Józef ostrzegł mnie, żebym się z nią nie zadawała, bo rzuca to na mnie złe światło. Opowiadam im o wszystkim, a one się śmieją i zapewniają mnie, że mój mąż zachowuje się jak niedoświadczony pan młody, którym w zasadzie jest.

Jestem jednak pewna, że robi wszystko jak należy, bym poczęła dziecko, i robi to tak często, że szybko można się spodziewać efektów. Zofia mówi niewiele, ale zauważyłam, że ostatnio, częściej się uśmiecha i patrzy na mój brzuch, kiedy się ubieram. Józef też zaczął się więcej uśmiechać i kazał mi obiecać, że mój pierworodny otrzyma imiona Ludwik Józef.

5 sierpnia 1777

Dziś po południu czekałam na Eryka w Świątyni Miłości w Petit Trianon. Spóźniał się, co było do niego niepodobne, a ja, czekając na niego, wachlowałam się i poluźniłam szarfę sukni z białej koronki. Poduszki na drewnianej ławce, na której siedziałam, były miękkie, i poczułam, że w powietrzu przesyconym zapachem róż i złotokapów ogarnia mnie senność. Położyłam się na poduszkach i zamknęłam oczy. Musiałam zasnąć, bo ocknęłam się dopiero na dźwięk głosu Eryka.

- Jak uroczo wyglądasz, leżąc tutaj - rzekł miękko.

- Chodź, jest tu dość miejsca dla dwojga.

- Bardzo tego pragnę. Wiesz, jak bardzo.

- Mój drogi Eryk. - Usiadłam, a on usadowił się na ławce obok mnie. Uśmiechnął się, ale dostrzegłam zmarszczki na jego przystojnym czole i wyraz niepokoju w jego pięknych ciemnych oczach, kiedy pochylił się, by mnie pocałować.

Trudno było mi się opanować i odpowiedziałam mu namiętym pocałunkiem. Po chwili puścił mnie, jak czynił to zawsze, gdyż ma o wiele silniejszą wolę niż ja.

- Amelia chyba podejrzewa, że spotykamy się w sekrecie. Nie wolno mi się przez jakiś czas z tobą widywać. Dla twojego dobra muszę udawać, że kocham inną. Wtedy Amelia będzie zazdrosna o nią, a nie o ciebie.

Ucałował moją dłoń, a potem policzek mokry od łez.

- Rozumiem - zdołałam wydusić. - Masz rację. Nikt nie może powątpiewać w moją wierność, nie można dopuścić do żadnych plotek. Już jest ich za dużo.

To była prawda. Ludzie mówili, że moimi kochankami są hrabia dAdhemar, książę de Ligne i bogaty Węgier, książę Esterhazy, a nawet młodszy brat Ludwika, Karol, w którego towarzystwie bardzo lubię przebywać, a o którym wiadomo, że był kochankiem wielu kobiet na dworze.

Pożegnaliśmy się z Erykiem czule. Raczej nie zobaczymy się sam na sam przez długi czas. Oczywiście widuję go często w obecności innych, gdyż z powodu obowiązków koniuszego odwiedza apartamenty mojego męża lub moje. Zajmuje się też moją stajnią w Petit Trianon. Trudno jest mi przebywać blisko niego, czuć podniecenie, jakie zawsze budzi we mnie jego obecność, a jednak utrzymywać należy dystans. To jest trudne i nienaturalne. Okrutne. Gdyby tylko Eryk był moim mężem, byłabym bardzo szczęśliwa. Tymczasem martwię się i czekam.

27 sierpnia 1777

Amelia znów jest przy nadziei. Przyniosła mi medalik ze świętą Lucyllą i powiedziała,

że aby począć dziecko, muszę go schować pod poduszkę. Wręczyła mi go z dygnięciem i podniosła wzrok, uśmiechając się lekko.

- Święta Lucylla da ci, pani, dziecko - dodała ostrym tonem - ale tylko wtedy, gdy będziesz wierna swojemu mężowi i zostawisz w spokoju mężów innych kobiet.

- Nasza pani jest wierną żoną - rzuciła cierpko Zofia.

- Mam nadzieję, że tak jest - odparowała Amelia.

- Nawet ty nie możesz jej obserwować w każdej chwili.

- Zapominasz się, Amelio. Wracaj do swoich obowiązków. ‘

- Wrócę, wasza wysokość, jeśli pani zajmie się swoimi.

- Powinna pani odprawić tę impertynencką dziewczynę - poradziła mi Zofia, kiedy Amelia odeszła. Ale oczywiście nie mogę tego zrobić. Nie mogę ryzykować, że zacznę rozgłaszać złośliwe plotki albo zmusi Eryka, by opuścił dwór.

- Dobrze wykonuje swoją pracę - zauważyła Loulou, znając powody, dla których chciałam zatrzymać Amelię.

- Upomnę ją, by zwracała się do ciebie z należnym szacunkiem.

20 października 1777

Wszystkie nosimy nową fryzurę. Nazywa się Amerykański Puf. W pasma włosów naturalnych i sztucznych wplecione są czerwone, białe i niebieskie wstążki oraz małe amerykańskie flagi. Zapoczątkowałam tę modę, gdy na porannym przyjęciu mojego męża pojawił się sławny Amerykanin Benjamin Franklin i razem z Ludwikiem i Józefem długo rozmawiali o jego wynalazkach.

Wysyłamy Amerykanom broń i jedzenie, by pomóc im w walce z Brytyjczykami, ale robimy to w tajemnicy.

Zima jest wyjątkowo ponura, a mnie przygnębia podły nastrój. Wydaje mi się, że nigdy nie urodzę dziecka. Maman przysłała mi pas pobłogosławiony przez świętą Radegundę, abym nosiła go w łóżku. To cenna relikwia z opactwa w Melku, na której wyhaftowano sekretne modlitwy i symbole okultystyczne. Maman twierdzi, że jeszcze nigdy nie zawiodła.

Loulou i Yolande przyglądają mi się z litością w oczach. Wiedzą, jak bardzo pragnę i potrzebuję dziecka. Mercy mówi, że znów zaczęto rozmawiać o tym, by mnie odsunąć i ożenić Ludwika z inną. Nikt nie chce, by Stanny został królem, a gdyby Ludwik zmarł, to właśnie on zasiadłby na tronie. Gdyby zmarł Stanny, jego następcą zostałby Karol, a po nim jego synowie. Karol i jego głupia żona Teresa mają już troje dzieci.

Kiedyż doczekam się odpowiedzi na moje modlitwy?

1 stycznia 1778



Wczorajszego wieczoru na balu u Yolande tysiąc świec oświetlało klatkę schodową, a kiedy zaczęłam wchodzić na schody, muzycy grali słodką wiedeńską melodię. Pamiętam, jak pomyślałam, że grają ją specjalnie dla mnie, bo wiedzą, że ją uwielbiam. Podniosłam wzrok, a potem - och, potem - pamięć zaczyna wirować jak kalejdoskop, a obrazy zacierają się w moim umyśle.

Bo w moją stronę schodził po schodach najpiękniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam. Miał na sobie biały mundur, był wysoki, szczupły i bardzo królewski - nie, nie królewski. Przypominał marmurowy posąg greckiego boga, który nagle ożył. Miał jasne włosy, lekko zmierzwione przez wiatr, gdyż jak przypuszczam, nadszedł z zewnątrz, i uśmiechał się uśmiechem, który rozjaśniał jego piękne błękitne oczy i całą twarz.

Kiedy schodził po schodach w moją stronę, przestałam oddychać i nie spuszczałam z niego wzroku, zapominając o wszystkim dookoła. Muzycy chyba nadal grali, ale ja ich już nie słyszałam. Wokół mnie przewijali się ludzie, inni tańczyli i rozmawiali na parkiecie w dole. Ale ja tego nie dostrzegałam. Widziałam tylko uśmiechniętego blondyna w białym mundurze, który przyjaznym gestem wyciągał do mnie rękę i siedł do mnie wolno jak we śnie.

- Wasza wysokość - powiedział głębokim, kuszącym głosem.

Wyciągnęłam do niego małą dłoń. Ujął ją w swoją dużo większą i przycisnął ciepłe usta do mojego nadgarstka. Zupełnie jakby rozniecił tam płomień, który powędrował w górę ramienia, przez pierś aż do szyi i policzków. Nie mogłam przemówić. Nie mogłam się poruszyć ani myśleć. Jakimś cudem chwila minęła i następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stałam w kręgu przyjaciół.

- Kim jest ten piękny mężczyzna? - szepnęłam do Loulou.

- To hrabia Axel Fersen. Właśnie przybył ze Szwecji. Jego ojcem jest marszałek polny szwedzkiej armii.

- Powiedz mi, że nie wraca zaraz do Szwecji.

- Mam się dowiedzieć?

- Tak. Nie. Och, dowiedz się, proszę. Zaproś go na jutro na późną kolację do moich apartamentów.

Kątem oka obserwowałam, jak Loulou przeciska się przez zatłoczoną salę do miejsca, gdzie stał hrabia Fersen, wyższy niż większość otaczających go mężczyzn, z włosami lśniącymi w blasku świec. Rozmawiali ze sobą krótko, a potem Loulou odwróciła się i zostawiła go, by wrócić do mnie. W tej właśnie chwili spojrzał przelotnie w moją stronę i zanim zdążyłam odwrócić głowę, wydało mi się, że dostrzegłam na jego ustach cień uśmiechu.

Jutro znów go zobaczę. Czy będę w stanie dziś zasnąć?

5 stycznia.

Zeszłej nocy Axel przyszedł na kolację, a gdy tylko wszedł do pokoju, raz jeszcze poczułam dziwny i cudowny wpływ jego obecności. Nasze oczy spotkały się i choć nie znajdowaliśmy się blisko siebie, dostrzegłam - albo tylko mi się wydawało - wyraz rozpoznania na jego przystojnej twarzy. Nie Antoniny, lecz kogoś bliskiego, kogo zna od wielu lat. Nie potrafię tego opisać, ale czułam to i wiedziałam, że on też czuje.

Do kolacji zasiadło nas dwanaścioro. Ludwika nie było. Nigdy nie przychodzi na moje późne kolacje, gdyż woli, by Chambertin podał mu posiłek wcześniej, a potem kładzie się do łóżka z pudełkiem czekoladek.

Axel siedział naprzeciw mnie między Yolande i starą księżną de Lorme, która ma siedemdziesiąt lat i niedosłyszcy. Rozmawiał dowcipnie i z wdziękiem z obiema, kiwając cierpliwie głową, kiedy księżna źle go zrozumiała, a także odpowiadał żartami na frywolne komplementy Yolande i lekko się z nią przekomarzał.

Przez cały czas spoglądał na mnie przelotnie, a każde spojrzenie było dla mnie podniecającym wspomnieniem naszej niewypowiedzianej bliskości. Bo podczas tej długiej kolacji czułam się mu bardzo bliska, równie świadoma jego obecności po drugiej stronie stołu, jak byłam świadoma swojego oddechu i bicia serca. Nie rozmawialiśmy ze sobą bezpośrednio, a jednak tyle sobie powiedzieliśmy bez słów! Ileż poczuliśmy!

Kiedy wieczór dobiegi końca i Axel ujął moją dłoń, by ucałować ją na pożegnanie, poczułam, że wsuwa mi do ręki liścik.

- Dobranoc, wasza wysokość - powiedział. - Au revoir.

- Dobranoc, hrabio. Będę czekać na nasze następne spotkanie.

Nie mogłam się doczekać, żeby przeczytać liścik. Napisał: Czy mam przyjść do ciebie jutro po południu do Petit Trianon? Proszę, powiedz tak.

Wysłałam pazia do kwatery Axela z liścikiem, który zawierał tylko jedno słowo: Tak.

7 stycznia. 1778

Myślę tylko o jednym: Axel, Axel, Axel.

Mój świat stanął na głowie, a ja szczęśliwa wiruję wraz z nim. Cóż za rozkoszny zamęt!

Niemal nie wiem, jakie słowa mogę tu zapisać, bo nie są w stanie oddać tego, co się ze mną dzieje. Zupełnie jakbym narodziła się na nowo. Jakbym przekroczyła próg do nieznannej krainy, krainy serca.

Abbé Vermond czytał mi o wizjach świętych, kiedy spoglądają w twarz Boga i

otwiera się przed nimi nowy świat. Ja też miałam taką swoją wizję. Jakbym po raz pierwszy zajrzała w twarz miłości.

Axel przyszedł do mnie wczoraj do Petit Trianon i powiedziałam Loulou, by natychmiast przysłała go do moich prywatnych pokoi. Zatrzymał się w progu i wyciągnął ramiona, a ja podbiegłam do niego, pozwalając, by mnie objął i tulił, jakby nigdy nie miał puścić.

- Jak to możliwe? - zapytałam zdumiona, kiedy wpatrzeni w siebie staliśmy, trzymając się mocno za ręce. - Jak mogę kochać cię tak mocno, kiedy nawet cię nie znam?

Mówiłam bez zastanowienia i zaskoczyła mnie zuchwałość własnych słów. A jednak były prawdziwe. Dlaczego nie miałabym ich wypowiedzieć?

- Mój aniele, nie u mnie szukaj wyjaśnień. Wiem tylko, że jestem tobą oczarowany.

Pocałował mnie, długo i żarliwie. Przez następną godzinę zatraciłam się w słodkich oparach rozkoszy i pożądania. Był umiejętnym i czułym kochankiem, raz po raz powtarzał mi, że jestem piękna, i nazywał mnie swoim aniołem. Kiedy gładził mnie po policzku i włosach, jego dłonie były czułe, a gdy patrzyliśmy na siebie, nie mogłam oderwać od niego wzroku, tak byłam pochłonięta urokiem i głębią jego cudownych błękitnych oczu.

Zadbałam, abyśmy przez całe popołudnie byli sami. Jedliśmy truskawki ze słodką śmietanką, pasztet z gęsich wątróbek, a Axel opowiadał mi o swoim życiu, od czasu do czasu pochylając się nade mną i całując. Uwielbiam go słuchać. Mówi bardzo dobrze po francusku i niemiecku, ale z zabawnym szwedzkim akcentem. Jego głos jest niski i głęboki, a on mówi powoli; wszystko, co robi, jest niespieszne i pełne wdzięku.

Jego ojciec jest ważnym szlachcicem w Szwecji i doradcą króla. Axel chce pójść w jego ślady. Ma wiele militarnych zaszczytów i odznaczeń i brał już udział w bitwach. Żartuje na ten temat, ale jestem pewna, że jest bardzo odważny.

Nie mogę myśleć o niczym innym jak tylko o nim. Zupełnie się zatraciłam, unoszę się na ogromnym morzu miłości i pławię w jej ciepłym słońcu. Mówią, że miłość między ludźmi rozwija się powoli i wraz z upływem czasu staje się głębsza i bogatsza. To bzdury. Wiem teraz, że prawdziwa miłość wpada do życia jak nagła burza. Potężna i nieoczekiwana. Nic innego się nie liczy. Rozum, opanowanie, osąd zmywa siła potężnej rzeki, która przelewa się przez brzegi - myśli, uczucia ani samo życie - już nigdy nie będzie takie samo.

15 stycznia 1778

Axel będzie tutaj bardzo krótko. Wyjeżdża do Ameryki z generałem Rochambeau. Zabierają oddziały, by pomóc Amerykanom pokonać Brytyjczyków, naszych wrogów. Będą walczyć w dziczy, otoczeni dzikimi zwierzętami. Znajdą się w ogromnym

niebezpieczeństwie. Martwię się o niego, ale on tylko się śmieje i mówi, że jego zdaniem dwór w Wersalu też nie jest bezpiecznym miejscem.

Przybył na poranne przyjęcie Ludwika w pełnym umundurowaniu, a kiedy został mu przedstawiony, Ludwik nie spuszczał wzroku z jego piersi pokrytej wstążeczkami, lśniącymi gwiazdami i złotymi medalami. Ja stałam obok w milczeniu.

Ludwik podszedł do niego bardzo blisko i powiedział głośno:

- Skąd je wzięłeś? Ukradłeś?

Axel uśmiechnął się.

- To wręczyli mi za dobre schylenie się pod ogniem nieprzyjaciela - odparł, wskazując na jeden ze lśniących medali. - A to za trzymanie się z dala od artylerii.

Głośny śmiech Ludwika zadudnił w całym wielkim salonie. Mocno poklepał Axela po plecach.

- Świetne! Zapamiętam to sobie. Za trzymanie się z dala od artylerii. Dobrze. Ja sam nigdy nawet nie zbliżyłem się do bitwy - dodał, przyglądając się bacznie Axelowi, by wy badać jego reakcję.

- Wasza wysokość jest zbyt ważny dla królestwa, by ponosić ryzyko w walce - wybrnął zgrabnie. - Potrzebujemy cię, byś dowodził bitwą, a nie brał w niej udział.

- Chyba tak. Szczerze mówiąc, tylko bym zawadzał

- przyznał uczciwie Ludwik.

- Powiedziano mi, że wasza wysokość ma bogaty zbiór map - rzekł Axel, unikając kłopotliwego tematu wątpliwej przydatności Ludwika na polu bitwy. - Czy jest wśród nich mapa kolonii brytyjskich w Ameryce? Chętnie bym ją przestudiował.

Odsunęłam się, by porozmawiać z włoskimi dostojnikami i nic już nie słyszałam. Czułam się nieswojo, stojąc tak blisko męża oraz mężczyzny, którego kocham najbardziej na świecie. Miałam nadzieję, że nie zarumieniłam się z zażenowania. Na tym dworze, podobnie jak w Schönbrunn, kobiety utrzymują kontakty towarzyskie z mężami i kochankami w bardzo swobodny i zwyczajny sposób. Takie oszustwo jest jednak dla mnie czymś nowym.. Nigdy nie czułam żadnego skrępowania z powodu mojego zauroczenia Erykiem, bo był tylko służącym. A żaden służący nie może być prawdziwym rywalem dla króla. Ale Axel, tak wysoko urodzony, swobodny wśród splendorów Wersalu, to zupełnie inna sprawa. I muszę przyznać, że moja miłość do Axela przewyższa uczucie do Eryka, tak jak niebo leży wysoko nad ziemią.

24 stycznia 1778

Ma wyjechać za trzy tygodnie. Nie mogę znieść myśli o rozstaniu. Co pocnę?

21stycznia 1778

Dziś po popołudniu leżeliśmy z Axelem nadzy na skórze niedźwiedzia przed kominkiem, a za oknem padał gęsty śnieg. Przeszła wielka burza śnieżna i jest zupełnie biało. Tylko Loulou wie, że Axel jest tutaj ze mną, przynosi nam jedzenie i trzyma z daleka wszystkich służących, zwłaszcza Amelię.

Przy ogniu jest ciepło i przytulnie, a trzask płonących polan przynosi ukojenie. Leżąc w jego ramionach, mogłam niemal zapomnieć, że niedługo wyjeżdża. Niemal - ale nie do końca. Gdy się kochaliśmy, przywierałam mocno do niego, jakbym przez to mogła zatrzymać go przy sobie na zawsze.

Kiedy później drzemał, przesuwalam palcami po jego pięknym, smukłym ciele, podziwiając każdą krągłość i wgłębienie, każdy silny mięsień, kręcone jasne włosy na szerokiej piersi, gładki brzuch i naprężone lędźwie, całe jego ciało. Otworzył oczy, ujął mnie za rękę i ucałował koniuszki palców.

- Wyjeżdżając z Wiednia, nawet nie mogłam sobie wyobrazić, że spotkam kogoś takiego jak ty. Ze będę się czuła jak teraz. Przez długi czas żałowałam, że w ogóle przyjechałam do Francji. Nic tutaj nie spełniło moich nadziei - ani nadziei mojej rodziny. Jako żona poniosłam porażkę.

- Z pewnością nie. Szwedzki ambasador powiedział mi, że zawsze byłaś bardzo dobra dla męża. Pomagałaś mu i okazywałaś zrozumienie, gdy wszyscy inni go opuścili.

- Ale zawiodłam. Nie urodziłam mu syna, następcy francuskiego tronu.

- Być może jeszcze nie. Ale w przyszłości możesz zostać matką, chyba że Ludwik jest bezpłodny. Czy ma jakichś bastardów?

- Nie. Na pewno nie.

- A zatem wina może leżeć po jego stronie, nie po twojej. Nie możesz się tym zamartwiać.

- Hrabia Mercy powiedział mi, żebym wzięła sobie kochanka, szlachcica podobnego do Ludwika, i miała z nim dzieci. Ale ja nie mogę sobie nawet wyobrazić, bym miała kłamać, kim jest prawdziwy ojciec.

- Nie. Poza tym wcześniej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw.

- Axel - zaczęłam z lekkim wahaniem. - Muszę ci coś wyznać.

- Co takiego, aniele?

- Jest ktoś, kogo kochałam przed poznaniem ciebie.

Uśmiechnął się pobłaźliwie i pogładził mnie po włosach.

- Tak? A kim jest ten szczęśliwiec? Nie martw się. Mogę mu zazdrościć, ale nie

wyzywę go na pojedynek.

- Mój koniuszy, Eryk. - Mówiłam bardzo cicho. - Nigdy się nie kochaliśmy, ale...

- Rozumiem. To była piękna, niewinna miłość. Cieszę się, że mi powiedziałaś. Ja też muszę wyznać, mój najdroższy aniele, że przeżyłem niejedną fascynację.

- Miałeś w życiu wiele kobiet?

- Wiele. Ale tylko kilka, które kochałem naprawdę.

- Nigdy nie chciałeś się ożenić?

Słyszając to pytanie, sposepniał, a jego usta zacisnęły się w cienką linię.

- Tego się ode mnie oczekuje. I pewnego dnia będę musiał te oczekiwania spełnić. Tymczasem mam... przyjaciółkę... bardzo drogą przyjaciółkę, madame Eleanorę Sullivan, która mieszka w Paryżu i której towarzystwo bardzo sobie cenię. Jest kurtyzaną i znam ją od dawna.

- Kurtyzaną jak moja przyjaciółka madame Solange.

- Madame Solange to bardzo piękna kobieta. Eleanor nie ma tak wielkiej urody i jest o wiele starsza, ale ma bardzo dobre serce i jest wielkoduszna. W przeciwieństwie do wielu ludzi żyła naprawdę. Była żoną, komediantką, akrobatką w cyrku. Nie zna strachu i zawsze pozostawała sobą. Bardzo ją podziwiam. Nauczyła mnie wiele o życiu.

Dostrzegł, że się zasmuciłam, więc natychmiast zaczął mnie pocieszać.

- Och, aniele, nigdy bym nie chciał, żebyś myślała o Eleanorze jako o rywalce. - Ujął moją twarz w dłonie, spojrzał na mnie czule i pocałował. - Żadna kobieta nigdy nie była dla mnie tak cenna jak ty czy ta chwila. Myślę tylko o tobie i tylko ciebie pragnę. Gdybym tylko nie musiał cię zostawiać...

Przestaliśmy rozmawiać i znów się kochaliśmy, spaliśmy i jedliśmy, potem znów rozmawialiśmy, dopóki Loulou nie przyszła, by zapalić lampy, a Axel musiał wyjść.

Och, jakże go kocham! Poszłabym za nim w ogień. Gdyby mnie tylko poprosił, pojechałabym za nim na koniec świata, żeby z nim być. Gdyby tylko nie musiał jechać do Ameryki i ryzykować tam życia. Gdyby tylko mogła go zmusić, żeby tutaj został, w tym ciepłym pokoju, jego szczupłe ciało lśniłoby w świetle kominka, a miękkie błękitne oczy przepelniałaby miłość.

20 lutego 1778

Axel wyjechał, a ja jestem w żałobie. Nie mogłam patrzeć, jak wyjeżdża. Zalałam się łzami, gdy przybył z generałem Rochambeau, by się oficjalnie pożegnać. Była tam też jego siostra, baronowa Piper. Płakała, a on objął ją czule. Nie odważył się objąć mnie, tylko ucałował moją dłoń i wsunął do niej liścik.

Przeczytałam go później.

Mój najdroższy aniele, zabieram ze sobą Twoją miłość. Zachowaj moją w sercu do mego powrotu.

Gdzie teraz jest? I kiedy do mnie wróci?

72 kwietnia 1778

Jestem przy nadziei. Zofia twierdzi, że wszystkie znaki na to wskazują. Generał Krottendorf się spóźnia, mam tkliwe piersi i stale chce mi się spać.

Ojcem jest oczywiście Ludwik, nie Axel. Kiedy się kochaliśmy, był bardzo ostrożny. Chciał mieć pewność, że nie będzie żadnych konsekwencji.

Ludwik mówi, że musimy poczekać jeszcze miesiąc, zanim ogłosimy to światu, a doktor Boisgilbert zgadza się z nim. Nie przekazałam jeszcze dobrych wieści mamam. Jaka będzie szczęśliwa, gdy je dostanie!

21 kwietnia 1778

Tysiące naszych żołnierzy gromadzą się w obozach w Bretanii i Normandii. Mercy mówi, że być może zaatakujemy Anglię, która wypowiedziała nam wojnę, ponieważ zawarliśmy sojusz z koloniami amerykańskimi. Ludwik spędza mnóstwo czasu, przeglądając listy zapasów i zaopatrzenia dla wojska, a potem pisze listy do wytwórców broni, wskazując na wady w strzelbach i armatach. Nie znosi spotkań z ministrami i skarży mi się, że go ignorują i robią coś zupełnie przeciwnego niż to, co on uważa za najlepsze.

Przypominam mu, że wybrano ich ze względu na mądrość i wiedzę, znacznie większą niż jego. On jednak staje się uparty, gdy ktoś zrani jego próżność, co dzieje się bardzo często.

Co rano wymiotuję i śpię każdego popołudnia. Zapewniają mnie, że to normalne. Noszę w sobie następcę tronu francuskiego i liczy się tylko jego bezpieczeństwo.

5 maja 1778

Axel wrócił na dwór i często go widuję. Jego wyprawa z generałem Rochambeu została odłożona. Nie mogłabym być szczęśliwsza, mając go przy sobie, ale wiem, że jeździ do Paryża, by spotykać się z Eleanorą Sullivan. Całymi dniami jest mi niedobrze, jestem śpiąca i zastanawiam się, gdzie jest Axel, gdy nie ma go przy mnie. Czasami chodzę z Ludwikiem na spotkania z naszym ministrem spraw zagranicznych hrabią de Vergennes, który nienawidzi Austrii imnie.

Pomagam Axelowi zdobyć dowództwo pułku.

7 czerwca 1778

Doktor Boisgilbert mówi, że nie wolno mi się niczym martwić. Od Adelajdy, ciotki Ludwika, uczę się dziergać sakiewki. Wiem, że w Paryżu aż huczy od żartów, iż prawdziwym

ojcem mojego dziecka jest Karol. Nie zwracam uwagi na te oszczerstwa.

Brat abbé Vermonda ma być moim położnikiem. Maman tego nie aprobuje. Mówi, że to partacz. Przyszedł mnie zbadać i czułam się bardzo nieswojo. W niczym nie przypomina swojego brata, którego znam przez całe życie iktóry jest bardzo miły i inteligentny. Doktor Vermond jest nerwowy i stale się trzęsie. Kiedy mnie dotyka, czuję, jak jego spoczone dłonie drżą.

Jak mam się nie martwić, skoro toczy się wojna, opowiadają o mnie paskudne plotki i jestem pod opieką nerwowego położnika? A ja mogę jedynie zadbać, by było mi chłodno podczas tej fali upałów.

7 lipca 1778

Jesteśmy w Compiegne i codziennie spaceruję w chłodnym lesie. Dziecko dużo kopie. Będzie atletą, mówi Ludwik. Wielkim wojownikiem.

- Raczej wielkim zamartwiaczem - mówię do Yolande, która spaceruje ze mną popołudniami. - Jeszcze nikt nigdy nie martwił się tyle, co jego ojciec.

Ludwik boi się wojny, którą wypowiedziano, choć jeszcze nie doszło do żadnych walk. Martwi się ministrami, którzy nie chcą go słuchać i robią, co chcą, brakiem pieniędzy w skarbcu i rosnącą liczbą królików w lesie. Strzela do nich i przeklina pod nosem, że chciałby powystrzelać wszystkich ministrów.

Jest bardzo podniecony myślą o dziecku, a jednak upiera się przy doktorze Vermondzie. Wszyscy mówią, że angielscy położnicy są najlepsi i że taki właśnie powinien przy mnie czuwać. Królowa Karolina, żona angielskiego króla Jerzego, jest Niemką, ale wszystkie jej dzieci przyjmował angielski lekarz. Wiem, że ma ich dużo i niemal wszystkie przeżyły. Axel posłał po szwedzkiego lekarza, który studiował w Edynburgu i będzie pod ręką, kiedy zacznę rodzić. Zofia obiecała, że zadba o to, by była też przy mnie dobra akuszerka. Od razu poczułam się lepiej. Rzecz jasna, dziecko przyjdzie na świat dopiero za kilka miesięcy.

4 sierpnia 1778

Wydziergałam sakiewki dla maman, Karoliny, Loulou oraz dla wszystkich sióstr, siostrzenic i bratanic. Teraz nie mogę się zmusić, by zawiązać choć jeden węzełek! Haftuję ubranka dla dziecka, choć ma już całe skrzynie pełne kocyków, nocnych kaftaników i dzianinowych pończoszek. Podarunki dla niego przychodzą codziennie.

Abbé Vermond czyta mi, kiedy odpoczywam. Axel dużo wyjeżdża z żołnierzami do obozu niedaleko wybrzeża. Moje życie jest nudne, a brzuch rośnie z każdym tygodniem. Na pewno po tym wszystkim już nigdy nie będę miała szczupłej talii.



1 września 1778

W Wersalu jest pełno szlachty. Ludzie przyjeżdżają ze wsi, ignorując sezon łowiecki, i wprowadzają się do wszystkich dostępnych pokoi, nawet tych malutkich i zimnych na strychu. Chcą być obecni przy narodzinach mojego dziecka. Ma przyjść na świat dopiero w grudniu, ale jak wiadomo, dzieci czasami rodzą się wcześniej.

Doktor Vermond kazał zabezpieczyć moją sypialnię, by było w niej ciepło na czas porodu. Zamknięto okna, a szczeliny w ścianach wypełniono klejem i farbą. Wszystkie drzwi zabito gwoździami z wyjątkiem jednych, przez które można wchodzić i wychodzić. Wokół łóżka ustawiono wysokie parawany, by zapewnić mi choć odrobinę prywatności.

To bardzo ważne, by poród odbywał się przy świadkach, i jestem na to przygotowana. Razem z Ludwikiem i dziesiątkami innych osób uczestniczyłam w porodach trojga dzieci Teresy i widzieliśmy wyraźnie, że wysliznęły się z jej ciała, a nie zostały w tajemnicy przyniesione z zewnątrz i umieszczone w kołysce. We francuskiej rodzinie królewskiej nie ma miejsca dla żadnych oszustów.

Teresa krzyczała, przeklinała i okropnie się bała podczas wszystkich trzech porodów. Ja będę dzielna. Nie zrobię z siebie takiego widowiska. Chcę, żeby mój syn był ze mnie dumny. Pewnego dnia, kiedy zostanie królem, chcę, żeby usłyszał: „Tak, byłem obecny przy waszych narodzinach. Matka była bardzo dzielna. Prawie nie wydała dźwięku”.

2 listopada 1778

Nie wiedziałam, że brzuch małej kobiety może aż tak urosnąć. Już nie chodzę, tylko się toczę. Dziś skończyłam dwadzieścia trzy lata, ale poza mamą nikt nie zauważył moich urodzin. Wszyscy mnie obserwują, pragnąc dostrzec zmarszczkę bólu na moim czole, usłyszeć, jak jęczę i chwytam się za brzuch.

Służba zorganizowała loterię i obstawia, w którym dniu urodzi się dziecko. Ludwik tego zabronił, ale oni i tak kupują i sprzedają bilety, nawet Chambertin.

18 listopada 1778

Dziś przez okno mojego saloniku wrzucono cegłę. Owinięto ją w paskudny pamflet z okrutnymi rysunkami przedstawiającymi, jak uprawiam miłość z innymi kobietami. Na drugiej stronie napisano: Precz z austriacką dziwką! Zofia wyrzuciła go, ale Amelia znalazła i przyniosła mi do przeczytania. Dziwne, że teraz, kiedy jestem zakochana w Axelu i rzadko widuję się z Erykiem, Amelia jeszcze bardziej mnie nienawidzi.

20 grudnia 1778

Wczoraj rano obudziłam się ze strasznym bólem pleców, który nie minął nawet wtedy, gdy Zofia przyniosła mi herbatę z kory dębu, która zazwyczaj go łagodzi. Z

sąsiedniego pokoju wezwano doktora Vermonda, który natychmiast kazał mi się położyć do łóżka porodowego. Położyłam się na nim z pomocą i szybko zaczęłam się pocić, bo na kominku buzował ogień i w pokoju było bardzo ciepło.

Ból rozlał się na brzuch i uświadomiłam sobie, że zaczęłam rodzić. Zofia zawiązała święty pas pobłogosławiony przez świętą Radegundę z opactwa w Melku, a ja chwyciłam różaniec z kości słoniowej, który dostałam od mamany w Schönbrunn, gdy byłam małą. Staralam się nie myśleć o tych wszystkich kobietach, które umarły, wydając na świat dziecko. Przypominałam sobie, co powiedział mi doktor Boisgilbert: że jestem silną dziewczyną, która świetnie poradzi sobie z porodem. Pomędzy atakami straszliwego bólu raz po raz przypominałam sobie, że jestem silna. Jestem silna, jestem silna i wszystkiemu dam radę.

Do sypialni przyszedł Axel razem z Ludwikiem, jego braćmi i kuzynami. Niebawem zjawili się Maurepas, Vergennes oraz inni ministrowie i poczułam się bardzo skrępowana. Wielkie parawany, które ustawiono dookoła łóżka, zasłaniały mnie przed gapiami, ale też tamowały dopływ świeżego powietrza. Poprosiłam Zofię, żeby mnie powachlowała, ale doktor Vermond stanowczo polecił jej odejść. Kazał też zabrać z łóżka Mufti, co doprowadziło mnie do płaczu. Mufti zawsze śpi ze mną. Pociesza mnie. Teraz jest już tak stara, że z pewnością nikomu nie może przeszkadzać.

Słyszałam szum rozmów i szuranie stóp w pokojach obok mojej sypialni i na korytarzu. Wiedziałam, że zbierają się dworzanie i zagraniczni dygnitarze, czekając, by wpuszczono ich do sypialni. Pomędzy skurczami zastanawiałam się, który ze służących wygra zakład.

Po godzinie ból nasilił się, a ja zacisnęłam zęby, owinęłam różaniec wokół nadgarstka i chwyciłam sznury przytrzymujące parawany za każdym razem, gdy czułam nowy skurcz. Słyszałam, jak Stanny i Józefina mówią, że są głodni; zastanawiali się, kiedy coś zjedzą, a ja chciałam wrzasnąć: „Nie widzicie, że cierpię?!”.

Silne skurcze rozdzierały mnie raz po raz. Myślałam, że dłużej już tego nie wytrzymam i na pewno umrę. Widziałam, jak hrabia Mercy porusza się na tyłach pokoju za Axelem, Ludwikiem, jego krewnymi i ministrami. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie można tego przyspieszyć? - zapytał Ludwik doktora Vermonda. - Musi być jakieś zioło, jakiś leczniczy napój...

- Natura musi zrobić swoje - odparł doktor, ale zaczął patrzeć na mnie nerwowo i z roztargnieniem ciągnął się za kamizelkę. Przesuwał palcami przez cienkie, siwe włosy w sposób, który jeszcze bardziej mnie zaniepokoił.

Wyciągnęłam rękę do Zofii, która precyzyjnie się obok lekarza, ignorując jego

władcze uwagi, i ujęła moją dłoń.

- Biedactwo - powiedziała - tak ciężko pani idzie.

- A jeśli nie dam rady? - szepnęłam.

Chwyliła mnie mocno za rękę, gdy ogarnęła mnie nowa fala bólu. Jęknęłam i łzy napłynęły mi do oczu.

- Da pani, na pewno. Ale może pani potrzebować pomocy. Pójdę po akuszerkę.

Zostawiła mnie i wyszła. Dotarło do mnie, że do pokoju weszło jeszcze więcej ludzi, którzy szeptali i poruszali się. Wydawało mi się, że dostrzegłam stojącą z boku Loulou z twarzą jeszcze bledszą niż zwykle.

Zofia wróciła szybko z potężną chłopką. Wyglądała, jakby się znała na rzeczy.

- Oto kogo ona potrzebuje - rzekła Zofia do Ludwika. - Prawdziwej akuszerki.

Poczułam obcą parę rąk, która przesuwiała się po moim brzuchu i macała między nogami. Zadrzałam. Doktor Vermond głośno protestował. Nagle poczułam, jakby żelazne ręce chwyciły mnie za brzuch i bezlitośnie go ścisnęły. Nie mogłam się powstrzymać. Krzyknęłam. W pokoju natychmiast dało się wyczuć napięcie i oczekiwanie. Szepty ucichły. Słyszałam trzask ognia na kominku.

- Główwka. Muszę poruszyć główkę - powiedziała akuszerka, a potem zaczęła mnie uciskać i popychać.

- Zabierzcie tę kobietę! - krzyknął doktor Vermond.

- To ja tutaj wydaję polecenia!

- To niech pan lepiej poruszy dziecko - odparła spokojnie akuszerka, zabierając ręce i wycierając je w spódnice

- albo oboje umrą.

Doktor Vermond zbladł i cofnął się o krok.

- Muszę to... skonsultować z... moimi kolegami. To trudny przypadek. Nie zostałem... ostrzeżony...

Im bardziej się jąkał, tym bardziej bladł.

Kątem oka zauważyłam, jak Loulou przesuwa się w stronę łóżka, zamyka oczy i osuwa się na podłogę. Natychmiast zrobiło się poruszenie, podniesiono ją i wyniesiono z pokoju.

- Rób, co mówi! - krzyczał Ludwik na doktora Vermonda. - Porusz dziecko! - Krzyczał głośno, ale ja jeszcze głośniejsze, gdy poczułam kolejny, długi i rozdzierający skurcz bólu. Znów krzyknęłam.

- Nadchodzi! Królowa rodzi dziecko! - Słyszając moje krzyki, tłum czekający na

korytarzu ogarniało coraz większe zniecierpliwienie. Szybko rozchodziła się wieść, że moje dziecko lada chwila przyjdzie na świat.

Nie można było powstrzymać fali szlachciców i dworzan, którzy czekali całymi godzinami, by wejść do sypialni. Wdarli się hałaśliwą falą przez jedyne otwarte drzwi i ruszyli w moją stronę. Dziesiątki osób, wszystkie naraz. Pomyślałam, że przewrócę na mnie parawany i uduszę się pod nimi.

Nagle w pokoju zrobiło się nieznośnie gorąco i nie mogłam złapać tchu. Byłam przerażona i czułam tak straszliwy ból, że wszystko: ludzie, ściany, ogień na kominku zaczęło mi się zamazywać przed oczami.

Nagle usłyszałam głos Axela. Silny, rozkazujący, spokojny.

- Sire - zaczął - wasz położnik chce się skonsultować z kolegą. Jest tu obok mnie. - Walczyłam, by zachować przytomność. Oszołomiona zobaczyłam człowieka stojącego obok Axela, sympatycznego mężczyznę w czarnym ubraniu i krótkiej peruce.

- To doktor Sundersen ze Sztokholmu. Sprowadził na świat wszystkie dzieci królowej Szwecji.

Szwed skłonił się Ludwikowi.

- Czy mogę zbadać pańską żonę? - zapytał.

- Tak, tak. Niech ktoś coś zrobi.

Wiłam się bezradnie na łożu, a dobywające się z mojego gardła dźwięki przypominały jęki rannego cielaka.

Doktor Sundersen skinął na akuszerkę, która znów zaczęła boleśnie uciskać mój brzuch, podczas gdy doktor zbadał mi puls i wyjął z torby lśniące metalowe instrumenty. Spojrzał na akuszerkę i zwrócił się do niej:

- Tak się cieszę, że tu jesteście. Akuszerki często wiedzą o rzeczach, o których my lekarze nie mamy pojęcia. Doktorze Vermond, miał pan bez wątpienia zamiar puścić pacjentce krew ze stopy. Proszę to zrobić teraz..

Poczułam ból, gdy francuski położnik, wdzięczny, że może się na coś przydać, otworzył żyłę między palcami u nogi i podstawił miskę, by mogła do niej spływać ciemnoczerwona krew.

Doktor Sundersen i akuszerka pracowali razem spokojnie, a ja pomimo bólu i zmęczenia poczułam, że jestem w dobrych rękach. Pomiędzy skurczami próbowałam spoglądać na Axela, który stał obok Ludwika z wyrazem głębokiej troski na twarzy. Nawet w chwilach straszliwego bólu myślałam, że jest mi najdroższy na świecie, droższy niż życie.

- No już - usłyszałam głos akuszerki nad rosnącym szumem w pokoju. - Teraz już

wyjdzie, główka jest swobodna.

- Wasza wysokość - zwrócił się do mnie doktor Sundersen - chcę, żeby się pani teraz skoncentrowała. Musi pani pozostać przytomna. Proszę zebrać wszystkie siły. Będzie pani teraz pracować ciężiej niż kiedykolwiek w życiu. To nie potrwa długo. Zrobimy to razem?

- Tak - odparłam tak głośno i odważnie, jak tylko byłam w stanie. Kiedy wymówiłam to słowo, wiedziałam, że potrafię wydać moje dziecko na świat.

- Proszę pchać mocno moją rękę - rzekł do mnie lekarz. - Jakby chciała pani podnieść wysoki budynek.

Zrobiłam, co kazał, nie zwracając już uwagi na ból, na nieprzyzwoite okrzyki i gwizdy, które rozlegały się w pokoju, ani na duszne, gorące powietrze. Cały wysiłek skoncentrowałam na pchaniu silnej dłoni doktora. Akuszerka mocno naciskała mój brzuch jedną ręką, a drugą trzymała mnie pod ramię i przemawiała do mnie uspokajająco.

Poczułam, że wsuwają we mnie zimny metalowy przedmiot, a zaraz potem wypłynął ciepły płyn. Rozległy się podekscytowane okrzyki gapiów, z których część wspięła się na meble, by lepiej widzieć, co się ze mną dzieje.

- Już prawie jest. Jeszcze tylko jeden wysiłek. Jeszcze raz proszę podnieść wysoki budynek.

W tych chwilach rzeczywiście pracowałam jak nigdy dotąd i jęczałam, jakbym kopała rowy. Nagle rozległy się głośne radosne okrzyki i brawa i dotarło do mnie, że moje dziecko przyszło na świat. Nareszcie, mój syn. Dziedzic tronu. Następny król...

Nagle aplauz ucichł, a okrzyki przeszły w jęk zawodu.

Doktor Sundersen uśmiechał się, gdy podniósł piszczące, zakrwawione i pomarszczone niemowlę, żebym mogła je zobaczyć.

- Wasza córka jest idealna, wasza wysokość. Księżniczka dla Francji.

Zemdlałam.

To było wczoraj. Dziś odpoczywam w mojej sypialni zasłanej tacami z resztkami niedojedzonych ciastek, skórek pomarańczowych, łupinek orzeszków i starych gazet pozostawionych przez Ludwika i resztę. Moje pokojowe są zbyt zajęte przyglądaniem się dziecku, przynoszeniem podarunków i listów z gratulacjami, by posprzątać. Mufti śpi na łóżku, a mopsy biegają jak szalone, goniąc się nawzajem i szczekając przeraźliwie na wszystkich, którzy wchodzą do pokoju.

W całym tym zamieszaniu malutka śpi spokojnie, drobniutka i śliczna, a kiedy się budzi, je bardzo łapczywie. Jest oczywiście wielkim rozczarowaniem. Powinna być chłopcem. Wszyscy uważają, że zawiodłam, lecz Ludwik utrzymuje, że nie powinnam

zwracać uwagi na innych i że musimy się postarać o synów.

Nie, myślę. Nigdy więcej. Już nigdy nie będę przechodzić przez coś tak strasznego.

Ale moja malutka Maria Teresa jest taka cudowna! Kocham ją bardziej, niż sobie wyobrażałam. Moje własne ukochane, najdroższe dziecko. Postaram się być dla niej tak dobrą matką jak maman dla mnie. Nie będę tylko tyle jej besztać i krytykować.

Axel odwiedził mnie dziś po południu. Oficjalnie przyniósł gratulacje od króla Gustawa ze Szwecji i dar - rzeźbioną figurkę bożonarodzeniowego anioła ze złożonymi skrzydłami i aureolą z zapalonych świec nad głową. Nie byłam w sypialni sama, więc nie mogliśmy porozmawiać tak, jak tego pragnęliśmy. Jednak wychodząc, ujął moją dłoń i ucałował ją; wymieniliśmy przy tym przelotne spojrzenie, w którym zamknęliśmy całą naszą miłość.

- Dziękuję, hrabio Fersen - powiedziałam, gdy wstawał, by wyjść - za wszystko, co zrobił pan wczoraj dla Francji. Razem z doktorem Sundersenem uratował mi pan życie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

2stycznia 1771

Codziennie jestem silniejsza. Piję wywar z korzenia łopianu, który ma sprawić, że szybko pocznę następne dziecko, a moja mała Maria Teresa ma mamkę, żeby wysechł mi pokarm. Ludwik powtarza, że musimy się szybko postarać o syna, aby nikt nas nie oskarżył, że nie możemy go mieć. Jego zdaniem królewskie córki są przekleństwem dla tronu, jeśli jest ich zbyt wiele, i wiem, że to prawda. Matka mówiła mi, że kiedy urodziła pierwsze dziecko, moją najstarszą siostrę Annę, nikt na dworze nie dawał jej spokoju, dopóki trzy lata później nie urodziła Józefa.

20 stycznia 1771

Zofia przyniosła mi czosnek w woreczku i położyła go obok łóżka. Mówi, że muszę go codziennie wąchać. Jeśli pewnego dnia obudzę się i nie poczuję jego zapachu, będzie to oznaczać, że jestem przy nadziei. Wącham go więc codziennie i czasami w nocy, kiedy nie mogę spać lub kiedy Ludwik budzi mnie głośnym chrapaniem.

Nazwałam moją małą Marię Teresę Mousseline, jak maman nazywała moją siostrę Józefę. Zaczynają jej rosnać włosy i są jasne jak moje. Ma szare oczy i patrzy na mnie bardzo przenikliwie. Jeszcze się nie uśmiecha. Nie ma spuchniętych ani bolących dziąseł, nie wygląda więc na to, by miały się jej wyrzynać mleczone zęby.

Zabrałam ją na poranne przyjęcie Ludwika i wszyscy tłoczyli się, by ją zobaczyć. Zerkali również na mnie, gdyż oczekują, że wkrótce znów będę przy nadziei.

28 lutego 1771

Ludwik splotał mi paskudnego figla. Wie, że wącham czosnek leżący w woreczku przy łóżku w nadziei, iż w dniu, w którym nie poczuję jego zapachu, okaże się, że oczekuję dziecka. Wyjął więc czosnek i włożył do woreczka asafetydę, która - jak wiadomo - ma zupełnie inny zapach. A tak naprawdę śmierdzi. Powąchałam więc woreczek i zorientowałam się, że coś jest nie tak. Mój węch się zmienił, a to musiało oznaczać, że jestem brzemienna.

Pospieszyłam, by powiedzieć o tym Zofii. Nie czuję zapachu czosnku, wyjaśniłam. Czuję coś innego, co strasznie śmierdzi. Powąchała i skrzywiła się.

- Ktoś płata pani figle - orzekła. - To na pewno ta impertynencka dziewczucha, Amelia.

Amelia nie zbliżała się jednak do mojej sypialni już od kilku dni.

Potem dostrzegłam w rogu pokoju Ludwika, który śmiał się do siebie. Dotarło do mnie, że to on musiał zamienić zawartość woreczka. Nadal studiował zioła i rośliny i trzymał

ich spory zapas na strychu. Nie powiedziałam o niczym Zofii, lecz wieczorem, kiedy Ludwik przyszedł do mojego łóżka, zbesztalam go. Zakłopotany zwiesił głowę i wyznał, co zrobił.

- To tylko asafetyda. Nie zrobiła ci żadnej krzywdy. Pomyślałem, że to zabawne. - Zachichotał.

- To okrutne żartować z tak ważnych rzeczy.

- Muszę z nich żartować - rzekł cichym, zmęczonym głosem, kładąc się do łóżka. - Inaczej nie będę mógł tego ciągnąć. Tak nienawidzę udawać kogoś, kim nie jestem.

- Czyli kogo?

- Króla oczywiście.

- Ale jesteś królem. Świętym, namaszczone, prawowitym królem Francji.

- Oboje wiemy, że to tylko udawanie. Poza tym, jak ci już tłumaczyłem wiele razy, to mój ojciec powinien rządzić. Albo mój starszy brat. To nigdy nie miałem być ja.

- To tylko wymówki.

- I tutaj się mylisz. Opracowałem teorię. Teorię Błędnego Przeznaczenia. Wyjawiłem ją dotąd tylko Chambertinowi i Gaminowi.

Milczałam. Umysł Ludwika często działał bardzo pokrętnie. Zdążyłam się już do tego przyzwyczaić.

- Według mojej teorii przeznaczenie często ustawia ludzi na pozycjach, do których nigdy nie byli urodzeni. Tacy ludzie nigdy nie odegrają narzuconej im roli. To wielka tragedia, godna pióra wielkiego Racine'a.

Westchnęłam.

- Być może. Ale teraz zostaw mój czosnek w spokoju. A co do naszego przeznaczenia, twojego i mojego, musimy robić, co w naszej mocy, i nie myśleć zbyt dużo o tragediach. Mercy zawsze mi powtarza, żebym myślała pozytywnie i była wesół.

- Mercy traktuje cię jak głupka.

Na to nic nie mogłam odpowiedzieć. Hrabia Mercy, który często okazywał mi sympatię, gdy inni byli surowi, z pewnością uważał mnie za dużo bystrzejszą od Ludwika.

I o wiele bardziej odważną.

- Jesteśmy z hrabią w dobrych stosunkach - oświadczyłam, kończąc rozmowę. Wzniosłe perory Ludwika często mnie męczą. Nie odnosi sukcesów jako król, wie o tym i próbuje to tłumaczyć, zamiast po prostu nad sobą pracować.

Gdyby tylko zechciał słuchać dobrych rad!

1 kwietnia 7777

Generał Krottendorf bardzo się spóźnia, a ja nie czuję zapachu czosnku. Chyba znów



jestem przy nadziei. Rankami jest mi niedobrze. Już się boję bólu, który mnie czeka, ale kazałam Ludwikowi obiecać, że znów zatrudni doktora Sandersena i sprawną akuszerkę, którą znalazła Zofia, lub równie dobrą.

Postanowiliśmy poczekać z ogłoszeniem mojego stanu, podobnie jak zrobiliśmy z Mousseline. Ludwik uważa, że wystarczy to zrobić w przyszłym miesiącu. Ja już nie mogę się doczekać, żeby napisać do mamam. Gdybym tylko mogła jej o tym powiedzieć osobiście.

Ludwik żartuje, że powinniśmy dać synowi na imię Czosnek.

2 maja 7777

Wczoraj ciężko się pochorowałam i straciłam dziecko. Zofia była przy mnie przez cały czas. Kiedy opróżniała mój nocnik, dostrzegła krew w moczu i od razu wiedziała, że to koniec.

- To pewnie był chłopiec - rzekła. - Kiedy traci się dziecko, najczęściej jest to chłopiec. Tak mówią akuszerki, a one coś o tym wiedzą.

- Ale to straszne - wydusiłam przez łzy.

- Nie, to dobrze. To znaczy, że może pani też począć chłopca. Następny będzie silniejszy. Będzie miał szansę przeżyć.

Modłę się, by miała rację.

15 sierpnia 1771

Najmłodszy brat Ludwika, Karol, przyszedł dziś, by zabrać mnie na wyścigi. Podjechał ze straszliwym hałasem swoim nowym powozem, który o mało nie przewrócił się na dziedzińcu. Jest bardzo lekki i delikatny, z cienkimi, wysokimi kołami, bez dachu i prawie bez boków. Ludwik nigdy by mi nie pozwolił nim jechać, gdyby go zobaczył. Ale wybrał się na polowanie, więc mogłam robić, co chciałam.

- Wasza wysokość! - zawołał Karol, gdy zbliżałam się do powozu. - Oto Diabeł, na wasze usługi. - Był cały ubrany na białe, począwszy od eleganckiej peruki poprzez kaftan z haftowanego brokatu po białe atłasowe buty z brylantowymi kłamrami. Widziałam, że pił, bo chwiał się na nogach, trzymając w dłoniach lejce niespokojnych koni.

Uśmiechnęłam się. Karol niemal zawsze doprowadza mnie do śmiechu. Foryś pomógł mi wsiąść i poczułam, jak delikatny powóz drży pod moim ciężarem, gdy usiadłam na wąskim tapicerowanym siedzeniu. Karol opadł obok mnie.

- Naprawdę jesteś diabłem, czy to tylko złośliwe plotki?

- Nie ja, wasza wysokość, tylko ten cudowny pojazd. To Diabeł wcielony, ponieważ jest tak niebezpieczny! I taki szybki, i kuszący!

Trzymałam się mocno, gdy pędziliśmy drogą, a powóz podskakiwał i chwiał się na

każdej koleinie czy dziurze. Nasza eskorta w postaci gwardzystów na koniach pędziła za nami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, same wyścigi nie okazały się tak emocjonujące jak jazda Diabłem tam i z powrotem. Karol zaproponował, że zabierze mnie tam znów w przyszłym tygodniu. Odparłam, że pojedę, jeśli obieca, że nic nie powie Ludwikowi. Prychnął.

- On na pewno się dowie! Zawsze znajdują się chętni, by donieść mu o wszystkim, co robisz i dokąd chodzisz. Wiesz, że opowiadają o nas różne historie, niby jesteśmy kochankami, jesteś moją współpracowniczką w rozpuszceniu i wydajemy więcej pieniędzy, niż wynoszą wszystkie podatki od wieśniaków razem wzięte.

- To tylko głupie plotki, nic więcej. Poza tym powszechnie wiadomo, że wolę starszych mężczyzn, takich jak hrabia de Giverny. - Oboje wybuchliśmy śmiechem. Hrabia miał ponad siedemdziesiąt lat.

Wysiadłam z powozu i pożegnałam się.

- Jadę do Paryża! - zawołał Karol, trzaskając z bata nad końskimi grzbietami. - Spędzę tam kolejną noc pełną wina, kobiet i śpiewu.

Rozweselił mnie, a bardzo tego potrzebuję. Nie przypuszcza, że jego towarzystwo jest dla mnie prawdziwym skarbem. Dopóki strzegą sobie języki, plotkując na temat mojego domniemanego romansu z Karolem, milczą na temat mojej prawdziwej miłości, Axela. Nasze cenne wspólne chwile pozostają tajemnicą. Wiedzą o nich tylko lojalna Loulou i dyskretna Yolande. Czasami wydaje mi się, że Ludwik wie o wszystkim i akceptuje naszą miłość, bo Axel jest jednym z niewielu mężczyzn, do których może się zwrócić o radę i przyjaźń. Jednak nigdy ani słowem nie wspomnieliśmy z Ludwikiem o moich uczuciach do Axela. Ale może się mylę. Równie dobrze Ludwik może nic nie wiedzieć ani niczego nie podejrzewać.

5 września 1777

Dziś Mousseline powiedziała bardzo wyraźnie „mama”. Tyle że powiedziała to do mamki. gum

75 października 1771

Zarządziłam, że wszystkie kobiety na dworze będą nosić pióra. Strusie, pawie, papuzie. Po kilku godzinach we wszystkich sklepach w Paryżu oczywiście zabrakło piór. Ptaki w królewskiej menażerii zostały przeniesione do tajnego bezpiecznego miejsca, by uchronić je przed myśliwymi polującymi na nie dla piór.

75 grudnia 1771

Prawie rok temu przyszła na świat moja córeczka. Jakże żałuję, że nie noszę pod sercem jej małego braciszka.

27 grudnia. 1771

Mróz zmusił robotników do zaprzestania prac w Petit Trianon, gdzie zarządzałam remont. Nie można rozpalać ognia w kominkach, bo kładą na nich nowe gzymsy, więc jest bardzo zimno. Stolarze nie mogą pracować z odmrożonymi palcami.

Zaczęły też spływać rachunki za remont i wydają się niezwykle wysokie. Zapytałam o to architektów, lecz unikali odpowiedzi. Postanowiłam zasięgnąć języka i w końcu poznałam powód: architekci dostają część każdej sumy, którą obciążają królewski skarbiec! Kiedy się o tym dowiedziałam, wpadłam w złość i poszłam poinformować Ludwika. Był na strychu w pokoju, gdzie robi zamki z mistrzem ślusarskim monsieur Gaminem. Spędza tam coraz więcej czasu, z dala od ludzi, ukrywając się przed ministrami.

Gdy weszłam, podniósł wzrok, przywitał mnie, ale nie przestał pracować. Siedział przy ławie pochylony nad jakimś skomplikowanym mechanizmem. Na blacie leżały rozrzucone kawałki metalu.

- Ludwiku, muszę z tobą porozmawiać.

- Dobrze.

- Remont zbyt dużo kosztuje. Architekci zawyżają ceny. Przyłapałam ich na tym.

- Nie wątpię w to.

- Ale... coś trzeba z tym zrobić! To musi się skończyć!

- Prześlij rachunki do monsieur Neckera.

- Wiem, że monsieur Necker rozwiąże wszystkie nasze problemy finansowe, ale przecież dostaje rachunki od architektów od czterech lat i reguluje je!

Ludwik otarł czoło. Pracowicie wkładał mały kawałek metalu między dwa większe. Przerwał, gdy po kilku próbach wreszcie mu się to udało.

- Jeśli uregulował rachunki, to widocznie byliśmy winni te pieniądze. Nie przejmowałbym się tym. - Usłyszałam cień rozdrażnienia, który pojawiał się w jego głosie, gdy jakiś temat go irytował.

- To ty zawsze powtarzasz: „Ekonomia! Ekonomia!”.

- Tak było kiedyś.

- Kiedy?

- Zanim się przekonałem, jakim bagnem są nasze finanse.

- A teraz?

- Teraz zostawiam wszystko geniuszowi, temu czarodziejowi Neckerowi.

- A więc pójdę poskarżyć się jemu.

- Skarż się, ile chcesz, to i tak niczego nie zmieni.

Zostawiłam go pochylonego nad skomplikowanymi konstrukcjami i wróciłam do

swoich apartamentów. Następnego popołudnia wezwałam monsieur Neckera, który skłonił mi się z przyjaznym uśmiechem, gdy wszedł do środka. Często go widywałam, ale nigdy dotąd z nim nie rozmawiałam. To potężnie zbudowany mężczyzna o imponującym wyglądzie, z mocno zarysowaną szczęką i komiczną małą twarzą. Jest elegancki, dobrze odżywiony i przyzwyczajony do wygod. Słyszałam, że posiada ogromny osobisty majątek.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Podalam mu ostatnie rachunki za remonty w Petit Trianon.

- Te rachunki są za wysokie - powiedziałam po prostu. - Architekci za dużo sobie liczą.

Wziął je i szybko przejrzał z wyrazem powagi na twarzy.

- Nie widzę tu żadnych błędów.

- Ale sumy są dwukrotnie wyższe od tych, których żądano na początku remontu.

- Szacunkowe koszty zazwyczaj rosną. Tego należy się spodziewać. Trudno przewidzieć każdy wydatek.

Z trudem panowałam nad sobą.

- Jeśli przyjrzy się pan rachunkom uważniej, zauważy pan, że architekci dodali własne uposażenie za pracę, której nie wykonali.

Finansjer wzruszył ramionami.

- Nadzorowali je.

Coś w jego zachowaniu obudziło moją czujność. Kluczył podobnie jak architekci, kiedy ich o to zapytałam. Dlaczego? Patrzyłam, jak układa rachunki w zgrabny stosik i odkłada na bok. Przyszło mi na myśl, że jest w zмовie z architektami. Przekupili go. Nikomu nie możemy zaufać, że zrobi to, co dla Francji najlepsze.

Monsieur Necker odpowiedział mi spojrzeniem. Zrozumieliśmy się.

- Madame - rzekł po chwili - architekci nadzorują prace i za to im się płaci. Ja nadzoruję królewskie finanse i tych, którzy przysyłają rachunki, i za to też mi się płaci. Powinniśmy pytać nie o to, jak wysokie są rachunki, ale raczej skąd weźmiemy fundusze, by je uregulować. I tu właśnie mogę się przydać.

Podszedł do rzeźbionej szafki, w której trzymałam kolekcję porcelanowych figurek. Przyglądał się im uważnie, jakby szacował ich wartość, a potem odwrócił się do mnie.

- Znam bankierów. Mówimy tym samym językiem. Mogę ich przekonać, by rozstali się ze swoimi funduszami, kiedy inni nie potrafią tego zrobić. Na tym polega moja wartość. Podobnie architekci znają budowniczych i dekoratorów. Mówią tym samym językiem. Mogą zapewnić, że praca zostanie wykonana dobrze i na czas. Na tym polega ich wartość. Wierzę,

że się zrozumieliśmy. Życzę wiele radości z przeprowadzonego remontu.

Pojęłam, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy, więc ją zakończyłam.

17 marca 1780

Wszystkie ogrody w Petit Trianon były dziś oświetlone na cześć króla Gustawa, który przybył z wizytą na nasz dwór. W głębokim rowie otaczającym zagajniki, jeziora i kępy krzewów płonął ogień. Świece w tysiącach małych naczynek rzucały migotliwy blask na drzewa, które lśniły bladą zielenią. Świątynię Miłości rozjaśniał nieziemski blask, a jej marmury błyszczały jakby od środka.

Przez to wszystko szedł Axel w całym swym splendorze, jasny, o szlachetnych rysach twarzy i postawie. Podeszedł do mnie, gdy siedziałam na rzeźbionej kamiennej ławce nad jeziorem. Było dość ciepło jak na marzec, a w powietrzu unosił się zapach lawendy i jaśminu z kwitnących roślin, które przyniesiono z oranżerii. Migoczące płomienie odbijały się od tafli jeziora, złotych guzików jego munduru i rzędu złotych medali, które na kolorowych wstążeczkach wisiały na jego piersi.

Usiadł obok i wziął mnie w ramiona. Pomyślałam, że nigdy dotąd nie znałam tak pełnego i idealnego szczęścia.

Siedzieliśmy tam ponad godzinę objęci ramionami, wokół nas nie było nikogo, tylko światełka migotały wśród drzew i budynków, powoli blednąc, gdy pojaśniały gwiazdy, a na niebie pojawił się księżyc.

7 kwietnia 1780

Król Gustaw wyjeżdża za dwa dni. Dziś po południu przyszedł na ostatnią audiencję u Ludwika w towarzystwie Axela i kilku innych dworzan. Ludwik przyjął go w Chińskim Salonie, a ja byłam obecna razem z kilkoma damami.

Ludwik wręczył Gustawowi medal, czyniąc go Rycerzem Złotej Lili, a ja podarowałam mu kilka pięknych waz z Sèvres i tkanin z manufaktury Gobelinów. Król podziękował nam za gościnę, a potem zupełnie nas zaskoczył.

- Chciałbym zaprosić wasze wysokości do odwiedzenia mnie na moim dworze. Aby udzielić mi pomocy w stworzeniu mojego szwedzkiego Wersalu.

- Może kiedyś się wybierzemy - odparł krótko Ludwik.

- Och, sire, źle mnie pan zrozumiał. Chciałbym, aby wizyta doszła do skutku jak najszybciej. Jeszcze tego lata.

- To niemożliwe - rzekł Ludwik. - Jestem potrzebny tutaj.

- Wizyta nie potrwa dłużej niż kilka tygodni.

- Kilka tygodni trzeba jechać do waszego dalekiego kraju. Nie! Nie mogę.

Kręciło mi się w głowie. Szwecja. Axel. Czas z nim spędzony.

Król Gustaw spojrział na mnie, a potem na Ludwika.

- To smutne, że wasza wysokość nie znajdzie czasu. Ale może wasza łaskawa królowa mogłaby odbyć tę podróż? Jej rady dotyczące wystroju mojego nowego pałacu byłyby bezcenne. Królowa ma tak doskonały gust. Uśmiechnęłam się.

- Bardzo bym chciała odwiedzić wasz piękny kraj. Widziałam, że Ludwik jest zupełnie zaskoczony takim obrotem spraw. Poruszał nerwowo ustami i zmrużył małe oczka. W pokoju panowała cisza, gdy zastanawiał się nad decyzją. Nie miałam odwagi spojrzeć na Axela.

Wreszcie Ludwik wydusił odpowiedź.

- Tak! Może jechać, ale tylko na miesiąc lub dwa. Musi wrócić, zanim zrobi się zimno.

Chciałam powiedzieć, że w Szwecji zawsze jest zimno, ale szybko zmieniłam zdanie.

- Wasza wysokość jest niezwykle łaskawy - powiedział Gustaw, a potem zwrócił się do mnie. - Zrobimy co w naszej mocy, by poczuła się pani u nas jak w domu, moja droga.

Ucałował moją dłoń, skłonił się Ludwikowi, który odpowiedział mu skinieniem głowy, i wyszedł. Jeden po drugim członkowie królewskiej świty całowali moją wyciągniętą dłoń - jako ostatni zrobił to Axel. Kiedy się wyprostował, uśmiechnął się do mnie i mrugnął.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

20 czerwca 1780

Według mojego zegarka jest środek nocy, ale za oknem niebo jest jasne. Nie jak w południe, ale na tyle, że można czytać. Co za niezwykle miejsce. I jakich niezwykle zmian dokonuje we mnie!

Jestem w pałacu Drottningholm w Szwecji od blisko trzech tygodni. Codziennie odbywam konsultacje z głównymi pałacowymi architektami i dekoratorami dotyczące wykonywanych napraw i renowacji. Król Gustaw stale prosi mnie o radę w wielu różnych sprawach, nie tylko wyglądu pałacu. Pyta, jak nakrywa się w Wersalu do stołu i ile podaje się potraw, gdy król je publicznie obiad. W moim małym podróznym orszaku przywiozłam inżynierów, stolarzy i ogrodników. Odpowiadali na setki pytań Gustawa związanych z pałacową kanalizacją i naprawą fontann, użytecznością słoneczników do zwalczania komarów oraz metodami krycia dachów strzechą.

W całym moim życiu jeszcze nikt nigdy nie zwracał się do mnie tak często o radę i pomoc. I okazało się, że bardzo mi się to podoba! Ludwik oczywiście polega na mnie w dużym stopniu, ale prosi mnie o pomoc tylko od czasu do czasu. Pomiedzy jego atakami paniki mija dużo czasu. Nie mogę mu jednak dać tego, czego najbardziej potrzebuje. Nie mogę wzmocnić mu kręgosłupa ani podbudować jego pewności siebie. Mogę go tylko wspierać swoją obecnością i troską, co podnosi go na duchu do czasu, gdy ogarnie go następna fala strachu.

Muszę postarać się zasnąć, choć jest to trudne, nawet gdy kotary zasłaniają słońce świecące jasno o północy.

27 czerwca 1780

W tym tygodniu codziennie po południu Gustaw wzywał grupę urzędników lub uczonych, by rozmawiać z nimi o ważnych sprawach. Zaprosił mnie, bym uczestniczyła w takim spotkaniu. Przybył też Axel, aby brać udział w dyskusjach i się uczyć, gdyż Gustaw oczekuje, że pewnego dnia zostanie jego głównym doradcą. Ze względu na mnie rozmawiali po francusku, ale używali jakiejś dziwnej odmiany i nie wszystko rozumiałam, zwłaszcza gdy mówili szybko. Axel nauczył mnie kilku słów i zwrotów po szwedzku, umiem więc policzyć do dziesięciu i nazwać dni tygodnia oraz powiedzieć „Proszę”, „Dziękuję” i „Miło mi poznać”.

Nie mam pojęcia, dlaczego rozmawia się o tych wszystkich ważnych sprawach w

mojej obecności. Gustaw mówi, że chce się dowiedzieć, co robią i myślą Francuzi. I szuka odpowiedzi u mnie. Zaznaczam od razu, że nie jestem Francuzką, lecz Austriaczką. On jednak twierdzi, że przez małżeństwo stałam się Francuzką.

Wydaje mi się, że Gustaw chce mi zaimponować, a jednocześnie dużo się dowiedzieć o Francuzach, ich stylu życia i podejściu do różnych spraw. Axel mówi, że mam rację.

7 lipca 1780

Tęsknię za moją małą Mousseline, ale lepiej, że jej tu nie ma. Jest przecież taka delikatna, a szwedzka pogoda jest bardzo zmienna. Otrzymuję wieści o niej co dwa, trzy dni, a Chambertin pisze mi o Ludwiku. Sam Ludwik napisał do mnie tylko trzy listy, wszystkie bardzo krótkie. Do ostatniego dołączył fiolkę z syropem z maku, żebym mogła zasnąć w czasie długich jasnych nocy. Nie wiem, dlaczego to zrobił, chyba wydaje mu się, że Szwecja jest tak zacošana, że aptekarze nie mają syropu z maku. Ale to bzdura. Tutejsze sklepy są bardzo dobrze zaopatrzone we wszystkie leki, jak również w piękne futra, ciepłe kurtki, czapki i rękawiczki.

4 lipca 1780

W nadchodzących dniach król Gustaw będzie zajęty obradami Riksdagu, szwedzkiego parlamentu, więc Axel zaprosił mnie do swojej posiadłości Fredenholm, co znaczy Pałac Pokoju.

3 lipca 1780

Przybyliśmy tutaj wczoraj po długiej podróży przez gęsty las i pokryte śniegiem pola. Chociaż jest lipiec, tutaj pada śnieg i są takie tereny, na których nigdy nie topnieje. Okolice jest bardzo piękna, nietknięta, i mieszka tu niewielu ludzi. Otaczają ją olbrzymie lasy jodłowe i sosnowe oraz wiele małych błękitnych jezior, a w powietrzu szybują skowronki i zięby. Czyste i świeże powietrze zupełnie mnie przytłacza. Stale napęlam nim płuca. Nie mogę się go nawdychać.

Posiadłość Axela to ogromne, liczące sześćset akrów gospodarstwo. Dzierżawi pola dziesięciu rodzinom, które mieszkają tutaj od początku szesnastego wieku. Kiedyś byli chłopami pańszczyźnianymi, ale jego dziadek ich wyzwolił i teraz są dzierżawcami, choć nadal traktują Axela jak pana jest bardzo zmienna. Otrzymuję wieści o niej co dwa, trzy dni, a Chambertin pisze mi o Ludwiku. Sam Ludwik napisał do mnie tylko trzy listy, wszystkie bardzo krótkie. Do ostatniego dołączył fiolkę z syropem z maku, żebym mogła zasnąć w czasie długich jasnych nocy. Nie wiem, dlaczego to zrobił, chyba wydaje mu się, że Szwecja jest tak zacošana, że aptekarze nie mają syropu z maku. Ale to bzdura. Tutejsze sklepy są bardzo dobrze zaopatrzone we wszystkie leki, jak również w piękne futra, ciepłe kurtki,



czapki i rękawiczki.

4 lipca 1780

W nadchodzących dniach król Gustaw będzie zajęty obradami Riksdagu, szwedzkiego parlamentu, więc Axel zaprosił mnie do swojej posiadłości Fredenholm, co znaczy Pałac Pokoju.

5 lipca 1780

Przybyliśmy tutaj wczoraj po długiej podróży przez gęsty las i pokryte śniegiem pola. Chociaż jest lipiec, tutaj pada śnieg i są takie tereny, na których nigdy nie topnieje. Okolice jest bardzo piękna, nietknięta, i mieszka tu niewielu ludzi. Otaczają ją olbrzymie lasy jodłowe i sosnowe oraz wiele małych błękitnych jezior, a w powietrzu szybują skowronki i zięby. Czyste i świeże powietrze zupełnie mnie przytłacza. Stale napełniam nim płuca. Nie mogę się go nawdychać.

Posiadłość Axela to ogromne, liczące sześćset akrów gospodarstwo. Dzierżawi pola dziesięciu rodzinom, które mieszkają tutaj od początku szesnastego wieku. Kiedyś byli chłopami pańszczyźnianymi, ale jego dziadek ich wyzwolił i teraz są dzierżawcami, choć nadal traktują Axela jak pana i przychodzą do niego, by rozwiązać problemy czy rozstrzygnąć spory.

Postanowiłam nie zabierać ze sobą służby, więc sama się ubieram i bardzo prosto upinam włosy. To wielka ulga, jeśli można zrezygnować z trwającej całymi godzinami toalety, gdy przez cały czas siedzę przed lustrem z moim fryzjerem André. Czuję, że jestem bardziej sobą, że nareszcie żyję.

1 lipca 1780

Dziś rano obudził mnie trzask rąbanego drewna, a kiedy podeszłam do okna, zobaczyłam, że Axel podwinął rękawy płóciennej koszuli i ciężko pracuje. Metodycznie skończył rąbać stos, który leżał przed nim, i zaniósł polana do domu, gdzie niebawem rozpałił wielki ogień w ogromnym kaflowym piecu poczeriałym od sadzy. Dom jest na tyle mały, że do ogrzania go wystarczy jeden piec, który dostarcza też ciepłej wody i pozwala ugotować jedzenie. Zjedliśmy śniadanie złożone ze świeżego chleba, sera z mleka renifera i ryby złowionej wczoraj wieczorem w jeziorze, a na deser maliny moroszki zebrane z krzaków przy drzwiach.

Po południu zapakowaliśmy kosz jedzenia i poszliśmy na spacer na wzgórze. Trudno powiedzieć, jak długo chodziliśmy, dopóki światło się nie zmieniło. Kiedy Axel spozjrzał na zegarek, było już po szóstej. Rozłożyliśmy koc na suchym miejscu z widokiem na jezioro i usiedliśmy.

- No, mój aniele - powiedział, gdy zaczęliśmy jeść.

- Jak ci się tu podoba?

- Jest bardzo pięknie i spokojnie. A przede wszystkim bardzo prosto. To mi się podoba najbardziej.

Skinął głową.

- Tak prosto, że aż nudno. Ale jest tutaj coś, jakaś czystość, która stale mnie przyciąga. Spędzam tu lato od czasu, gdy byłem chłopcem. Uwielbiam ten spokój, samotność. Niedaleko mnie mieszkają kuzyni, a moja siostra nauczycielka uczy w szkole w wiosce. Robi tam dużo dobrego.

- Jak ty.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Podążam śladami ojca. Był żołnierzem, dyplomata i mężem stanu. Nigdy nie uda mi się mu dorównać.

Przez chwilę milczeliśmy, obserwując stado gęsi, które osiadło na jeziorze. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam: setki czarnych, szarych i białych ptaków, wszystkie identyczne, wylądowały na wodzie jakby w szyku, głośno gęgały i skubały się nawzajem.

- Jest mi tu dobrze - rzekł po chwili Axel. - Odżywam. Na świeżym powietrzu i przy ciężkiej pracy. Kiedy jestem we Fredenholm, nie żałuję wczorajszego dnia i nie wypatruję następnego. Żyję dniem dzisiejszym i upajam się tym. Może dlatego mój ojciec osiadł tu na starość. Aby cieszyć się każdym dniem. Na koniec był bardzo chory, umierał na suchoty. Prawie nie mógł jeść i straszliwie kaszłał. A jednak lubił latem siadywać wśród drzew z wielkim wilczurem u stóp. Odnalazł tu spokój.

Axel położył głowę na moim łonie i gładziłam go po jasnych włosach. Nigdy wcześniej nie rozmawiał ze mną na tak intymne tematy, nie mówił o swojej rodzinie. Ja często opowiadałam mu o mamam, moich braciach i siostrach, zwłaszcza o Józefie i Karolinie.

Jedno imię zawisło między nami niewypowiedziane: Ludwik. Nie wspominaliśmy o nim, ale wiedziałam, że towarzyszy nam w myślach, gdy trzymając się za ręce, w nasilającym się deszczu, wracaliśmy stromą ścieżką do ciepłego zacisza Fredenholm.

I lipca 1710

Uczę się nazw grzybów. Także tych, których nie wolno jeść. Jest ich tyle gatunków: pieprznik, maślak, szary sromotnik i trujący kielichowiec pomarańczowy, który świeci w ciemności, tylko że tu nigdy nie jest ciemno, więc jak można to sprawdzić?

Z każdym spędzonym tutaj dniem czuję się lepiej, jestem szczęśliwsza i bardziej odprężona.

11 lipca 1710

Wczoraj jeden z dzierżawców Axela ożenił się i poszliśmy na wesele. Poprosiłam o pożyczanie czerwonej spódnicy i białej koszuli, jakie noszą chłopki, i przyniesiono mi ją razem z miękkimi filcowymi butami i girlandami róż, które miałam nieść.

Dołączyliśmy do setek gości, którzy przybyli z sąsiednich wiosek. Grały dwie kapele, a my tańczyliśmy razem z innymi, starając się naśladować kroki. Potykaliśmy się przy tym i śmiali. Kobiety śpiewały w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam, wydając z siebie przeciągłe, niesamowite dźwięki, które przypominały walczące koty. Wszystko było bardzo głośne i pełne radości.

Czułam się taka wolna. Nikt nie miał pojęcia, kim jestem; wiedzieli tylko, że jestem szlachcianką z zagranicy, przyjaciółką lub krewną Axela. Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, że mogę być królową. Gdy nadeszła moja kolej, by zatańczyć solo (które, muszę przyznać, miało więcej z kadryla niż z wiejskiego tańca), przesunęłam się do środka kręgu tańczących, a wszyscy klaskali w dłonie i wesoło pokrzykiwali. Bawiłam się doskonale! Wirowałam w pożyczonej spódnicy, w pożyczonych butach, tupiąc na ostrych kamieniach i twardej trawie, z rozplecionymi włosami powiewającymi na świeżym letnim powietrzu. I miałam przy sobie Axela, który klaskał w dłonie, tańczył i uśmiechał się do mnie z aprobatą.

Otwarto beczki miejscowego cydru i ciężki napój lał się strumieniami. Panna młoda, hoża wiejska blondyna licząca sobie szesnaście lat, raz po raz napełniała mi szklanekę. Jedliśmy kawior i piliśmy czerwone wino, a co kilka minut tłum zaczynał gwizdać i klaskać w dłonie, nie przestając, dopóki para młoda się nie pocałowała. Pocałunki w Szwecji są bardzo głośne i dużo przy nich cmokania.

W środku nocy jeden z wieśniaków odwiózł nas do Fredenholm drewnianym wozem pachnącym sianem i gnojem. Axel trzymał mnie w ramionach, gdy wóz podskakiwał na wyboistej drodze. Opierałam się o niego, a w głowie kręciło mi się od wina i cydru. Byłam zmęczona tańcem i przepelniona miłością do świata. Pomyślałam, że to najszczęśliwsza noc w moim życiu.

15 lipca 1780

Dwa dni temu wyruszyliśmy w drogę powrotną do Drottningholm. Wyjeżdżałam ze smutkiem. Najpierw pojechaliśmy do miasta, a potem skierowaliśmy się na południe przez gęsty las. Zrobiło się bardzo zimno i zaczął padać deszcz. Dwa razy karetka musiała wjechać na duży prom, by przebyć jezioro.

Pod koniec dnia w karecie złamała się oś i musieliśmy przejść w deszczu do jedynego pobliskiego schronienia, którym okazała się mała tawerna ze spadzistym dachem iścianami,

które pochylały się do środka pod dziwnym kątem. Żal mi było biednych koni, które musiały stać ze spuszczoneymi łbami w ulewnym deszczu, podczas gdy naprawiano pojazdy.

Usiedliśmy z Axelem koło ognia przy niskim, odrapanym stole i zamówiliśmy wino, chleb i ser. Wypiliśmy wino i czekaliśmy na woźnicę, aby oznajmił, że naprawiono złamaną oś. Minęła jednak godzina, potem druga, a on się nie pojawiał. Deszcz nadal walił o dach tawerny i do środka wszedł staruszek o lasce, przemoczony i obszarpany. Był ślepy, a jego niewidzące oczy zwrócone były na sufit. Dotarł po omacku do ognia i wyciągnął ręce, by je ogrzać.

- Tutaj, ojczulku, wypij to i rozgrzej się. - Właściciel tawerny poprowadził staruszkę do stołu obok nas i postawił przed nim dzban. - Francuska dama i elegancki pan dotrzymają ci towarzystwa - dodał. - Uważaj jednak, co mówisz.

- Francuska dama i elegancki pan - powtórzył po francusku staruszek. - No dobrze, niech ich Bóg błogosławi. W swoim czasie im służyłem. Walczyłem dla francuskiego króla, starego Ludwika, pod Fontenoy i Raucoux. Ale nie tam straciłem wzrok. To stało się w więzieniu, podczas bójki. Nie oglądam świata od trzydziestu siedmiu lat. Co chcielibyście państwo usłyszeć? Francuską piosenkę wojskową? Pieśń żałobną? Choć straciłem wzrok, wiele widzę. Moje wewnętrzne oko podpowiada mi, że to powinna być pieśń żałobna.

Zadrzałam na dźwięk jego słów. Nie, tylko nie kolejna śmierć!

Axel dał staruszkowi kilka monet. Wypił piwo i odszedł. W końcu pojawił się woźnica, by powiadomić nas, że oś została naprawiona, i ruszyliśmy dalej.

17 lipca 1780

Zeszłej nocy rozpętała się burza i nie mogliśmy dotrzeć do posiadłości, w której Axel zamówił dla nas nocleg. Zatrzymaliśmy się więc w domu wieśniaków, którzy ugościli nas, jak najlepiej potrafili.

Powitała nas chuda, przygarbiona kobieta. Jej oczy lśniły, a dziąsła były prawie bezzębne. Miała burą spódnicę, znoszoną i połataną, a rzadkie siwe włosy zakryła kawałkiem szmaty. Wskazała nam miejsce przy wielkim piecu, gdzie na pryczach leżało jakieś dwadzieścia osób. Z kilku kołysek stojących w jednym rogu izby dobiegało kwilenie niemowląt.

Weszłam do wielkiej ciepłej izby i zachnęłam się. Na porażający smród składał się zapach ryb, kapusty, śmieci, tytoniu i otwartych ścieków, jak te w Wersalu. I odór długo niemytych ciał leżących w brudnych ubraniach.

Wszyscy wpatrywali się w nas, gdy szliśmy do stołu, na który kobieta podała nam kapuśniak z pływającymi w nim głowami ryb i bochenek ciemnego chleba. Na widok oczu

martwej ryby, które patrzyły na mnie z talerza, i tłuszczu pływającego na powierzchni zupy, przewróciło mi się w żołądku; Z grzeczności zjadłam kilka łyżek zupy i kawałek chleba. Zauważyłam, że Axel jadł łapczywie, jakby siedział przy stole u króla Gustawa.

Kiedy starałam się jeść, nie mogłam się powstrzymać i spoglądałam w stronę ludzi leżących na pryzach. Nie spali - nasze przybycie najwyraźniej ich obudziło - i nie spuszczały wzroku z naszego jedzenia, obserwując uważnie każdą łyżkę zupy i każdy kęs chleba. Ich twarze były wychudzone i wszyscy mieli w oczach wyraz pustki, nawet dzieci. Kilku mężczyzn pociągało z metalowego kubka, który przechodził z rąk do rąk. W powietrzu unosił się zapach alkoholu, razem z zapachem palonego drewna i ludzkich odchodów. Wielkie czarne karaluchy spacerowały po wytartych kocach i po podłodze u moich stóp.

Stara kobieta, która nas powitała i przyniosła nam jedzenie, zajęła się przygotowywaniem dla nas posłania. Przyciągnęła do pieca kilka długich ław i położyła na nich deski. Na wierzch narzuciła bardzo starą, brudną kołdrę i stos szmat.

Szybko się najadłam i ku swemu przerażeniu poczułam, że muszę się wypróżnić. Ale nie było mowy o żadnej prywatności. Nie mogłam nie zauważyć, że inni korzystali na oczach wszystkich ze śmierdzących nocników, które stały pod pryzami.

- Madame - zwróciłam się do naszej gospodyni łamanym szwedzkim - czy mogłabym gdzieś... - Wskazałam jeden z nocników.

Skinęła głową ze zrozumieniem i ująwszy mnie za rękę, wyprowadziła na zewnątrz. Nadal mocno padało i po grząskim błocie przeszliśmy do szopy. Kobieta zaprowadziła mnie do pustej zagrody dla konia i wskazała pokrytą słomą ziemię. Potem mnie zostawiła.

Uświadomiłam sobie, że okazała mi wielki szacunek i była bardzo miła. To było najlepsze, co mogła mi zaoferować. Samotność i względną czystość. Stajnia, z odorem łajna i zwierzęcych oddechów, pachniała o wiele lepiej niż dom. Ale było tam też straszliwie zimno. Szybko zrobiłam, co chciałam zrobić, i wróciłam do ciepłej, ogrzewanej przez piec izby.

Pod moją nieobecność wywiązała się bójka. Ludzie zeszli z pryz i bili się o resztki mojego jedzenia. Jeden pijany mężczyzna bił kobietę i krzyczał na nią. Zobaczyłam, jak chłopiec z wykrzywioną dziko twarzą chwycił złotego kota i rzucił nim o ścianę. W całym tym zamieszaniu wstała stara kobieta i z pochyloną głową zaczęła odmawiać modlitwę. Zrozumiałam tylko dwa zdania, które zdawała się powtarzać raz po raz.

- Gniew Pana wisi nad nami! Zachowaj nas przed gniewem Pana!

Wstrząśnięta obserwowałam mroczną scenę. Bardzo chciałam interweniować, ale byłam bezradna. Poczułam łzy płynące po twarzy. Mogłam zrobić tylko jedno. Kiedy ranny złoty kot podszedł do mnie, podniosłam go i przycisnęłam mocno do piersi. Poczułam, jak

wbija we mnie ostre pazury, ale zignorowałam ból, gdyż bardzo chciałam go ochronić.

Axel pospiesznie podziękował staruszce za gościnność i wręczył jej garść monet, którym przyglądała się tak bacznie, że nie zauważyła, jak wyszliśmy. Axel chwycił wystrzępiony koc z przygotowanego dla nas posłania, otulił nim mnie i kota i wyprowadził na zewnątrz w deszcz.

Byłam zbyt zdrętwiała, by mówić lub myśleć. Pozwoliłam mu prowadzić się błotnistą drogą i słuchałam jego zapewnień, że na pewno niedługo znajdziemy jakieś inne schronienie. Nadal padał deszcz, choć już nie tak ulewny, a po niecałym kilometrze doszliśmy do opuszczonej chaty, gdzie spędziliśmy noc skuleni na drewnianej podłodze, przemoczeni i zmarznięci, z przytulonym do nas kotem.

20 lipca 1780

Moje cenne chwile z Axelem powoli dobiegają końca. Za dwa dni muszę wracać do Francji, bo nie było mnie tam dłużej, niż przewidywałam. Bardzo tęsknię za Mousseline. Kiedy przybyliśmy do Drottningholm, czekało tam na mnie pięć listów, w których przeczytałam, że Mousseline zaczęła mówić „daj”, „nie” i „zrób to” oraz wymawia imię małego mopsa, którego nazwałam na cześć mojej kochanej starej Mufti.

Chambertin pisał, że pod moją nieobecność Ludwik jest rozdrażniony. Dwa razy zamknął się w swoim warsztacie z koszem ciastek i przez kilka dni odmawiał wyjścia. Nikt nie mógł go do tego namówić. Ministrowie byli w rozpacz, bo trwały bardzo ważne rozmowy dotyczące wojny w Ameryce i obecność króla na obiadach i przyjęciach dla ambasadorów była niezbędna. Chambertin twierdził, że tylko ja mogę nakłonić Ludwika do wypełniania obowiązków. Przy mnie jest mniej nieśmiały i zbuntowany i chętniej robi to, czego się od niego oczekuje.

Król Gustaw oprowadził mnie i Axela po pałacowych pokojach, które odnawia, żebym mogła obejrzeć efekt moich wskazówek. Rzemieślnicy ciężko pracowali, a rezultaty ich prac są naprawdę imponujące. Gustaw hołduje wystrojowi w rzymskim i greckim stylu ze żłobionymi kolumnami, pompejańskimi fryzami i mozaikami z kawałków szkła. Jeden z pokoi, które pomogłam zaplanować, był niemal gotowy i efekt okazał się uderzający. Ciemnoniebieskie ściany, białe doryckie kolumny, białe tynki rzeźbione w antyczny wzór kwiatów i owoców. Znajdą się tam pasujące do wystroju ciemnoniebieskie dywany oraz sufit pomalowany przez włoskiego artystę z Werony. Ma przybyć w przyszłym tygodniu, już po moim wyjeździe, więc nie będę miała okazji go poznać.

Kiedy przechodziłam przez ogromne, bogato zdobione pokoje, jedna myśl coraz bardziej nie dawała mi spokoju. Dlaczego król miałby mieszkać w takim przepychu, gdy jego

poddani żyją w biedzie, wiele rodzin koczuje ściśniętych w jednej brudnej, śmierdzącej izbie z nagimi ścianami i przeciekającym sufitem? Kilka godzin spędzonych wśród chłopów ogromnie mną wstrząsnęło. Nawet gdy szłam wśród wspaniałości pałacu króla Gustawa, nie opuszczał mnie obraz ciemnych izb, głodnych twarzy, bójek i brutalności, które oglądałam na własne oczy. Odwróciłam się do Axela.

- Pamiętasz ludzi, z którymi jedliśmy, kiedy tak bardzo padało? - zapytałam. - Co można dla nich zrobić? Są tacy biedni...

Ku memu zaskoczeniu Axel tylko wybuchnął śmiechem.

- To byli bogaci chłopci. Mieli duży dom, zwierzęta, jedzenie. Powinnaś zobaczyć, jak żyją biedni.

Króla Gustawa zaciekała nasza rozmowa, więc Axel wyjaśnił mu, że byliśmy zmuszeni poszukać schronienia u wieśniaków.

- Chyba nigdy nie widziałas, jak żyją chłopci - rzekł do mnie król.

- Tylko z okna karety.

- Życie nie oszczędza tych, którzy urodzili się w biedzie.

- Czy nie ma sposobu, by poprawić ich byt?

- Król Gustaw już to zrobił - odparł lojalnie Axel.

- Zakazał tortur. Nikogo nie wolno skazać na śmierć za popełnione zbrodnie. Zreformował państwowe finanse. Podatki są niższe, a chłopci mogą teraz, jeśli tylko ich na to stać, wykupić swoją ziemię i mieć ją na własność jako wolni ludzie.

- Ale mimo to jest jeszcze tyle nieszczęścia!

Szliśmy dalej przez malachitową jadalnię ze ścianami pokrytymi pięknym zielonym kamieniem, a na koniec weszliśmy do kryształowego salonu, gdzie dziesiątki błyszczących kandelabrow łśniły w słońcu i rzucały refleksy na złocone ściany.

Axel wydawał się zamyślony. Na koniec wzruszył ramionami.

- Kocham i podziwiam chłopów. Żyłem wśród nich przez całe moje życie. Ale oni są jak dzieci. Przechodzą przez życie nieświadomi i słabi, nie umiejąc wznieść się ponad swój stan. Nie potrafią niczego osiągnąć, mogą tylko ciężko pracować. Dla większości mężczyzn alkohol jest jedyną pociechą. Dla kobiet jest nią religia.

- Daj spokój. Jesteś zbyt pesymistyczny. Okolica się zmienia, nawet tutaj. Ulepszamy metody pracy. Plony są coraz wyższe. Ludzie jedzą lepiej i żyją dłużej. Jeśli tylko natura im sprzyja, dając dobre zbiory, już za naszego życia dojdzie do poprawy. Ciała i umysły będą zdrowsze. Tymczasem, moja droga - zwrócił się do mnie król - możesz przekazać biednym swoje kolczyki z perłami.

Dotknęłam uszu. Rzeczywiście nosiłam kolczyki z pereł, choć nie te największe.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział Axel - bo się pozabijają, żeby zdobyć perły.  
Rzucanie pereł przed wieprze tylko wyrządza krzywdę.

Nie spierałam się ani z Axelem, ani z królem. Ale obiecałam sobie, że kiedy wrócę do Wersalu, zadbam o to, by wysłano trochę pieniędzy szwedzkim chłopom. I podwoję ilość chleba, którą abbé Vermond rozdaje u bram pałacu.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

21 listopada. 1780

Moja najdroższa, najukochańsza maman nie żyje.

Pisanie przychodzi mi z trudem, jestem taka nieszczęśliwa. Spoglądam w lustro i widzę kogoś, kogo nie poznaję. Kobieta ze ściągniętą twarzą, poszarzałymi policzkami i bardzo smutnymi oczami. Czy kiedykolwiek będę znów jeść? Czy będę w stanie myśleć, poruszać się i cieszyć z czegokolwiek?

Dzień po dniu spędzam w ciemnych pokojach, których okna zasłaniają czarne aksamitne kotary. Nie mogę nic robić, tylko szlocham, czytam Biblię i zapalam świece za duszę maman. Biedna Mousseline płacze. Nie pojmuję zmiany, jaka we mnie zaszła. Abbé Vermond przychodzi się ze mną modlić, ale dla mnie nie ma już żadnej pociechy. Raz po raz czytam listy od Józefa i Anny, w których opisali ostatnie dni maman. Chciała umrzeć od dawna. W ostatnim tygodniu życia uszyła dla siebie całun z białego jedwabiu z wyhaftowanym herbem cesarskim.

Gdyby tylko zamiast szykować się do pogrzebu, napisała do mnie ostatni list! Gdyby tylko pochwaliła mnie, że tak bardzo się staram w tym trudnym życiu! Jakże ceniłabym sobie ten dowód jej miłości i aprobaty.

To smutne Boże Narodzenie. Pałac jest nadal w żałobie po śmierci wielkiej cesarzowej i nasze zwykłe uroczystości są znacznie skromniejsze. Codziennie chodzimy na mszę, zapalam świeczkę dla maman i modlę się z abbé Vermondem, który w okresie mojego smutku był mi bardzo oddany.

Czasami nie czuję nic. Jestem pozbawiona wszelkich uczuć. To straszne.

4 stycznia. 1781

Próbuję zająć się projektem, który przyszedł mi do głowy jeszcze przed śmiercią maman. Postanowiłam zrobić coś więcej, a nie tylko mówić o biedzie chłopów. Sprzedam moją najcenniejszą rzecz: wielki żółty brylant nazywany Słońcem Habsburgów, a pieniądze rozdram najbiedniejszym. Kazałam więc przynieść go z pałacowego sejfu, gdzie trzymane są wszystkie moje klejnoty.

Przez ostatnich kilka dni nawiedzało mnie wspomnienie ślepego starego żołnierza, którego spotkaliśmy z Axelem w szwedzkiej tawernie. Chciał nam zaśpiewać piosenkę i powiedział coś takiego: „To powinna być pieśń żałobna”. Czy miał jakieś przeczucie dotyczące śmierci maman? Skąd mógł wiedzieć?

Żółty kot, którego przywiozłam ze Szwecji, tyje i dochodzi do zdrowia na tłustej śmietance i słodkich przysmakach. Jest głuchy na jedno ucho i jedną łapę ma wykrzywioną, ale poza tym wrócił już do formy. Maman miała żółtego kota, który zawsze siedział na jej biurku. Ten mi o niej przypomina.

Dochodzę do siebie po wielkim wstrząsie. Posłałam Zofię po wodę pomarańczową i eter, żeby się uspokoić. Wydarzyło się coś strasznego i nie wiem, do kogo się zwrócić. Axel wyjechał. Gdyby tylko był tu Józef! Ale chyba nie odważę się mu o tym powiedzieć. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, może z tego wyniknąć dużo zła.

Nie wiem, czy bezpiecznie jest pisać o tym w moim dzienniku. Ale przemyślałam to, popijając wodę pomarańczową oraz eter, i wreszcie postanowiłam, że muszę gdzieś opisać, jak było naprawdę.

Jestem niemal pewna, że zeszłego lata w czasie mojego pobytu w Szwecji Ludwik zabrał Słońce Habsburgów i zastawił je u bogatego genewskiego lichwiarza, z którym poznał się przez bankiera Neckera. Odkryłam to, gdy kazałam przynieść klejnot z sejfu i wezwałam monsieur Christofle'a, jubilera z Paryża, żeby go wycenił. Powiedział mi, że to nie brylant, lecz imitacja ze strasu!

Początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy jednak wypytałam głównego strażnika sejfu, powiedział mi w końcu, że w czerwcu zeszłego roku król kazał sobie przynieść Słońce Habsburgów i oddał je do sejfu dopiero po miesiącu. Na miejsce musiała wrócić imitacja.

Zapytałam Chambertina, który wie niemal wszystko, co robi i mówi Ludwik, i przyznał, że Necker przyprowadził Szwajcara na poranne przyjęcie Ludwika, a później pod strażą dostarczono temu mężczyźnie paczkę. Chambertin jest godny zaufania. Nie powie o tym nikomu. Muszę mieć pewność, że nie dowie się o tym nikt ze służby i niczego nie zacznie podejrzewać. Jeśli rozejdą się plotki, że Ludwik zastawił mój cenny klejnot, wszyscy uznają, że skarbiec jest pusty, a rząd nie jest w stanie spłacić wielkich pożyczek, jakie zaciągnął monsieur Necker. Pożyczek w wysokości milionów franków. Zostanie to też zinterpretowane jako obraza imperium austriackiego, co może rozgniewać mojego brata Józefa, który jest teraz cesarzem. I wywoła wielki skandal wokół samego Ludwika, którego potraktują jak złodzieja.

Bo jest złodziejem i zamierzam mu o tym powiedzieć prosto w twarz.

7 stycznia 1781

Po długich poszukiwaniach nareszcie znalazłam Ludwika na strychu, gdzie kucając na podłodze, naprawiał zamek przy długo nieużywanych drzwiach. Na strychu było bardzo zimno, włożył więc stary płaszcz ojca, tak zniszczony i wytarty, że w niektórych miejscach

zupełnie poszarzał.

Kiedy usłyszał moje głośnie, wyrażające gniew kroki, odwrócił się do mnie, kuląc się ze strachu z wyrazem przerażenia na twarzy. Ignorując etykietę, jak zwykle gdy jesteśmy sami, podeszłam prosto do niego i spojrzałam w przerażone oczy.

- Wiem, co zrobiłeś. Ukradłeś Słońce Habsburgów! Zastawiłeś je. A do sejfu włożyłeś podróbkę ze strasu. Ukradłeś najcenniejszą rzecz w moim posagu. Oszukałeś mnie. Zaryzykowałeś skandal, dyshonor oraz sojusz między Francją i Austrią!

Siedząc w płaszczu na zakurzonej podłodze, zaczął płakać. Jego twarz zmarszczyła się jak u Mousseline, kiedy wie, że była niegrzeczna i musi zostać ukarana. Jego słabość rozgniewała mnie jeszcze bardziej. Zaczęłam chodzić tam i z powrotem po strychu.

- Przestań się zachowywać jak dziecko! Wstań i porozmawiaj ze mną jak mężczyzna!

Z ciężkim westchnieniem i ogromnym wysiłkiem podniósł swą zwalistą postać z podłogi i oparł się o drzwi. Nie patrzył na mnie.

- Mam tyle wad, których nie potrafię ci wytłumaczyć. Wstydzę się tego, co zrobiłem, ale nie miałem wyjścia. Necker przyszedł do mnie razem z innymi. Trzeba było zapłacić odsetki od pożyczek. Okazało się, że źle wszystko obliczyli. Nie było pieniędzy na spłatę. Nie mogłem na to pozwolić. - Jego głos brzmiał smutno i błagalnie.

- Ale korona francuska ma wiele własnych skarbów. Skrzynie złota, klejnoty twojej matki i babki, obrazy, rzeźby...

- Sprzedaję rzeczy należące do korony od sześciu lat, odkąd zostałem królem. Wcześniej sporo sprzedał mój dziadek. Wiele wystawionych dzieł sztuki to kopie. A wiele klejnotów to stras.

- Nie miałeś prawa wziąć bez pytania tego, co należy do mnie!

Wreszcie na mnie spojrzał.

- A gdybym zapytał, dałabyś mi swój cenny klejnot?

- Nie. Nigdy.

- Naturalnie. Musiałem więc wziąć go ukradkiem. Byłem pewny, że kopia, którą zamówiłem, jest idealna. Pomyślałem, że nigdy się nie dowiesz. Nigdy nie zdecydowałbym się zastawić Słońca Habsburgów, ale Necker znał człowieka, który zawsze go pragnął. Mieszka w Genewie, dużo handluje na giełdzie. W zamian za klejnot zaoferował się spłacić wszystkie nasze odsetki. Wtedy myślałem, że uda nam się go spłacić i odzyskać klejnot za rok, najwyżej dwa. Teraz w to wątpię.

Byłam wściekła. Na Ludwika, Neckera, ministrów, którzy mnie nienawidzą i którzy musieli odczuwać prywatną dumę z planu mającego mnie pozbawić najcenniejszego klejnotu.

- Chcę go odzyskać. - Tylko taka odpowiedź przyszła mi do głowy. - W jakiś sposób chcę go odzyskać.

Zostawiłam Ludwika, obraz nędzy i rozpaczy, i odeszłam. Wróciłam do swych apartamentów, nadal pełna gniewu i zrozpaczona. Dopiero po kilku godzinach opanowałam się na tyle, by spotkać się z Loulou i Zofią i wydać niezbędne polecenia dla mojego gospodarstwa.

15 stycznia 1781

Dużo myślałam o oszustwie Ludwika i w końcu uświadomiłam sobie, że okazałam się bardzo egoistyczna.

Tak, Ludwik mnie oszukał. Powinien był przyjść i wyjaśnić, dlaczego uważa, że nie ma innego wyjścia i trzeba zastawić klejnot. Poczekał, aż wyjechałam do Szwecji, żeby przeprowadzić swój plan. Jednak ja też zaangażowałam się w oszustwo, podróżując z kochankiem i ciesząc się każdą wspólną chwilą. Choć ryzyko było niewielkie, ja też mogłam wywołać skandal. Gdyby Axel był mniej ostrożny, kiedy się kochaliśmy, mogłam zaryzykować całą sukcesję. Kochana mamana, gdyby jeszcze żyła i poznała prawdę oAxelu, oświadczyłaby, że jestem cudzołożnicą i że powinno się mnie postawić przed Komisją Czystości, udzielając napomnienia. A ojciec Kunibert powiedziałby, że powinnam trafić prosto do piekła.

Wprawdzie Ludwik jest złodziejem, oszustem i słabeuszem, ale ja jestem niewierną żoną, oszukuję tak samo jak on i także jestem słaba, bo uległam sile miłości do Axela.

Czyż nie zawiniliśmy w równym stopniu?

17 stycznia 1781

Wczoraj wypowiadałam się, a potem poszłam do Ludwika, który uciął sobie drzemkę. Wzięłam go w ramiona, powiedziałam, że wybaczam mu zastawienie Słońca Habsburgów i proszę o wybaczenie krzywd, jakie mogłam mu wyrządzić.

Rozplakał się w moich ramionach, ja też miałam łzy w oczach, bo tak naprawdę bardzo lubię Ludwika i jest mi go żal, bo musi być królem, choć tak bardzo tego nie chce.

18 stycznia 1781

Axel zabiera swój pułk do Ameryki. Przed wyjazdem przyszedł się ze mną pożegnać i oboje wiedzieliśmy, że możemy się już nigdy nie zobaczyć. Wielu oficerów ginie w bitwie albo umiera w wyniku odniesionych ran lub choroby. Jeszcze więcej zostaje kalekami do końca życia.

- Ukochana, powiem coś, co może tobą wstrząsnąć - zaczął tuż przed wyjściem. - Kiedy wyjadę, przemyśl to i zapamiętaj. Chodzi o to, że Ludwik nie czuje się najlepiej. Jego

umysł jest słaby. Tacy ludzie są bardzo delikatni i choć wydają się normalni, mogą się rozpaść w każdej chwili. Nie tak dawno przydarzyło się to królowi angielskiemu Jerzemu i równie łatwo może dojść do tego tutaj. Jeśli stan Ludwika się pogorszy, a lekarze uznają, że musi abdykować i ustąpić miejsca księciu Stanisławowi, chcę, byś pamiętała, że ty i księżniczka - miał na myśli Mousseline - zawsze znajdziecie dom w Szwecji. Ze mną.

Podał mi kartkę papieru z wypisanym nazwiskiem dostawcy broni z Paryża. Powiedział, że mogę mu przesłać wiadomość przez tego człowieka. A w nagłym wypadku mogę udać się na dwór króla Gustawa, który powita mnie z radością.

- Józef przyjmie mnie też w Wiedniu - przypomniałam mu.

- Jeśli Austria i Francja nie będą w lepszych stosunkach niż obecnie, lepiej zrobisz, udając się na dwór szwedzki.

Żegnając się z Axelem, czułam, jakby ktoś wrywał mi kawałek serca, a jednak cieszyłam się, że wyjeżdża - nie tylko na wojnę, ale z mojego życia, przynajmniej na jakiś czas. Postaram się nie tęsknić za nim zbyt, nie martwić się o jego bezpieczeństwo ani nie myśleć o jego kochanych łagodnych oczach, ciepłym dotyku, pocałunkach

- zrobię wszystko co w mojej mocy, by być dobrą i wierną żoną.

Postaram się.

10 marca 1781

Moje policzki znów są różowe, a twarz wydaje się znajoma. W zeszłym tygodniu poczułam ostry głód i posłałam Eryka do Szwecji po ser z mleka renifera, w którym bardzo zasmakowałam podczas pobytu w tym kraju. Poprosiłabym też o maliny moroszki, niestety nie jest na nie sezon.

Ludwik przyniósł mi koszyk swoich ulubionych ciastek ze słodkim kremem i migdałami polanych czekoladą. Razem zjedliśmy je wszystkie i razem się potem pochorowaliśmy.

21 marca 1781

Znów jestem przy nadziei. Prawie nikt o tym nie wie, jedynie doktor Boisgilbert, Zofia, Loulou i oczywiście Ludwik. Hrabia Mercy, który ma szpiegów na moim dworze i stale próbuje wyciągnąć informacje od doktora Boisgilberta, może także coś wiedzieć, bo gdy tylko mnie widzi, uśmiecha się pod nosem.

Ogłosimy to niebawem, być może w przyszłym miesiącu.

22 kwietnia 1781

Józef znów nas odwiedzi za kilka miesięcy. Jest bardzo zadowolony, że oczekuję dziecka, i mówi, że tym razem to musi być syn.

Gdybym tylko miała jakieś wieści o Axelu...

72 maja 1781

Karol przyjechał do Petit Trianon swoim zielonym powozem i zaproponował, że zabierze mnie na wyścigi. Odparłam, że jazda będzie zdecydowanie zbyt ostra i mogę stracić dziecko. Został na chwilę i podziwiał renowacje w stylu pompejańskim, które prowadzę w pokojach na górze. Opowiedział mi też o ekscytujących eksperymentach monsieur Montgolfiera, który potrafi sprawić, by ogromny płócienny wór wzbił się w powietrze, płynął nad domami i polami, a potem znów osiadł na ziemi. Karol chce się przywiązać do worka i popłynąć w powietrzu razem z nim.

3 czerwca 1781

Nareszcie otrzymałam wieści o Axelu. Jest bezpieczny i był w obu Karolinach, gdzie Brytyjczycy przejęli ważne miasta. Teraz jest w Wirginii.

20 czerwca 1781

Mousseline zaśpiewała dziś całą piosenkę Frère Jacques i rzuciła talerzem zupy w niańkę. Mówiłam jej, że niebawem będzie miała braciszka lub siostrzyczkę (Boże uchroni!), a to ją bardzo denerwuje. Marszczy nos i jest nieposłuszna.

Maman byłaby wstrząśnięta, że nie potrafię narzucić córce dyscypliny. Sama była zawsze bardzo stanowcza wobec mnie i mojego rodzeństwa. Gdy byliśmy nieposłuszni, musieliśmy stać całymi godzinami na podeście schodów z rękami związanymi na plecach, a potem na kolację dawano nam tylko chleb i mleko. Mousseline otrzymuje reprimendy, które nigdy jednak nie są zbyt surowe, i nie odmawia się jej jedzenia ani w żaden sposób nie ogranicza. Mam tylko nadzieję, że szybko wyrośnie z tego okresu buntu. Ludwik mówi, że on jako dziecko był zupełnie nie do opanowania. Pewnie odziedziczyła to po nim. Czy moje następne dziecko będzie równie trudne do prowadzenia?

Ludwik pojechał polować i zbierać rośliny w lesie w Compiègne, zabierając ze sobą tylko Chambertina, sekretarza i lokaja. Zaprosił mnie, żebym pojechała z nim, ale odmówiłam. Wiem, że przez większość czasu zupełnie by mnie ignorował i nie miałabym wiele do roboty. Wyobraża sobie, że będę mu pomagać zbierać rośliny i że razem będziemy czytać książki o leśnej florze. Jakże słabo mnie zna! I to po tylu latach małżeństwa.

Powiedziałam mu, że muszę się przygotować do wizyty Józefa.

1 lipca 1781

Dziś przyszedł do mnie wielki pakiet listów od Axela! Pisał do mnie co tydzień, ale nie miał możliwości wysłania listów aż do kwietnia, kiedy podał je oficerowi wracającemu do Francji na pokładzie statku Valkyrie.

Statek wpadł na mieliznę w okolicach Brestu i oficer utonął, ale inny żołnierz znalazł pakiet i przysłał go do Wersalu.

Przeczytałam listy dwa razy w odpowiedniej kolejności. Axel tęskni za mną. Jest mu bardzo ciężko i martwi się, że Brytyjczycy mimo wszystko wygrają wojnę. Listy są dla mnie wielkim skarbem i płaczę, kiedy je czytam.

2 sierpnia 1781

Przyjechał Józef i ku memu wielkiemu zaskoczeniu przywiózł ze sobą moją siostrę Karolinę!

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy ogromna karetka podróżna zatrzymała się na zewnętrznym dziedzińcu pałacu i wysiadł z niej Józef, starszy i bardziej dostojny, gdyż jest teraz cesarzem. Chwilę później pomógł wsiąść bardzo grubej, bogato ubranej kobiecie. Przyjrzałam się jej uważnie i dotarło do mnie, że to Karolina, której nie widziałam od jedenastu lat!

Pobiegłam, by uściskać oboje, zapominając, że jestem w szóstym miesiącu ciąży i muszę uważać, bo noszę pod sercem następcę tronu - a przynajmniej mam taką gorącą nadzieję.

Józefa ubranego w długi złoty płaszcz, z pincenez i w szarej peruce otacza aura powagi, której nie dostrzegłam podczas jego ostatniej wizyty. Mniej przypomina teraz nonszalanckiego światowca, a bardziej miłego starszego wuja. Widać po nim zmęczenie, co nie powinno dziwić po tym, co przeszedł, prowadząc pułk przeciwko Prusakom i próbując podbić nowe terytoria. Pożegnał też na zawsze kochaną mamę i przejął wszystkie obowiązki cesarza i głowy rodziny.

Karolina, która ogromnie utyłła, ma cztery podbródki i jest straszliwie niemodnie ubrana. Muszę sprowadzić na dwór Rose Bertin i kazać jej uszyć nową garderobę dla siostry. Jej włosy bardzo się przerzedziły i nie są dobrze uczesane. Kiedy przyprowadziłam ją do moich apartamentów, wszystkie damy zaczęły cmokać i ukrywać uśmieški za wachlarzami. Karolina stała się też zgorzkniała i krytyczna. Przypomina mi w tym mamę.

Kazałam, by jedna z nianiek przyprowadziła Mousseline, a Józef i Karolina nie mogli powstrzymać zachwyty.

- Wygląda zupełnie jak ty, gdy byłaś dzieckiem - powiedział Józef, który miał trzynaście czy czternaście lat, kiedy się urodziłam, i dobrze mnie pamięta. - Mały jasnowłosy duszek.

Mousseline jest bardzo ładnym dzieckiem z kręconymi włosami i jasnoniebieskimi oczami. Wysypka już zniknęła i jej cera jest bardzo jasna i gładka. Uwielbia, gdy się ją

podziwia, lecz płacze i ma napady złości, gdy czegoś się jej zakazuje.

5 sierpnia 1781

Józef pojechał do Compiègne polować z Ludwikiem, a ja mam okazję spędzić mnóstwo czasu z Karoliną. Początkowo była bardzo krytyczną starszą siostrą, lecz po kilku godzinach rozmowy załamała się, wybuchnęła płaczem i wyznała, że jest bardzo nieszczęśliwa. Pokłóciła się ostro ze swoim mężem, a on ją odesłał. Wyjechała do Schönbrunn i mieszka tam do tej pory pod opieką Józefa. Czuje się jednak zagubiona i bezradna, tęskniąc za dziećmi.

Jej mąż sprowadził do pałacu swą ulubioną kochankę, która zajęła miejsce Karoliny. Wybuchł wielki skandal, ale nikt nie ma odwagi o tym wspomnieć. Karolina ma ostry język i pod żadnym względem nie stanowi ozdoby dworu, więc wyobrażam sobie, że wszyscy chętnie się jej pozbyli, oczywiście z wyjątkiem jej dzieci.

Wzruszyło mnie, że nadal ma sakiewkę, którą dla niej wydziergałam, oczekując Mousseline.

11 sierpnia 1781

Karol zaprosił wynalazcę Montgolfiera do Wersalu, aby zademonstrował swój niezwykły balon. Jest zrobiony z płótna i rzeczywiście ogromny - wielkości dużej sali balowej.

Pod płótnem rozpalono ogień z wiązek siana i powoli - niemal w cudowny sposób - wielki wór zaczął się wypełniać parą i uniół się w powietrze! Przeleciał nad ogrodem niesiony wiatrem i leciał dalej, stając się coraz mniejszy, aż wreszcie opadł na drzewa. Liny zaplątały się w gałęzie.

Karol jest bardzo podekscytowany i błaga, by mógł się przywiązać do balonu i wzbić się razem z nim w powietrze. Józef chce sprowadzić monsieur Montgolfiera do Wiednia, by zademonstrował swój balon w Instytucie Nauki. Ludwik zadawał Montgolfierowi wiele pytań na temat jego wynalazku. Co sprawia, że leci? Dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł? Czemu tak szybko opada? Pytał i pytał, aż biedak był zupełnie wykończony i błagał, by mógł odejść.

Spędziliśmy bardzo miły dzień. Niezwykłe zjawisko oglądał duży tłum i większość ludzi okazywała nam szacunek, choć niektórzy byli niegrzeczni, a jeden obdarty mężczyzna napluł mi na buty. Pogoda była idealna, bardzo ciepła, a niebo bezchmurne. Żałowałam, że nie zabrałam ze sobą Mousseline. Pewnego dnia w dalekiej przyszłości może ona przywiąże się do balonu? Ale wtedy może to stać się tak powszechne, że wszyscy będą latać. Wyobraźcie sobie niebo pełne balonów!



15 sierpnia 1781

Wyjawiłam Józefowi, że Ludwik zastawił Słońce Habsburgów. Poczułam się o wiele lepiej, mogąc zwierzyć się bratu, tym bardziej że Axel jest daleko, a ja od wielu miesięcy nosiłam ten sekret w sercu.

25 sierpnia 1781

Smutno było się żegnać z Karoliną i Józefem. Karolina wygląda teraz lepiej w modnych sukniach i wysoko upiętych włosach wypełnionych fałszywymi pasmami przez André, który jest bardzo zręczny. Dała mi amulet, który wsunięty pod poduszkę uchroni mnie i moje dziecko przed czarną magią, gdyby ktoś chciał jej przeciwko nam użyć. Objęłyśmy się mocno, a ja płakałam. Józef też mnie objął i życzył bezpiecznego porodu.

- Natychmiast wyślij kuriera, gdy tylko dziecko przyjdzie na świat - powiedział. - Nie zwlekaj ani godziny. Będziemy czekać niecierpliwie na dobre wieści.

- I noś pas świętej Radegundy przez cały poród! - zawołała z wnętrza karety Karolina.  
- Matka bardzo by tego pragnęła.

- Na pewno! - krzyknęłam, gdy ciężka kareta ruszyła, a jej wielkie koła wzbity tumany kurzu.

Tęsknię za nimi. Tęsknię za domem. Bez względu na to, jak długo mieszkam we Francji, w sercu na zawsze pozostanę Austriaczką przebywającą na wygnaniu z dala od domu.

W wrześniu 1781

Doszły do nas wieści, że Axel ze swoimi oddziałami maszeruje razem z Amerykanami, by zaatakować Brytyjczyków w Wirginii. Zastanawiam się, gdzie jest w tej chwili i czy jest bezpieczny. Wielu oficerów trafiło do brytyjskiej niewoli.

Wiem, że gdziekolwiek jest i cokolwiek robi, na pewno myśli o mnie.

17 września 1781

Przybył doktor Sundersen, by mnie zbadać i przywiózł ze sobą ze Szwecji potężną i silną akuszerkę. Kiedy ujrzałam doktora, nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, bo jego widok przywołał straszliwe wspomnienia bólu, strachu i uczucia duszenia się, które towarzyszyło mi podczas porodu Mousseline. Jednak kiedy się uklonił i ucałował moją dłoń, poczułam się pewniej, bo przypomniałam sobie, jak jest doświadczony i jak szepnął do mnie: „Zrobimy to razem?”. Wtedy nabrałam pewności, że poród przebiegnie sprawnie i oczywiście wspólnymi siłami sprowadziliśmy na świat moją ukochaną Mousseline.

Ludwik narzeka, że doktor żąda wysokiego honorarium. Odpowiadam na to, że bezpieczne przyjście na świat następnego króla Francji z pewnością warte jest dużych pieniędzy.

28 września 1781

Doktor Sundersen kazał mi leżeć w łóżku, gdyż spodziewa się, że poród nastąpi w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Dostałam kolejny pakiet listów od Axela! Dzięki Bogu, jest bezpieczny, był chory, ale już wraca do sił. Generał Rochambeau kilka razy wysłał go na negocjacje z generałem Waszyngtonem, bo dobrze mówi po angielsku. Axel pisze, że generał Waszyngton jest bardzo zimnym człowiekiem. Nie wszyscy Amerykanie są tacy, wiem o tym. Pan Franklin był uroczy i wesoły, a podczas wizyty u nas wszyscy bardzo go polubili. Poznałam też kilku innych Amerykanów, choć muszę przyznać, że niektóre Amerykanki są zimne i ubrane tak źle, iż wyglądają na dużo starsze. Oczywiście spotykałam głównie arystokratów oraz dyplomatów i ich żony, a nie żołnierzy takich jak generał Waszyngton. 5 października 1781

Karol leciał balonem! Monsieur Montgolfier przymocował wielki kosz do płóciennego worka i włożył do niego owce oraz kilka innych zwierząt. Balon wzbił się w powietrze, a zwierzęta razem z nim. Kiedy balon osiadł na ziemi, wyjęto zwierzęta z kosza, a ich miejsce zajął Karol, choć Stanny próbował go powstrzymać, i przeleciał z łąki niemal aż do wioski Saumoy.

Kiedy balon mocno uderzył o ziemię, Karol zwichnął sobie nadgarstek, ale poza tym nic mu nie jest. W miejscu lądowania zebrali się wszyscy mieszkańcy wioski, krzycząc i wiwatując. Karol przyszedł mnie odwiedzić i wszystko mi opowiedział. Miał zabandażowany nadgarstek. Nigdy jeszcze nie widziałam go w tak dobrym humorze. Powiada, że jestem wielka jak balon.

27 października 1781

Tydzień temu wcześniej rano zaczął się poród. Miałam ostre skurcze, nie bóle jak ostatnio. Zofia była bardzo podekscytowana i zmartwiona, pobiegła więc po akuszerkę, która siedziała przy mnie i badała mój brzuch za każdym razem, gdy nadchodziły skurcze.

Przybył doktor Sundersen, wyjął swoje instrumenty i rzekł: „Tym razem chyba nie potrwa to tak długo”. Na te słowa poczułam ulgę. Kiedy silne skurcze mnie obudziły, przestraszyłam się. Doktor powiedział mi raz jeszcze, że przy drugim dziecku idzie znacznie łatwiej.

Żałowałam, że nie ma przy mnie Axela. Zjawiła się cała rodzina, a na koniec wszyscy ministrowie. Nikogo innego nie wpuszczono, choć na korytarzu czekało wiele osób. Ludwik był bardzo zdenerwowany. Stale podskakiwał i chodził tam i z powrotem po pokoju, mówiąc: „Dajcie jej trochę powietrza, ona potrzebuje powietrza”. Ale ja się nie skarżyłam. Było mi wygodnie, miałam czym oddychać, a hałaśliwy tłum gapiów nie wspinał się na meble.

Bóle nasilały się, a akuszerka pomagała mi, masując plecy. Ludwik chciał podać mi syrop z maku na uśmierzanie bólu, ale doktor się nie zgodził. Powiedział, że to uśpi dziecko, które może nie zacząć oddychać, gdy już przyjdzie na świat. Poza tym byłam w stanie znieść ból. Pomagało mi, że już wcześniej przez to przeszłam. Wiedziałam, że potrafię wytrzymać do końca. Miałam na sobie pas świętej Radegundy i modliłam się do niej. Ufałam, że poświęcony pas da mi siłę.

Moje wspomnienia z ostatnich godzin porodu są dość mgliste, ponieważ ból był straszliwy i przez większość czasu byłam bliska omdlenia. Pamiętam, że wołałam Loulou, Zofię oraz Karolinę (choć oczywiście Karoliny nie było, przed wieloma miesiącami wróciła z Józefem do Wiednia) i mocno ścisnęłam je za ręce. Bolało mnie, gdy akuszerka naciskała mój brzuch i gdy doktor, który stale powtarzał, że muszę ciężko pracować i podnieść budynek jak ostatnim razem, włożył we mnie swoje instrumenty. Krzyknęłam wtedy i pamiętam, że słyszałam, jak Ludwik powiedział: „Nie zróbcie jej krzywdy. Na miłość boską, nie zróbcie jej krzywdy!”.

Pamiętam łzy, ból i wyciekający ze mnie płyn. Potem nie pamiętam już nic do czasu, gdy zobaczyłam twarz monsieur Geneta, strażnika pieczęci, który stał przy łóżku. Był niezwykle uradowany.

- Syn! Francji narodził się syn! - powiedział bardzo głośno.

W pokoju rozległy się okrzyki radości. Usłyszałam, jak Ludwik krzyczy: „Bogu niech będą dzięki!”, a ktoś, chyba Stanny, ale nie jestem pewna, zaczął przeklinać.

Doktor Sundersen podniósł czerwone stworzonko, żebym je zobaczyła, a potem klepnął je w pupę, aż zaczęło płakać. Był to słaby płacz, który przypominał popiskiwanie malutkiego szczeniaka. Akuszerka umyła noworodka i owinięła w piękny kocyk haftowany w lilie i korony, a potem położyła mi go w ramionach. Był ciepły i malutki, mniejszy od Mousseline, gdy przysła na świat. Miał zamknięte oczy i był zupełnie łysy. Pocałowałam go, a potem chyba zemdlalam, bo nie pamiętam niczego z wyjątkiem przytłumionego głosu Ludwika, który powiedział: „Madame, jesteś matką delfina”.

W istocie, nareszcie jestem matką delfina. Bogu niech będą dzięki!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

11 grudnia 1781

Ludzie otaczają mojego syna czią, zupełnie jakby był bogiem w ludzkim ciele. Posłowie z zagranicznych dworów, oficjele z różnych stron Francji, wpływowi paryżanie, królewscy ministrowie i dworzanie podchodzą do jego kołyski, jakby była świątynią, i patrzą na niego jak na świętego lub relikwię z krzyża.

Tak długo czekaliśmy na następcę tronu, wiele długich, ponurych lat. Teraz kiedy wreszcie się urodził, wydaje się niemal cudem, nieoczekiwanym darem niebios. Nie mogłabym być szczęśliwsza, by go pokazywać, ale jest taki malutki i o wiele mniej żywotny, niż była Mousseline.

Mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Goście, którzy przychodzą, by z przejęciem dotknąć jego kołyski, widzą go przelotnie i tak naprawdę nic nie mogą o nim powiedzieć. Dla nich jest tylko maleńkim dzieckiem owiniętym w wełniane kocyki, leżącym w złoconej kołysce, cennym delfinem Francji. Dla mnie jednak jest czymś więcej. Moim ukochanym chłopczykiem, moim Ludwikiem Józefem. Jest też jednak letargicznym maleństwem, cichym i nieprzejawiającym zainteresowania otoczeniem. Nie macha rączkami i nie kopie nóżkami jak inne niemowlęta i choć ma już prawie dwa miesiące, nie potrafi jeszcze podnieść główki z jedwabnej poduszki.

Zawsze pilnuję, by zamykać ten dziennik i trzymam go w nowej kryjówce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać. Nikomu nie wolno przeczytać, co piszę tutaj o następnym królu Francji.

2 lutego 1782

Tak się martwię o naszego małego Ludwika Józefa! Trzech specjalistów przybyło aż z Edynburga, żeby go zbadać.

17 lutego 1782

Loulou znalazła mnie dziś zapłakaną i robiła, co w jej mocy, żeby mnie pocieszyć, ale nie znajdę już ukojenia.

Mojego maleńkiego Ludwika Józefa badało jeszcze kilku specjalistów i wszyscy mówią to samo. Ma skrzywiony kręgosłup i nigdy nie będzie stał prosto ani samodzielnie chodził. Ludwik sownie ich opłacił, by nikomu tego nie wyjawili. Nikt nie może się dowiedzieć - na razie wie tylko jego niańka. Trzymam go owiniętego w kocyki, żeby goście - prawie napisałam „wierni” - widzieli tylko jego buzię.

28 lutego 1782

Axel żyje i ma się dobrze. Nareszcie dostałam od niego wiadomości. Tak długo milczał, że bałam się już, iż jest ranny albo nawet zginął.

Był z generałem Rochambeau i Amerykanami, kiedy oblegali wojska angielskiego generała Cornwallisa, który wreszcie się poddał i przekazał swoje siły zwycięzcom.

Podczas potyczek z Brytyjczykami Axel dzielnie walczył i ocalił życie wielu żołnierzy zarówno francuskich, jak i amerykańskich. Generał Rochambeau udekorował go medalem, a generał Waszyngton uścisnął mu dłoń, podziękował i uczynił kawalerem Orderu Cincinnatusa. Jestem z niego bardzo dumna i powiem mu o tym, kiedy się zobaczymy. Och, kiedy znów go ujrzę? Tyle czasu już minęło.

Nic o tym nie wiedziałam, ale do potyczek i poddania się Brytyjczyków doszło tuż przed narodzinami Ludwika Józefa. Moje gwiazdy i gwiazdy Axela musiały ustawić się w jednej linii, jak powiedziałyby Zofia.

5 kwietnia 1782

Piszę to w grocie w Petit Trianon, bezpiecznym i cichym miejscu. Eryk stoi na straży nieopodal, przy wejściu do grotty. Od czasu narodzin Ludwika Józefa Eryk jest stale blisko mnie i dziecka, zupełnie jakby to on, a nie Ludwik był jego ojcem. Cieszę się z tej ochrony i powiedziałam mu o tym.

Dziś po południu potrzebuję ciszy i spokoju. Otrzymaliśmy kolejną niepomyślną diagnozę lekarzy. Mówią, że mały cierpi na chorobę piersi, która przerzuciła się z płuc na ramiona i plecy. Twierdzą, że chirurdzy muszą naciąć jego małe plecki i ramię, by choroba nie wróciła do płuc i go nie zabiła.

Nie rozumiem tego, ale główny lekarz powiedział to bardzo poważnym głosem, a wygląda na uczonego medyka. Wszyscy mówią, że najlepsi lekarze pochodzą z Edynburga, a on tam właśnie praktykował. Z drugiej strony słyszałam też, że w Edynburgu jest niemal tak brudno jak w Paryżu i że ludzie wyrzucają swoje brudy na ulice. Ale Szkoci są podobno bardzo odporni.

24 kwietnia 1782

Wczoraj do pałacu przybył chirurg, by wykonać zalecenia lekarzy z Edynburga. Ludwik Józef ma już sześć miesięcy i lekarze mówią, że jest na tyle duży, by znieść ból, jaki ten zabieg musi wywołać.

Eryk był tam i przez cały czas stał na korytarzu. Słyszałam, jak Amelia na niego krzyczy, i wiem, że przez ostatnich kilka miesięcy była na niego jeszcze bardziej zła. Zofia powtarza mi stale, że muszę wyrzucić Amelię, która jest opryskliwa i bezczelna, ale ja się

boję. Wie o mnie zbyt wiele i wyśmiewa się ze mnie za moimi plecami. Słyszałam, jak młodsze dziewczęta tłumią śmiech, kiedy wchodzę do pokoju. Niektóre wyglądają na zawstydzone i wiem, że głęboko w sercu kochają mnie i są lojalne; Amelii nie udało się zwrócić ich przeciwko mnie.

Do pokoju weszło dwóch krzepkich mężczyzn z małym fotelem ustawionym na podeście. Potem wszedł sam cyrulikchirurg, zaniedbany mężczyzna z postrzępioną czarną brodą, w tanim płaszczu i trójgraniastym kapeluszu na głowie. Skinął nam krótko głową i zabrał się do pracy.

Przyniesiono miednicę z wodą, aby umył ręce, i zauważyłam, że kiedy skończył, woda była bardzo brudna. Wyłożył swoje narzędzia i dał znak, by przyniesiono Ludwika Józefa. Kiedy zdjęto mu flanelową koszulkę, przywiązał go do okrutnie wyglądającego fotela, obnażając jego biedne plecki i ramię. Wziął długą, ostrą, stalową igłę i zaczął ją wbijać w plecki małego. Ludwik Józef krzyczał, a ja byłam tak wstrząśnięta, że też zaczęłam krzyczeć. Krew kapłała z ran, gdy ostra igła wbijała się raz po raz w ramię biednego maleństwa.

Wszystko nie trwało długo, ale byłam tak poruszona, że nie mogłam się opanować. Kiedy cyrulik-chirurg skończył, a jego asystenci zaczęli nacierać rany maścią i bandażować je, Ludwik zapytał szorstko mężczyznę:

- Czy trzeba sprawiać mu aż tak wielki ból?

- Oczywiście. Mięśnie są słabe. Trzeba je wzmocnić za pomocą stymulacji. Należy się pięćdziesiąt franków.

- Wyślijcie rachunek do ministra finansów.

- Chcę je dostać teraz.

Przez chwilę wydawało mi się, że Ludwik uderzy chirurga. Nie zrobił tego jednak. To niesłychane, by lekarz, rzemieślnik lub kupiec domagał się zapłaty od monarchy. Ludwik chyba uświadomił sobie, że wiele naszych rachunków nie jest regulowanych przez całe miesiące, a nawet lata i wszyscy o tym wiedzą, więc się opanował. Po chwili wyszedł na korytarz. Usłyszałam, jak rozmawia z Erykiem. Zaraz wrócił do pokoju.

- Posłałem po pieniądze. Jeśli poczekacie...

Cyrulik-chirurg skłonił się.

- Wasza wysokość.

Płaczącego Ludwika Józefa uwolniono od przytrzymujących go pasów i wzięłam go w ramiona, owijając w kocyk. Zabrałam go do pokoju dzieciennego i kołysałam, aż wreszcie usnął. Jednak w nocy budził się kilka razy i za każdym razem smarowałam mu olejem sasafrasowym rany, które zrobiły się paskudnie czerwone.

Dziś jest niespokojny i dużo płacze. Jego plecy i ramię są opuchnięte, a on sam rozpalony. Zastanawiam się, czy ujrzymy jakiś dowód, że terapia się powiodła.

10 maja 1782

Biedny Ludwik Józef nadal ma opuchnięte plecy i ramię i wydaje mi się, że nie może nim teraz swobodnie poruszać. Zrobi! mu się też ropień i trzeba było go przeciąć. Trzymałam go w ramionach, kiedy cyrulik-chirurg dokonywał nacięcia, w nadziei, że go to uspokoi, ale i tak płakał. Zastanawiam się, czy on zaczyna przyzwyczajać się do bólu.

Zofia chce sprowadzić na dwór astrologa, by sporządził horoskop. Mówi, że może nas to napęlić nadzieją na przyszłość. Ale równie dobrze może nam przynieść rozpacz. Odmówiłam.

30 czerwca 1782

Pomimo naszych najlepszych wysiłków nie udało się utrzymać stanu Ludwika Józefa w tajemnicy. Ledwie siada i nie potrafi raczkować jak normalne dziecko w jego wieku, a tego nie można ukryć. Rzadko się uśmiecha i nigdy nie śmieje. Zabawki i psy wcale go nie interesują. Uwaga, jaką mu poświęcam, moje niespokojne spojrzenia i częste wizyty Ludwika w pokoju dziecinnym też wiele mówią. Mousseline jest zazdrosna o otaczanego tak wielką opieką brata i trudniej nad nią zapanować. Stała się bardzo wybuchowa i niegrzeczna. Sama już nie wiem, co robić, by ją okiełznać.

7 lipca 1782

Ku memu przerażeniu odkryłam, że moje damy sypialniane obstawiają, kiedy mój syn umrze, tak samo jak zeszłej jesieni robiono zakłady, kiedy się urodzi. Loulou i Zofia otrzymały wyraźne polecenia, by powstrzymać te makabryczne praktyki.

2 sierpnia 1782

Ponieważ lekarze i cyrulik-chirurg nie potrafili uleczyć Ludwika Józefa, postanowiłam ulec namowom wielu osób na dworze, które wychwalają uzdrawiający dar neapolitańczyka, hrabiego Cagliostro.

Sam się tak nazwał i twierdzi, że jest uzdrowicielem. Poznałam ludzi, którzy utrzymują, że zabrał im chorobę lub ból. Samozwańczy hrabia mówi też, że ma trzy tysiące lat, ale w to akurat nie mogę uwierzyć. Nie sądzę też, że nauczył się uzdrawiania od faraonów starożytnego Egiptu ani że wychował się wśród Arabów w świątyni w Mekce.

Ludzie są tak łatwowierni, że zdesperowani uwierzą we wszystko. Ich zdrowy rozsądek ulatuje wtedy przez okno. Mimo to wierzę, że niektórzy ludzie posiadają moc, której nie można łatwo wytłumaczyć, i że ten neapolitańczyk może być jednym z nich. Jeśli potrafi pomóc mojemu biednemu synkowi, będę bardzo wdzięczna.

Wezwałam go do moich apartamentów i obiecał wrócić jutro wieczór.

4 sierpnia 1782

Wczoraj wieczorem przyszedł hrabia Cagliostro, wysoki, silny mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i teatralnych manierach. Miał na sobie wielką czerwoną pelerynę i szastał nią zamazyście, idąc przez mój salon, gdzie zebrało się jakieś dwadzieścia osób, by uczestniczyć w jego seansie mającym uleczyć delfina. Byli tam Loulou i Yolande, moje szwagierki Józefina i Teresa, a nawet hrabia Mercy.

Cagliostro zaczął mówić w jakimś dziwnym języku i wyjaśnił, że modli się do egipskiego boga Anubisa. Długo snuł swoje wspomnienia z czasów starożytnej Grecji, Rzymu i średniowiecza. Hrabia Mercy zaczął się naśmiewać, a ja doskonale rozumiałam dlaczego. Stało się dla mnie jasne, że ten neapolitańczyk próbuje wywrzeć wrażenie na łatwowiernych ludziach. Nie żył w czasach Sokratesa i Cezara bardziej niż ja - choć są tacy, którzy twierdzą, że żyliśmy w przeszłości wiele razy, i wydaje mi się to możliwe.

- Zdajesz sobie sprawę, moja droga Antonino, że ten mężczyzna może być pozerem, ale też może posiadać prawdziwą moc - rzekł do mnie Karol.

Byłam gotowa poczekać, by zobaczyć, jak ta prawdziwa moc działa. W końcu hrabia wyjął z wewnętrznej kieszeni płaską butelkę i wyciągnął korek. Pokój napełnił się silnym, piżmowym zapachem.

- Przywołam teraz moc starożytnego uzdrowiciela Batoka, kapłana Tota - oświadczył z powagą. - Nie lękajcie się! Batok to dobry duch. Gdyby się wam ukazał, bądźcie spokojni, nie zrobi wam żadnej krzywdy.

Podszedł do kołyski Ludwika Józefa - siedziałam obok - i zapytał mnie o pozwolenie, wylał kroplę płynu na czoło dziecka, mrucząc przy tym jakieś zaklęcia. Znad kołyski uniosła się biaława mgielka i przez chwilę wydawało się, że przybiera ludzki kształt, lecz zaraz się rozwiała.

- Proszę się nie bać, wasza wysokość - szepnął do mnie Cagliostro, pochylając się i uspokajającym gestem kładąc mi rękę na ramieniu.

Gapie zachnęli się, a ja razem z nimi, ale wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie miałam czasu zareagować i ochronić Ludwika Józefa przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Spojrzałam na niego, gdy tak leżał w kołysce, i dostrzegłam, że na krótko otworzył małe niebieskie oczęta i przez moment nie patrzył przed siebie błędnym wzrokiem. Iskierka zainteresowania zgasła jednak równie szybko, jak się pojawiła. Zamknął oczy i znów zasnął głęboko.

Cagliostrowi nagrodzono brawami, rozległy się też okrzyki podziwu i aprobaty. Z



szumem czerwonej peleryny wyszedł z pokoju i zniknął.

Nie wiedziałam, co myśleć. Obserwowałam Ludwika Józefa przez godzinę, gdy nadal spokojnie spał. Potem zostawiłam przy nim Zofię i poszukałam Ludwika, który w bibliotece jadł ciastka i czytał. Opowiedziałam mu o wszystkim, a on wybuchnął śmiechem.

- Biała mgiełka, mówisz? Stara magiczna sztuczka. Używają do tego substancji o nazwie Mglisty Fosfor. Wydaje z siebie obłoczek dymu. Pewnie ukrył ją pod peleryną albo miał w butelce. Batok, kapłan Tota, też coś. Bzdury!

- A jednak niektórzy zaklinają się, że im pomógł i że dzięki niemu wyzdrowieli.

- Przekonali samych siebie, żeby wyzdrowieć - odparł Ludwik. - Ale to działa tylko u dorosłych. Nie spodziewaj się żadnej poprawy u Ludwika Józefa.

Dziś rano nie zauważyłam żadnej różnicy. Czy wyobraziłam sobie tylko, że na chwilę otrząsnął się z otępienia? Nie wiem. W każdym razie Zofia przyszła mi powiedzieć, że hrabia Cagliostro wyjechał powozem o północy, udając się do Włoch. Odprowadzała go niewielka grupka ludzi, którzy rzucali na drogę płatki róż i błagali, by szybko powrócił.

12 września 1782

Mam już dość uzdrowicieli i szarlatanów! Najpierw hrabia Cagliostro, potem trzech oglądacze wody z Martyniki, którzy twierdzili, że widzieli twarz mamany w misce z wodą, Irlandczyk, który sprzedał nam olej czarodzieja Hamlina do złagodzenia bólu Ludwika Józefa, wreszcie astrolog Zofii (w końcu uległam), który powiedział, że Ludwik Józef dożyje dziewięćdziesiątki i będzie miał siedmioro dzieci.

Żaden z nich nam jednak nie pomógł, choć olej czarodzieja Hamlina złagodził ból w ramieniu dziecka i wydawało mi się, że rusza nim ono swobodniej.

20 września 1782

Józef przysłał doktora z Wiednia, który potrafi nastawiać kończyny i plecy. Używając narzędzi z pracowni Ludwika, zrobił mały, sztywny aparat na plecy Ludwika Józefa. Ma go nosić w dzień i w nocy, choć trudno jest w nim spać, i jestem pewna, że Ludwik Józef nigdy nie nauczy się chodzić, dopóki nie zdejmie tego gorsetu.

22 września 1782

Nie spałam od trzech dni, Ludwik Józef też. Płakał tak bardzo, że aż ochrypl. Sztywny gorset, który ma pomóc nastawić mu ramię i plecy, jest za ciasny. Jestem tego pewna. Ale doktor mówi, że wszystko jest w porządku i musi zostać tak, jak jest. Dziecko się przyzwyczai. Jeśli gorset nie będzie ciasny, nie zadziała.

25 września 1782

Wykończona, z podkrążonymi oczami poszłam dziś do Ludwika, zabierając ze sobą

Ludwika Józefa, i błagałam go, żeby odesłał wiedeńskiego doktora. Pokazałam mu głębokie blizny po gorsecie na plecach maleństwa.

Ludwik początkowo nie chciał spełnić mojej prośby, ale nie ustępowałam, a żaloszny cichy płacz małego w końcu go przekonał. Przeklinając pod nosem, cisnął o ścianę kawałkiem maszynerii, nad którą pracował, i powiedział: „Daj go tutaj”. Ostroymi narzędziami rozciął gorset i wydał rozkaz, by odprawiono lekarza. Napiszę do Józefa i wyjaśnię mu, co się stało.

18 października 1782

Od wielu miesięcy głęboko wierzący ludzie radzili mi, bym zabrała synka do słynącej z uzdrowień świątyni takiej jak Saint Martin czy Chartres. Podobno codziennie dochodzi tam do cudownych uzdrowień pielgrzymów. Dlaczego nie miałyby to spotkać delfina?

Eryk opowiedział mi o serii uzdrowień, do których doszło niedawno w SaintBrolâdre, wiosce leżącej niedaleko stąd. W jej pobliżu znajduje się stare źródło, przy którym wiele stuleci temu mieszkał pustelnik. Nad grobem pustelnika zbudowano kaplicę. Ludzie chodzą tam, by się modlić i wielu zostaje uzdrowionych. Ciotka i kuzynka Amelii żyją dziś obie dzięki uzdrawiającej mocy świętego.

- Jej rodzina mieszka w wiosce - dodał Eryk. - Ona też tam się wychowała.

- Ciekawe, dlaczego sama mi o tym nie powiedziała.

- Chyba obawiała się, że wasza wysokość może ją obwiniać, jeśli dziecko nie zostanie uzdrowione w świątyni.

Spojrzałam w czyste i szczere niebieskie oczy Eryka. Jego twarz była jeszcze bardziej przystojna niż wtedy, gdy jako młoda dziewczyna zadurzyłam się w nim przed wieloma laty. Oboje jesteśmy teraz rodzicami, on jest dojrzałym mężczyzną w wieku trzydziestu dwóch czy trzech lat, ja mam blisko dwadzieścia siedem. Obojgu nam małżeństwo przyniosło rozczarowanie; Eryk jest nieszczęśliwy, a ja pogodziłam się już z ograniczeniami Ludwika jako męża, jednak jestem szczęśliwa, wiedząc, że kocha mnie Axel. Ciekawe, czy Eryk znalazł sobie kogoś, kogo kocha, kobietę, której nie może poślubić, lecz która da mu szczęście. Mam nadzieję, że tak.

Oboje wiedzieliśmy, że jego słowa dotyczące Amelii były tylko uprzejmym kłamstwem. Wymieniliśmy spojrzenia, bez słowa pozwalając, by kłamstwo zawisło między nami w powietrzu.

- Będę zaszczycony, pani, mogąc ci towarzyszyć do SaintBroladre. Znam dobrze tamtejszego wikariusza. Opowie ci o wiele lepiej ode mnie o uzdrawiającej mocy świętego.

- Weźmiemy tylko jeden powóz z eskortą pięciu lub sześciu gwardzistów -

powiedziałam, myśląc na głos. Przypomniało mi się, jak mamam zabierała nas do świątyni świętej Radegundy, by modlić się z wieśniakami i pobożnymi wieśczykami, którzy często wybierali się tam na pielgrzymkę, zabierając ze sobą chorych krewnych, a nawet zwierzęta.

Na te wyprawy mamam wkładała prostą, czarną, pokutną suknię, rezygnując z wszelkich oznak wysokiego urodzenia i władzy cesarskiej. Prowadziła nas wszystkich do skromnego powozu, w którym siedzieliśmy stłoczeni, i kazała woźnicy wieźć nas do miejsca, gdzie zaczynała się wydeptana ścieżka pielgrzymów. Potem ujmowała nas najmłodszych za ręce (pamiętam, że Karol jeszcze wtedy żył), a starsze rodzeństwo szło przodem. Mamam szła wśród tłumu zwykłych ludzi, śpiewając hymny i modląc się jak wszyscy. Pewnego razu uklękła w świątyni w pyle i modliła się za tych, którym potrzeba uzdrowienia. Byliśmy świadkami kilku niezwykłych uzdrowień, lecz Józef zawsze podchodził do nich sceptycznie. Pamiętam, jak mi mówił, że ludzie ulegają sugestii i uleczenie zawdzięczają hipnozie, a nie boskiej mocy. Ludwik też tak myśli.

Zastanowiłam się przez chwilę, a potem uśmiechnęłam się do Eryka.

- Porozmawiam o tym z królem - powiedziałam.

- Jeśli się zgodzi, pojedziemy i będziemy ci wdzięczni za pomoc.

Eryk ucałował moją dłoń i odszedł, nie wspominając już ani słowem o Amelii.

5 listopada 1782

Byliśmy w świątyni w SaintBroladre, ale nasza podróż nie przebiegła tak, jak oczekiwaliśmy.

Aby dotrzeć do wioski, musieliśmy przejechać przez przedmieścia Paryża. Nie byłam tam od lat. Zapomniałam, jak paskudne i zatłoczone są ulice pełne gnijących śmieci, marwiozących ciała i otwartych ścieków płynących środkiem wąskich, starych uliczek. Paryżanie, których mijaliśmy, wcale nas nie witali, tylko spoglądali z ukosa na nasz powóz, który wyglądał na należący do szlachcica, mimo że nie widniał na nim królewski herb. Eryk i sześciu umundurowanych gwardzistów jechało obok powozu, a dwóch forysiów torowało drogę.

Przejechaliśmy zaledwie kawałek ulicami miasta, gdy zaczęliśmy zwracać na siebie uwagę tłumu. Wyglądając przez okno powozu, widziałam różne twarze, niektóre patrzące tępo przed siebie, inne podekscytowane i uśmiechnięte, wiele nachmurzonych i gburowatych. Powóz zwolnił, by przepuścić człowieka pędzącego stado świń, a ja mocniej ścisnęłam Ludwika Józefa w ramionach.

Poczułam, że powóz zakołysał się, gdy coś uderzyło w drzwi. Po nim nastąpiło drugie i trzecie uderzenie. Uświadomiłam sobie, że ludzie rzucają w nas grudami ziemi - miałam

nadzieję, że nie były to grudy odchodów. Eryk podjechał do mojego okna, osłaniając je przed gapiami, którzy cisnęli się wokół nas, krzyząc i śpiewając:

Obalcie ich, Wyniosłych drani, Obalcie ich Co do jednego!

Wygnajcie ich, Przeklętych arystokratów, Wygnajcie ich Co do jednego!

- Przestańcie śpiewać! - krzyknął Eryk do tłumu po francusku z mocnym austriackim akcentem. W reakcji na te słowa w stronę Eryka i gwardzistów poleciało błoto, a przez okno powozu wpadł zdechły pies, lądując u moich stóp.

Rozwścieczony Ludwik chwycił śmierdzące truchło za ogon i wyrzucił je przez okno.

- Parszywe świnię! - wrzasnął na gapiących się, śpiewających demonstrantów. -  
Zawszone diabły!

Powóz zaczął przyspieszać, gdyż droga była wolna. Usłyszałam, jak woźnica pogania konie i strzela z bata, a tłum rozstąpił się, umożliwiając nam przejazd.

Cała się trzęsłam. Zastanawiałam się, czy uda nam się bezpiecznie dotrzeć do świątyni. Jechaliśmy dalej wąskimi, ciemnymi ulicami, witani spojrzeniami i od czasu do czasu obelgami. Usłyszałam, jak Ludwik przeklina pod nosem.

W końcu wyjechaliśmy przez starą bramę na otwartą przestrzeń. Eryk poinformował nas, że znajdujemy się na głównej drodze do SaintBroladre. Po kilku chwilach nieco się uspokoiłam. Odwróciłam się do Ludwika.

- Ci nieokrzesani paryżanie nie mają pojęcia, kim jesteśmy - powiedziałam do niego. -  
Gdyby wiedzieli, że jesteś królem, kłanialiby się z szacunkiem.

- Brak im szacunku dla lepszych od siebie. Czy szlachcic musi być królem, by traktowano go z należąną godnością?

Ludzie mówią, że wszystkiemu winni są Amerykanie, którzy opowiadają się za równością. Pogardzają koroną oraz tytułami i zarazili paryżan swoimi ideami. Yolande twierdzi, że nie ma już odwagi przyjeżdżać do stolicy.

Ale nie tylko paryżanie zgotowali nam nieoczekiwane przyjęcie. Kiedy kilka godzin później przybyliśmy do SaintBroladre, wioska wyglądała na opuszczoną. Znad dachów chat nie unosił się dym. W stajniach nie rżały konie. Nie czekały psy. Ani jedna twarz nie wyglądała z okna. Cisza była irytująca.

Słyszałam o wioskach tak zdziesiątkowanych przez ospę i dżumę, że nikt w nich nie został przy życiu. SaintBroladre była tak pusta, że równie dobrze mogła przez nią przejść śmiertelna zaraza. Eryk zaprowadził nas do kaplicy zbudowanej nad grobem świętego i tam spotkaliśmy się z wikariuszem. Kiedy zapytaliśmy go, gdzie są wszyscy, zawstydział się. Wyjaśnił, że wieśniacy pojechali na festyn w pobliskim miasteczku, ale wiedziałam, że

kłamie. Poza tym nawet w okresie świątecznym nie wszyscy mieszkańcy wioski mogą daleko podróżować: świeżo upieczone matki, starzy i chorzy wieśniacy, dójki, ślepcy i ubodzy muszą zostać w domu. W SaintBroladre nie było nikogo z wyjątkiem wikariusza, a przynajmniej tak nam się wydawało.

Kiedy położyliśmy Ludwika Józefa przy grobie świętego i skropiliśmy go wodą ze świętego źródła wypływającego ze skały, poszliśmy zobaczyć dom, w którym mieszka rodzina Amelii. Wikariusz powiedział nam, że jej kuzynka została kaleką i nie mogła chodzić, jednak po modlitwach do świętego odzyskała zdrowie i siły. Ciotka Amelii cierpiała z powodu krwotoków i również została cudownie uzdrowiona. Eryk doprowadził nas do drzwi domu, zapukaliśmy i zajrzeliśmy przez okno. Nikt nie odpowiedział.

- Wszyscy pojechali na festyn - wyjaśnił wikariusz.

- Wrócą dopiero za kilka dni.

W tej właśnie chwili dostrzegłam poruszającą się firankę.

- Ktoś jest w środku - zauważyłam.

Eryk zapukał mocno do drzwi.

- Wyjdźcie! To wasz król i królowa, którzy przyjechali was odwiedzić. Wyjdźcie natychmiast!

Czekaliśmy, a po chwili spod drzwi wysunęła się kartka papieru. Eryk podniósł ją i podał mnie.

- Skargi wioski SaintBroladre - przeczytałam na głos. - Mieszkańcy oświadczają, że nie mają paszy dla bydła, płacą wysokie podatki od sprzedaży swoich płodów, ich ziemia jest sucha, kamienista i nieurodzajna...

- Dość! - krzyknął Ludwik. - Wyważyć drzwi! Aresztować wszystkich w środku!

Gwardziści wyłamali drzwi i wpadli do środka ze szpadami gotowymi do walki. Znaleźli jednak tylko kilka prowizorycznych mebli, garnki i patelnie wiszące na ścianie, puste półki, a na stole świecę, kilka książek, papier, pióra i butelkę atramentu. Wyglądało na to, że siedząca przy stole osoba spisała skargi. A teraz zniknęła.

Usłyszeliśmy trzask i odgłos kroków, więc pobiegliśmy na tył chaty. Stały tam szopa i chlewik, a za nimi rozciągały się otwarte pola, błotniste i puste, gdyż zboże zebrano kilka miesięcy temu. W oddali dojrzelśmy postać młodej kobiety, która biegła szybko przez kamieniste pole. Z każdym jej krokiem widać było powiewające białe halki. Na głowie miała jasną purpurową czapkę, którą paryżanie nazywają czapką wolności.

Gwardziści zaczęli ją gonić, krzykiem nakazując, by się zatrzymała. Ona jednak była szybsza od nich i uciekła. Na skraju wioski, gdzie rosła kępa drzew, zatrzymała się i spojrzała

w naszym kierunku. W tej przerażającej chwili rozpoznałam ją. To była Amelia.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

4 czerwca 1783

Wstałam dziś przed świtem i z dachu wypatrywałam Axela. Przesłał mi wiadomość, że przybędzie rankiem do Wersalu, a na wypadek gdyby przyjechał wcześniej, chciałam ujrzyć go pierwsza.

Pojawiało się jednak tylu jeźdźców, że o dziewiątej zaczęłam już - tracić cierpliwość. Wtedy jednak dostrzegłam siwego wierzchowca i jasnowłosego jeźdźcę w zakurzonej białym mundurze. Wiedziałam od razu, że to musi być Axel. Zbiegłam po schodach i popędziłam długimi korytarzami, niemal wpadając na Axela, który biegł w moja stronę.

- Jest! - wykrzyknął. - Jest mój anioł!

Trzech zaskoczonych paziów, którzy siedzieli na ławce w korytarzu niedaleko nas, szybko wstało i odeszło. Zostaliśmy sami. Objęliśmy się i pocałowaliśmy, krzyczeliśmy, śmialiśmy się, znów się objęliśmy, aż moja suknia pokryła się kurzem, a róż z mojej twarzy poplamiał mundur Axela.

- Jaki jesteś chudy! I jaki opalony!

- A ty, najdroższa, jesteś jeszcze piękniejsza. Macierzyństwo ci służy.

Spędziliśmy razem następną godzinę, z dala od zaciekawionych i szpiegujących nas spojrzeń, trzymając się za ręce, całując i rozmawiając. Obejrzałam blizny Axela po dwóch odniesionych ranach. Jego skóra nie jest już taka miękka jak kiedyś. Zostawiły na niej ślad wszystkie noce spędzone na twardej, pokrytej śniegiem ziemi w zimnych namiotach i wszystkie dni pod palącym słońcem Wirginii. Stale przebywał na powietrzu, wiodąc twarde i surowe życie i to go zahartowało.

Cieszę się ogromnie, mając go znów przy sobie. Jeśli to w ogóle możliwe, jestem w nim jeszcze bardziej zakochana.

22 czerwca 1783

Dałam początek nowej modzie na dworze. Axel przywiózł mi pudełko pięknych jasnych rękawiczek z cielejącej skórki pachnących różami. Codziennie noszę nową parę i wszystkie damy na dworze mnie naśladowują.

5 lipca 1783

Ludwik godzinami rozmawia z Axelem o jego latach spędzonych w Ameryce i o innych wojażach. Nigdy nigdzie nie był i marzy o podróżowaniu - albo tak twierdzi. Tak naprawdę wydaje mi się, że bałby się wyjechać zbyt daleko. Poza tym jak zniósłby życie z

dała od swoich kucharzy, codziennych uczt, miękkich materaców, na których sypiamy, warsztatu, próbek roślin i biblioteki? Nigdzie nie czułby się bezpieczny bez gwardzistów, którzy nas ochraniają. Wyjątkiem jest jego ukochany las w Compiègne.

Pewnego popołudnia przy obiedzie - który jedliśmy w moich apartamentach: Ludwik, ja, Axel, Chambertin, na życzenie Ludwika od czasu do czasu nam towarzyszący, i dwójka dzieci - Ludwik opowiadał Axelowi o mapach i trasach, które wyrysował do podróży dookoła świata.

- Wasza wysokość wyobraża sobie, że mógłby stanąć pewnego dnia na czele takiej ekspedycji? - zapytał uprzejmie Axel.

- Nie jestem żeglarzem. Choruję, pływając po naszych kanałach. Czy mówiłem ci o kanałach, które pomagam projektować?

Słyszac to, pomyślałam: „O nie, tylko nie te kanały”. Ludwik uwielbia opowiadać o nich całymi godzinami. Jednak Axel, cierpliwy i uprzejmy, nie okazał poirytowania, choć wiele razy słyszał już opowieść o kanałach.

- Zawsze interesują mnie drogi wodne waszej królewskiej wysokości.

- Nazwę jeden z nich Kanałem Królowej, na cześć mojej żony. - Wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. - Tyle ci zawdzięczam, moja droga. Zwłaszcza teraz, gdy dałaś Francji delfina.

Mały Ludwik Józef siedział skrzywiony przy stole z głową przechyloną na bok i twarzą ściągniętą z bólu. Za nim stała niańka. Nie mogę na niego patrzeć, bo zaraz łzy napływają mi do oczu. Nauczył się samodzielnie jeść i mówi kilka słów. Ale jest smutnym dzieckiem i stale cierpi. Jest Chodzącym Smutkiem. Tak właśnie o nim myślę, choć nigdy nie wypowiadam tych słów głośno. Chodzi niepewnie, przytrzymując się przedmiotów. Nigdy nie widziałam, żeby przeszedł więcej niż kilka metrów, nie przytrzymując się czegoś lub kogoś.

Żal ściska mi serce. Zmieniłam się, wiem to. Kiedy spoglądam w lustro, nie widzę już młodej dziewczyny, którą kiedyś byłam, bardzo ładnej, zawsze skorej do śmiechu. Teraz lustro pokazuje mi kobietę o pełnej figurze (choć nie jestem gruba jak Karolina ani straszliwie otyła jak Ludwik), z oczami, w których nadal czai się uśmiech, ale również wielka wiedza o świecie i jego pokusach. W kącikach ust i oczu pojawiły się zmarszczki, co prawda niewielkie, ale zawsze. Zofia nazywa je zmarszczkami mądrości.

Powiada, że jej matka zaczęła mieć takie zmarszczki mniej więcej w tym samym wieku co ja teraz, mając blisko dwadzieścia osiem lat, kiedy straciła troje dzieci z rzędu. Jedno urodziło się martwe, drugie zmarło na ospę, a trzecie, które kochała najbardziej, wypadło z okna na ulicę prosto pod wóz rzeźnika. Kiedy to się stało, przyszła na dwór mojej



matki i zaczęła pracować w kuchni. W końcu wszystkie jej dzieci trafiły na królewską służbę. Zofię przydzielono do pokoju dziecinnego, a w swoim czasie została moją główną garderobianą.

Cieszę się, że Zofia opowiedziała mi historię swojej matki. Służący, nawet jeśli ktoś stara się być dla nich miły jak ja, zawsze wydają się nieodłączną częścią pałacu, jakby zawsze tam byli i zawsze mieli być. Dobrze jest przypomnieć sobie, że mają własne życie i borykają się ze smutkami i stratami jak my wszyscy. Zofia rozumie moją rozpacz z powodu stanu Ludwika Józefa i często mnie pociesza.

17 lipca 1783

Ludwik zamierza zabrać Axela i kilku ministrów, by pokazać im nowy Kanał Królowej, który buduje na moją cześć. Nikt oczywiście nie chce jechać.

Czytam książkę, o której mówią wszyscy, Wyznania Jana Jakuba Rousseau. Przypomina Wyznania świętego Augustyna, których fragmenty czytał mi abbé Vermond, tyle że wyznania Rousseau są bardziej prawdziwe i prawdopodobne. Lektura doprowadziła mnie do łez. A może teraz jestem bardziej skora do płaczu z powodu przytłaczającego smutku związanego z Ludwikiem Józefem? Bardzo schudł i dużo kaszle.

2 sierpnia 1783

Szczęśliwym zrządzeniem losu trasa prowadząca nad Kanał Królowej przebiega obok Ermenonville, gdzie jest pochowany Jan Jakub. Powiedziałaam Ludwikowi, że chcę odwiedzić jego grób. Czuję się mu bardzo bliska po przeczytaniu jego pięknych, szczerych Wyznań. Biedny człowiek! Wiódł dziwne i smutne życie. Czytając jego Wyznania, naprawdę czułam, jakby mnie rozumiał, zwłaszcza moje uczucia. Twierdził, że jest wyjątkowy, że nikt podobny do niego nigdy nie żył. Dzięki niemu uświadomiłam sobie, że ja też jestem wyjątkowa, że nikt nie może w pełni zrozumieć tego, przez co przechodzę. Zwłaszcza mojej straszliwej rozpacz z powodu Ludwika Józefa i dręczących mnie myśli, dlaczego Bóg obdarzył mnie tak ciężko doświadczonym synem.

Nie potrafię opisać wszystkich przemyśleń i uczuć, jakie wzbudził we mnie Jan Jakub, ale poruszył mnie do głębi. W dziwny sposób czuję, jakby był moim przyjacielem, kimś, kogo dobrze znam. Chcę więc pojechać na jego grób i go oplakać.

27 sierpnia 1783

Nasza wyprawa nad Kanał Królowej była bardzo nudna z wyjątkiem jednego popołudnia, kiedy pojechałam do Ermenonville, gdzie jest pochowany Jan Jakub. Na prośbę Ludwika towarzyszył mi Axel.

W Ermenonville odesłaliśmy powóz. Bez gwardzistów i służby byliśmy z Axelem

sami, tak jak dawno temu w Szwecji, i mogliśmy swobodnie i czule rozmawiać bez obawy, że ktoś nas będzie szpiegował lub podsłuchiwał.

Było mi z nim tak dobrze, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali i jakby nie minęło tyle czasu. Szliśmy, trzymając się za ręce, krętą ścieżką prowadzącą do grobu usytuowanego wśród drzew na małej wyspie na jeziorze. Nikogo nie spotkaliśmy i cieszyliśmy się otaczającą nas ciszą, ciepłem unoszącym się z rozgrzanych kamieni pod stopami i chmurami sunącymi po niebie.

Usiadłam przy grobie i położyłam rękę na rzeźbionym marmurze. Odmówiłam coś na kształt modlitwy, nie za Jana Jakuba, lecz do niego, jakby nadal chodził po ziemi. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Axel siedział zamyślony pod drzewem. Po chwili usiadłam obok niego, nie dbając o to, że trawa poplamiała moją jasną lekką suknię i różowe pantofelki.

- Ja też go podziwiam - powiedział Axel. - Jak ja cenił sobie prostotę. Przebijał się przez całą tę niepotrzebną otoczkę, by dotrzeć do prawdy.

Skinęłam głową, nie mogąc znaleźć słów. Siedzieliśmy w milczeniu, a ja oparłam głowę na silnym ramieniu Axela.

- Jedną prostą rzecz wiem na pewno - odezwał się po chwili. - Kocham cię.

Pocałował mnie w czoło.

- Ja też cię kocham, mój aniele. Na zawsze.

Od tamtego słodkiego popołudnia dużo rozmyślałam, zwłaszcza podczas długich nocy, kiedy siedzę przy łóżeczku Ludwika Józefa, próbując go ukoić, gdy się budzi. Wydaje mi się, że w życiu tak naprawdę jest tylko kilka rzeczy, które mają znaczenie. Miłość. Natura. Nadzieja. Kochać tych, którzy nas otaczają. Szukać pociechy wśród natury. Życie nieustanną nadzieją.

Czyż Jan Jakub nie zgodziłby się ze mną?

7 października 1783

Moje gospodarstwo zmniejszyło się o jedną osobę. Wczoraj Amelię zabrano do więzienia w Bastylii. Oskarżono ją o podburzanie mieszkańców Saint-Brolâdre przeciw królowi i spisanie listy skarg w ich imieniu.

Ludwik zbadał całą tę sprawę niezwykle starannie. Wygląda na to, że Amelia, o czym nie wiedział nawet Eryk, została zdeprawowana przez radykalnych mówców i pamfleciarzy, którzy wygłaszają i wypisują paskudne rzeczy o mnie i Ludwiku. Nienawidzi mnie, bo Eryk jest mi bezgranicznie oddany. Z pewnością wyobraża sobie, że jesteśmy kochankami, choć nigdy nimi nie byliśmy. W każdym razie stała się jedną z tych, którzy domagają się zmian i

próbują do nich doprowadzić przez dramatyczne czyny. W sekrecie uczęszczała na spotkania i słuchała podburzających lud mówców, pozwalając, by namieszali jej w głowie bzdurami, które wygadują o Ludwiku i rządzie. Przez ponad rok wiodła to sekretne życie, ucząc się pisać i czytać, a nawet ucząc innych i szerząc nową ewangelię zmian wśród nisko urodzonych ludzi takich jak ona.

Wiedząc, że zamierzamy zabrać Ludwika Józefa do kaplicy w SaintBrolâtre, pojechała tam, wygłosiła mowę do mieszkańców (których dobrze знаła, bo wśród nich wyrosła) i przekonała ich, żeby swoją nieobecnością dali Ludwikowi i ninie do myślenia. Po długiej dyskusji wieśniacy sformułowali listę skarg, a ona ją spisała. Jej błąd polegał na tym, że została w wiosce po opuszczeniu jej przez mieszkańców. Bez wątpienia chciała zobaczyć nasze zaskoczenie i niepokój, kiedy dotarliśmy na miejsce i nie powitał nas wiwatujący tłum. Została więc i dlatego została schwytana. A teraz wymierzono jej zasłużoną karę.

Żal mi Eryka i dwójki ich dzieci. Nie wyobrażam sobie, by Eryk za nią tęsknił, ale dzieci z pewnością będą tęskniły. Mousseline i Ludwik Józef na pewno bardzo by cierpieli, gdyby mnie im odebrano!

Interweniowałam w imieniu rodziny i Ludwik wydał zarządcom Bastylli specjalny rozkaz pozwalający Erykowi i dzieciom odwiedzać Amelię raz w tygodniu przez godzinę.

20 listopada 1783

Znów dopadła mnie jesienna melancholia. Axel powiedział mi, że na jakiś czas musi wyjechać z Wersalu, by towarzyszyć królowi Gustawowi podczas podróży po Italii. Nie będzie go przez wiele miesięcy. Tak niewiele czasu spędziliśmy razem. Już za nim tęsknię i smucę się z powodu jego nadciągającego wyjazdu.

Nie chodzi tylko o wyjazd Axela, nagie, pozbawione liści drzewa, krótkie, pochmurne dni i zimne jesienne wiatry, które mnie przygnębiają, lecz o zalew paskudnych pism, które sprzedają nie tylko w Paryżu, ale nawet na naszym progu w Wersalu.

Tuż pod tarasem znajduje się podjazd prowadzący do drogi. Handlarz książek ustawił swój kram na samym końcu tego podjazdu, tak że pałacowi goście, kiedy już przejdą zewnętrzne i wewnętrzne bramy, w drodze na galerie i salony muszą przejść obok niego. Gości są tysiące i wielu z nich, jak mi powiedziano, kupuje te śmieci i czyta.

Wypisują o mnie straszliwe, niegodziwe rzeczy. Ze jestem winna praktykowania „niemieckiego występku” (czyli kochania kobiet zamiast mężczyzn), że wiodłam życie prostytutki, że nie mam żadnych zasad moralnych, a nawet że uwodzę młodych chłopców i dziewczęta. Egzemplarze tych okropnych książek i pamfletów znaleziono w pałacu. Przedstawiają mnie jako potwora, który nigdy nie ma dość miłości i zawsze szuka nowych

ofiar do uwiedzenia. Moje karykatury są paskudne i przerażające. Przedstawia się mnie jako żarłocznego groteskowego demona lub harpię żywiącą się mięsem biedaków i oddającą się wszelkim odmianom wyuzdania.

Ludwik mówi, że nie ma sposobu, by powstrzymać sprzedaż tych publikacji. Wprawdzie setki przechwytywane są co tydzień przez władze, ale drukarze produkują więcej. Dopóki ludzie kupują te okropieństwa, będą je drukować i sprzedawać. Handlarz książek obok pałacu został aresztowany kilka razy, jednak za każdym razem kiedy wychodzi na wolność, wraca i znów rozstawia swój kram.

14 stycznia 1784

Zaczął się nowy rok i Axel niedługo wyjedzie. Ludwik Józef ma wydzielinę w piersiach i leczy go plastrami. Mnie wyrwano trzy zęby z tyłu. Nie mogłam potem wypoczywać ani spać przez pięć dni, gdyż ból był straszliwy. lutego 1784

Dziś rano podczas porannego przyjęcia podeszła do mnie Zofia i szepnęła, że przyszła jakaś kobieta. Powiedziała „kobieta”, a nie „dama”. Doszła do wniosku, że będę się chciała z nią zobaczyć na osobności, nie w czasie przyjęcia, kiedy w pokoju kłębi się tłum i każdy mój gest i słowo są pod obserwacją.

Powiedziałam Zofii, żeby wprowadziła kobietę do saloniku tuż przed mszą, kiedy będę ją mogła przyjąć sama.

Kiedy weszłam do pokoju, ujrzałam siedzącą na kanapie kobietę w średnim wieku o bujnych kształtach, w ekscentrycznej sukni z czerwonego i pomarańczowego jedwabiu i włożonym na bakier kapeluszu z pomarańczowym piórem. Kiedy wstała i ukloniła się, pospiesznie zdejmując kapelusz, zauważyłam pasemka siwizny w jej brązowych włosach. Choć wiele kobiet po trzydziestce farbują i zakrywa siwe włosy sztucznymi pasmami, ona najwyraźniej nie zawracała sobie tym głowy. Na jej przyjemnej, okrągłej twarzy błąkał się uprzejmy uśmiech i nie mogłam nie zauważyć, że pod warstwami jedwabiu jej ciało jest silne i umięśnione.

Usiadłam na stojącej obok sofie, a za mną zaraz wskoczyły dwa mopsy. Z roztargnieniem pogłaskałam je po łebkach.

- Wasza królewska wysokość - odezwała się kobieta z uśmiechem. - Nazywam się Eleanora Sullivan. Mamy wspólnego znajomego w osobie hrabiego Axela Fersena.

Otworzyłam szeroko oczy, ale nic nie powiedziałam i starałam się zachować spokój. Ta kobieta, niegdyś akrobatka, była przez wiele lat kochanką Axela. Wiedziałam, że mieszka w Paryżu i że on nadal ją widuje, choć nawiązała romans z bogatym amerykańskim finansistą, który był jej opiekunem. Pomyślałam, że to właśnie ta starzejąca się kobieta przez te

wszystkie lata była moją rywalką. Przypominając sobie o dobrych manierach, gestem dałam jej znak, by usiadła.

- Dziękuję, że mnie pani przyjęła, wasza wysokość. Nie przyszedłbym, gdybym nie słyszała, jak jesteś pani łaskawa i jak wysoko cenisz sobie prostotę i szczerłość.

- Bardzo cenię sobie uczciwość, panno Sullivan.

- Pani Sullivan, jeśli mogę poprawić waszą wysokość. Przez wiele lat byłam żoną wspaniałego człowieka, kiedy oboje występowaliśmy w cyrku.

- A zatem pani Sullivan. Dlaczego pani do mnie przyszła?

Pochyliła się, a na jej twarzy odmalował się wyraz powagi.

- Bo stoisz pani na drodze Axela.

- W jakim sensie?

- Jego wielka miłość do pani nie pozwala mu żyć normalnym życiem, które byłoby dla niego najlepsze.

Chciałam rzucić ostro: „Skąd pani wie, co jest dla niego najlepsze? To ja znam go najlepiej. Jest najszczęśliwszy ze mną. Nie moglibyśmy kochać się bardziej”. Ale ugryzłam się w język. Królowe nie kłócą się z akrobatkami cyrkowymi, bez względu na to jak wysoko wspięły się w hierarchii paryskiej socjety.

- Czy nie mówił pani, że szuka żony?

Zaskoczyła mnie zupełnie.

- Nie - wydusiłam w końcu.

- Ulegając naleganiom siostry i wiedząc, że byłoby to życzeniem jego ojca, podczas ostatniej przepustki z wojny w Ameryce chodził na wiele balów i przyjęć w Sztokholmie. Poznał tam Margaretę von Roddinge. Ma dwadzieścia trzy lata, jest śliczna, czarująca i ciepła, dobrze wykształcona i pochodzi z jednej z najlepszych wojskowych rodzin Szwecji. Jej ojciec jest generałem kawalerii króla Gustawa. Axel lubi ją, a ona go podziwia, jak każda młoda kobieta. Rodzina planowała dla niej inne małżeństwo, ale jest gotowa zmienić zdanie. Czeka, by Axel się oświadczył. - Urwała, by jej słowa wywarły pożądaný efekt. - Poznałam Margaretę - dodała po chwili. - Axel przyprowadził ją do mnie. Wierzę, że szukał mojej aprobaty, choć Bóg jeden wie, dlaczego uznał, że jest mu potrzebna. Dziewczyna bardzo mi się spodobała i życzyłam im obojgu szczęścia.

Zrobiło mi się słabo. Bardzo chciałam zadzwonić po wodę pomarańczową i eter. Wachlowałam się gorączkowo i sięgnęłam po jednego z mopsów, które dyszały i lizały się. Po chwili wróciła mi odwaga.

- To dlaczego się nie oświadczył? - zapytałam Eleanorę Sullivan.

- Z twojego powodu, pani.

- Odkąd go znam, w życiu Axela zawsze były inne kobiety - zauważyłam, starając się, by zabrzmiało to światowo. - Także i pani.

- Proszę wybaczyć, że powiem to tak otwarcie, ale obie wiemy, że nigdy nie kochał żadnej kobiety tak jak pani. Jest z panią związany więzami zbyt silnymi, by je zerwać. Ale pani może to zrobić, jeśli tylko zechce.

- Prosi mnie pani, żebym go odesłała? - Z trudem wypowiedziałam te słowa. Odesłać Axela? Odesłać największą miłość mojego życia?

Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał twardo.

- Proszę go uwolnić. Pozwolić mu wrócić do domu, ożenić się, zostać ojcem rodziny. Niech zrobi to całym sercem, nie żywiąc nadziei, że pewnego dnia jakimś cudem będziecie żyć razem.

Chociaż poruszyły mnie słowa tego dziwnego i nieoczekiwanego gościa, byłam w stanie przyjrzeć się wyrazowi jej twarzy. Próbowałam zrozumieć, czy jest do końca szczerą i co nią kierowało, gdy zdecydowała się przekazać mi te przygnębiające wieści.

W jej dużych brązowych oczach malowała się sympatia, a w szerokich, pełnych ustach widać było determinację. Nie dostrzegłam w niej złośliwości ani zawiści, choć mogła mi oczywiście zazdrościć głębokich uczuć Axela, które z pewnością już dawno przesunęły ją na margines jego życia. Instynktownie czułam, że mówi prawdę o prawdopodobnym małżeństwie Axela i Margaretty.

Pomyślałam, że ożeni się z poczucia obowiązku wobec rodziny i ponieważ należało to zrobić. Wybierze dobrą kobietę, wyjątkową. Ale to mnie będzie zawsze kochał najbardziej.

- Obie pragniemy szczęścia hrabiego Fersena, pani Sullivan. Francja jest mu wdzięczna za jego służbę, której mój mąż potrzebuje teraz bardziej niż kiedykolwiek. Dla mężczyzny z takimi zdolnościami i osiągnięciami jak hrabia Fersen sprawy państwowe muszą zawsze stać na pierwszym miejscu przed osobistymi.

Moje słowa zabrzmiały zimno i oficjalnie, jak słowa królowej. Byłam jednak pewna, że Eleanora Sullivan domyśla się ukrytych za nimi uczuć. Dawałam jej do zrozumienia, że nie pozwolę Axelowi odejść.

Wstałam i uśmiechnęłam się, mam nadzieję, że łaskawie. Spotkanie dobiegło końca. Eleanora Sullivan też wstała i ukloniła się nisko.

- Wasza wysokość zdaje sobie sprawę, że łamię mu serce - powiedziała i wyszła. Jej ciężkie buty stuknęły głośno na parkiecie. Kiedy usłyszałam, że zamyka za sobą drzwi, chwyciłam psy i rozplakałam się, jakby miało pęknąć mi serce.

4 maja 1784

Kiedy Axel przyszedł mi powiedzieć, że w końcu wyjeżdża do Włoch z królem Gustawem, znalazł mnie w Petit Trianon na terenach przeznaczonych pod budowę chatek. Cztery z nich są już prawie gotowe i można w nich zamieszkać. Wydawałam polecenia malarzom, by wymalowali na białych ścianach zakrzywione czarne linie, które miały imitować pęknięcia. Chcę, by chatki wyglądały na uroczym podniszczonym, jakby stały tam przez sto lat. Miałam przy sobie Ludwika Józefa, który szedł niepewnie, trzymając mnie za rękę. Uwielbia przychodzić do tej niewielkiej wioski, odwiedzać białe owieczki i kozy w zagrodach. Tylko tutaj widzę, jak się uśmiecha.

Oczywiście, nie powiedziałam Axelowi o wizycie Eleanory Sullivan ani o jej rewelacjach dotyczących Margaretty von Roddinge. Myślałam, że jesteśmy sobie bliscy, że nie ma takiej rzeczy, o której nie moglibyśmy rozmawiać. Myliłam się. Nie wiedziałam, jak mam się odnieść do jego małżeńskich planów. Zupełnie jakby ten temat znajdował się poza zamkniętym kręgiem naszej miłości. Może on też tak to widzi. Nigdy nie pytałam go o inne kobiety w jego życiu, choć on od czasu do czasu o nich opowiadał. Wie, że ja nie mam kochanków. Że jestem jego, ciałem i duszą, do końca życia. W pełni rozumie moje małżeństwo z Ludwikiem, mieszaninę obowiązku, dobrej woli i sympatii. Może patrzy na Margaretę von Roddinge tak samo jak ja na Ludwika, jak na osobę, z którą może spełnić oczekiwania rodziny, dzielić sympatię i mieć dzieci. Ale jego serce, podobnie jak moje, pozostanie w zupełnie innym królestwie, naszym wspólnym.

Rozstaliśmy się nadzwyczaj czule. Axel nie mógł się ode mnie oderwać i obiecał pisać często z Wenecji, Florencji i Rzymu, a listy przysyłać do Wersalu przez kurierów. Został aż do wieczora i zjedliśmy razem kolację na górze w Petit Trianon, odpoczywając przed kominkiem w pokoju, w którym przebywaliśmy tak często. Trzymam ten pokój tylko dla niego i nigdy z niego nie korzystam, chyba że Axel jest ze mną.

Siedzieliśmy do późna, kochając się i rozmawiając o wielu rzeczach - lecz nie o jego planach na przyszłość. Trochę się martwię. Czy Margareta mi go ukradnie? Mam prawie trzydzieści lat i nie jestem już tak piękna jak niegdyś. Napięcia i troski odcisnęły swoje piętno na moim czole i w zmarszczkach pod oczami. Moje ciało jest zbyt bujne. Potrzebuję teraz gorsetów, z których kiedyś zrezygnowałam. Axel mówi, że gdy na mnie patrzy, widzi tylko sam urok, a ja mu wierzę.

Obiecuje, że w Wenecji popłynie gondolą w księżycową noc i będzie myślał o mnie.

11 czerwca 1784

Eryk przyszedł do mnie i błagał, abym użyła wszystkich swoich wpływów, by

uwolnić Amelię. Mówi, że straszliwie cierpi i że nie dostaje dość jedzenia, a jej mała ciemna cela jest pełna szczurów. Nie wolno jej się myć, a jej ubranie jest podarte i brudne. Mówi, że dzieci płaczą na jej widok i potem przez kilka dni są niespokojne.

Wiem, że zasłużyła na karę, a jednak zamierzam porozmawiać z Ludwikiem, by sprawdzić, czy nie można znaleźć dla niej łagodniejszego więzienia.

Nie otrzymałam jeszcze żadnych listów z Włoch.

25 sierpnia 1784

Jeszcze nic nikomu nie mówiłam, ale przypuszczam, że znów jestem przy nadziei.

7 września 1784

Wybraliśmy się w długą podróż do Fontainebleau. Codziennie wymiotuję. Nie ma wątpliwości, że będę miała następne dziecko. Nie może to być dziecko Axela, bo po jego wyjeździe do Włoch miałam miesięczną przypadłość.

Ludwik jest bardzo szczęśliwy i w geście dobrej woli zgodził się złagodzić warunki, w jakich przebywa Amelia. Będzie dostawać większe racje, a Eryk będzie mógł co tydzień przynosić jej jedzenie, a także zanieść pościel i nowe ubranie. Raz w tygodniu razem z innymi więźniami będzie mogła chodzić do komórki przy kuchni i myć się we wspólnym korycie. y»

7 listopada 1784

Jestem nadal tak chora, że z trudem piszę w dzienniku. Nie cierpiałam tak bardzo z Mousseline i Ludwikiem Józefem. Czuję się zmęczona i przerażają mnie długie dworskie ceremonie. Nawet siedzenie podczas mszy jest dla mnie ciężką próbą i denerwuję się, gdy Ludwik i Karol dokuczają sobie i rozmawiają głośno podczas całego nabożeństwa.

5 stycznia 1785

Doktor Sundersen mówi, że moje dziecko przyjdzie na świat już za kilka tygodni. Jestem bardzo gruba i mogę nosić jedynie luźne suknie przypominające tuniki, które nazywam moimi „sukniami Arystotelesa”. W dworskich wyglądam śmiesznie. Mam tak ogromny brzuch, że mogę urodzić bliźnięta, ale nic mi nie wiadomo, by w rodzinie mojej lub Ludwika kiedykolwiek przyszły na świat.

Świąteczną atmosferę zakłóciła nieco krytyka moich poczynań. W Paryżu mówią otwarcie, że na terenach Petit Trianon stworzyłam Mały Wiedeń i wydałam na wioskę miliony franków. Przyznaję, że sporo kosztowało przesunięcie strumienia, który napędza młyn, i zbudowanie jeziora, ale osiem chat nie stanowiło zbyt wielkiego wydatku. Zbudowałam je razem z szopami, sadami i zagrodami dla zwierząt w geście dobroczynnym. Sprowadzono osiem chłopskich rodzin, by zamieszkały w chatach, lecz trzy prawie natychmiast się wyniosły, narzekając, że kominy są zatkane, a na ubogiej glebie nic nie



rośnie.

Wioska nie spełnia jeszcze naszych oczekiwań, ale zebraliśmy wiele worków pomarańczy, a dwie moje krowy, Brunette i Blanchette, dają doskonałe mleko, które Ludwik Józef chętnie pije. Ziemia leży jeszcze odłogiem, ale wiosną odbędą się siewy, a jesienią będziemy mieć zboże do mielenia w młynie. A przynajmniej mam taką nadzieję.

16 lutego 1785

Dostałam cały pakiet listów od Axela, który cieszy się, że oczekuję dziecka, i ma nadzieję, że to będzie chłopiec.

Gustaw jest zachwycony Włochami - pisze. - Mówi tylko o tym, jak ciepło jest teraz we Florencji i jak byłoby nam zimno w Szwecji. Nie może uwierzyć, że śnieg we Florencji pada bardzo rzadko, a w Rzymie w ogóle. Niebawem udajemy się na południe do Rzymu i zostaniemy tam przez kilka miesięcy, po czym pojedziemy do Neapolu.

Jestem rozczarowana. Wygląda na to, że Axel jeszcze długo nie wróci.

Na szczęście Eleanora Sullivan już więcej mnie nie odwiedziła.

1 kwietnia 1785

Brakuje mi słów, by opisać mojego kochanego nowego synka, dużego, zdrowego, pełnego energii chłopczyka. Po wielkich problemach ze zdrowiem w czasie ciąży oczekiwałam długiego i bolesnego porodu, ale malec zaskoczył mnie, przychodząc na świat bardzo szybko i bez kłopotu. Bogu niech będą dzięki!

Łapczywie pije mleko mamki i prawie w ogóle nie płacze. Jego ciało jest idealne, okrągłe, miękkie i różowe. Chwalić Boga, że mogłam urodzić zdrowego syna. Teraz, jeśli biedny mały Ludwik Józef umrze (wszyscy o tym szepczą), Francja nadal będzie miała dziedzica tronu.

20 kwietnia 1785

Józef przysłał mi gratulacje z okazji narodzin mojego małego Ludwika Karola, lecz nie wspomina nic o naruszeniu austriackiego traktatu z Francją. Jest bardzo agresywny i zupełnie niepodobny do naszej matki, która była bardzo mądra i zadowolona z wielkich ziem odziedziczonych po swoim znakomitym ojcu. Józef zawsze chce więcej. Teraz pragnie nowych terenów w Niderlandach, a nasi ministrowie grożą, że przez to może dojść do wojny.

Ministrowie niemal codziennie szukają Ludwika z powodu jakiegoś kryzysu. Jest nim nieustanny brak pieniędzy, jakaś kwestia dyplomatyczna, na przykład kłopoty wywoływane przez Józefa, albo jakieś inne problemy. Ludwik wyjeżdża na polowanie, by ich uniknąć, więc szukają mnie. Przyszli dziś po południu.

22 kwietnia. 1785

Nie lubię spotkań z ministrami, ponieważ za nic nie mogę zrozumieć, o co chodzi w zawartych przez Francję traktatach i jej interesach za granicą. Wszyscy ministrowie mnie nienawidzą, więc robią wszystko, bym pozostała w tej materii ignorantką. Ja jednak przejrzałam ich taktykę (po tych wszystkich latach to przecież nietrudne) i twardo stoję na swoim stanowisku. Proszę ich, żeby mi wytłumaczyli, powoli i wyraźnie, na czym polega problem i jak można mu zaradzić. Potem mówię, że porozmawiam z mężem. Po chwili wzywam ministrów i udzielam im odpowiedzi.

To oczywiście tylko udawanie. Bardzo chętnie naradziłabym się z mężem, ale on nie chce słuchać. Ucieka albo zasłania uszy rękami. „Ty decyduj”, mówi. A najgorsze jest to, że im więcej decyzji podejmuję i im lepiej radzę sobie z ministrami, tym bardziej dostarczam Ludwikowi wygodnej wymówki, by wszystko zostawiał mnie. Nie mogę się z tego wyplątać i bardzo mi z tym ciężko.

W sprawie złamania traktatu przez Józefa postanowiłam, że Francja powinna dać sobie spokój z interwencją w sprawie holenderskich ziem. Nie będziemy grozić wojną, ale napiszę do Józefa, że musi wypłacić Holendrom wysoką kontrybucję i że jeśli złamie inne postanowienia traktatu, rozkażę generałom wyprowadzić nasze oddziały na granicę i przygotować je do ataku. Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne, bo nie mamy pieniędzy na żołd dla armii. Nasi wrogowie nie mają o tym pojęcia, ale jeśli nie zaciągniemy nowych pożyczek, Francja nie będzie w stanie się bronić, nie mówiąc już o atakowaniu kogokolwiek.

7 czerwca 1785

Hrabia Mercy ostrzegł mnie, że ktoś znów czytał mój dziennik i przekazuje zawarte w nim informacje. Uważa, że mam szpiegów na własnym dworze. Od czasu aresztowania Amelii martwi się tym jeszcze bardziej niż kiedyś. Nie wolno mi więcej pisać, dopóki nie znajdę bezpieczniejszej kryjówki. Hrabia był na mnie bardzo zły, że tak nieroztropnie pisałam zbyt szczerze o rzeczach, które mogą zagrozić bezpieczeństwu rządu mojego brata i Francji.

16 grudnia 1785

Nareszcie czuję, że znów mogę bezpiecznie pisać. Znalazłam nową, lepszą kryjówkę dla dziennika. Minęło już sześć miesięcy od ostatniego wpisu, ale notowałam krótkie wiadomości na skrawkach papieru i chowałam je w wielkiej żółtej chińskiej wazie, do której nikt nie zagląda ani nie podnosi do czyszczenia, bo jest za ciężka.

Wyliczę teraz najważniejsze z tych informacji.

Po pierwsze, zwolniono dwustu moich służących, by obniżyć koszty utrzymania mojego gospodarstwa. Niektórych z nich przyłapano na kradzieży różnych przedmiotów. Po drugie, znów jestem w ciąży. Po trzecie, strasznie leje, o wiele bardziej niż zwykle o tej porze.

Po czwarte, doszło do straszliwej katastrofy balonu nad kanałem między Francją i Anglią, który nazywamy Rękawem. Wszyscy byli wstrząśnięci i zasmuceni. To są te najważniejsze rzeczy.

2 lutego 1786

Z przerażeniem przeczytałam ostatni list Axela: Najdroższy aniele! W maju wracam do Sztokholmu z Gustawem. Muszę się zająć sprawami rodzinnymi, które zaniedbywałem zbyt długo.

Co to może oznaczać poza tym, że zamierza się ożenić z Margaretą von Roddinge? Boli mnie serce.

Ożeni się z nią i razem się ustatkują. Pokochają w końcu, a ja stanę się tylko odległym, uroczym wspomnieniem. Urodzą im się dzieci, a on będzie oddanym mężem i ojcem. Nigdy więcej go nie zobaczę.

24 kwietnia 1786

Dobrze mi robią spacerować po wiosce w Petit Trianon i pomaganie w wiosennym sadzeniu. Mam ogromny brzuch, bo nowe dziecko ma się urodzić za trzy miesiące, ale nadal mogę chodzić po zaoranych polach z moimi dzierżawcami i rzucać nasiona. W powietrzu unosi się zapach kwiatów jabłoni i pamiętam, że kiedy byłam malutką, matka brała mnie na ręce i chodziła ze mną po pałacowych sadach wśród obsypanych kwiatami drzew. Pod krokiewkami chat jaskółki zbudowały gniazda i zaczynają się wykluwać pisklęta.

Wszędzie widać nowe życie, wzrost, rozwój. Jednak w pałacu królują upadek i zgnilizna. Moje apartamenty, które odnowiłam przed narodzinami Ludwika Józefa, nadal są piękne i uderzające, ale jeśli przyjrzę się dokładniej, nawet tam dostrzegam łuszczącą się farbę i nagie plamy, gdzie nożem zeszkrobano złocenia, by je sprzedać. Porysowane podłogi i wyszczerbione meble nie zostały naprawione. Dywany są poplamione. Wszędzie unosi się zapach pleśni, zwłaszcza gdy pada deszcz.

W moich apartamentach można przyjemnie mieszkać, podobnie jak w wielkich salonach i salach przyjęć, lecz większość z setek pokoi w pałacu popadła w ruinę, czuć w nich pleśń, a po marmurowych podłogach biegają szczury i myszy, obgryzając brokatowe sofy i rzeźbione nogi stołów. Przez dziury w dachu zimą wlewa się deszcz. Z każdym rokiem trzeba zamykać więcej pokoi. Urzędnicy pałacowi i służba muszą szukać drogich kwater w mieście, a właściciele okropnie z nich zdzierają. Coś trzeba zrobić z tym smutnym upadkiem, ale bez pieniędzy na naprawy nie można podjąć żadnych kroków.

21 maja 1786

Tej wiosny najczęściej szeptanym na dworze słowem jest bankructwo. Nikt nie ma

pieniędzy, wszyscy pożyczają od wszystkich. Służba nie dostaje należnej pensji, uważa więc, że może kraść meble, bibeloty i dzieła sztuki, nawet koronki z sukni. Wszystkie złote sznury z kotar zniknęły już dawno temu. Stalowe klamry do butów i guziki wchodzi w modę nie tylko dlatego, że są „republikańskie”, a przez to stylowe, lecz dlatego, że służba ukradła większość złotych klamer i guzików z cennych kamieni. Złodziei nie można złapać i ukarać, bo jest ich zbyt wielu. Kradzież to bardzo nieprzyjemna część życia, a razem z nią szerzy się nieufność i podejrzliwość.

Pomimo bankructwa i narzekań na brak pieniędzy dwór jest bardzo ożywiony, szaleją nowe mody, style i kolory. Zofia i Loulou zabawiają mnie, pokazując nowe suknie z falbankami przy szyi w stylu Henryka IV, nazwanego tak na cześć cynicznego króla z okresu renesansu. Zebra Ludwika, dar od króla Senegal, stała się symbolem nowej mody i jej białoczarne paski można znaleźć na wszystkim, od kapeluszy po pończochy. Karol ma nawet balon w paski, który przyciąga tłumy, kiedy lata nim nad dachami pałacu.

André stworzył nowe wymyślne fryzury o nazwie Afrykańska Zebra, Jeź i Gruba Gęś, by pasowały do przywróconego do łask koloru Gęsich Odchodów, który wszyscy noszą.

Wszystko to jest bardzo zabawne. Nie możemy przecież przez cały czas chodzić posępni i smutni. Poza tym muszę myśleć pozytywnie ze względu na maleństwo, które noszę pod sercem. W skrytości mam nadzieję, że tym razem będzie dziewczynka, śliczny blondwłosy aniołek jak moja Mousseline, która jest kapryśna, lecz urocza. Czekam z nadzieją. m.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

6 marca 1787

Boże, pomóż mi, bo są takie chwile, kiedy wołałabym nie żyć.

Przysłano mi kolejne anonimy, a ja nie mogłam się powstrzymać i przeczytałam je. Ludzie są tacy niegodziwi, tacy nikczemni! Kiedy przestaną mnie dręczyć? Przecież staram się tylko pomagać Ludwikowi i robić co w mojej mocy.

17 marca 1787

To przeklęte Zgromadzenie Notabli - Stanny mówi, że powinno się nazywać Zgromadzeniem Niedojdów, a ja w pełni się z nim zgadzam - okazało się smutną porażką. Jak zwykle winą obarcza się mnie, ale tak naprawdę winni są sami delegaci.

To generalny kontroler finansów Calonne nalegał, by w Paryżu doszło do spotkania notabli z całej Francji dla wspierania reform. Zorganizował je i próbował wywrzeć wpływ na dyskusję. Kiedy notable zbuntowali się, a całe spotkanie zamieniło się w kłótnię, Ludwik zdymisjonował Calonne'a. To był jego pomysł, ja nie miałam z tym nic wspólnego, bez względu na to co twierdzi sam Calonne.

Jakżebym chciała, żeby ktoś pospieszył mi z pomocą. To nie moja wina, że Francja nie może już zaciągać pożyczek ani że Ludwikowi brakuje urzędników do mianowania. Dręczą go koszmary, że flota angielska przybije do naszych brzegów i zaatakuje Francję. Krzyczy przez sen: „Poddaję się! Poddaję się!”. W takich chwilach nie ma przy nim Calonne'a, żeby go pocieszył, ani żadnych notabli. To ja go uspokajam. A następnego dnia spotykam się z ministrami na prośbę Ludwika, bo on nie może się do tego zmusić, choć powinien. Ufa tylko mnie. Nie mogę go zawieść.

6 kwietnia. 1787

Zgromadzenie Notabli dalej z trudem obraduje, ja też jakoś sobie radzę, choć wymagania czwórki dzieci czasem przerastają moje siły. Prawie nie mogę pisać o mojej najmłodszej, maleńkiej Zofii. Była tak mała i słaba, gdy przyszła na świat, że doktor Sundersen tylko pokiwał głową i ze współczuciem poklepał mnie po ramieniu. Słowa były zbędne. Wiedziałam, że jego zdaniem malutka niedługo umrze. Jednak ku zaskoczeniu wszystkich zaczęła ssać i nadal jest z nami, choć wątła i słaba.

Nocami przesiaduję przy niej, kołyszę ją i śpiewam, a czasem Ludwik Józef wspina mi się na kolana i przytula do mnie. Ludwik Karol, mój zdrowy syn, zachwyca mnie swoją siłą i wigorem, jednak boi się ciemności i w nocy wzywa mnie płaczem. Mousseline czasami też potrzebuje pociechy, mimo że ma już dziewięć lat i jest prawie młodą damą.

Brakuje mi snu. Często za dnia jestem zupełnie wykończona. Doktor Boisgilbert mówi, że moje ciało jest osłabione czterema ciążami. A przecież chłopki w moim wieku, blisko trzydziestodwuletnie, często mają już za sobą dziesięć czy dwanaście ciąż, a nadal mają siłę, by pracować w polu i zbierać plody razem z mężczyznami. Wykańcza mnie chyba to stałe zamartwianie się o wszystko.

26 maja 1787

Wczoraj główny minister arcybiskup Lomenie de Brienne rozwiązał Zgromadzenie Notabli i odesłał delegatów do domu. Byli bardzo źli i na pewno jeszcze o nich usłyszymy. Teraz najważniejsze pytanie brzmi: Czy nowy rząd zdoła zaciągnąć pożyczki?

12 czerwca 1787

Deszcz pada od tygodnia i nie mogę wychodzić na zewnątrz. Irytują mnie wszystkie utrapienia dnia codziennego. Zofia nie chce jeść.

15 czerwca 1787

Zofia nadal nie je i dużo płacze. Jestem przy niej cały czas.

17 czerwca 1787

Mogę się tylko modlić. Dobry Boże, proszę Cię, nie pozwól mojej malutkiej umrzeć!

25 czerwca 1787

Dwa dni temu uczestniczyliśmy w mszy żałobnej za Zofię i pochowaliśmy ją w gaju cytrynowym w Petit Trianon, obok kamienia, który kazałam tam ustawić dla upamiętnienia dziecka, które poroniłam przed laty.

Prawie nikt nie przyszedł na pogrzeb Zofii. Nie była ważna dla nikogo oprócz mnie, mimo że była księżniczką Francji. Nie żyła nawet rok. Niech Bóg zachowa jej bezcenną duszyczkę.

15 lipca 1787

Od dnia śmierci Zofii prawie nie wychodzę z pokoju i nie mam apetytu. Moją pociechą są dzieci, zwłaszcza mój mały chou d'amour, jak lubię nazywać Ludwika Karola, który ma już dwa lata i nie może usiedzieć w miejscu, tyle ma energii. Mousseline i Ludwik Józef grają w karty, chou d'amour gania mopsy i biega ze śmiechem po korytarzach, uciekając przed Zofią. Abbé Vermond jest dla mnie bardzo dobry. Jego obecność zawsze mnie pociesza. Uświadomiłam sobie niedawno, że jest moim spowiednikiem od czasu, gdy miałam dwanaście czy trzynaście lat, czyli blisko dwadzieścia lat. Był przy mnie zawsze, kiedy go potrzebowałam.

2 sierpnia 1787

Przyjechałam z dziećmi do SaintCloud. Ludwik jest w Compiègne. Z Paryża dochodzą

tylko złe wieści i nie chcę ich słuchać.

7 września 1787

Wydarzył się cud. Wczoraj byłam na dziedzińcu pałacowym zatłoczonym karetami i wozami, które przygotowywały się do corocznej wyprawy do Fontainebleau. Nadzorowałam załadunek wozu z rzeczami Ludwika Józefa, co zwykle pozostawiam służbie. Tak się jednak złożyło, że stałam na zakurzonym dziedzińcu, kiedy dostrzegłam wielką białą karetę z herbem króla Gustawa, która przejeżdżała przez główną bramę. Od razu wiedziałam, że to musi być Axel.

Kiedy wysiadł, wygląda! inaczej, nie tylko dlatego, że zrezygnował z pudrowanej peruki i nosi teraz własne jasne włosy związane z tyłu, lecz dlatego, że wyraz jego twarzy był bardziej zdecydowany. Wyczułam, że zaszła w nim jakaś zmiana.

Nie posiadałam się z radości na jego widok. Wyobrażałam sobie, że już nigdy go nie zobaczę i próbowałam się pogodzić z myślą, że straciłam go na rzecz Margaretty von Roddinge. Ludwik też się uradował i wieczorem przy kolacji zaczął mu opowiadać o swojej książce o leśnych roślinach i zwierzętach. (Powrócił do pisania książki Flora i fauna lasu w Compiegne). Axel opowiedział nam o swoich obowiązkach militarnych, o wojnie między Szwecją i Rosją i o oddziałach, które prowadził do bitwy. Nie wspominał nic o swojej rodzinie, a ja nie poruszałam tego tematu. Dopiero następnego dnia, kiedy spotkaliśmy się w Petit Trianon, zaczął mówić o życiu osobistym.

- Kiedy zostawiłem cię, by wyjechać do Włoch z królem, myślałem, że między nami nic już nie będzie tak samo. Myślałem, że zmuszę się do ożenku i zrezygnuję z życia wędrowca, odrzucę moją wielką miłość. - Pocałował mnie i pogładził po policzku. - Próbowałem, ale nie mogłem tego zrobić. Nie uczciwie. Nie całym sercem. Zawsze stałaś na drodze. - Uśmiechnął się. - Rozgniewałem wiele osób, kiedy wreszcie zdecydowałem się nie żenić.

- Nie żenić! Ale myślałam, że wszystko już postanowione.

- Nie do końca. Nigdy się nie oświadczyłem tej dziewczynie.

Zakręciło mi się w głowie i poczułam się dziwnie lekka. Zupełnie jakbym miała unieść się w powietrze niczym jeden z balonów Karola.

- A ja przez cały ten czas myślałam... myślałam, że cię straciłam.

- Nigdy nie mogłabyś mnie stracić. I nigdy nie stracisz.

Objęliśmy się mocno i czule i nie rozmawialiśmy już o niczym innym jak tylko o tym, że cudownie jest znów być razem.

20 września 1787

Axel jest z nami w Fontainebleau, ale od czasu do czasu jeździ do Paryża, by zająć się sprawami króla Gustawa i wojskowymi. Kiedy wraca, zwykle ma zaciśniętą ze złości szczękę.

- W całym mieście panuje chaos! - wykrzyknął dwa dni temu wieczorem, kiedy wrócił z ostatniej wyprawy i przyszedł się ze mną zobaczyć. - Mój powóz porusza się z trudem, bo na ulicach kłębi się tłum. I co wykrzykuje! Grożą nam wszystkim. Ty jesteś Madame Deficyt, jak już wiesz. Ludwik jest Ludwikiem Zajęcze Serce albo Ludwikiem Trójbrodym. Trzymają się za ręce i śpiewają, tańczą wokół ognisk i wyglądają jak dzicy, których oglądałem w Wirginii. Nawet wykształceni, kulturalni ludzie zarazili się gorączką krytykowania rządu. Poszedłem na kolację i słyszałem tylko: „Nie ma już rządu! Potrzebujemy nowego rządu! Potrzebujemy Stanów Generalnych!”.

- Co to takiego?

- Jakieś średniowieczne zgromadzenie. Podoba im się ta idea, bo przypomina parlament angielski, a wiesz, jak paryżanie lubią teraz wszystko co angielskie!

To była prawda. Panowała moda na angielskie suknie, angielskie fryzury, nawet na angielski sposób chodzenia, który jest bardzo dziwny i pozbawiony godności.

- Najbardziej niepokojące jest to, że całe miasto żyje tym politycznym fermentem. W każdej kawiarni są kluby i grupy dyskusyjne, wszyscy do jakiegoś należą. Mury są pokryte politycznymi sloganami i paskudnymi karykaturami. Paryż wstrzymuje oddech i czeka, by wybuchnąć.

Rozmawiałam o tym z arcybiskupem Lomenie de Brienne, kiedy przyszedł do mnie, przynosząc Ludwikowi papiery do podpisania. Powiedział, że wie o niepokojach w Paryżu, ale to tylko przelotne szaleństwo, podsycane przez kilku wicherzycieli. Zapewnił mnie, że przeminie. Opowiedział mi o podobnych wydarzeniach w historii Francji, do których doszło przed stu laty, kiedy król Ludwik XIV był małym chłopcem. Wtedy w Paryżu też zebrały się wielkie tłumy i doszło do zamieszek. Ludzie krytykowali rząd. Ale po pewnym czasie wszystko ucichło i przywrócono spokój.

Później czytałam o tym niespokojnym okresie w jednej z książek Ludwika. Im dłużej czytałam, tym bardziej rósł mój niepokój. Rewolta w czasach Ludwika XIV, nazywana Frondą, zaczęła się od braku pieniędzy. Lud się zbuntował, zbuntował się parlament Paryża i w końcu królowa, która rządziła w imieniu króla, musiała się poddać woli ludu.

Siedząc z książką przy ogniu, nie mogę oprzeć się myśli, że nasza sytuacja bardzo tamtą przypomina. Nasz rząd nie ma pieniędzy. Ludzie się buntują, a Ludwik zawsze powtarza, że parlament Paryża jest uparty. Czy ja, jako królowa, która często musi zajmować



miejsce męża, też będę zmuszona poddać się woli ludu?

2 listopada 1787

Ostatnio nie mam zbyt wiele czasu, by pisać w dzienniku, ale zanotuję dziś kilka słów dla upamiętnienia moich trzydziestych drugich urodzin. Jak okropnie się zestarzałam! Zofia znajduje wśród jasnych siwe włosy i próbuje je wyrwać.

8 grudnia 1781

Wprowadzamy oszczędności. Zwolniono więcej służby z mojego gospodarstwa i ponad połowę ogrodników z Petit Trianon. Przykro było mi się z nimi żegnać i bardzo mnie to zmartwiło. Jak nakarmię swoje rodziny? Chodzi mi szczególnie o jednego, olbrzymiego mężczyznę, który siał, pielął i grabił w moim ogrodzie przez wiele lat. Pożegnałam się z nim serdecznie. Skinął głową, lecz się nie uśmiechnął. Kto zatrudni takiego wielkiego człowieka o groźnym wyglądem? Jak przetrwa? Nie wydaje mi się, by pracował gdziekolwiek indziej poza Wersalem. Chciałam dać mu sakiewkę z monetami, lecz abbé Vermond przestrzegł mnie.

- Jeśli nagrodzisz jednego, będziesz musiała nagrodzić wszystkich - powiedział. - Inaczej wyrządzisz więcej zła niż dobra.

Nie mogę dać pieniędzy wszystkim. Nie mam ich dość. Gdyby tylko wiedzieli, jakie stanowcze kroki podjęłam, by wydawać mniej pieniędzy. Na wiosnę nie zamówiłam u Rose Bertin żadnych nowych sukien. Zamiast tego cztery szwaczki naprawiają i przyszywają nowe koronki i przybrania do starych sukien. (Nazywam je „starymi”, ale oczywiście większość z nich wygląda jak nowe, gdyż prawie ich nie nosiłam i przechowywano je starannie owinięte w zwoje tafty w kufrach w garderobie). Wiosenne sukienki Mousseline szyją z moich starych, bo potrzeba na nie tylko kilka łokci materiału.

Loulou wysłała kilka dużych pudeł pełnych moich atlasowych i brokatowych pantofelków do podzelowania. Straszliwie je marnowałam i już więcej tego nie zrobię. Zamiast nosić każdą parę tylko raz - podobnie jak rękawiczki - a potem wyrzucać, ponoszę je do czasu, aż będą wymagać naprawy. Co najmniej dwa lub trzy razy.

18 grudnia 1787

Nasz arcybiskup Loménie de Brienne jest zbyt chory, by nadal sprawować urząd głównego ministra. (Pozostali ministrowie nie chcą z nim pracować, więc przejął na siebie większość obowiązków wynikających z kierowania naszym chwiejącym się rządem). Niebawem musi odejść. Co zrobimy, gdy już go nie będzie?

1 lutego 1788

Wszystkie kłopoty spadają na nas jednocześnie. Ludwik Józef ma gorączkę, jest przeraźliwie chudy i spędza większość czasu w łóżku. Jego biedne plecy bardzo go bołą,

patrzy na mnie wielkimi poważnymi oczami i mówi: „Przepraszam, maman”. Serce mi pęka.

Ludwik kazał rozwiązać nieposłuszny parlament paryski i raz jeszcze doszło do zamieszek, tym razem nie tylko w stolicy, ale i w innych miastach. Axel nalega, żebym poradziła Ludwikowi, by abdykował i pozwolił Stanny’emu rządzić jako regent do czasu, gdy Ludwik Józef dorośnie. Zdaniem Axela Stanny nie pozwoliłby, aby zamieszki wymknęły się spod kontroli. Sprowadziłby oddziały, zarządził masowe aresztowania i zmusił buntowników do posłuszeństwa.

Wiem, że Ludwik nigdy się na to nie zgodzi. Za bardzo nienawidzi Stanny’ego. Poza tym wyobraża sobie, że mimo wszystkich swoich obaw i strachu przed konfrontacją w głębi serca rozumie poddanych i może być dla nich dobrym władcą. Axel twierdzi, że to niebezpieczne urojenia, które są tylko dowodem na to, że Ludwik nie nadaje się na króla.

3 kwietnia 1788

Od pewnego czasu Axel mieszka w apartamencie tuż nad moim, który kazałam dla niego odnowić. Ogrzewa go ogromny szwedzki piec kaflowy, a służba to Szwedzi. Teraz łatwiej niż kiedykolwiek możemy spędzać razem czas. Ludwik nic na ten temat nie mówi, ale wie oczywiście, że jesteśmy z Axelem kochankami, i wyczuwam, że to akceptuje. Ufa mi. Wie, że go nie opuszczę. Wierzę, że chce, abym była szczęśliwa. Ufa też Axelowi i jest przekonany, że dzięki miłości Axela do mnie skorzysta cała rodzina. Nie muszę oczywiście wspominać, że Ludwik nie ma pojęcia, iż Axel bardzo by się ucieszył na wieść o jego abdykacji.

Oficjalnie Axel jest przedstawicielem szwedzkiego króla Gustawa na dworze Francji. Tak jak hrabia Mercy jest przedstawicielem mojego brata, cesarza Józefa. Nieoficjalnie jest naszym przyjacielem i doradcą, i to o wiele lepszym niż przez ostatnie lata był hrabia Mercy. Fakt, że jest też moim kochankiem, nie ma żadnego znaczenia. To wyłącznie moja sprawa.

15 kwietnia 1788

Wczoraj o zmierzchu siedzieliśmy z Axelem na huśtawce w pałacowym ogrodzie różanym. Dzień był bardzo ciepły i zapadł przyjemny wieczór, a w powietrzu unosił się słodki zapach pierwszych kwiatów. Oparłam głowę na ramieniu Axela, a on spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Nie rozmawialiśmy, byliśmy zbyt pochłonięci podziwianiem cichego piękna, które nas otaczało, i powoli zapadającej nocy.

Na odgłos ciężkich kroków zeszywniałam. Po chwili naszym oczom ukazał się Ludwik, który szedł samotnie ścieżką w naszą stronę.

- Dobry wieczór - powiedział, kiedy się do nas zbliżył. - Tak, w istocie uroczy. Wyszedłem, żeby spojrzeć na *Ardura japonica*. Zwykle zaczyna kwitnąć właśnie o tej porze,

w połowie kwietnia. Kilka okazów rośnie w lesie w Compiègne. Ale tam kwitną wcześniej, koło pierwszego kwietnia.

- Dołączysz do nas, wasza wysokość?

- Chyba tak. Tylko na chwilę. - Usiadł na ławce obok, a stare drewno zatrzeszczało pod jego ciężarem. Zapadła niezręczna cisza. Nagle wstał. - Musicie mi wybaczyć. Robi się coraz ciemniej, a ja muszę zebrać próbki z drzew, póki jeszcze je wyraźnie widzę.

- Koniecznie - odparłam. - Ja zostanę tu jeszcze trochę.

- Oczywiście, jeśli masz ochotę. Jak sobie życzysz.

Pogwizdując, odszedł w stronę sadu wiśniowego.

16 maja 1788

Toczy się wielka bitwa, bitwa o duszę Ludwika. A przynajmniej tak widziałby to i opisał Jan Jakub.

To bitwa między uświęconym tradycją sposobem rządzenia a nowym, jeszcze niewypróbowanym. Wprowadziła go jedynie Anglia. Ludwik zna tylko system uświęcony przez czas, któremu hołdowali jego dziadek Ludwik XV i moja matka oraz większość europejskich monarchów. Słowo króla jest święte, a król ma władzę absolutną. Niech żyje król!

Ale nowy królewski doradca Malesherbes próbuje przekonać Ludwika, by przyjął sposób angielski. Namawia go, żeby napisał konstytucję i przedstawił ją ludowi. Żeby podzielił się z nim władzą. Tylko w ten sposób można ocalić monarchię.

Bitwa toczy się dalej.

11 czerwca 1788

Jest nieznośnie gorąco. Siedzimy przy otwartych oknach, ale nie ma żadnego przewiewu. Moje damy dworu stale mnie wachlują i próbują odpoczywać. Dzieci też cierpią.

12 czerwca 1788

Dziś rano zerwał się straszliwy wiatr, który wyrwał z korzeniami drzewa i krzewy w ogrodach. Wysłałam Eryka do Petit Trianon, żeby pomógł wieśniakom i spróbował zabezpieczyć zwierzęta. Wiatr szumiał jak wielki wodospad albo ogromny rwący strumień. To było przerażające!

Szybko pozamykaliśmy wszystkie okna i próbowaliśmy sprowadzić ludzi do piwnic, gdzie trzyma się wino, lód i zapasy żywności. Słyszeliśmy, jak wiatr wybija okna w całym pałacu. Ludwik pojechał na polowanie. Mam nadzieję, że będzie bezpieczny.

14 czerwca 1788

Wszyscy mówią, że Bóg zesłał tę wielką burzę, by przypomnieć, że to nie człowiek

panuje nad wydarzeniami na ziemi. Niektórzy twierdzą nawet, że to kara dla nieposłusznych paryżan za brak lojalności w stosunku do króla.

Posłaniec przywiózł raporty o wielkich zniszczeniach z miejsc tak odległych jak Gandawa na północy i Tours na południu. Wielki wiatr zniszczył zasiewy i drzewa owocowe, a ogromny grad zabił tysiące zwierząt i ptaków. To oznacza głód.

Ile jeszcze możemy znieść w tym okropnym roku?

21 czerwca 1788

Burza dawno już minęła, lecz szkody pozostały. Ceny na giełdzie rozpaczliwie spadły, a generalny kontroler finansów musiał wyłożyć własne pieniądze, by pomóc ofiarom kataklizmu. Komedia Francuska daje też spektakl Atalia na rzecz tych, którzy stracili plony i domy.

Poinformowano mnie oficjalnie, że skarbiec jest zadłużony na dwieście czterdzieści milionów franków. To niewyobrażalna suma.

8 sierpnia 1788

Paryżanie są wściekli i nikt w stolicy nie może czuć się bezpieczny. Loulou pojechała tam, by załatwić niezbędne sprawy, a kiedy wróciła, była blada i przerażona. Rzucano w jej powóz jajkami, a do środka wrzucano śmieci. Myślała, że nigdy nie wydobędzie się z miasta żywa.

A wszystko przez ogłoszenie wysokości długu. Skarbiec jest pusty i w efekcie nie będzie żadnych wypłat w gotówce, którą zastąpią paski papieru obiecujące wypłatę w przyszłości. Nikt nie ufa rządowi, że dotrzyma tych obietnic. Paryżanie czują się oszukani. Teraz mają jeszcze jeden powód, żeby nas nienawidzić.

25 sierpnia 1788

Czuję się winna, gdyż jestem bardzo szczęśliwa z Axelem, podczas gdy we Francji panuje wielki zamęt. Poznałam wszystkie radości, jakie może przynieść życie. Jestem prawdziwym wybrańcem losu! Twierdzę tak, choć nieobce są mi smutek i rozpacz, a los może mnie doświadczyć jeszcze ciężiej.

Nieważne. Jestem najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

7 września 1788

Ludwik ustąpi! w obliczu krytyki, zamieszek oraz rady Malesherbes'a i wielu innych. Zadeklarował, że w przyszłym roku w maju zostaną zwołane Stany Generalne. Arcybiskup Lomenie de Brienne zrezygnował ze stanowiska i dowiedzieliśmy się, że na wieść o tym tysiące paryżan wpadły do PalaisRoyal i głośno wiwatowały. Stanowisko ministra finansów ponownie objął Necker. Mówią, że dwadzieścia cztery godziny po mianowaniu zaczął

zaciągać pożyczki i rząd znów stał się wypłacalny.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

15 kwietnia. 1781

Wszystko dzieje się zbyt szybko. Często czuję się zagubiona w wirze wydarzeń. Uznałam, że nie powinnam niczego zapisywać, ponieważ dwa razy przyłapałam służących na czytaniu dziennika. Moja stara kryjówka na skrawki papieru w żółtej chińskiej wazie nie jest już bezpieczna. Mam teraz nową. Axel wie o moim dzienniku, podobnie jak Chambertin. Gdyby coś mi się stało, postanowiłam, że dziennik musi zostać zachowany. Przejdzie w ręce Ludwika Józefa i jego potomków. Chcę, żeby znali prawdę o mnie, a nie ten stek kłamstw, które opowiadają moi wrogowie.

Z całej Francji zjeżdżają delegaci, by wziąć udział w Stanach Generalnych, o których tyle mówiono ostatniej jesieni i zimy. Przyjeżdżają do Wersalu, by znaleźć się z dala od niepokoju i zamieszek w Paryżu. Mieszkańcy Wersalu są zachwyceni, ponieważ delegaci potrzebują kwater i wszystkie pokoje w mieście można wynajmować za bardzo wysoką cenę.

Wezwaliśmy jeszcze jednego specjalistę z Anglii, by zbadał Ludwika Józefa, który od trzech miesięcy nie wstaje z łóżka, a na dodatek bardzo boli go gardło. Zofia podaje mu herbatę z dodatkiem zimnej wody i robi kąpiele stóp. Ludwik Józef ma szyję cały czas owiniętą szalikiem, choć jest w miarę ciepło. Narzeka na dziwny smak w ustach, stałe napięcie i ból w plecach i boku.

Siedzę przy jego łóżku i czasami późno w nocy, gdy nie mogę już zasnąć, wpatruję się w jego małą, białą rączkę. W świetle świec jest tak blada, że niemal przezroczysta. Widać wyraźnie wybrzuszone niebieskie żyły, a długie palce są bardzo szczupłe, jak palce mistrza skrzypiec. Kiedy mój syn kaszle przez sen i oddech więźnie mu w gardle, palce wykrzywają się, a ja chwytam jego małą dłoń między swoje duże, jakbym próbowała napędnąć go swoją siłą.

30 kwietnia 1781

Angielski specjalista mówi, że płuca Ludwika Józefa powoli przestają pracować, bo kiedy rośnie, jego kręgosłup coraz bardziej się wykrzywia. Nic nie można z tym zrobić.

Nadal staramy się, jak możemy, by mu pomóc, ale zwraca niemal wszystko, co zje. Ssanie lodu przynosi mu niewielką ulgę. Jego policzki są rozpalone gorączką, ale uśmiecha się do mnie i wiem, że cieszy się, gdy jestem przy nim. Ludwik nie może znieść jego cierpienia i odwiedza go tylko na kilka minut. Szybko się załamuje i zaczyna płakać, a nie chce, by służba była świadkiem jego słabości. Czasami wścieka się i kopie w ścianę lub w

drzwi. Jego lewa stopa jest opuchnięta i doktor Boisgilbert przyłożył mu okład.

Jutro oficjalny początek Stanów Generalnych.

6 maja 1781

Wczoraj towarzyszyłam Ludwikowi w czasie pierwszego posiedzenia Stanów Generalnych. Przygotowałam mu mowę i pomogłam wybrać ubranie. Był bardzo zdenerwowany, ale moim zdaniem świetnie sobie poradził.

Weszliśmy do sali, gdy dzwony wybijały południe. Natychmiast wszyscy porządkowi uklękli, a delegaci i widzowie zamilkli. W sali zapanowała taka cisza, że słyszałam szuranie złotych dworskich pantofli Ludwika i brzęk szpad gwardii przybocznej, która nas eskortowała.

Ogromna sala z doryckimi kolumnami, balkonami i malowanym sufitem przedstawiała imponujący widok. Ludwik zasiadł na czerwonym aksamitnym tronie, a pod nim zebrały się setki delegatów: duchowni w czarnych sutannach i białych przybranych koronką komżach, kilku z nich w szkarłatnych kapeluszach i przypominających togę szatach wyższych dostojników kościelnych, szlachta ze szpadami i w różnokolorowych strojach, z drogimi kamieniami błyskającymi na kapeluszach, butach i palcach, oraz zwykli ludzie, stan trzeci, w prostych czarnych ubraniach i białych perukach.

W ciszy, rozległy się okrzyki: „Vive le roi!”, lecz nie było ich wiele. Powiedziano mi potem, że kiedy do sali wszedł Necker, powitano go gromkim i długim aplauzem.

Choć trudno mi się było skoncentrować, bo myślałam tylko o Ludwiku Józefie, a minionej nocy prawie w ogóle nie spałam, udało mi się wysłuchać przemówień. Ludwik mówił w miły, ojcowski sposób, a gdy patrzył na delegatów, mrużył oczy, bo bez okularów nie widział ich dobrze. Necker nudził przez trzy godziny, a jego mowa była długa jak kazanie. Było mi okropnie gorąco i parę razy o mało nie zasnęłam.

Kiedy wychodziliśmy, kilka osób krzyknęło: „Vive la reine!”, a ja dygnęłam. To sprawiło, że zaczęli krzyzczeć jeszcze głośniejsze, a ja znów dygnęłam, tym razem niżej.

10 maja 1781

Dziś znów słyszałam wiele opowieści o niezwykłym białym świetle, które pojawia się nocą na niebie, a które nazywają aurorą. Axel mówi, że w Szwecji pojawia się bardzo często, ale we Francji prawie nigdy go nie widać. Podobno jest to znak, że wydarzą się niezwykle rzeczy.

Pojawił się jeszcze jeden znak. Jakiś tydzień temu Ludwik wspiął się na rusztowanie wysoko nad wewnętrznym dziedzińcem pałacu. Chciał obejrzeć prowadzone tam prace. Stopa obsunęła mu się jednak i o mało nie spadł na ziemię. Gdyby spadł, zginąłby na pewno, ale

ocalił go jeden z robotników, który chwycił go za kaftan i wciągnął na rusztowanie.

Białe światła na niebie, niemal śmiertelny upadek Ludwika i choroba Ludwika Józefa - wszystkie te rzeczy w jednym czasie budzą przerażenie. Napisałam o tym do Józefa.

22 maja 1781

Mój ukochany synek jest tylko cieniem chłopca, gdy blady i wyniszczony leży w białej pościeli. Próbuje mówić, ale prawie nie może wydać dźwięku. Czasami kiedy wchodzę do jego pokoju, odwraca twarz do ściany. Przynoszę mu do ssania cukierki z szanty.

Lekarze badają jego urynę, potrzęsają głowami i mówią: „Bardzo chory” bądź „Niebezpiecznie chory”.

Modłę się do świętego Hioba, a na szyi związałam Ludwikowi Józefowi medalik z Jezusem. Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie - rzekł Jezus. Siwieję coraz bardziej.

21 maja 1781

Dziś trzymałam w ramionach śpiącego Ludwika Józefa, kiedy przyszli go zmierzyć.

- Po co?! - wykrzyknęłam.

- Na trumnę, madame - usłyszałam w odpowiedzi.

2 czerwca 1781

Dziś we wszystkich kościołach Francji odmawiano modlitwy, by Bóg zachował delfina przy życiu. Nawet delegaci przestali się kłócić i dyskutować nad sposobem głosowania i pochylili głowy, by odmówić modlitwę za chłopca, który powinien zostać Ludwikiem XVII.

Udzielono mu ostatniego namaszczenia.

12 czerwca 1781

Przybyłam do cichej grotty w Petit Trianon, by odbyć żałobę. Cztery dni temu pochowaliśmy Ludwika Józefa. Nie wolno nam było wziąć udziału w ceremonii, gdyż był to oficjalny pogrzeb następcy tronu. Zabrania tego etykieta. Razem z Ludwikiem opłakiwaliśmy go w samotności w kaplicy. Przyszedł do nas abbé Vermond. Płakał, bo bardzo kochał Ludwika Józefa za jego dobroć i łagodność.

Czy wszyscy dobrzy i łagodni ludzie muszą umrzeć? Zastanawiam się, co mnie czeka. Wiem, że mam w sobie pokłady dobroci. Nadal rozdaję żywność, nie tylko u bram Wersalu, lecz również w Paryżu, gdzie ceny chleba w ostatnich tygodniach wzrosły alarmująco i panuje wielki głód.

Tak, mam w sobie dobroć. Ale z pewnością nie jestem łagodna. Wręcz przeciwnie. Kiedy ministrowie przychodzą ze stosami papierów do podpisania przez Ludwika (a tak naprawdę przeze mnie) i zostawiają je u mnie, głośno się skarżę.



- Jak możecie przychodzić do nas w takiej chwili? - pytam. - Nie widzicie, że razem z całym dworem jesteśmy w żałobie?

Krzyczę, a ministrowie i ich zastępcy spuszczają wzrok, kładą papiery na stole i szybko wychodzą.

Nie jestem w stanie czytać tych wszystkich dokumentów. Nie mogłabym tego robić, nawet gdybym nie była wykończona, załamana i nie opłakiwałabym syna.

Dzięki Bogu za to ustronie, za moją grootę. Siedzę na miękkim zielonym mchu i słucham szmerzącego strumienia. Eryk mnie pilnuje, jestem więc bezpieczna.

17czerwca 1781

Dziś rano kazałam Ludwikowi usiąść i z całą siłą, na jaką mogłam się zdobyć, powiedziałam mu, że musi zacząć działać natychmiast, jeśli chce ocalić monarchię. Ludwik był rozmamłany i źle się czuł, bo wczoraj wieczór za dużo zjadł i wypił. Dałam mu golterii i rumianku do żucia, by uspokoić żołądek.

Sytuacja w Paryżu jest o wiele poważniejsza, niż nam mówiono. Słyszałam z wielu źródeł, że delegaci zwykłych ludzi zyskują przewagę w Stanach Generalnych, zachęceni przez paryżan, którzy nie szanują już żadnych praw ani tradycji. Delegaci próbują przejąć rządy.

- Wszystko opiera się teraz na żołnierzach - powiedziałam świadoma, że całe moje ciało jest spięte i mocno zaciskam szczękę. - Musisz im rozkazać rozwiązać Stany Generalne, rozpędzić wywrotowe kluby polityczne, wyznaczyć godzinę policyjną w Paryżu i w każdym innym mieście, w którym doszło do zamieszek.

Ludwik siedział z opuszczonymi oczami, żując zioła. Zdawałam sobie sprawę z tego, że nie podoba mu się to, co mówię, i że boi się działać z tak wielką stanowczością - wojskową stanowczością - przeciwko swym poddanym.

- Nie wolno ci zwlekać - ciągnęłam. - Liczy się każdy dzień. Żołnierze jak dotąd byli lojalni, ale nie płaci się im od miesięcy, a oni wyraźniej od innych widzą, co się dzieje. Ponieważ brak ci zdecydowania, żołnierze są jedynym rządem, jaki posiada Francja. Robią co w ich mocy, by utrzymać porządek, ale jak długo im się to uda, gdy głosy sprzeciwu przybierają na sile? Żołnierze są tylko ludźmi. Chcą wolności, dobrego rządu i nadziei na przyszłość. A cała ta radykalna polityczna gadanina jedynie sprowadzi ich na manowce. Axel i markiz de la Tour du Pin, który gdybyś zapomniał, jest dowódcą naszej obrony tutaj, w Wersalu, właśnie wrócili z przeglądu gwardii w Paryżu. Mówią, że połowa żołnierzy stała się republikanami i nie chce już monarchii! Ich lojalność może być więc tylko złudzeniem.

- To jak mogę im wydać rozkaz rozwiązania Stanów Generalnych, skoro nie mogę im

ufać?

- Hrabia Mercy mówi, że trzeba sprowadzić regimenty z Brestu, Rennes i Longjumeau. Zachodnia Francja nie zaraziła się jeszcze antyrojalistycznymi ideami. Sprowadź tysiące żołnierzy z zachodu i całą policję w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od stolicy. Niech wystrzelają delegatów, jeśli będzie to konieczne, oraz buntowników. To szybko zakończy zamieszki i rozłamy.

- A co obiecywałem delegatom zaledwie dwa tygodnie temu? W mowie, którą dla mnie napisałaś? Obiecałem, że będę im wiernym przyjacielem i dobrym ojcem. Jestem ich ojcem... - załamał się, przypomniawszy sobie bez wątpienia, podobnie jak ja w tej chwili, o Ludwiku Józefie.

Zignorowałam jego emocje, choć w moich oczach też błysnęły łzy.

- To bądź dobrym ojcem i skarć ich za nieposłuszeństwo! Nie pozwól sobie odebrać ojcowskiego autorytetu!

- Nigdy nie byłem dobry w karaniu dzieci, wiesz o tym.

- Najwyższa pora się nauczyć. Pomogę ci. Hrabia Mercy też, i markiz, i Axel...

Ludwik zamachał rękami w powietrzu, jakby chciał odparować ciosy.

- Nie mogę... nie wolno mi... muszę się zastanowić.

- Czas na zastanawianie się minął. Teraz przyszedł czas na działanie.

W tej chwili żałowałam, że nie jestem mężczyzną na tyle silnym, aby podnieść mojego męża na nogi i zmusić go, by wezwał generałów i wydał rozkazy. Aby zastraszyć go fizycznie, a nie tylko pełnymi gniewu słowami.

- Czuję zamęt w głowie - powiedział. - Muszę wyjść, przejść się, oczyścić myśli.

Wiedziałałam, o co mu chodzi.

- Nie jedź dziś na polowanie. Godziny są bardzo cenne.

Ale on już wstał i lekko się zataczając, szedł przez korytarz, oddalając się ode mnie. Uciekał od tego, co wzywało go do pozostania, i od wydania koniecznych rozkazów.

Zawołałam go głosem, który w moich uszach zabrzmiał jak głos matki. Ale on zniknął.

15 lipca 1781

Wydarzenia zaskoczyły nas. Ludwik zrobił to, co uznał w tej sytuacji za stosowne - wysłał żołnierzy, by otoczyli stolicę pierścieniem. Nie zdecydował się jednak rozwiązać siłą Stanów Generalnych. Pomimo moich pełnych gniewu nalegań, a nawet błagania, pomimo naglących wiadomości od ministrów i od kilku dowódców wojsk, nie potrafił się zmusić do użycia siły lub zagrozić jej użyciem.

Konsekwencje są naprawdę przerażające.

Władzę w Paryżu przejął komitet, który przed nikim nie odpowiada. Wszystkie oddziały wycofały się na przedmieścia, lecz tylko tymczasowo, bo paryżanie głodują idługo już nie wytrzymają. Ludzie włamują się do warsztatów rusznikarzy i się zbroją. Stany Generalne zamieniły się w Zgromadzenie Narodowe, w którym prym wiodą klasy niższe. Wczoraj tłum zaatakował Bastylię, gdzie była uwięziona Amelia, i zabił dowódcę. Amelia jest wolna. Eryk mówi, że nie wie, dokąd poszła. Nie wróciła do domu ani nie odwiedziła dzieci.

16 lipca 1781

Wszyscy wyjeżdżają. Wyjechali Karol, Yolande i madame Solange, mój drogi abbé Vermond oraz dziesiątki innych; wszyscy zniknęli nagle w wielkim strachu i pośpiechu. Nie ma dość koni, wozów i karet, by zabrać wszystkich, którzy uciekają z Wersalu, więc część wyruszyła na piechotę w nadziei, że kupi konie i wozy, gdy dotrze do następnej wioski.

Szerzą się najbardziej przerażające plotki. Wersal ma zostać zaatakowany. Armie trzeciego stanu już maszerują w tę stronę, przysięgając zabić mnie, Ludwika i wszystkich przedstawicieli szlachty. Nadciągają Anglicy, a nasi żołnierze nie będą mogli ich odeprzeć. Nowe plotki pojawiają się co godzina.

Nie wiem już, w co wierzyć, ale musimy wyjechać, tego jestem pewna. Kilka razy wzywali mnie na balkon, żebym pokazała się hałaśliwemu, wrogiemu tłumowi demonstrantów, który zgromadził się na dziedzińcu.

- Dajcie nam królową! Chcemy królowej! - krzyczeli. Czasami domagają się, by razem ze mną zobaczyć Mousseline i Ludwika Karola, a ja boję się ich wystawiać na widok rozwścieczonych twarzy i na obelgi. Wiem, że nienawidzą tylko mnie; mierzą z muszkietów do mnie, nie do dzieci. Za każdym razem gdy wychodzę na balkon, myślę, że tym razem na pewno mnie zabiją.

18 lipca 1781

Wszędzie panuje zamęt. Ludzie biegają z pokoju do pokoju, pakując się, ściskając nawzajem, kobiety płaczą, a mężczyźni przeklinają i kłócą się. Wszyscy zapominają o jedzeniu, śpią z przerwami. O różnych porach budzą nas dzwony i wystrzały z muszkietów.

Przegrałam bitwę, by przekonać Ludwika do wyjazdu do Metz, fortecy na wschodzie Francji, tuż za granicą, gdzie na pewno bylibyśmy bezpieczni. Pojechał tam Karol w drodze do Włoch i wielu innych. Głupi ministrowie chcą, żeby Ludwik został i pojechał do Paryża, by stanąć twarzą w twarz z buntownikami, którzy stworzyli nielegalny rząd.

- Jeśli ty nie chcesz pojechać, sire, to przynajmniej wyślij żonę i dzieci w bezpieczne

miejsce - powiedział do Ludwika Axel. - Rząd szwedzki zapewni im ochronę. Odwiozę ich osobiście.

Ludwik zwrócił się do ministrów, którzy oznajmili, że Ludwik Karol jako następca tronu, podobnie jak król, nie może wyjechać z Francji, bo oznaczałoby to rezygnację z praw do tronu.

Dla mnie ich argumenty były głupie i wyrachowane, więc powiedziałam im to. Ludwik nie mógł się zdecydować. Na koniec wysłuchał ministrów i Stanny'ego, który też nie podjął jeszcze decyzji o wyjeździe.

- Czy tego właśnie chcecie?! - krzyknęłam do nich.

- Żebym razem z dziećmi stała się celem pijanego, rozwścieczonego tłumu na dziedzińcu? Gdzie jest wasz honor, panowie? Gdzie wasza rycerskość? Wstydzę się za was!

Zostawiłam ich z otwartymi ustami i bardzo dobrze.

21 lipca 1781

Przyszła dziś do mnie Zofia, przynosząc wiadomości o dziwnych i niewyjaśnionych rzeczach, które dzieją się w różnych częściach kraju. W Nantes widziano zbliżających się do miasta dragonów, lecz żaden do niego nie dotarł. Uzbrojeni obywatele miasta czekali, by się bronić. W SaintMaixent na horyzoncie pojawiły się setki bandytów. Widziało ich wielu ludzi, lecz bandyci albo przejechali bardzo szybko, albo byli tylko złudzeniem. Doniesienia o podobnych wypadkach dochodzą z całego kraju, z Besançon i Vervins, a nawet z odległej Marsylii i sąsiadujących z nią wiosek.

Panikę potęgują też ataki na zamki i mordowanie ich właścicieli przez dzierżawców. Czy nie ma już żadnych ograniczeń, nigdzie nie pozostała ani odrobina przyzwoitości?

Wyznaczyłam rozsądną i godną zaufania kobietę, madame de Tourzel, na guwernantkę dzieci. Nie wpadnie w panikę, jest lojalna i zrównoważona. Będzie przygotowana na to, by nawet w ostatniej chwili zabrać dzieci w bezpieczne miejsce. Zofia spakowała mój kufer i ja też jestem gotowa do wyjazdu. Chambertin w sekrecie poczynił przygotowania do szybkiego wyjazdu Ludwika, jeśli zajdzie taka potrzeba, choć Ludwik wcale mu tego nie nakazał.

11 sierpnia 1781

Czekamy tu z dnia na dzień, nie wychodzimy na zewnątrz i co godzina dostajemy złe wieści. Moja siostra Krystyna przysłała mi długi list, a posłaniec, który go przywiózł, nauczył się go na pamięć i spalił przed przekroczeniem granicy francuskiej. Wiedział, że zostanie zabity, jeśli nowy rząd Zgromadzenia Narodowego odkryje list. Krystyna mówi to samo co Józef i Karolina: natychmiast wyjeżdżaj z Francji, póki jeszcze możesz.

25 sierpnia 1781

Ludwik nalegał, bym stała u jego boku i przyjęła paryżan, którzy tego dnia zawsze przyjeżdżają do Wersalu. To dzień jego imienin, dzień świętego Ludwika. Dziwię się, że paryżanie nadal obchodzą to święto, zważywszy na wszystkie tradycje, które odrzucili w ciągu minionych kilku miesięcy, ale się zgodziłam.

Ludwik poprosił, żebym włożyła najprostsze ubranie i wpięła we włosy trójkolorową kokardę, symbol Zgromadzenia Narodowego. On zawsze nosi kokardę przypiętą do kapelusza jako gest dobrej woli. Ponieważ nie uznaję Zgromadzenia Narodowego ani nie darzę szacunkiem paryżan, którzy przynajmniej na razie rządzą Francją, odmówiłam. Włożyłam jedwabną suknię w kolorze, który nazywam kolorem Zamarzniętych Łez, a na szyi zapięłam fałszywe Słońce Habsburgów, które lśniło niemal tak mocno jak prawdziwe.

Po raz pierwszy oficjalnie przyjęłam paryżan od czasu zwołania Stanów Generalnych, powiedziałam więc Loulou, by wprowadzono ich do Zielonego Salonu obok mojej sypialni. W salonie stoją złoczone i srebrne meble, ozdabia go też „zielone złoto”, wyjątkowe dla Wersalu. Na ścianach wiszą gobeliny ze scenami myśliwskimi w żywych barwach, a postaci i zwierzęta są naturalnych rozmiarów. Wydają się niemal żywe. W rogach pokoju stoją złoczone pilastry. Wszystko razem tworzy wspaniały efekt.

Mniej więcej dwudziestu nędźnie ubranych paryżan, których wprowadzono do środka, wpatrywało się we mnie i w dekoracje salonu bardzo niegrzecznie, zanim mer skłonił się (powinien był przyklęknąć, a jego ukłon był pozbawiony szacunku) i powiedział kilka słów.

Mówił głównie o głodzie panującym w Paryżu, ale ja patrzyłam na stojącą w pobliżu niego kobietę. Miała na sobie brudną białą halkę i postrzępiony surdut, a jej chude ręce i nogi wystawały z rękawów i spod spódnicy. Na włosach zawiązała szalik, który po części zasłaniał jej twarz. Podczas przemowy mera stała ode mnie. W przeciwieństwie do innych nie oglądała gobelinów i mebli, lecz wpatrywała się w plecy mera lub w czerwono-białoniebieską kokardę, którą miętoszyła w palcach.

Kiedy mer skończył mówić, Ludwik podziękował mu łaskawie. Gdy delegacja zbierała się do wyjścia, kobieta, która mnie zaintrygowała, zerwała z głowy szalik i spojrzała mi prosto w twarz.

To była Amelia!

Podeszła do mnie.

- Wasza wysokość - powiedziała, schylając lekko głowę - być może pamięta pani kobietę, która służyła pani przez wiele lat w tym właśnie pokoju i której pierworodne dziecko jest pani chrześniakiem?

Zdumienie ścisnęło mi gardło.

- Oczywiście, że cię pamiętam, Amelio - zdołałam wydusić. - Pamiętam, że zabrano cię do Bastylji i uwięziono tam za zdradę.

Na wspomnienie Bastylji wszyscy paryżanie wydali z siebie okrzyki zdumienia i wpatrywali się w Amelię z czymś na kształt szacunku. Od dnia, gdy rozwścieczony tłum z Faubourg SaintAntoine zdobył starą twierdzę i zaczął ją burzyć, każdy z nią związany traktowany był jak święty lub istota niemal mityczna.

- To bohaterka! - krzyknął ktoś. - Zasługuje na specjalne honory!

Amelia uśmiechnęła się. Zbliżyła się do mnie jeszcze bardziej i wyciągnęła trzymaną w ręce kokardę.

- Zostałam uwolniona dzięki paryżanom.

Wszyscy w pokoju, nawet Ludwik, zaczęli wiwatować

- z wyjątkiem mnie. Kilka osób krzyknęło: „Precz z tyranią!” i zaczęło potrząsać zaciśniętymi pięściami. Kiedy okrzyki zaczęły cichnąć, mer, wyraźnie zdenerwowany, powiedział:

- Nasze sprawy tutaj dobiegły końca. Potrzebują nas w Hotel de Ville.

- Jedną chwilę, wasza miłość. - Amelia nie spuszczała ze mnie stalowego wzroku. - Jestem pewna, że królowa z przyjemnością przyjmie od nas tę kokardę do włosów.

- Wyciągnęła zniechęcony czerwono-biało-niebieski drobiazg w moją stronę, lecz go nie wzięłam.

- Weź, weź - szepnął do mnie głośno Ludwik. Stałam nieruchomo i odpowiedziałam Amelii pełnym pogardy spojrzeniem. Po długiej, pełnej napięcia minucie lub dwóch Ludwik wyciągnął rękę i wziął od Amelii kokardę.

- Z radością przyjmuję ją w imieniu żony - powiedział, patrząc na zebranych zmrużonymi oczami. - I dziękuję wam wszystkim za przybycie.

Gdy zaczęli wychodzić, usłyszałam szepty: „Wyniosła austriacka suka!” i fragmenty piosenki o Madame Deficyt.

Amelia wyszła ostatnia. Kiedy zmierzała w stronę drzwi, niegrzecznie odwracając się do nas tyłem, rzuciła kilka słów na odchodnym:

- Dziękuję waszym wysokościami za wszystkie miłe chwile spędzone w lochach. A na twoim miejscu, Austriaczko, sprzedałabym ten przeklęty klejnot, który nosisz na szyi, i kupiłabym chleb dla twojego ludu!

Lokaje chwycili Amelię, lecz Ludwik dał znak, by ją puścili. Gdy wychodziła z wielkiego salonu, zaśmiała się lekko i przesunęła paznokciami po złoceniach na drzwiach,

pozostawiając głęboką rysę na wypolerowanej powierzchni.

11 września 1781

Ludwik nadal nie chce wyjeżdżać i słuchać nikogo z nas, choć robimy wszystko co w naszej mocy, aby go przekonać. Umacnia jednak obronę tutaj, w Wersalu i chce sprowadzić więcej żołnierzy, by nas bronili, jeśli zajdzie taka potrzeba. Axel wyjechał, żeby złożyć raport królowi Gustawowi, a kiedy wróci, przywiezie ze sobą szwedzkie oddziały.

Za oknem słyszę tupot butów żołnierzy regimentu flandryjskiego i mój niepokój maleje. Oddział Gwardii Przybocznej stoi zawsze na korytarzu przed moimi apartamentami. Eryk też trzyma się blisko. Opowiedziałam mu o bezczelności Amelii, a on odparł, że po wyjściu z więzienia nie próbowała się kontaktować ani z nim, ani z dziećmi. Wysłał dzieci w bezpieczne miejsce, do swoich rodziców w Wiedniu. Sam jednak nie chce wyjeżdżać i powtarza, że jego miejsce jest przy mnie. Wzruszył mnie i zaraz mu o tym powiedziałam.

25 września 1781

Zebrałiśmy ostatnie owoce i zboże w wiosce w Petit Trianon i osobiście wysłałam je do mera Paryża, by rozdzielił zbiory między głodujących ludzi. Mieliliśmy bardzo mało ludzi do pracy, gdyż wszystkie rodziny mieszkające w chatkach, z wyjątkiem jednej, wyjechały. Nikt nie zajmuje się zwierzętami i powiedziałam Chambertinowi, żeby zorganizował ich sprzedaż. Ze smutkiem pożegnałam się z moimi dwiema krowami, Brunette i Blanchette. Blanchette jest cielna. Obawiam się, że nigdy nie zobaczę jej cielęcia.

28 września 1781

Markiz de la Tour du Pin zrobił obchód posterunków strażniczych wokół pałacu i powiedział, że musimy mieć absolutną pewność, iż wszystkie bramy prowadzące na dziedzińce pałacowe są przez cały czas zamknięte. Od tego zależy nasze bezpieczeństwo. Martwię się, ponieważ odkrył słabe miejsce między Dziedzińcem Księżąt a Dziedzińcem Królewskim, gdzie na straży stoi tylko jeden żołnierz. Straż trzeba tam podwoić lub potroić, a lojalność strażników musi być dokładnie sprawdzana.

Markiz sugeruje, abyśmy z Ludwikiem i dziećmi przenieśli się do Rambouillet, które o wiele łatwiej chronić. Ludwik mówi, że się nad tym zastanowi. Markiz ostrzegł mnie, że duża część pałacowej służby została przekupiona przez nielojalnych paryżan. Zostali w Wersalu, bo mają nadzieję na zaległą zapłatę, lecz kiedy tylko ją otrzymają, odejdą. Na razie nie wolno im ufać.

27 września 1781

Zeszłej nocy przekonałam Ludwika, że powinniśmy wszyscy wyjechać do Rambouillet. Wozy zostały załadowane, abyśmy mogli wyjechać dziś rano. Jednak kiedy się

obudziliśmy, madame de Tourzel powiedziała nam, że Mousseline jest chora, więc postanowiliśmy poczekać kilka dni, aż wróci do zdrowia.

5 października 1781

Żałuję, że nie pojechaliśmy do Rambouillet. Mam dziwne przeczucia. Po południu poszłam z Ludwikiem Karolem do Petit Trianon, aby pobawił się w grocie. Nagle Eryk zawołał, żebym szybko przyszła, bo jest wiadomość z pałacu. Wzięłam na ręce syna, który w wieku czterech i pół roku jest już dość ciężki, i ślizgając się na mchu, podeszłam do miejsca, gdzie czekał lokaj w liberii z dwoma końmi.

Lokaj uklęknął w błocie - ostatnio mocno padało.

- Wasza wysokość - powiedział wysokim, przerażonym głosem - pałac jest oblężony! Przesłał mnie markiz de la Tour du Pin z wiadomością, że musisz pani szybko wracać. Zamykają bramy, by powstrzymać atakujących.

Wsiadliśmy na konie, lokaj wziął Ludwika Karola i pogalopowaliśmy w deszczu w stronę wielkiego pałacu tonącego we mgle. Mury otaczali żołnierze regimentu flandryjskiego.

Kiedy się zbliżaliśmy, zastanawiałam się, jak będą mogli strzelać z muszkietów i dział, skoro jest tak mokro i wilgotno. Axel opowiadał mi, jakie mieli problemy w trakcie wojny w Ameryce, kiedy próbowali strzelać w czasie złej pogody.

Zsiadliśmy z koni i szybko weszliśmy do środka, niosąc Ludwika Karola, który głośno protestował i wyrwał się. Żołnierze natychmiast nas otoczyli i poprowadzili w stronę apartamentów Ludwika. Tuż po wejściu do pałacu usłyszeliśmy tumult. Ludzie krzyczeli, biegali, w pośpiechu wpadając na siebie. Nikt nad tym nie panował. Lokaje, którzy normalnie pilnowali porządku, biegali we wszystkich kierunkach jak inni. Ludzie stali w trzy czteroosobowych grupkach na podestach schodów, wymieniając się wiadomościami. Niektórzy ciągnęli na wół puste worki i kosze, szukając kryjówek lub wyjścia. Kiedy przechodziłam, kilku zdołało opaść na kolana, lecz wielu było tak zajętych swoimi sprawami, że zupełnie mnie zignorowali, unikając mojego wzroku.

Ja też bardzo chciałam dotrzeć w bezpieczne miejsce i dowiedzieć się, co się dzieje. Widziałam rozwścieczony tłum zgromadzony przy głównej bramie prowadzącej na Dziedziniec Ministrów, lecz nie było w tym nic niezwykłego, bo ludzie stali tam codziennie, klębiąc się i narzekając. Czekali na jedzenie, które rozdawaliśmy, a potem demonstrowali w swój zwykły, hałaśliwy sposób. Gdzie byli atakujący? W eskorcie czterech żołnierzy regimentu flandryjskiego, ściskając mego syna, biegłam krętymi korytarzami i starymi schodami do apartamentów Ludwika, w których pełno było ludzi mówiących naraz.

Króla nie było. Pojechał na polowanie i miał wrócić dopiero za kilka godzin.



Przekazałam Ludwika Karola madame de Tourzel, która przyprowadziła Mousseline do prywatnego gabinetu Ludwika i ze wszystkich sił starała się ją pocieszyć. Objęłam ją i powiedziałam, żeby nie płakała, bo chroni nas wielu żołnierzy i będziemy bezpieczni bez względu na to, co się wydarzy. Posiałam lokaja do kuchni, żeby przyniósł tyle koszy jedzenia, ile tylko zdoła unieść, dla nas i dla innych. Wrócił po godzinie z chlebem, owocami, zimnym kurczakiem i winem.

Przybył zdyszany, cały czerwony na twarzy, posłaniec, wywołując jeszcze większy zgiełk. Pędził co koń wyskoczy, by przywieźć nam wiadomości. Krzyczał, że na Wersal maszeruje tłum kobiet uzbrojonych w piki, szpady i sierpy, domagając się chleba i grożąc, że zabije króla i królową.

- Przyjechałem z Sèvres - opowiadał posłaniec. - Tłum przeszedł przez nie jak szarańcza. Zabral ze sklepów cały chleb i sporo innego jedzenia. I mówię wam, większość to nie kobiety. Jest wśród nich mnóstwo mężczyzn.

- Ilu? I jaką mają broń? Dlaczego Gwardia Narodowa ich nie powstrzymała? - wypytywano go bez końca, ale on wiedział jedynie, że tłum jest głośny, przemoczony i wściekły i że znajduje się zaledwie kilka kilometrów od Wersalu.

Kiedy Ludwik wrócił wreszcie z polowania, zdjął płaszcz i torbę z ramienia, rzucił na podłogę ciężki pas, a zakrwawiony nóż myśliwski oddał Chambertinowi, który mu towarzyszył. Dopiero wtedy stanął twarzą w twarz z dworzanami i służbą. Opierając się o krzesło, z poszarzałą twarzą wysłuchał wieści o nadciągającym tłumie.

Ministrowie zebrali się wokół niego, wszyscy z wyjątkiem zawsze spokojnego Neckera, i namawiali go, żeby natychmiast wyjechał do Rambouillet, zabierając nas ze sobą.

Ludwik usiadł ciężko, a ja podałam mu jedzenie, które przyniesiono z kuchni. Zaczął jeść w milczeniu.

- Wasza wysokość, nie ma czasu! - wykrzyknął markiz de la Tour du Pin, kiedy napięcie w pokoju stało się nie do zniesienia. - Musisz wyjechać natychmiast, panie!

- Nie chcę nikogo narażać na szwank - zabrzmiała odpowiedź. - Nie chcę stać się uciekinierem z własnego pałacu, ze swojego domu.

- Chcesz więc, panie, zostać trupem? - zapytał jeden z ministrów, nie pamiętam już który, a Ludwik ostro go zbeształ.

- Moi poddani nie wyrządzą mi krzywdy. Jestem ich ojcem. Szukają we mnie przywódcy.

- Z całym szacunkiem, sire, mogą nie skrzywdzić waszej wysokości, ale grożą, że poderzną gardło królowej - wtrącił posłaniec z Sèvres. - Słyszałem, jak niektórzy mówili:

„Podrzemy jej skórę na wstążki!”.

- Ochronię królową. A teraz pozwólcie mi w spokoju zjeść kolację.

Jadł dalej, podczas gdy zgromadzeni wokół stołu ministrowie nadal debatowali. Wszyscy z wyjątkiem Neckera zgodzili się, że powinniśmy wyjechać. Ja też się odezwałam i przypomniałam Ludwikowi, że jesteśmy gotowi do wyjazdu od tygodni i że madame de Tourzel spakowała rzeczy dzieci.

Jednak w tej właśnie chwili dowiedzieliśmy się, że generał Lafayette, który dowodzi paryskimi siłami Gwardii Narodowej, ma przyjechać do pałacu, a Ludwik oświadczył, że nie wyjedzie bez spotkania z generałem, który z pewnością jest najlepszą osobą, by udzielić mu rady.

Byłam bardzo zmęczona, lecz czułam, że muszę się udać do swoich apartamentów, by porozmawiać z moją służbą - a przynajmniej z tymi, którzy jeszcze zostali. Znalazłam ich w moim Wielkim Gabinetcie w stanie wielkiego przerażenia. Zwróciłam się do nich tak spokojnie, jak tylko umiałam, w nadziei, że uspokoję ich swoją pewnością siebie i determinacją. Byłam spokojna, jak byłaby moja matka, a przemawiając, patrzyłam im po kolei w oczy, zachęcając, żeby wykazali się odwagą i nie pozwolili, by przeraziła ich grupa gwałtownych ludzi łamiących prawo.

- Ci bandyci, którzy nam grożą, nie są prawdziwymi Francuzami i Francuzkami - powiedziałam, czując się nieswojo z powodu mojego niemieckiego akcentu. - To renegaci, którzy zasługują na to, by wtrącić ich do więzienia.

Wskazałam na oddział Gwardii Przybocznej, który stał pod oknem, i poleciłam wszystkim, żeby szli spać - zrobiło się już bardzo późno - i starali się dobrze wyspać. Moje rady okazały się jednak przedwczesne. Lafayette przybył do pałacu około północy i posłam do apartamentów Ludwika, by wysłuchać, co generał ma do powiedzenia. Wszyscy ministrowie nadal tam byli, podobnie jak wielu dworzan, którzy drzemali na podłodze na poduszkach zdjętych z mebli. Madame de Tourzel położyła Ludwika Karola i Mouseline spać w wartowni przylegającej do gabinetu Ludwika, najbezpieczniejszym pokoju w całym pałacu.

Kiedy zjawił się Lafayette, wyglądał na zmęczonego, jego buty były oblepione błotem, a mundur wilgotny i brudny. Przywiózł ze sobą dwóch delegatów ze Zgromadzenia Narodowego, którzy wyglądali okropnie po podróży przy tak paskudnej pogodzie.

- Przywiozłem dwadzieścia tysięcy ludzi - rzekł generał do Ludwika - oraz grupę paryżan, którzy przysięgli, że będą ochraniać waszą wysokość. Z tego co widziałem, nie wydaje mi się, by byli potrzebni. W pobliżu kręciła się grupa kobiet, ale wygląda na to, że

gdzieś się ulotniła. Nie widzieliśmy żadnego uzbrojonego tłumu.

Delegaci Zgromadzenia Narodowego zażądali, by Ludwik przeniósł się do Paryża, gdzie będzie bardziej bezpieczny i będzie mógł szybko podpisywać dekrety zgromadzenia. Ludwik zignorował ukryte wyzwanie rzucone jego najwyższej władzy i zgodził się uprzejmie rozważyć tę propozycję. Potem Lafayette zwolnił większość oddziałów, także ten Gwardii Przybocznej, który stał pod moim oknem, i wszyscy położyliśmy się do łóżek.

Mam nadzieję, że uda mi się zasnąć. Kiedy piszę te słowa, słyszę maszerujące oddziały, które wracają albo do Paryża, albo do koszar w oddalonym o blisko czterdzieści kilometrów Rambouillet.

6 października 1781

Dziś o świcie obudził mnie głuchy odgłos, który zyskiwał na sile, aż w końcu przeszedł w przerażającą mieszaninę tupotu stóp, krzyków i wrzasków.

- Wasza wysokość! Wasza wysokość! Proszę wstawać! Uciekać! Proszę stąd biec jak najszybciej.

Do pokoju wbiegła madame Thibaut, moja dama dworu, nadal w sukni, którą miała na sobie wczoraj wieczorem. Widziałam, że nie spała, lecz stała na straży.

Przez otwarte drzwi mogłam zajrzeć do sąsiedniego salonu. Był tam Eryk z kilkoma żołnierzami Gwardii Przybocznej. Pilnowali zewnętrznych drzwi. Nagle usłyszałam głuche dudnienie. Ktoś próbował wyłamać drzwi prowadzące do salonu. Usłyszałam wystrzał z muszkietu i wiele kobiecych głosów krzyczących: „Gdzie jest ta dziwka? Chcemy austriackiej dziwki!”. Krzyki przeszły w śpiew. „Dziwka, dziwka, dziwka. Gdzie jest austriacka dziwka?”

Drżały mi ręce, a serce waliło jak szalone. Szybko włożyłam halkę, którą podała mi madame Thibaut, i chwyciłam szlafrok. Drzwi salonu ustąpiły i zobaczyłam, jak Eryk z żołnierzami rzucają się na pierwszych napastników, próbując zablokować wejście własnymi ciałami.

Do końca życia nie zapomnę tego, co zobaczyłam potem. Jak mogę to opisać?! Ręka nadal mi drży i z trudem trzymam w niej pióro. Do pokoju wpadł ogromny mężczyzna, ubrany od stóp do głów w czerń, trzymając wielki topór z ostrzem czerwonym od krwi. Zamachnął się i odciął głowę jednemu z żołnierzy. Rozległy się wiwaty.

- Kat! Kat!

Przez wyłamane drzwi do pokoju wlewało się coraz więcej ludzi i usłyszałam krzyk Eryka:

- Ratujcie królową! Chcą zabić królową!

Topór przeciął powietrze drugi raz i krzyknęłam:

- Eryk!

Stałam sparaliżowana, nie mogąc się poruszyć. Przerazona wstrzymywałam oddech. Madame Thibaut pociągnęła mnie za rękę.

- Madame, musi pani iść. Proszę pamiętać o mężu, dzieciach...

Pociągnęła mnie w stronę przeciwnych drzwi do przejścia, które łączyło moją sypialnię z sypialnią Ludwika. Nie wiedział o nim nikt z wyjątkiem nas oraz najbardziej zaufanych służących i paziów, którzy często spali na ławkach w korytarzu.

Biegłam na oślep, nadal słysząc tumult panujący w mojej sypialni. Byłam rozdarta. Chciałam wrócić, uklęknąć przy Eryku i go oplakać. W jednej przerażającej chwili oddał za mnie życie, tak bardzo mnie kochał. A kiedyś, dawno temu, ja też go kochałam.

Drzwi apartamentu Ludwika były zamknięte. Waliłyśmy w nie i krzyczałyśmy, aż w końcu uchylił je przerażony Chambertin. Gdy znalazłyśmy się w środku, zatrzasnął je, zaryglował i zasunął ciężką szafą.

Ludwik siedział przy stole nieogolony, w nocnej koszuli. Przed nim stał talerz, z którego zjadł niewiele. Podniósł na mnie wzrok.

- Źle postąpiłem zeszłej nocy. Bardzo źle. - Pokręcił głową i wbił wzrok w blat stołu.

Podeszłam do madame de Tourzel, która uspokoiła mnie, że z dziećmi wszystko w porządku. Dzięki Bogu nie widziały tego co ja, pomyślałam. Nie powiedziałam o tym nikomu, lecz słyszałam, jak madame Thibaut opowiada, co zaszło w salonie.

Przez kilka godzin czekaliśmy przerażeni, zabarykadowani przed napierającym tłumem, w nadziei, że żołnierze, których nie odesłano wczoraj w nocy, zdołają przywrócić porządek. Od czasu do czasu słyszeliśmy wystrzały z muszkietów, a przez okna widzieliśmy na błotnistym dziedzińcu setki kłębiących się ludzi. Niektórzy mieli twarze i ręce umazane krwią, inni ciągnęli odrąbane ręce i nogi, straszliwe trofea własnego okrucieństwa.

Patrzyłam z przerażeniem, jak wniesiono na dziedziniec ciało jednego z żołnierzy Gwardii Przybocznej i na moich oczach rozdarto je na strzępy. Pałac grabiono ze wszystkiego, co cenne. Ludzie wynosili na dziedziniec złote talerze i puchary, szkatułki na klejnoty, bele kosztownych materiałów, gobeliny i obrazy. Ładowali to na wozy, niepowstrzymywani przez żołnierzy ani służbę.

Okolo pierwszej po południu usłyszeliśmy walenie do drzwi prowadzących na korytarz i rozpaczliwe krzyki. Otworzyliśmy i do środka wpadła jedna z moich pokojówek, zaledwie osiemnastoletnia dziewczyna. Ujrzała mnie i podbiegła ze szlochem, wyciągając zakrwawioną rękę. Owinęłam jej rękę płótnem i podtrzymałam dziewczynę, dopóki trochę się nie opanowała.

- Wasza wysokość, to była Amelia - wydusiła wreszcie. - Rzuciła się na nas z nożem!

- Nie martw się. Już cię nie skrzywdzi.

Dziewczyna znów zaczęła płakać.

- Powiedziała... powiedziała, że przysłała po waszą wysokość.

- Jak widzisz, jestem bezpieczna.

- Chwaliła się, że to ona otworzyła bramę, by wpuścić morderców.

- Amelia ma dziś kogo opłakiwać. Jej mąż został zabity.

- Wiem. Patrzyła, jak umiera. Powiedziała, że cieszy się, iż on nie żyje.

- Jego dzieci będą go opłakiwać, podobnie jak my wszyscy. Był dobrym i lojalnym człowiekiem.

Nie pozwoliłam, by zobaczyła, jak bardzo mną wstrząsnęła i zasmuciła mnie wieść o zdradzie Amelii. Jednak później, kiedy zostałam sama, rozplakałam się.

Po południu przyszedł Lafayette, by powiedzieć nam, że układa się z przywódcami tłumu i że zgodzili się opuścić pałac, jeśli Ludwik wyjdzie na balkon i stawi im czoła.

- Proszę nie wychodzić, sire - ostrzegł Ludwika Chambertin. - Na pewno zabiją waszą wysokość.

- Moi ludzie nie zrobią mi krzywdy.

Podziwiałam Ludwika, choć czułam, że nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Powiedział Lafayette'owi, by ogłosił, że król pojawi się na balkonie za pół godziny, a potem poprosił jednego z lokajów, żeby go ogolił i uczesał. Pożyczył bryczesy, koszulę i żakiet i przypiął do klapy czerwono-białoniebieską kokardę. Siedziałam obok niego, podczas gdy lokaj go golił, i trzymałam za rękę. Uśmiechnął się do mnie. Kiedy w końcu wyglądał przyzwoicie, wstał i pochylił się, by szepnąć mi do ucha.

- Jeśli wydarzy się najgorsze, moja droga, obiecaj mi, że za cenę własnego życia będziesz bronić dzieci.

- Wiesz, że to zrobię.

Skinął głową na służącego, który otworzył okno wychodzące na balkon. Kiedy Ludwik wyszedł, usłyszeliśmy wzmagający się tumult. Rozległy się okrzyki: „Król do Paryża! Król do Paryża! Wydawało mi się, że Ludwik próbuje powiedzieć parę słów, lecz jego głos utonął w panującej na dole wrzawie. Czekałam na śmiertelny wystrzał z muszkietu, lecz nie padł. W końcu usłyszeliśmy kilka okrzyków: „Vive le roi!”. Niebawem wśród okrzyków zabrzmiała nowa śpiewka: „Królowa! Chcemy królowej!”.

Ponieważ już wcześniej stałam przed tłumem, wiedziałam, że jest to przerażające doświadczenie. Poczułam, że kolana uginają się pode mną, i przez moment myślałam, że

zemdleję. Madame Thibaut podeszła do mnie, jakby chciała mi pomóc, ale nic nie mogła zrobić. Tej próbie musiałam stawić czoła sama. Czy na pewno? Powodowana impulsem weszłam do wartowni i wyciągnęłam ręce do Ludwika Karola i Mousseline, którzy podbiegli do mnie i objęli.

- Potrzebuję waszej pomocy. Pomożecie waszej mamam? - Oboje bez słowa skinęli głowami i przywarli do mnie.

Kiedy Ludwik zszedł z balkonu, ja wyszłam z Ludwikiem Karolem na rękach. Pomogłam Mousseline wyjść przez okno. Podeszliśmy do poręczy drewnianego balkonu i staliśmy tam w deszczu. Dzieci trzymały mnie za ręce. Od małości uczono je, by stały prosto i trzymały głowy wysoko podczas oficjalnych uroczystości, by nie okazywały emocji, lecz były pełne godności, jak na księcia i księżniczkę przystało. Zrobili to teraz i byłam z nich dumna. Byłam pewna, że czują, jak drzę.

Wydawało się, że staliśmy tam przez godzinę, ale tak naprawdę minęło tylko kilka minut. Zgiełk ucichł lekko, kiedy pojawiły się dzieci, lecz zaraz znów przybrał na sile.

- Bez dzieci! Bez dzieci! - rozległy się okrzyki. - Chcemy widzieć austriacką sukę samą!

Teraz, po raz pierwszy tego popołudnia, ujrzałam wymierzone we mnie muszkiety. Odwróciłam się i pomogłam dzieciom wejść do środka, prosto w ramiona czekającego ojca. Pomyślałam, że zgasła moja ostatnia nadzieja. Przecież przyszli, by złożyć ze mnie ofiarę. W tej krótkiej chwili przed oczami przemknęło mi wiele obrazów: twarz mojej matki, młoda i piękna, nagi Axel, który uśmiechał się do mnie, biedny Ludwik Józef i Zofia, zielone wzgórza Fredenholm i stajnie w Schönbrunn, gdzie szpaki budowały gniazda pod krokwiami.

Owładnięta tymi wspomnieniami, ze łzami w oczach odwróciłam się i raz jeszcze podeszłam do krawędzi balkonu. Natychmiast uświadomiłam sobie, jak muszę wyglądać: korpulentna, przemoczona, brudna, w pomiętym żółtym szlafroku, bez różu i pudru na policzkach, z nieuczesanymi siwymi włosami opadającymi luźno na ramiona. To nie żadna królowa, pomyślałam, lecz zmęczona, żałosna kobieta.

Zamknęłam oczy, odmówiłam modlitwę i czekałam.

Czekałam.

Nadal słyszałam obraźliwe śpiewki. Rozległy się okrzyki: „Zastrzelić austriacką sukę!” i „Zabić ją, zabić!”, jednak nie padł żaden strzał. Po kilku chwilach otworzyłam oczy i spojrzałam na dziedziniec. Łzy i deszcz zamglily mój wzrok, ale w tłumie dojrzałam kilka twarzy. Zastanawiałam się, czy jest wśród nich Amelia. Ku memu zdumieniu zauważyłam, że jedna z kobiet robi znak krzyża. Inna uklęknęła w błocie. W tej chwili wystąpił jeden z

mężczyzn.

- Vive la reine! - krzyknął. Natychmiast został powalony przez otaczających go ludzi, ale inni podjęli jego okrzyk.

- Vive la reine! Vive la reine Antoinette!

Usłyszałam, jak Chambertin woła mnie przez okno.

- Proszę wejść do środka!

Odwrociłam się i weszłam. Niemal natychmiast zemdlałam.

Kiedy odzyskałam świadomość, madame Thibaut siedziała na łóżku, na którym leżałam z tacą jedzenia i butelką wina. Powiedziała mi, że pojedziemy pod eskortą do Paryża i że Ludwik z dziećmi są już w drodze do czekającego powozu. Zjadłam szybko i łapczywie, a potem do nich dołączyłam.

Przespałam większość podróży do Paryża. Ludwik Karol spał na moich kolanach, a Mousseline opierała się o mnie. Było już bardzo późno, gdy przybyliśmy do pałacu Tuileries, ale byłam niespokojna i nie mogłam zasnąć na łóżku, które dla mnie przygotowano. Zbyt wiele się wydarzyło w ten pamiętny dzień. Musiałam to wszystko zapisać.

Wstaje świt. Przez brudne okno widzę pierwsze promienie różowego światła na horyzoncie. Wszyscy zaczynają się budzić do życia. Nie ma nikogo, kto rozpaliby ogień w pokoju, więc jest mi zimno. Już jesień, nadciąga zima. Co się z nami stanie?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

11 listopada 1781

Nie mogę tutaj spać. Stare łóżko, które dla mnie znaleźli, używane ostatnio przez zmarłą matkę Ludwika, jest twarde i niewygodne, z postrzępionym baldachimem i bez zasłon. Wszystkie nasze materace i pościel w Wersalu zostały zniszczone przez tłum z Paryża. W całym pałacu unosiło się pierze. Nie mogliśmy więc niczego zabrać ze sobą. Leżę na kocach na wypełnionym słomą materacu, który śmierdzi stajnią.

Nie mogę spać, ale nie tylko dlatego, że jest mi zimno i łóżko jest bardzo niewygodne. Dręczą mnie koszmary. Śni mi się Eryk, mój przystojny, wierny Eryk, któremu jeden okrutny cios odcina głowę, a mnie oblewa tryskająca z szyi krew. Śni mi się, że goni mnie wyjący, okrutny tłum śmiejących się kobiet, które zbliżają się coraz bardziej, a kiedy już mają mnie zatratować na śmierć, budzę się z krzykiem.

Potem przez całe godziny wiercę się niespokojnie, nasłuchując odgłosów z korytarza przed moją sypialnią, wyobrażając sobie nowy atak, martwiąc się o Ludwika Karola i Mousseline i o to, jak uda mi się zapewnić im bezpieczeństwo. Zastanawiam się, czy nie obudzić Zofii, która śpi na sienniku w nogach mojego łóżka, i poprosić, by dotrzymała mi towarzystwa, ale nie mam serca jej przeszkadzać. Czasami brakuje mi dobrze znanego dźwięku chrapania Ludwika. Z rozkazu Lafayette'a śpi daleko w wartowni otoczony dziesiątkami żołnierzy.

Jutro są moje urodziny. Skończę trzydzieści cztery lata, a jednak wyglądam co najmniej na czterdzieści. Dzięki Bogu, że w mojej sypialni nie ma lustra.

16 listopada 1781

Jesteśmy tutaj więźniami. Nie można inaczej określić naszego położenia. Gwardia Przyboczna (nasi wierni strażnicy od tak dawna) otrzymała rozkaz odejścia i zastąpili ją opryskliwi żołnierze Gwardii Narodowej, którzy pełnią bardziej funkcje dozorców niż ochrony.

Wielką przyjemność sprawia im prowokowanie i obrażanie mnie. Opowiadają sobie sprośne żarty na mój temat na tyle głośno, żebym ich słyszała, śmieją się i szydzą, kiedy przechodzę, i bekają albo jeszcze gorzej, byle tylko mnie zdenerwować. Podśluchują moje rozmowy i jestem pewna, że bardzo chcieliby wiedzieć, co piszę w tym dzienniku, gdyby tylko wiedzieli, że go prowadzę. Pewnie gdyby go znaleźli, podarliby go na strzepy. Piją, a potem stają się bardzo grubiańscy i wdają się w bójki z pałacową służbą. Lafayette nie potrafi



nad nimi zapanować, a oni nie zwracają uwagi na napomnienia Ludwika. Ich niegrzeczne gapienie się i posepny wygląd przerażają mnie.

Czasami nie wiem, co jest gorsze: gniewni, opryskliwi żołnierze czy podekscytowany głośny tłum, który śpiewa i krzyczy na dziedzińcu i pod naszymi oknami. Zaczyna oświcie i kłębi się długo w noc. Demonstranci mają pochodnie i ogrzewają się przy ogniskach, do których dorzucają gałęzie z pałacowych ogrodów. Nawet teraz, gdy w nocy jest bardzo zimno, czuwają hałaśliwie, wołając Ludwika lub mnie i śpiewając nową przerażającą piosenkę *Ça ira*, która stała się wezwaniem do walki.

Słyszę ją w moim niespokojnym śnie. To się stanie! Na pewno!, śpiewają z radością. Powywieszać wszystkich arystokratów na latarniach!. Wrzaskliwe śpiewy, odgłos bębnow, grzmot artylerii - Gwardia Narodowa stale próbuje swoje działa - wystarczą, by doprowadzić człowieka do szaleństwa.

1 grudnia 1781

Znów zraniłam się w nogę i tym razem nasz nowy lekarz, doktor Concarneau (Boisgilbert emigrował razem z Karolem) mówi, że muszę zostać w łóżku, dopóki noga nie wydobrzeje. Jest tylko skręcona, nie złamana, ale bardzo mnie boli.

16 grudnia 1781

Dzięki Bogu, że Axel wrócił z dworu mojego brata! Jako przedstawiciel króla Gustawa może się swobodnie poruszać, podczas gdy francuskich obywateli Gwardia Narodowa często zatrzymuje na granicy. Zgromadzenie coraz bardziej podejrzliwie traktuje wszystkich dobrze urodzonych. Nienawidzą nas i nie ufają nam.

Axel wynajął pokoje przy rue Matignon niedaleko pałacu i sali, w której spotykają się delegaci na Zgromadzenie, mieszczącej się w pałacowych ogrodach. Zrezygnował z funkcji wojskowych, by w pełni poświęcić się pomaganiu nam, więc nie nosi już munduru szwedzkiego regimentu. Podoba mi się jeszcze bardziej w stroju szlachcica. Tak bardzo pragnę, by mógł być ze mną podczas bezsennych nocy!

Mówi, że Józef jest bardzo chory, ale nadal kłótlivy i trudny. Ku memu wielkiemu rozczarowaniu nie dał Axelowi pieniędzy, o które go prosiłam. Zdaniem Józefa zamieszki w Paryżu są tylko przejściowe i niebawem wszystko ucichnie. Myśli, że są efektem walk poszczególnych dworskich frakcji. Nie widział tego, co ja oglądam codziennie: triumfalnych, pełnych szyderstwa twarzy biednych paryżan, którzy się z nas wyśmiewają i chcą nam wyrządzić krzywdę. Gdyby tylko mógł je zobaczyć na własne oczy, z pewnością byłby tak samo przerażony jak ja.

5 stycznia 1710

Wolno mi spacerować pół godziny każdego popołudnia. Z nogą jest coraz lepiej. Popołudniami, kiedy nie jest zbyt zimno i nie pada deszcz, razem z Ludwikiem i dziećmi wkładamy grube płaszcze i peleryny i spacerujemy w ogrodzie. Dobrze jest znów stać na nogach. Byłam bardzo zmęczona beczynnym leżeniem, kiedy Zofia czytała mi lub opowiadała historie albo grałam w wista z Mousseline, która coraz lepiej sobie radzi.

Udało mi się osiągnąć jedno, choć było to bardzo smutne. Przez przyjaciółkę wysłałam wszystkie mopsy i starego żółtego kota do Neapolu do Karoliny, która zaoferowała się je przyjąć. Wprawdzie będę bardzo tęsknić za moimi ukochanymi psami i słodkim żółtym towarzyszem, ale przynajmniej nie będę się martwić za każdym razem, gdy któryś z nienawistnych strażników zacznie im dokuczać i je kopać.

28 stycznia 1710

Dzisiaj po południu spacerowaliśmy w angielskim ogrodzie niedaleko szkoły jazdy. Szłam przodem z Loulou, a Ludwik Karol między nami. Podskakiwał i raz po raz wbiegał w krzaki, by zaraz do nas wrócić. Świetnie się bawił, a my przywykłyśmy do szelestu gałęzi, kiedy wbiegał i wybiegał z zielonej gęstwiny, która obrasta ścieżkę po obu stronach.

Ludwik i Axel trzymali się jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków za nami, razem z czterema żołnierzami Gwardii Narodowej, którzy bardzo nie po żołniersku zaniedbywali swoje obowiązki polegające na pilnowaniu Ludwika. Byli pochłonięci rozmową, którą przerywali nieprzyjemnym śmiechem.

Wiedziałam, o czym Ludwik rozmawia z Axelem, który przygotowywał się do wyjazdu do Hiszpanii, rzekomo z misją dyplomatyczną dla króla Gustawa. Tak naprawdę miał spróbować przekonać kuzyna Ludwika, króla Karola IV, by dał nam trochę pieniędzy. Axel jest przekonany, że musi wyjechać jak najszybciej. A Ludwik nie może się zdecydować co do terminu. Debatują nad tym od kilku dni. Kiedy żołnierze są blisko, udają, że rozmawiają o wyścigach konnych i tym podobnych rzeczach.

- Sire, muszę pana koniecznie przekonać - usłyszałam głos Axela - by wystawił pan tego konia w pierwszym wyścigu. Jest gotowy. Na pewno wygra. Jeśli będzie pan zwlekał...

W tej chwili usłyszeliśmy głośny szelest w krzakach i wyszedł z nich wysoki mężczyzna, który z nożem w ręce rzucił się w moją stronę. W ułamku sekundy dostrzegłam, jak ostrze ociera się o moją pelerynę.

- Maman! - wykrzyknął Ludwik Karol. Pochyliłam się, by porwać go na ręce, i tym samym uniknęłam kolejnego śmiertelnego ciosu. Nie zauważyłam, że Loulou padła zemdlona na ziemię, tak bardzo byłam skoncentrowana, by trzymać krzyczącego Ludwika Karola. Zaczęłam biec ścieżką w stronę Ludwika, Axela i żołnierzy, co utrudniała mi niesprawna

noga. Z każdym krokiem czułam przeraźliwy ból.

Jak przez mgłę dostrzegłam, że Axel biegnie z wyciągniętą szpadą.

- Cofnij się! Rzuć nóż albo rozplątam cię na dwoje!

Oszołomiony Ludwik stał nieruchomo z otwartymi ustami. Biegłam dalej i o mało nie wpadłam na czterech żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy zmierzali - moim zdaniem zdecydowanie zbyt wolno - na pomoc Axelowi, ignorując mnie zupełnie.

Wbiegłam do pałacu, głośno dysząc, gdyż Ludwik Karol był bardzo ciężki, i niemal wpadłam w ramiona Chambertina, który wychodził, by dołączyć do spaceru.

- Pomocy! Wezwij strażę! Wezwij Lafayette'a! Jakiś człowiek mnie zaatakował!

Chambertin wziął ode mnie Ludwika Karola i szybko wezwał pomoc, a potem zadowolony, że chłopcu i mnie nic się nie stało i że zamieszanie w ogrodzie ucichło, odprowadził mnie do moich apartamentów.

Cała się trzęsłam. I nadal się trzęsę, nawet gdy to piszę. Na korytarzu przed moimi drzwiami czuwa dwunastu strażników, a pod oknem stoi taka sama liczba żołnierzy, którzy pilnują mnie przed intruzami. Jestem bezpieczna, ale jak długo?

12 lutego 1710

Kiedy zjadłam dziś z Axelem południowy posiłek, nagle straszliwie się pochorowałam. Tak bardzo, że musiałam natychmiast się położyć. Ścisnęłam się za brzuch i jęczałam.

- Wezwij doktora Concarneau! - krzyknął Axel do jednego z paziów, który natychmiast wybiegł z pokoju. Do Zofii, która pochylała się nade mną, przykładając rękę do mojego rozpalonego czoła, powiedział: - Czy zmieniałaś dziś cukier w cukiernicy? Powiedz prawdę.

Zofia zwiesiła głowę.

- Nie. Chciałam, ale...

- Mówiłem ci, żebyś zmieniała go codziennie, bez wyjątku! - Nigdy nie słyszałam, by zwracał się tak ostro do kogokolwiek.

- Nie wiesz, że królowa jest w niebezpieczeństwie? Każdy mógł zatruć cukier! Każdy! Zobaczyłam, że do pokoju wchodzi młody i rumiany mężczyzna z torbą w ręku.

- Kim jesteś?

- Nowym asystentem doktora Concarneau. Wezwano go do nagłego wypadku.

Znów jęknęłam. Ból tylko zyskiwał na sile. Pomyślałam, że na pewno zostałam otruta i umrę.

- Sprowadź go tu natychmiast!

- Sire, on jest godzinę drogi stąd, w Saumoy. Jeden z dzierżawców księcia de Penthièvre zachorował.

- Po co zajmuje się chłopami! Jest potrzebny tutaj!

Przez kilka sekund Axel chodził zrozpaczony po pokoju. Potem odwrócił się do młodego człowieka.

- Do diabła z tym, chodź tutaj. Królowa została otruta.

Chociaż byłam bardzo chora i leżałam zwinięta wpół na kanapie, poczułam strach, gdy młody lekarz podszedł do mnie.

- Axel! - zawołałam, wyciągając do niego rękę.

- Tak, kochana, wszystko będzie dobrze. Poda ci coś, by zneutralizować działanie trucizny - rzekł, a następnie zwrócił się do asystenta: - Masz antidotum, prawda?

Młody człowiek, wyraźnie zmieszany, grzebał w torbie.

- Tak, sire, mam.

- Jakie? - Pytanie to zadał grzmiącym głosem Ludwik. Wszedł żwawym krokiem do pokoju i podszedł do lekarza, który postawił torbę na dywanie i uklęknął obok, czegoś szukając. - Co jest antidotum? - dopytywał się Ludwik.

- Nie... nie pamiętam, wasza wysokość. Coś, co dał mi doktor Concarneau...

W tej chwili z kieszeni mężczyzny wypadła fiołka, a z nią czerwono-białoniebieska kokarda, symbol rewolucji.

- Brać go! - krzyknął Ludwik i strażnik oraz dwóch lokajów doskoczyło, by schwytać asystenta.

Zaskakująco szybko Ludwik chwycił fiołkę, która upadła na dywan, zaniósł ją do okna i przytrzymał pod światło. Potem powąchał zawartość.

- Trucizna! - krzyknął. - Roztwórz rtęć! Zabierzcie stąd to świństwo i wrzucie do ognia - powiedział do jednego z koniuszych, który owinął fiołkę chusteczką przybraną koronką i wyszedł z nią z pokoju. - Słodki olej migdałowy! - rzekł Ludwik. - Tego jej potrzeba! To podają lekarze, gdy ktoś zażyje truciznę.

- Czy mają go też perfumiarze? - usłyszałam nagłące pytanie Axela. Słyszałam go jakby z oddali. Z powodu bólu byłam bliska omdlenia.

- Tak, tak.

Axel wybiegł. Niedoszłego truciciela wyciągnięto z pokoju. Opierał się i protestował.

Zofia siedziała w nogach kanapy, masując mi stopy i nogi. Ludwik uklęknął obok mnie, trzymając mnie za rękę i poklepując po ramieniu.

- Trucizny działają bardzo szybko - mówił. - Jeśli ta, która sprawia ci taki ból, dotąd

cię nie zabiła, to pewnie już nie zadziała.

Jego słowa nie były zbyt pocieszające. Czułam się tak, jakby ktoś wlewał mi do żołądka kwas, który rozpuszczał mnie od środka.

Mniej więcej po godzinie wrócił Axel z małą butelką i filiżanką. Wlał do niej gęsty olej i podał mi.

- Dzięki temu opróżnisz żołądek - wyjaśnił. - Dostałem to od znajomego perfumiarza.

Axel przytrzymał mi głowę, gdy piłam, i robił to dalej, gdy wymiotowałam do miski, którą Zofia trzymała mi pod brodą. Powoli zaczęłam czuć się lepiej. Ból ustąpił i po chwili mogłam już wstać. Ludwik poklepał mnie po ręce i wyszedł.

- Od tej pory przed każdym posiłkiem należy wymieniać cukier w cukiernicy - oznajmił Axel moim służącym.

- Żadnych wyjątków. Ani wymówek. Mądrze byłoby wyznaczyć osobę, która będzie próbowała jedzenia.

Wracając do formy, spróbowałam dopatrzeć się humoru w całej tej sytuacji.

- Próbować mojego jedzenia? - zapytałam. - Nikt nie będzie chciał objąć tej funkcji.

- A ile będzie można za to dostać? - zapytał wesoły głos spośród służących, którzy zebrali się na korytarzu. Roześmiałam się serdecznie jak wszyscy i nadal się śmieję, gdy to piszę, choć bardzo ostrożnie popijam wodę z kieliszka i postanowiłam jej już więcej nie słodzić cukrem z cukiernicy.

20 lutego 1710

Dowiedzieliśmy się, że mężczyzna, który zaatakował mnie w ogrodzie, był zawodowym zabójcą sprowadzonym z Rzymu. Został wynajęty przez bogatego człowieka mówiącego z obcym akcentem, ale zabójca nie znał jego nazwiska. Axel jest zadowolony, że strażnicy wydobyli z niego wszystkie możliwe informacje. Zostanie przekazany Zgromadzeniu Narodowemu, by go ukarano.

Truciciel, który udawał asystenta doktora Concarneau, zdołał się wymknąć strażnikom i uciekł. Boję się, że może wrócić i spróbować jeszcze raz.

Od wielu tygodni, od chwili gdy zostałam zaatakowana, kłócę się z Ludwikiem o wyjazd z kraju. Musimy wyjechać. Jestem co do tego absolutnie przekonana. Wszyscy na dworze zakładają, że dostajemy wiele prywatnych ofert pomocy i że wymkniemy się w sekrecie.

Doktor Concarneau, który jest Bretończykiem, zapewnia mnie, że w tej części kraju kochają i szanują Ludwika i że jeśli udamy się do Bretanii, zapewnią nam należytą ochronę. Doktor zaoferował się, że udzieli nam wszelkiej możliwej pomocy.

Axel ma już gotowy plan. Chce, żebyśmy się przebrali za służących, Ludwik za korpulentnego lokaja z opaską na oku, ja za pokojówkę lub praczkę (mówi, że będę uroczą praczką). Załatwi, by wyprowadzono nas razem z grupą prawdziwych służących do jego pokojów przy rue Matignon, a stamtąd tajną, ustaloną przez niego trasą pojedziemy do Normandii, gdzie wsiądziemy na statek płynący do Szwecji, Anglii lub Włoch (gdzie są Karol i Karolina), jeśli wolimy.

Wszyscy nalegają na nasz wyjazd, lecz Ludwik jest uparty.

- Nie dam się wygnać z mojego własnego królestwa bandzie buntowników - powiada.

Utrzymuje, że już niebawem obce armie zaatakują Francję, aresztują lub wybiją wszystkich delegatów do Zgromadzenia i przywrócą porządek. Wiele osób twierdzi, że we Francji dojdzie do wojny domowej pomiędzy Zgromadzeniem a Gwardią Narodową i żołnierzami z prowincji, gdzie Ludwik nadal jest otaczany czcią, a paryżanie znienawidzeni.

- Cokolwiek się wydarzy - odpowiadam - podczas walk znajdziemy się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Nie możemy wpływać na ich wynik, pozostając tutaj jako zakładnicy.

- Nie jestem żadnym zakładnikiem - mruczy Ludwik, gdy to mówię - lecz królem Francji, jak moi przodkowie. I będzie nim mój syn.

Kiedy zaczyna mówić w ten sposób, wiem, że nie ma sensu dalej się kłócić. Zostawiam go jego zajęciom: pisaniu książki o lesie, robieniu zamków (przywiózł tutaj z Wersalu wszystkie narzędzia) i graniu w karty ze Stannym, który zawsze wygrywa. Czasami myślę, jakie to dziwne, że Ludwik, który nigdy nie chciał zostać królem i tak często opowiadał o swojej Teorii Błędnego Przeznaczenia, teraz tak uparcie broni swojej korony. I tak ślepo, nie dostrzegając niebezpieczeństwa, w którym wszyscy się znaleźliśmy.

16 marca 1710

- Przybył dziwny ksiądz, by się z panią zobaczyć - oznajmiła wczoraj Zofia późnym wieczorem, tuż po tym, jak nareszcie udało mi się uśpić Ludwika Karola. Podobnie jak mnie, dręczą go koszmary i boi się zasypiać, bo wie, że obudzą go przerażające sny.

Ostatnią osobą, jaka pragnęłam zobaczyć, był jakiś stary ksiądz, bez wątpienia jeden z wielu wizjonerów, którzy nas tu odwiedzali. Koniecznie chcieli nam opowiedzieć o twarzy Najświętszej Marii Panny, którą zobaczyli na skrzynce z winem, lub o głosie Joanny d'Arc, który powtarzał: „Ratujcie moją ukochaną Francję!”.

Jednak staruszek, który opierał się na lasce w drzwiach mojego salonu, nie był jakimś kłopotliwym wizjonerem, lecz ojcem Kunibertem! O wiele starszym, pochylonym, zniedołężniałym ojcem Kunibertem. Jego gęste brwi bielily się teraz na pomarszczonym

czole. Kiedy podeszłam, pocałowałam go w wysuszony policzek i poprowadziłam w stronę kominka, dostrzegłam łzy w jego oczach, lecz gdy przemówił, w jego głosie nadal słychać było potępienie, a łzy szybko wyschły.

- Dlaczego, na niebiosa, nadal jesteś w tym przeklętym kraju? - zapytał, gdy już się ogrzał. - Nie widzisz, że wypuszczono tu na wolność szatana i jego demony?

- Wiem, ojcie - odparłam, siadając obok staruszka, który patrzył na mnie zdziwiony. - Ale Ludwik nie wyjedzie. Jeszcze nie.

- A zatem musisz wyjechać bez niego.

Jego słowa zmroziły mi serce. Chociaż nigdy się do tego nie przyznałam, chodziło mi to po głowie.

- Zrób to teraz. Wracaj do Wiednia ze mną. Mam dużą karetę. Mogę ukryć ciebie i dzieci. Nie jestem nikim ważnym, tylko starym, słabym cudzoziemcem w koloratce. Gwardia Narodowa nie zatrzyma mnie na granicy. Pozwolą mi przejechać, zwłaszcza gdy zacznę się wściekać, wygrażać pięścią i przeklinać. Wybuchną śmiechem i pozwolą mi jechać.

Westchnęłam i skuliłam się. Jakaś część mnie pragnęła skorzystać z rady ojca Kuniberta, porzucić zamęt Tuileries, kłótnie z Ludwikiem, strach i nocne koszmary ischronić się w karecie zmierzającej do mojej ojczyzny, gdzie przyjmie mnie rodzina i zapewni ochronę. Jestem zmęczona. Ojciec Kunibert proponował mi odpoczynek.

- Ludwik czuje, że niedługo nas ocala - powiedziałam cichym, drżącym głosem. - Chce poczekać.

- Kto was ocali? Na pewno nie twój brat Józef. Przyjechałem, by przywieźć ci wiadomość o jego śmierci. Nie wie o tym nawet jeszcze hrabia Mercy. Chciałem, żebyś to ty dowiedziała się pierwsza.

Nie mogłam powstrzymać łez. Schyliłam głowę i szlochałam jak dziecko, podczas gdy polana na kominku syczały i trzaskały, a szum głosów w sąsiednich pokojach, zwykle denerwująco głośny, wydawał się przytłumiony.

Józef nie żyje! Wiedziałałam, że chorował, Axel ostrzegął mnie, że jego stan jest poważny. A jednak myślałam, że będzie tu tak długo, jak będę potrzebowała, bo z pewnością potrzebuję go teraz. Mój zrzędlawy, szczery, światowy, pełen humoru brat nie żyje!

I kto jest teraz cesarzem? Naturalnie mój brat Leopold. Józef nie miał żyjących dzieci - a przynajmniej z prawego łoża. Leopold, następny najstarszy mężczyzna w naszej dużej rodzinie, zostanie jego następcą. Już został.

Leopold zawsze był ostrożnym, raczej bezbarwnym człowiekiem, a ja nigdy nie byłam mu bliska. Niewiele o mnie dbał - choć oczywiście honor naszej dynastii musi leżeć mu na

sercu. I powstrzymanie francuskiej anarchii, by nie szerzyła się w innych krajach. Z pewnością zaofiaruje nam pomoc.

Podniosłam głowę i wytarłam mokrą od łez twarz chusteczką.

- Przywiózł mi ojciec wiadomość od Leopolda?

- Nie. Chcę z tobą o nim porozmawiać, by zyskać pewność, że rozumiesz swoją prawdziwą sytuację. Powiem ci szczerze, Antonio... - Uniósł gęste siwe brwi i wbił we mnie bladoniebieskie oczy - ...on ci nie pomoże. Przekonał Józefa, gdy ten umierał, by nie wysyłał ci na pomoc żadnych oddziałów ani pieniędzy. Leopold waha się. Wahanie leży w jego naturze.

- Ale przecież kiedy się dowie, że jesteśmy tu więźniami, że nasz piękny pałac w Wersalu został ograbiony i zniszczony, a nasi służący wymordowani na naszych oczach...

- On doskonale wie, co się tutaj dzieje.

Pozwoliłam, by dotarło do mnie w pełni znaczenie słów starego księdza. Dawał mi do zrozumienia, że rodzina nie przybędzie mi z pomocą. Nie mogę na nich liczyć, nigdy. Chyba że wyjadę z Francji. A może nawet wtedy nie.

- Jest jeszcze ktoś, na kim mogę polegać - rzekłam cicho po chwili. - Hrabia Fersen. On nigdy mnie nie opuści.

Ojciec Kunibert prychnął z dezaprobatą.

- Wszyscy wiedzą o tym związku. Radzę ci, żebyś odbyła pokutę i poprosiła Boga i męża o wybaczenie. Jednak w zaistniałych okolicznościach cieszę się, że masz protektora, na którego możesz liczyć. Jestem pewny, że gdyby hrabia Fersen był tu z nami, chciałby, żebyś pojechała ze mną do Wiednia.

- Na pewno.

- Gdzie on teraz jest?

- Pojechał do Hiszpanii, by spróbować przekonać króla Karola, żeby przysłał nam pieniądze i żołnierzy.

- Hiszpania! Józef nazywał ją najsłabszym królestwem w Europie. Z jej strony nie możesz liczyć na żadną pomoc!

W tej chwili poczułam się tak zmęczona i opuszczona, że chciałam tylko zasnąć - głębokim snem bez koszmarów.

- Ach, Antonio! Tyle musisz znosić. Zawsze byłaś dzielną dziewczynką, najlepszą z córek Marii Teresy. I miałaś najbardziej szczere serce.

- Nigdy nie wiedziałam, że tak dobrze o mnie myślisz, ojczu.

- Przecież nie mogłem ci o tym powiedzieć, prawda? Byłem twoim spowiednikiem.



Moja rola polegała na napominaniu cię za popełnione grzechy, a nie na wychwalaniu.

- Nadal prowadzę dziennik, który kazał mi ojciec pisać.

Uśmiechnął się.

- Chciałem tylko, żebyś zastanowiła się przez chwilę nad tym, co robisz. Wiedziałem, że jeśli będziesz zmuszona zapisywać swoje grzechy, pomyślisz o nich - przynajmniej tak długo, jak będziesz czyścić pióro.

Wyciągnął rękę i poklepał mnie po dłoni, a potem ujął laskę. Pomogłam mu wstać.

- Jutro udam się do hrabiego Mercy'ego. A pojutrze wyjeżdżam do Wiednia. Możesz mi przesłać wiadomość przez barona Goulesco przy rue des Maturins. Zastanów się nad wszystkim, co ci powiedziałem, i pomyśl o swoich dzieciach. Jedź ze mną do Wiednia!

Nie postanowiłam jeszcze, co zrobię. Gdyby tylko Ludwik zgodził się jechać z nami!

7 kwietnia 1710

Powiedziano mi, że Zgromadzenie Narodowe nie zrobiło nic, by ukarać zabójcę, który mnie zaatakował. W zeszłym tygodniu pozwolono mi wyjechać z kraju i wrócić do Włoch, nie udzieliwszy nawet napomnienia.

Robię wszystko, co w mojej mocy, dla biednego ojca Kuniberta, którego aresztowano niedługo po wyjściu z pałacu Tuileries w wieczór, kiedy przyszedł się ze mną zobaczyć. Gdy strażnicy, którzy go aresztowali, zażądali, by wyjawiał powody, dla których chciał ze mną rozmawiać, wpadł w gniew i zaczął złorzeczyć Zgromadzeniu. Natychmiast wtrącono go do więzienia i jak dotąd żadna z prób uwolnienia go podejmowana przeze mnie i hrabiego Mercy'ego nie przyniosła żadnego efektu.

4 czerwca 1710

Przyjechaliśmy do SaintCloud, by spędzić tu lato. Jak dobrze jest wdychać świeże wiejskie powietrze zamiast smrodu Paryża! SaintCloud jest pałacem letnim, położonym na otwartej przestrzeni. Jest tu niewiele kominków, a wszystkie okna wychodzą na urocze ogrody. Spaceruję tam wśród kwiatów otoczona ich zapachem i czuję na skórze mgiełkę Wielkiego Gejzeru, fontanny wysokiej na prawie trzydzieści metrów, która wybucha z basenu u stóp kaskady. W całych ogrodach rozlega się kojący szum płynącej po skałach wody. I nie ma wrzeszczących i śpiewających tłumów, które nieustannym tumultem doprowadzały nas do granicy wytrzymałości.

SaintCloud jest moim domem, moim własnym. Ludwik przekazał mi go sześć lat temu. Chciałam zburzyć stary pałac i zbudować nowy od podstaw, ale koszt był zbyt wysoki. Kazałam więc powiększyć budynek, dodać nowe fasady i odnowić moje apartamenty, gdzie pojawiła się biała boazeria z delikatnymi złożonymi zdobieniami. Wydaje mi się, że wszystko

wyszło doskonale i gdyby nasze życie było spokojniejsze, moglibyśmy się cieszyć tą nową siedzibą, bo w przylegającym do pałacu parku jest wiele zwierzyny. Ludwik lubi tam polować i jeździć konno, a ja nie mogę się nacieszyć świeżym wiejskim powietrzem.

Oczywiście, nadal znajdujemy się niedaleko Paryża, który widzimy w oddali. Słyszymy też cichy dźwięk sygnałów alarmowych, które przypominają ludziom, by byli czujni. Kiedy tylko słyszę ten złowieszczy dźwięk, przebiega mnie dreszcz strachu.

Zaledwie rok temu w pierwszym tygodniu czerwca mój ukochany Ludwik Józef umarł w moich ramionach. Ileż się wydarzyło od tamtej pory!

20 lipca 1710

Z wielką niechęcią zgodziłam się przyjąć hrabiego de Mirabeau, najpotężniejszego członka Zgromadzenia Narodowego. Axel uważał, że Mirabeau będzie w stanie pomóc nam w ucieczce i powiedział otwarcie: „Można go kupić”.

Mówią, że jest wysoce niemoralny. Plotka głosi, że spal ze swoją siostrą i uwiódł setki kobiet. A przynajmniej jedną z nich, szanowaną mężatkę, którą zwiódł, a potem zniszczył, i która umarła, gdy ją porzucił. Ciągną się za nim najróżniejsze skandale i co najmniej trzy razy był w więzieniu.

Przyjęłam go w oranżerii z dala od domu i bez służących, gdyż przybył w wielkim sekrecie i nie chciał, by jego towarzysze ze Zgromadzenia dowiedzieli się o tej wizycie. Słyszałam, że jest bardzo brzydki, ale dopóki nie przekroczył progu długiej, wąskiej oranżerii, nie zdawałam sobie sprawy, że jest też zdeformowany. Jego głowa jest groteskowo wielka, ciało masywne i obfite. Twarz przypomina pysk małpy z małymi, jasnymi niespokojnymi oczkami osadzonymi w ciemnej oliwkowej skórze, poznaczonej głębokimi bliznami po ospie. Kiedy podchodził, na jego ustach gościł niepokojący uśmiech, jednak ku memu wielkiemu zdziwieniu podał mi bukiet pachnących narcyzów, jednych z moich ulubionych kwiatów.

- Dla ciebie, madame - powiedział chropawym głosem. Jego wyraźny akcent z południa nie spodobał mi się, gdyż jestem przyzwyczajona do paryskiego. Wzięłam od niego kwiaty i z radością wdychałam ich bujny zapach.

- Są teraz bardzo modne w Paryżu. Kobiety przypinają je do czapek wolności. Pani z pewnością ma taką czapkę?

- Będę rada, jeśli przejdzie pan od razu do rzeczy, hrabio.

- Wystarczy zwyczajnie „panie Mirabeau”. Ostatnio znieśliśmy wszystkie tytuły szlacheckie.

- Mój też?

- Pani przede wszystkim. Pani i pani męża.

- Bez względu na to co próbuje zrobić pańskie Zgromadzenie, jestem, kim jestem. Nic nie może zmienić mojego pochodzenia - ani pańskiego.

- Nie przyszedłem tutaj, aby dyskutować o naszej pozycji społecznej, lecz aby zaoferować pomoc.

- Bez wątpienia za pewną cenę.

- Oczywiście. Teraz, kiedy my, byli arystokraci, nie mamy już ziem i dziedzictwa, musimy zarabiać na życie. Ja jestem adwokatem ludu, taki jest mój zawód. - Hrabia de Mirabeau usiadł wygodnie na jednej z ławek z kutego żelaza stojących wśród drzewek pomarańczowych i skrzyżował nogi.

Był to zuchwały, a nawet szokujący gest. Nigdy dotąd nikt nie siadał w mojej obecności, kiedy ja nadal stałam, nie prosząc mnie wcześniej o pozwolenie. A on nie miał z tym żadnych problemów.

- Jako adwokat ludu, mam dla pani propozycję

- kontynuował. - Pomogę wam wyjechać z Francji, a w zamian żądam pensji w wysokości sześciu tysięcy franków i stanowiska głównego ministra w nowym konstytucyjnym rządzie, którego pani mąż będzie tytularnym szefem.

- Dlaczego nie porozmawia pan o tym z nim?

- Oboje wiemy dlaczego.

Nie jest głupcem. Jego otwartość i inteligencja są krzepiące, nawet jeśli ma przerażające maniery.

- Dlaczego myśli pan, że król - celowo nazwałam Ludwika „królem”, a nie „moim mężem” - zgodzi się wyjechać? Nikomu jeszcze nie udało się go przekonać, że leży to interesie jego i kraju.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że pani bardzo chce wyjechać, a on podchodzi do tego niechętnie. Proszę nie zaprzeczać, pani rozmowa z księdzem z Wiednia została podsłuchana i zwrócono na nią moją uwagę.

- Chcę, żeby ten ksiądz, mój dawny spowiednik, został zwolniony z więzienia.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Mirabeau był straszliwym partnerem. Wcale nie byłam pewna, czy zdołam mu dorównać i ciosem odparowywać każdy jego cios.

- Zadam pani pytanie, madame. Najważniejsze pytanie. Czego trzeba, by Ludwik Kapet odczytał pismo na ścianie? Pamięta pani ten fragment z Biblii o królu Nabuchodonozorze? Tajemnicza ręka napisała na ścianie słowa: Zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki\*. Monarchia, madame, została zważona, a ludzie uznali, że okazała się

zbyt lekka. Ze jest bezużyteczna. Ja nie podzielam tego poglądu. Wierzę, że król może okazać się użyteczny dla Francji, pod warunkiem że zgodzi się służyć Zgromadzeniu. Musi robić to, co my chcemy, a nie odwrotnie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że on się nigdy na to nie zgodzi. Zrobi wszystko co w jego mocy, podobnie jak ja bym zrobiła, żeby najpierw was zniszczyć.

- Mówi pani jak była arystokratka. Zdjąłbym przed panią kapelusz, gdybym go miał na głowie albo gdybyśmy nadal hołdowali tym starym zasadom. Ale muszę to powtórzyć raz jeszcze i proszę mnie uważnie wysłuchać: Co sprawi, że pani mąż przejrzy na oczy i emigruje? Anarchia w całym kraju? Wojna domowa? Kolejny zamach - tym razem na jego życie?

Na te słowa ogarnęło mnie przerażenie. Udało mi się nie paść ofiarą zabójcy z Włoch i truciciela. Ludwik może nie mieć tyle szczęścia.

- To może się wydarzyć. On często jeździ na polowania, prawda? Z garstką myśliwych i zaufanym przyjacielem lub dwoma? Łatwo można go porwać, zabrać do jakiegoś ustronnego miejsca w lesie i zabić.

\* Księga Daniela 5, 27 cyt. za: Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2008 (przyp. tłum.).

To była prawda. Ludwik był bezbronny - podobnie jak moje dzieci.

- Nie mogę zostać - powiedział Mirabeau. - Obserwują mnie tak samo jak panią. A gdyby dowiedziano się o mojej wizycie tutaj, zaszkodziłoby to mojej pozycji i trudniej byłoby mi wam pomóc.

Jego odejście było równie pozbawione ceremonii jak pojawienie się. Wstał, odwrócił się do mnie tyłem i ruszył ciężko w stronę drzwi oranżerii.

- Proszę nie zapominać! - zawołał jeszcze przez ramię. - Jestem waszą ostatnią nadzieją.

A ty nie zapominaj, szepnęłam, że masz do czynienia z królową Francji, córką Marii Teresy.

1 września 1710

Zrobiłam wszystko, co mogłam, by przygotować nas do wyjazdu. Uszyto nam nową garderobę i wysłano do Arras, razem z wszystkimi rzeczami, które mogą się okazać potrzebne. Znalazły się wśród nich czapki, grzebienie, zapas mojej wody pomarańczowej i eteru, gry dla dzieci i przenośny ołtarz do odprawiania mszy.

Z pomocą Axela zamówiłam obszerną nową karetę podróżną z piecykiem i stołem, byśmy mogli jeść w drodze. Jest to ogromny i ładny pojazd pomalowany na ciemnozielono i żółto z tapicerką z białego aksamitu.

Axel zauważył, że byłoby lepiej, gdybyśmy podróżowali wozami, by nikt nie zwracał na nas uwagi. A jeszcze lepiej, gdybyśmy nie jechali jako rodzina, lecz osobno. Może wysłać dzieci na wybrzeże Normandii z jednym z zaufanych służących Eleanory Sullivan, starym linoskoczkiem z Włoch, którego nikt nie będzie podejrzewał o to, że ukrywa delfina i jego siostrę księżniczkę. Król Gustaw wyśle statek, który ich zabierze. Ja mogę udawać, że jestem jedyną z setek kucharek na służbie w Królewskim Szwedzkim Regimentcie. Kiedy regiment wróci do Szwecji, mogę z nim popłynąć. Albo dołączyć do tysięcy robotników, którzy przybywają z południa, by zbierać winogrona, a kiedy winobranie dobiegnie końca, wyjechać z nimi i przekroczyć granicę włoską.

Najtrudniej jest przebrać Ludwika ze względu na jego posturę, a także dlatego, że trudno go będzie przekonać, by nie nalegał, aby traktowano go jak króla. Ale Axel sądzi, że można go przebrać za myśliwego na służbie węgierskiego szlachcica, hrabiego Olezko, który pojedzie na polowanie w lesie w Compiègne, a potem zostawić Ludwika w jego chacie. Czekaliby tam na niego Chambertin z wozem. Obaj przebraliby się za wieśniaków i wyruszyli w drogę na północ. Axel uważa, że dopóki trzymaliby się leśnych ścieżek i zatrzymywali tylko w małych wioskach, mogliby dojechać do granicy w Fourmes, gdzie może zaaranżować, by czekały na nich oddziały żołnierzy.

Jakikolwiek plan wybierzemy, musimy jechać, i to szybko. Moja karetka będzie gotowa już niedługo. Być może, jak sądzi Mirabeau, wydarzy się jakaś nowa szokująca rzecz, Ludwik nagle zmieni zdanie i mimo wszystko zdecyduje się wyjechać.

77 października 1710

Wymyśliłam mądry sposób, by ocalić Mousseline. Zaaranżujemy jej małżeństwo z jakimś zagranicznym księciem. Jest już na tyle duża, by się zaręczyć, i nadal jest księżniczką Francji. (Cokolwiek by mówił Mirabeau o tytułach, ma w żyłach królewską krew Burbonów i Habsburgów). Napiszę do Karoliny, Leopolda i kuzyna Ludwika, Karola, by sprawdzić, co da się załatwić.

1 grudnia 1710

Odchodzę już od zmysłów z tym Ludwikiem! Czasami denerwuje mnie tak straszliwie, że mam ochotę krzyczeć. I krzyczę w samotności, gdy słyszą mnie tylko Zofia i Loulou. Najgorzej jest, gdy Axel wyjeżdża (pojechał teraz do Turynu, gdzie Karol próbuje zebrać armię emigrantów, by nas ocalić) i nie ma nikogo z wyjątkiem Chambertina, kto

pomógłby mi radzić sobie z wybuchami Ludwika. Jest nie do okiełznania jak nieposłuszne dziecko. Przeklina Lafayette'a, gdy ten przychodzi złożyć raport w sprawie żołnierzy. Teraz nawet zatrzaskuje drzwi przede mną.

- Emigracja, emigracja, całe to gadanie o emigracji! Ja zostaję tutaj. Nigdy nie wyjadę! Nigdy!

Jego irytacja nie ma sensu, ponieważ nienawidzi pałacu Tuileries i zaczął też nienawidzić paryżan, mimo całej tej gadaniny o byciu kochającym ojcem dla ludu. Nosi na szyi medal, który niedawno mu wręczyli. Napis na nim głosi: Odnowiciel Francuskiej Wolności i Prawdziwy Przyjaciel Swojego Ludu. Stanny śmieje się z tego, co jeszcze bardziej złości Ludwika.

7 stycznia 1711

Byłam chora. Całe to napięcie i strach, których codziennie doświadczamy w połączeniu z moimi bezowocnymi wysiłkami, by zmienić zdanie Ludwika co do wyjazdu, wyczerpały mnie i przyniosły ze sobą gorączkę i kaszel, które na długo zatrzymały mnie w łóżku.

Początkowo martwiłam się, że być może podano mi truciznę o opóźnionym działaniu, która stopniowo dzień po dniu osłabia organizm i w końcu powoduje śmierć. Doktor Concarneau oświadczył jednak, że to mało prawdopodobne. Uważa, że mam w piersiach wydzielinę, która jest efektem zimna (w pałacu panuje chłód, a tej zimy mamy niewiele węgla) i mojego ogólnego osłabienia. Jestem za chuda. Moje niegdyś pełne policzki zapadły się, a piersi, niegdyś bujne, skurczyły się i trzeba było zwęzić wszystkie suknie. Axel mówi, że podobają mu się moje siwe włosy, ale wiem, że nie jest zachwycony moimi podkrążonymi oczami ani głębokimi zmarszczkami, które znaczą skórę. Wyglądam na kobietę, którą jestem: chorą i przygniecioną smutkiem oraz zmartwieniami.

- Moja droga, najdroższa - powiedział Axel, ujmując moją twarz w dłonie, kiedy wrócił do Tuileries z Turynu i znalazł mnie chorą w łóżku - te zmartwienia zupełnie cię wyniszczają. Dźwigasz na swoich barkach całą Francję. Marzę, by przynieść ci spokój. Muszę cię jakoś stąd wydostać.

Objęłam go za szyję i przytuliłam twarz do jego ramienia. Na jego widok poczułam wielką ulgę. Dopiero przyjechał i miał jeszcze na sobie poplamione w czasie podróży ubranie, a jego bryczesy były zabłocone i wilgotne. Towarzyszył mu wielki wilczur Malachi - zabiera go teraz wszędzie ze sobą - który podszedł do nas i wcisnął swój ciepły nos w moją dłoń.

Axel siedział przy mnie przez chwilę, rozmawiając z doktorem Concarneau, kiedy ten przyszedł mnie zbadać. Uściskał też dzieci, gdy madame de Tourzel przyprowadziła je, by

powiedziały mi dobranoc. Wyjawiłam mu, że moje wysiłki, by zaaranżować małżeństwo Mousseline, spełzły na niczym.

- Nie pozwolą jej wyjechać. Król hiszpański był gotów zaręczyć ją ze swoim synem. Ale Zgromadzenie zabroniło komukolwiek z naszej rodziny opuszczać francuską ziemię. Mówią, że to ze względu na nasze bezpieczeństwo, aby nikt nas nie porwał ani nie wziął jako zakładników. Prawda jednak wygląda tak, że to oni chcą nas mieć w tej roli. Tutaj bardziej się im przydamy.

- Mousseline jest tak bardzo podobna do ciebie - zauważył Axel, gdy madame de Tourzel zabrała dzieci do ich pokoi. - Ludwik Karol też. Musimy sprawić, by twoje policzki znów były różowe tak jak jego.

Opowiedział mi o rozczarującym spotkaniu z Karolem w Turynie. Karol zbiera ludzi i udało mu się zgromadzić niewielką ilość pieniędzy. Ale minie jeszcze wiele miesięcy, może nawet lat, zanim zdoła zebrać dość sił, by najechać Francję i pokonać Gwardię Narodową.

- Twój brat Leopold musi się do niego przyłączyć i sprowadzić austriackie wojska - dodał. - Inaczej siły sprzeciwiające się rewolucji nie mają żadnych szans powodzenia.

Westchnęłam. Chora noga zaczęła mnie boleć i byłam bardzo zmęczona. Położyłam się na poduszkach, a Axel czule okrył mnie kocami, podciągając mi je pod brodę.

- Nie bój się, aniele - rzekł, całując mnie w czoło.

- Mam inny plan. Daj mi miesiąc, a będę gotowy. Potem znów przywrócimy blask tym policzkom.

24 lutego 1711

Pojechałam do wynajętego domu Axela, a tam na dziedzińcu czekała moja piękna zielona karetka! Natychmiast wsiadłam do środka i zdumiałam się, że jest tak ogromna i obszerna. Wystarczy pociągnąć za dźwignię, a spod podłogi podnosi się stolik. Są tam też szafki i spiżarnia na zapasy oraz piecyk do ogrzewania i gotowania.

Usiadłam obok Axela na miejscu woźnicy i ruszyliśmy drogą w stronę Vincennes.

- Gdzie się nauczyłeś powozić karetką? - zapytałam, gdy konie biegły coraz szybciej, a ich kopyta uderzały głośno o bity trakt.

- Woźnica mojego ojca, stary Sibke, nauczył mnie, kiedy byłem jeszcze chłopcem. Zaczęliśmy od wozów zaprzężonych w woły, a potem przesiedliśmy się na zaprzęgi czterokonne, aż wreszcie na powozy. Ale ten to największy pojazd, z jakim kiedykolwiek przyszło mi się zmierzyć. Żał mi tych biednych koni, że muszą ciągnąć taki ciężar. Kiedy już wyruszyacie w drogę, trzeba je będzie zmieniać co trzydzieści kilometrów. Zapewnienie takiej

liczby świeżych koni na trasie może okazać się trudne. Ale jeśli będzie trzeba, kupię je.

- Już byłeś dla nas zbyt hojny.

Axel wzruszył ramionami.

- Wielu innych też wniosło swój wkład. Król Hiszpanii, włoscy książęta, życzliwi ludzie w Wiedniu, Sankt Petersburgu i Sztokholmie. A nawet pewna dawna akrobatka cyrkowa, która ma nadzieję, że będziesz bezpieczna, i modli się o twoją szybką emigrację.

- Podziękuj ode mnie pani Sullivan.

- Podziękuję.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o którą muszę cię prosić - powiedziałam, gdy skręciliśmy do parku i rozpoczęliśmy długą podróż powrotną do domu Axela.

- Tak?

- Nie jedź z nami.

- Ale potrzebujesz mojej ochrony.

- Generał Bouille obiecał, że wyjedzie nam na spotkanie ze swoimi oddziałami i będzie nas eskortował przez granicę, kiedy tylko wyjedziemy z przedmieść Paryża.

- Ale możecie się natknąć na bandytów, dezertersów, bandy rewolucjonistów.

- Będziemy uzbrojeni. Poza tym jeśli nasza grupa nie będzie zbyt liczna, nie będziemy przyciągać zbyt wielkiej uwagi.

- Ta karetta - odparł Axel, poklepując siedzenie obok siebie - będzie zwracać uwagę. Tego możesz być pewna.

- Chcę, abyś opuścił Francję inną trasą niż my. Jeśli wydarzy się najgorsze i nasza ucieczka się nie powiedzie, musisz pozostać na wolności. Nie mogą cię schwytać razem z nami i z pewnością skazać na śmierć. Jestem bardzo egoistyczna. Nie mogłabym znieść twojej utraty. Umarłabym. Na pewno. Poza tym - ciągnęłam - musisz podróżować sam inną trasą, bo jeśli nas złapią, będziesz mógł dalej nam pomagać. Potrzebujemy cię.

- Przynajmniej pozwól mi wyprowadzić was z Paryża, bo chciałbym się upewnić, że bezpiecznie opuściliście miasto.

- Dobrze. Ale potem musisz jechać sam.

- To nie potrwa długo. Niebawem oboje wyjedziemy z Francji i nie będziemy już musieli odpowiadać przed tym okropnym Zgromadzeniem, które przejęło kontrolę nad wszystkim. - Ujął moją dłoń i podniósł do ust.

- Niebawem, aniele, cały ten koszmar skończy się dla nas obojga.

2 marca 1711

Nareszcie po wielu wysiłkach udało mi się przekonać Ludwika, by zgodził się na plan



ucieczki zaproponowany przez Axela. Jest bardzo przygnębiony i przerażony, ale widział listy od mojego brata Leopolda i własnego kuzyna Karola, w których bardzo szczerze pisali Axelowi, że nie zrobią nic, dopóki nie wyjedziemy z Francji i nie przestaniemy być zakładnikami Zgromadzenia. Ludwik uświadomił sobie w końcu, że nie mamy wyboru i musimy wyjechać.

Jest zły, że Zgromadzenie wydało dekret nakazujący, by nie nazywano go dłużej królem, tylko Głównym Urzędnikiem Publicznym.

11 czerwca 1711

Jutro wyjeżdżamy. Przez kilka miesięcy bałam się pisać w dzienniku w obawie, że gdyby wpadł w niepowołane ręce i przeczytano by go, nasze plany ucieczki spełzłyby na niczym. Jednak teraz jesteśmy już gotowi do drogi i jak dotąd mieliśmy szczęście.

- Naprawdę jesteście gotowi się pobawić? - zapytałam dzieci dziś wieczór, kiedy przyszły powiedzieć mi dobranoc.

Ludwik Karol zachichotał.

- Będę dziewczynką, włożę sukienkę, a we włosy wplotą mi wstążki.

- I nie wolno cię się śmiać - pouczyła go Mousseline. - Przez cały czas musimy grać jak na scenie i dobrze udawać.

- Kim ja jestem? - zapytałam.

- Naszą guwernantką. Udzielasz nam lekcji.

- A jak zwracacie się do guwernantki?

Ludwik Karol zasępił się.

- Madame - odparła Mousseline. - Nie nazywamy jej maman.

- Jak zwracamy się do papy?

- Monsieur Durand. Jest lokajem.

- A kto jest waszą maman, jedynie jutro? - zapytałam.

- Madame de Tourzel - odparł stanowczo Ludwik Karol. - Tylko że nie nazywa się już de Tourzel. Jest baronową Korff i pochodzi z Rosji.

- Świetnie!

Objęłam go i pocałowałam. Potem objęłam Mousseline, moją ukochaną córkę. Gdy na nią patrzę, żal ściska mi serce. Gdyby tylko udało się zaaranżować jej małżeństwo i wysłać na jakiś obcy dwór!

Wszystko jest gotowe na jutro. Axel był tu wcześniej, przyniósł nam paszporty i po raz ostatni sprawdził, czy jesteśmy przygotowani do wyjazdu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dwa dni przekroczymy granicę i znajdziemy się na przyjaznej ziemi, otoczeni

przez oddziały lojalne wobec monarchii, z dala od niebezpieczeństwa. Na dobre pozostawimy za sobą wszystkie kłopoty i obawy dwóch minionych lat.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

27czerwca 1711

Zapiszę wszystko tutaj, gdy jest jeszcze świeże w mojej pamięci. Szczegóły naszej podróży, tak innej od wszystkich, jakie odbyłam w życiu, i której wyniku nigdy nie mogłabym przewidzieć.

Wyruszyliśmy po północy dwudziestego czerwca w największym sekrecie. Dzięki sprytowi Axela udało nam się zwieść pałacowe strażę. Kiedy wszyscy znaleźliśmy się bezpiecznie w karecie, jechaliśmy tak szybko, jak tylko mogły nas wieźć konie, mijając wioskę za wioską, zatrzymując się tylko po to, by zmienić konie. Było bardzo ciemno, a drogi fatalne. Wpadaliśmy w głębokie koleiny i kilka razy musieliśmy się zatrzymywać, aby forsyse usunęli z drogi powalone drzewa i gałęzie. Noc była bezksiężycowa. Dzieci spały oparte o mnie, lecz mnie strach nie pozwalał zmrzyć oka. Stale myślałam o komitetach poszukiwawczych, które podobno jeździły po wszystkich drogach, i wyobrażałam sobie, że słyszę zbliżający się z oddali stukot kopyt.

Madame de Tourzel była bardzo dzielna, świetnie wywiązywała się z roli pani całego towarzystwa i wyglądała bardzo elegancko w pożyczonej sukni. (Jest szlachetnie urodzona, ale nigdy nie powodziło się jej zbyt dobrze i musiała pożyczyć czarną podróżną suknię z jedwabiu od Loulou, która jest mniej więcej jej wzrostu). Ludwik, w ciemnym płaszczu i prostym czarnym kapeluszu lokaja, bez lśniących klamer na butach, bez ozdób przy kapeluszu i pierścieni na palcach, popijał brandy z butelki, a potem zaczął drzemać. Ja siedziałam nerwowo na brzeżku białego aksamitnego siedzenia, wyglądając przez okno i modląc się, by nic nie zakłóciło naszej podróży.

Noc powoli zaczęła się rozjaśniać i o świcie zatrzymaliśmy się w miasteczku Meaux, żeby zmienić konie. Zakryłam twarz woalką brązowego kapelusza, by nikt mnie nie rozpoznał. Ludwik spuścił głowę na piersi. Spał albo udawał, że śpi. Ludzie w pobliżu budynku pocztowego wpatrywali się w naszą karete, ponieważ jest ogromna i wygląda na bardzo drogą, ale nie zaglądali niegrzecznie w okna jak paryżanie i nie traktowali nas podejrzliwie. Z radością zauważyłam, że niektórzy mieli przypięte do kapeluszy białe kokardy, symbol monarchii. Byłam przyzwyczajona do oglądania wyłącznie czerwono-białoniebieskich kokard republikanów, więc widok białych podniósł mnie na duchu i żałowałam, że nie mogę powiedzieć dobrym obywatelom Meaux, kim jesteśmy. Ale oczywiście nie zrobiłam nic, by zdradzić naszą prawdziwą tożsamość, i niedługo znów

wyruszyliśmy w drogę.

Dzieci były głodne, więc dałam im trochę cielęciny i chleba z wielkiej podróźnej spiżarni, którą kazałam przed wyjazdem zappełnić. Ludwik obudził się i też zjadł, a madame de Tourzel skubnęła trochę sera. Ja nie mogłam niczego przełknąć, byłam zbyt niespokojna.

- Jeszcze tylko kilka godzin - odezwał się do nas Ludwik. - Niebawem będziemy w Chalons, a stamtąd jest już niedaleko do PontSommevel, gdzie będzie na nas czekać kawaleria, która odeskortuje nas ostatnich siedemdziesiąt kilometrów do granicy. Nikt nie zdoła nas powstrzymać.

Oparłam się o miękkie poduszki siedzenia i westchnęłam. Jeszcze tylko kilka godzin. Miałam nadzieję, że uda mi się zdrzemnąć, a przynajmniej odpocząć.

Ledwie zamknęłam oczy, kiedy poczułam potężny wstrząs i usłyszałam przeraźliwe rżenie koni. Zatrzymaliśmy się. Ocknęłam się i wyjrzałam przez okno. Staliśmy na wąskim moście nad rwącym strumieniem, po którego obu brzegach rozciągały się lasy. Konie upadły, karetę przechyliła się na bok i domyśliłam się, że złamaliśmy oś. Ludwik zaczął przeklinać. Woźnica i wszyscy trzej forysie starali się uwolnić konie spod porwanej uprzęży.

Zapanowało wielkie zamieszanie i minęła co najmniej godzina, zanim mogliśmy powoli ruszyć do następnej wioski. Ta zwłoka kosztowała nas dużo. Spóźniliśmy się do Chalons i jeszcze bardziej do następnej wioski, PontSommevel, gdzie miał na nas czekać oddział kawalerii.

Coś poszło nie tak. Jeśli kawaleria rzeczywiście tam była, zdecydowała się na nas nie czekać. Ale jeśli w ogóle jej tam nie było? Jeśli natknęła się na komitet poszukiwawczy, zawróciła i pognała galopem przed siebie? Nie mogliśmy tego wiedzieć. Czy znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie? Czy powinniśmy zawrócić? A może spotkamy kawalerzystów dalej?

Postanowiliśmy jechać dalej, lecz Ludwik wyjął i załadował muszkiet, a potem trzymał go na kolanach pod połami płaszcza.

Dzień był bardzo gorący. Przez otwarte okna karety wpadał pył, doprowadzając nas wszystkich do kaszlu. Kaszleliśmy przez całą drogę do następnej wioski i jeszcze następnej, świadomi, że zwracamy na siebie coraz większą uwagę. Ja nadal miałam spuszczonej woalkę, a Ludwik nasunął kapelusz nisko na czoło, lecz kiedy dotarliśmy do wioski SainteMenehould, byliśmy tak przerażeni i spięci że nasz niepokój został zauważony i wieśniacy zaczęli nam się przyglądać z zaciekawieniem. Nie dostrzegłam w wiosce ani jednej białej kokardy, za to wszędzie było pełno trójkolorowych.

Tu i tam stali żołnierze, niektórzy mocno pijani. Jeden z oficerów podszedł do naszej karety.

- Nic nie poszło zgodnie z planem - szepnął w pośpiechu. - Nie mogą zobaczyć, że z wami rozmawiam, bo zaczną coś podejrzywać.

Odszedł szybko, lecz my zdążyliśmy już wzbudzić podejrzenie niektórych wieśniaków. Widziałam, jak się gapią, mruczając coś pod nosem, i stali się jeszcze bardziej zaciekawieni, gdy część żołnierzy wsiadła na konie i zaczęła jechać za nami.

Mieliśmy więc niewielką eskortę i z każdym przemierzonym powoli kilometrem zbliżaliśmy się do granicy. Zaczął jednak zapadać zmrok, a droga pięła się w górę. Nasz woźnica był zmęczony, gdyż powoził od północy, a my znaleźliśmy się na granicy wytrzymałości nerwowej. Ludwik Karol był niespokojny, Mousseline chorowała na żołądek i głośno się skarżyła.

Wyjęłam owoce, wołowinę, chleb i butelkę wina i zjedliśmy w niespokojnym milczeniu, gdy karetą, podskakując, jechała powoli przez zapadające ciemności. Wiedzieliśmy, że jesteśmy na wrogim terenie, patrolowanym przez niemieckich i szwajcarskich najemników na austriackim żołdzie, którzy gnębili wieśniaków, domagając się jedzenia, pieniędzy i alkoholu. Przed wyjazdem z pałacu Axel ostrzegł nas, że wszyscy podróżni przybywający od strony stolicy są w tym regionie rutynowo zatrzymywani i wypytywani. Byliśmy na to przygotowani.

Nie byliśmy jednak przygotowani na to, że droga zostanie zablokowana i że nie będziemy mogli jechać dalej. Kiedy przybyliśmy do miejscowości Varennes, okazało się, że część miejscowych urzędników zamknęła drogę i nie mogliśmy kontynuować podróży. Na ulicy panowało zamieszanie. Choć było późno, ludzie wychodzili z domów i podnosili alarm. Dostrzegłam żołnierzy Gwardii Narodowej stojących z muszkietami gotowymi do strzału. Zastanawiałam się, czy nasza niewielka eskorta kawalerii pogalopuje do lasu i porzuci nas.

- Nie jest dobrze - rzekł do mnie cicho Ludwik. - Ktoś nas zdradził.

Do karety podszedł jakiś urzędnik, otworzył drzwi i zaczął nas wypytywać. Oświetlał nam twarze świecą i domagał się, żebym podniosła woalkę, a Ludwik zdjął kapelusz. Zupełnie zignorował madame de Tourzel i zauważyłam, że zaczęła cicho płakać.

- Kim jesteście i dokąd zmierzacie?

- Jestem Hippolyte Durand, lokaj baronowej Korff

- odpowiedział pewnie Ludwik, próbując podtrzymać naszą mistyfikację.

Przepytujący nas człowiek prychnął.

- Wcale nie! Jesteś Ludwik Kapet, Główny Publiczny Urzędnik Francji, były król. Poznają cię. Twoja tłusta gęba widnieje na tych bezwartościowych papierkach wydawanych przez twój skarbiec.

Spojrzał na mnie, a ja nie umiałam odwzajemnić jego spojrzenia. Było mi niedobrze. Przewracało mi się w żołądku, czułam okropny ból w karku i nagle ogarnęła mnie potrzeba, by sobie ulżyć.

- A ty, damo, jesteś żoną Głównego Publicznego Urzędnika, która przez lata okradała nas, zabierając chleb naszym dzieciom i wydając nasze pieniądze na brylanty! Powiedz mi, gdzie one teraz są? W tym powozie? - Zaczął szukać pod naszymi siedzeniami, odpychając nas brutalnie - na bok. Chwyciłam Mousseline, która przywarła do mnie z oczami rozszerzonymi ze strachu.

- Wasze kufry zostaną przeszukane - powiedział urzędnik. - I nie wolno wam jechać dalej. Wsiadajcie.

Ludwik z westchnieniem wygramolił się z karety, która kołysała się z każdym jego ciężkim krokiem. Muszkiet, który trzymał na kolanach, upadł na ziemię i urzędnik podniósł go.

- Czy twoim zamiarem było strzelanie do przedstawicieli ludu? - dopytywał się.

- Broniłbym rodziny, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Wydaje mi się, że twoim zamiarem było wywołanie kontrewolucji. Jestem przekonany, że Główny Publiczny Urzędnik stał się wrogiem ludu Francji.

W odpowiedzi Ludwik wyciągnął zza kołnierza prostej, płóciennej koszuli medal, który nosił na łańcuszku na szyi. Podsunął go urzędnikowi pod nos, by ten mógł przeczytać napis: Odnowiciel Francuskiej Wolności Francji i Prawdziwy Przyjaciół Swojego Ludu.

- Otrzymałem go - powiedział Ludwik z godnością - od ludu Paryża.

- Ładny z ciebie przyjaciel! Próbujesz uciec z kraju, pozostawiając swój lud na łasce okrutnych żołnierzy, którzy nas gnębią! Porzucasz Francję w potrzebie!

- Proszę pana - nie mogłam już dłużej milczeć. Zwijalam się z bólu i musiałam skorzystać z nocnika.

- Tak, tak, Madame Zuchwała! - zawołał głośno.

- Zabierzcie tę kobietę do środka, zanim stanie się niezdolna.

Z rosnącego tłumu mieszkańców miasteczka wyszła korpulentna siwa kobieta w nocnej koszuli i białym czepku.

- Chodź ze mną - rzuciła opryskliwie i pomogła mi wysiąść z powozu. Dzieci i madame de Tourzel wysiadły za mną. Kobieta zaprowadziła mnie do ciemnego sklepu, gdzie przed szeroką ladą ustawiono beczki z towarem.

- Maman - powiedział niepewnym głosem Ludwik Karol. Nigdy dotąd nie był w takim miejscu.

- Wszystko dobrze, papa zaraz przyjdzie. Nic się nam tu nie stanie.

Ku mojej wielkiej uldze poprowadzono nas wąskimi schodami do małej sypialni oświetlonej jedną świecą. Dzieci położyły się, a madame de Tourzel utuliła je do snu. Weszłam do sąsiedniego pokoju i skorzystałam z wyszczerbionego porcelanowego nocnika, który kobieta podała mi z widocznym niesmakiem. Potem umyłam ręce i twarz w miednicy i poprosiłam madame de Tourzel o proszek z kory wierzby na ból głowy.

Na zewnątrz rozdzwoniły się kościelne dzwony i w coraz większej liczbie domów zapalały się światła. Cała wioska przebudziła się, czekały psy i piałły koguty. Położyłam się obok Ludwika na twardym, wąskim łóżku w nadziei, że ból w skroniach zelżeje, jeśli będę próbowała odpocząć.

Po chwili usłyszałam hałas przy oknie. Wstałam, by otworzyć żaluzję. Na parapecie na zewnątrz stał młody oficer kawalerii w pobrudzonym i poplamionym białym mundurze. Najwyraźniej wspiął się tu z zaułka poniżej, który był ciemny i pusty, gdyż wszyscy mieszkańcy zgromadzili się na ulicy przed frontami domów.

- Madame, muszę porozmawiać z królem.

Obudziłam Ludwika z drzemki i pociągnęłam do okna.

- Sire, proszę, szybko. Mam dwudziestu ludzi, którzy czekają, by zabrać pana do generała Bouille. To tylko piętnaście kilometrów stąd. Proszę podać mi syna, a ja przekażę go w bezpieczne ręce. Czekają na was konie. Ale musi pan iść natychmiast.

Ludwik spojrział na młodego oficera, mrużąc oczy.

- Czy to diuk de Choiseul?

- Tak, sire.

- Jesteś porządnym młodym człowiekiem, jak twój ojciec przed tobą.

- Dziękuję, sire. A teraz proszę! Bez wahania!

- Idź! Już! - Popchnęłam Ludwika w stronę okna.

- Podniosę Ludwika Karola, kiedy ty już wyjdiesz.

- Ale...

- Musisz to zrobić. To może być twoja jedyna szansa.

- Ale... żołnierze... Gwardia Narodowa...

- Uciekniemy im, sire. Nasze konie są szybsze.

- Oni na pewno podniosą alarm, będą do nas strzelać.

- To ryzyko, które musimy podjąć. Ale zaskoczmy ich. Znikniemy, zanim oni zdążą wymierzyć.

Popychany przeze mnie Ludwik przełożył nogę przez parapet.

- A ty? - spytał, odwracając się w moją stronę. W jego oczach nie było widać uczucia, jedynie zdumienie.

Potrząsnęłam niecierpliwie głową.

- Ja nie jestem ważna. Ale ty tak. Ty i Ludwik Karol. Poza tym - dodałam ze smutkiem - to mnie tak naprawdę chcą. To mnie nienawidzą.

Usłyszałam gwizd z zaułka. Zrozumiałam, że to sygnał.

- Szybciej, sire! Szybciej!

Ludwik zaczął się wspinać na parapet, lecz zaraz się zatrzymał.

- Nie - powiedział i powoli zaczął wracać do środka.

Wiedziałam, że ma lęk wysokości, ale to przecież nie pora, by mu się poddawać!

- Dalej! - powiedziałam tak głośno, jak tylko się odważyłam, nie chcąc zaalarmować osób, które mogły się znajdować w sklepie pod nami. - Nie zatrzymuj się teraz! Uda ci się!

- Nie zostawię mojej rodziny.

Znałam ten ton. Krył w sobie straszliwą stanowczość. Ludwik znalazł się już w pokoju i zdejmował brązowy płaszcz.

- Jedź do generała Bouille w moim imieniu - mówił do młodego oficera. - Powiedz mu, żeby jak najszybciej sprowadził tu wszystkie swoje siły.

- Ale, sire, jeśli...

- Jedź już.

Ten królewski ton nie znał sprzeciwu. Zawiedziony młody książę zaczął powoli schodzić na ulicę, z której dobiegł kolejny przeciągły gwizd.

- Uważaj na siebie! - zawołałam za nim. - I dziękuję.

Dwie godziny, myślałam. Ze świeżymi, szybkimi końmi może wrócić z generałem Bouille i jego ludźmi za dwie godziny. Będzie już świtać. Co z nami wtedy zrobią?

Nagłym, nieoczekiwanym gestem Ludwik wyciągnął do mnie ręce i objął mnie, przyciskając do serca, jak robił to bardzo rzadko. Skuliłam się w jego ramionach i rozplakałam. Razem czekaliśmy, odliczając minuty, modląc się, by nadjechał generał ze swoimi ludźmi, podczas gdy do miasta wjeżdżało coraz więcej żołnierzy Gwardii Narodowej, a tłum zaczął śpiewać znienawidzoną paryską śpiewkę *ęa ira* i w denerwujący sposób walił w ściany sklepu patykami.

Nadszedł świt, a wraz z nim rozległ się w oddali stukot kopyt. Nie był to generał Bouille ze swoimi żołnierzami, lecz tylko dwóch jeźdźców. Podjechali galopem do grupki urzędników, którzy stali na ulicy przed naszym budynkiem, i usłyszałam, jak jeden z nich obwieszcza władcym głosem, że nazywa się kapitanem Romeuf, jest adiutantem generała



Lafayette'a i przywozi ważne dokumenty ze Zgromadzenia Narodowego. Drugi jeździec również był oficerem, lecz nie słyszałam jego słów.

Kiedy nowo przybyli naradzali się z urzędnikami, obliczyłam, że musiały już minąć dwie godziny. Gdzie jest generał Bouille? Musi szybko przyjechać. Stałam przy oknie i spoglądając w dół, raz po raz zaciskałam dłonie w pięści.

Urzędnik, który nas wypytywał, przemawiał do tłumu.

- Jak wiecie, jest tu wśród nas Główny Urzędnik Publiczny. - Tłum skwitował jego słowa głośnym buczeniem.

- Zatrzymali go lojalni obywatele Varennes, zanim dotarł do granicy. Jego próba ucieczki jest dowodem zdrady wobec ludu Francji. Odebrałem mu ten muszkiet. - Urzędnik podniósł starą strzelbę Ludwika, a na jej widok tłum znów zaczął buczeć, tym razem głośniej. Dobięły mnie okrzyki: „Zastrzelić go z niej!”, „Śmierć Głównemu Urzędnikowi Publicznemu!”. - Ten wróg ludu, który spiskował, by wyrządzić krzywdę ludowi Francji i jego Gwardii Narodowej, nakazem Zgromadzenia Narodowego ma zostać aresztowany. Wykonamy ten nakaz i Główny Urzędnik Publiczny zostanie odwieziony do stolicy.

Na te słowa rozległy się oklaski i radosne okrzyki. Kapitan Romeuf i jego zastępca naradzili się krótko, a potem usłyszeliśmy, jak wchodzą po schodach do pokoju, w którym się znajdowaliśmy. Głośno tupali butami, a ich szpady obijały się o ściany wąskiej klatki schodowej.

Och, proszę, modliłam się w duchu. Proszę, niech generał Bouille teraz przyjedzie!

Drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem i do środka weszło dwóch mężczyzn, a za nimi urzędnik, który wypytywał nas wcześniej.

- Główny Urzędniku Publiczny! - odezwał się głośno wyższy z dwóch oficerów. - Jestem tu, by nakazem Zgromadzenia Narodowego aresztować ciebie i twoją żonę. Masz zabrać swoje rzeczy i natychmiast udać się z nami.

- Jako Odnowiciel Francuskiej Wolności i Prawdziwy Przyjaciół Swojego Ludu, będę wam towarzyszył. - Ludwik zrobił krok w stronę schodów, a ja, nie mogąc wymyślić nic innego, wydałam z siebie cichy okrzyk i padłam na podłogę, udając omdlenie.

Wywiązało się małe zamieszanie. Położono mnie na łóżku, Ludwik klepnął mnie w policzek, by przywrócić mi przytomność, przyniesiono różne mikstury, a bardzo nieprzyjemny lekarz zbadał mnie i oświadczył, że nic mi nie jest, wywijając przy tym z obrzydzeniem wargę.

- Zemdląca ze strachu - powiedział do dwóch posłańców z Paryża. - Ci arystokraci nie mają za grosz odwagi. Najmniejszy niepokój zbija ich z nóg.

Chciałam go uderzyć, ale w porę się opanowałam. Po chwili usiadłam. Udało mi się opóźnić nasz wyjazd o jakieś pół godziny. Generał Bouille nie nadjechał. Albo w ogóle zrezygnował, albo zamierzał jechać za nami i odbić nas w drodze powrotnej do Paryża. Próbowałam uchwycić się tej nadziei.

Nie napiszę wiele na temat naszej przygnębiającej i męczącej podróży do Paryża. Rozgniewani, miotający obelgi mieszkańcy miasteczek i wiosek stale otaczali nasz powóz, nawet gdy zaczął padać deszcz i zupełnie przemokli. Nie wolno nam było zamknąć okien, by wszystko, co robimy i mówimy, mogły obserwować i komentować pilnująca nas Gwardia Narodowa oraz wrogi tłum.

- Powiesić ich wszystkich, brudne świnie!
- Wrzucić ich do rowu!
- Niech żyje zgromadzenie ludu!
- Gnij w piekle, żalosny gruby wieprzu razem ze swoją żoną świnią i dziećmi prosiętami!

Zakryłam uszy dłońmi, ale niewiele to pomogło. Paskudne głosy odbijały się echem w mojej głowie niczym ogłuszająca fala dźwięku, tak silna i intensywna, że była prawie jak cios. Byłam taka zmęczona. Marzyłam, by zasnąć, lecz okropne, irytujące głosy nie pozwalały mi zmrużyć oka.

- Austriacka suka! Dziwka! Maciora! Paskudna wiedźma!

Nigdy nie zapomnę widoku tych brudnych, pełnych złości i szyderstwa twarzy, które przyglądały się nam przez otwarte okna, z szerokim uśmiechem wygrażając widłami i sierpami. Gdyby nie Gwardia Narodowa, jestem pewna, że wyciągnęliby nas z powozu i zamordowali.

Nie będę tu pisać o największych upokorzeniach tej upalnej, brudnej podróży, zanotuję tylko, że byłam chora, a każdą moją czynność oglądano i z radością komentowano. Na koniec mogłam już tylko starać się zachować godność. Siedząc oparta o poduszki, w brudnej sukni, rozpaczliwie pragnęłam kąpieli i spokojnego snu. To, co zaczęło się z nadzieją, zakończyło się koszmarem wstydu i porażki. Jedynym promykiem satysfakcji jest świadomość, że Axel jest bezpieczny i w Brukseli czeka na wieści o mnie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

28 lipca 1711

Jak zwykle w lipcu w Paryżu pada deszcz. Przeniosłam się do innej części pałacu Tuileries, gdyż paryżanie splądrowali moje dawne apartamenty - powstrzymam się przed opisaniem tej przerażającej sceny. Siedzę teraz przy starym biurku w niewielkim pokoju na trzecim piętrze, którego okna nie wychodzą na ogrody, gdzie stale gromadzą się tłumy.

Kiedy to piszę, deszcz pada coraz mocniej, waląc o szyby i spływając rwącym strumieniem z dachu. Marzę o filiżance gorącej herbaty, gdyż w pokoju jest zimno, a ja mam na sobie cienki jedwabny szlafrok - lecz większość moich służących została aresztowana i nikogo nie mogę wezwać.

Staram się nie myśleć zbyt dużo o naszej przyszłości. Nasz jedyny przyjaciel i sojusznik w Zgromadzeniu, Mirabeau, nie żyje i teraz wszyscy mówią tylko o Robespierre, dziwnym małym człowieczku z Arras.

Mam nadzieję, że moi nowi strażnicy pozwolą mi w słoneczne dni spacerować po ogrodzie. Noga znów mi dokucza, ale mogę chodzić daleko, jeśli tylko opieram się na lasce. Ludwik Karol potrzebuje słońca, ostatnio jest bardzo blady. Chłopiec w jego wieku powinien spędzać dużo czasu na świeżym powietrzu, jeździć na kucyku i biegać z przyjaciółmi, jak moi bracia przed laty w Schönbrunn. Z przyjemnością wspominam ciepłe, jasne lata w pałacu matki.

Nie takie jak dzisiejsze popołudnie z lodowatymi strugami deszczu, które uderzają mocno o stare okna, wszystko zamazując, a ja pogrążam się przez to we mgłę myśli.

3 września 1711

Ku memu wielkiemu przerażeniu funkcję mojej strażniczki powierzono Amelii.

- Zjedz chleb! - krzyczy, kiedy zostawiam połowę małego bochenka na talerzu. -  
Dobrze ci zrobi.

- Piekarz jest trucicielem - odpowiadam. - Nie zjem niczego, co on upiecze. - Po pałacu krążą plotki, że piekarz jest zagorzałym rewolucjonistą, który pragnie mojej śmierci.

- A więc głoduj, nic mnie to nie obchodzi - mówi Amelia, chodząc po pokoju. Dotyka palcami szarego kamyka, który nosi na łańcuszku na szyi. To pamiątka z Bastylji. - I od tej pory nie możesz opuszczać tego skrzydła pałacu.

- Ale mój mąż i dzieci...

- Musisz poprosić o pozwolenie za każdym razem, gdy będziesz chciała ich zobaczyć.

- Chcę ich widywać codziennie.

- To zabronione.

Wszystkie moje dawne służące z wyjątkiem Zofii i Loulou (zdegradowanej teraz do roli pokojówki) zostały aresztowane lub odesłane. Amelia nie chce mi powiedzieć, jaki los je czeka.

- Pokojowe Ludu zapewnią ci usługi, jakie ci przysługują - mówi Amelia.

I tak przynoszą mi małą miskę gotowanego mięsa, pół bochenka ciemnego chleba i małą karafkę wina do każdego posiłku. Czasami kiedy przynoszą mi jedzenie lub zmieniają pościel na łóżku, wkładają moje suknie i wpinają moje piękne pióra w swoje tłuste włosy. Przechodzą dumnie z jednego końca pokoju w drugi, naśladując mnie i wykrzykując swoje nieprzyzwoite uwagi.

- Wiemy, że masz tysiące brylantów - mówią, podchodząc blisko i sycząc mi do ucha jak węże. - Gdzie one są? Gdzie je schowałeś? Te klejnoty nie należą do ciebie, obywatelko Kapet. Należą do ludu Francji.

Ze wszystkich sił staram się ignorować ten chór paskudnych głosów pewna, że moje klejnoty są bezpieczne. Powierzyłam szkatułę mojemu fryzjerowi André, kiedy udawał się na emigrację. Zawiózł je do Stanny'ego, który ma je teraz w Koblencji. Stanny z żoną dotarli do granicy tej nocy, kiedy aresztowano nas w Varennes i odesłano do Paryża. Przekroczyli ją z eskortą i teraz razem z Karolem zbierają armię.

Chociaż Pokojowe Ludu są irytujące i wrogo nastawione, Amelia jest dużo od nich gorsza, zwłaszcza gdy celowo mnie rani, wspominając Eryka.

- Nigdy nie znaleziono jego ciała - zauważyła pewnego dnia. - Ciała mojego męża. Tyle ich leżało w pałacu tego dnia, gdy go zabili, a większość z nich bez głów i ubrań. Jak można było odróżnić jednego od drugiego?

Na te słowa Pokojowe wybuchnęły śmiechem.

- Rozpoznałabyś nagie ciało Eryka pozbawione głowy, obywatelko? - zapytała mnie Amelia.

- Oczywiście, że nie.

- Ciekawe. Nie był mi wierny. Oprócz ciebie miał jeszcze kilka kochanek.

- Nigdy nie byliśmy z Erykiem kochankami.

Pokojowe Ludu zaczęły buczeć i szydzić i zaśpiewały najnowszą okropną piosenkę o mnie.

Kochanków moc, Mężczyzn moc, Chce z nimi sypiać Noc w noc.

Nienasycona, Wciąż się przymila Do wszystkich mężczyzn Maria Antonina!

Robię wszystko, by nie zwracać uwagi na ograniczenia i kary, okrutne drwiny i bolesne opowieści o człowieku, który był mi drogi. Do Amelii czuję jedynie pogardę, tym większą, że nie opłakiwała Eryka, który był dobrym człowiekiem i zginął bohaterską śmiercią, spiesząc mi na ratunek. Ale też ona nigdy na niego nie zasługiwała.

4 października 1711

Spędzam tyle godzin na pisaniu listów, że prawie nie mam czasu ani energii na pisanie w tym dzienniku. Piszę do mojego brata cesarza Leopolda, do kuzyna Ludwika króla Karola, do Stanny'ego, Karola i hrabiego Mercy'ego. Nakłaniam ich, by jak najszybciej przysłali armię. Mówię im szczerze, że teraz można nas uratować tylko siłą. Nie mamy żadnych sojuszników politycznych. Ludwik stracił niemal całą władzę i wygląda na to, że chcą nas ostatecznie wyeliminować. To tylko kwestia czasu.

Jestem jednak pewna, że nas nie zabiją. Sprowadziłyby to na nich straszliwą zemstę. Bardziej prawdopodobne jest to, że jeszcze bardziej ograniczą nam swobodę. Pałac Tuileries jest teraz naszym więzieniem. W przyszłości mogą nas zamknąć w jakimś starym, opuszczonym zamku na prowincji. Ludwik już teraz czuje się opuszczony i zapomniany. Jest bardzo mało aktywny, całą korespondencję z przyjaciółmi i sojusznikami pozostawiając mnie.

12 października 1711

Nadal wolno mi przyjmować moją krawcową madame Rondelet (moja była krawcowa Rosie Bertin już dawno wyemigrowała) i dziś rano zjawiała się z koszem pełnym prezentów dla Amelii i Pokojowych Ludu.

Kiedy tylko weszła, rozdała prezenty: ciepłe czerwonobiałoniebieskie szaliki, czerwone fartuchy i halki w niebieskobiałe paski. Prezenty skutecznie odwróciły ich uwagę. Madame Rondelet podała mi halkę, którą dla mnie uszyła, istrażniczki nie zadały sobie trudu, by ją sprawdzić, gdyż były zajęte podziwianiem siebie w nowych strojach. Halka ma wszyte pod falbankami sekretne kieszonki na listy.

Kiedy doktor Concarneau przychodzi mnie badać, przynosi chleb i ciastka (pieczone przez cukiernika - zwolennika monarchii), a w podwójnym dnie talerza na chleb często ukryte są wiadomości.

Podczas ostatniej wizyty wręczył mi koszyk babeczek. „Od życzliwego z Bretanii” - powiedział. Ugryzłam babeczkę i o mało nie zламаłam sobie zęba. Coś zostało zapieczone w środku. Wypłułam niewielki przedmiot i okazało się, że to pierścionek z brylantem. Szybko wsunęłam go z powrotem do ust i powiedziałam lekarzowi, że bolą mnie dziąsła. Poprosiłam, żeby je obejrzał. (Nie pozwalają na wizyty dentysty).

Doktor przytomnie dostrzegł pierścionek, ukrył go w dłoni i wcierał mi w dziąsła

leczniczą maść, do czasu gdy udało mu się ukryć pierścionek w talerzu na chleb.

- Proszę go wysłać do Stanny'ego - szepnęłam. - Pomoże zebrać pieniądze na armię.

18 listopada 1711

Moja noga pokryta się wrzodami. Doktor Concarneau przychodzi dwa razy dziennie, by smarować rany maścią i zakładać świeże bandaże. Przynosi listy ukryte w torbie lekarskiej i zabiera moje. Wiem, że dużo ryzykuje, i jestem mu bardzo wdzięczna. Zwierzyłam mu się, że nie mam już miesięcznych przypadłości, a on odparł, że jest to wynikiem wszystkich moich zmartwień i braku snu. Często siedzę do północy, pisząc listy. Pomaga mi Zofia. Kiedy wyglądam przez okno o tej porze, czasem widzę niezwykle światło na niebie, aurorę. Białe, zielone, czasem fioletowe.

- Zbliża się koniec świata - powiada Zofia. - To światło to zły znak.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma racji.

31 grudnia 1711

Dziś kończy się stary rok, tak okropny dla nas wszystkich! Gdyby tylko udało nam się bezpiecznie dotrzeć do granicy, byłibyśmy teraz w Koblencji, żyjąc nadzieją. Znów zobaczyłabym mojego ukochanego Axela, najbardziej kochanego i kochającego z ludzi, gotowego do największych poświęceń. Znów znalazłabym się w bezpiecznym schronieniu jego ramion, otoczona ciepłem jego miłości.

Tak się cieszę, że jest bezpieczny. Czuję jego miłość nawet z daleka. Chociaż mam mnóstwo trosk, myśl o nim przynosi mi radość i ogrzewa moje serce w tę zimną noc.

Modłę się, byśmy w nowym roku zostali uratowani.

2 lutego 1712

Codziennie modłę się o ratunek - i wczoraj pojawiła się nowa nadzieja.

Do pokoju, którego używam jako sypialni, wszedł ciemnowłosy młody robotnik z trójkolorową kokardą przypiętą do koszuli i koszem narzędzi. Wcześniej pokazał Amelii i Pokojowym specjalną przepustkę. Nie patrząc na mnie, podszedł do okna i zaczął skrobać w rogu przy ramie, mówiąc, że przysłano go, by usunął przeciek. Wyglądało na to, że zna się na rzeczy, więc kobiety zostawiły go w spokoju.

Jednak coś mnie w nim zaintrygowało. Patrzyłam, jak pracuje. Po chwili, kiedy kobiety wyszły z pokoju, upuścił małą karteczkę prosto u moich stóp.

- Przepraszam, monsieur, ale coś panu wypadło - powiedziałam, podnosząc papier i podając mu.

- Ciii! - szepnął. - Proszę przeczytać!

Natychmiast się odwróciłam i włożyłam papier do książki, choć tylko udawałam, że ją

czytam. Kiedy upewniłam się, że nikt nie podsłuchał naszej rozmowy, ukradkiem rozłożyłam papier i przeczytałam:

Jestem chłopcem, którego ocaliłaś kiedyś Pani przed pobiciem przez księcia Stanisława. Wysłałaś mnie do Wiednia, gdzie cesarz Józef pozwolił mi wstąpić do akademii wojskowej. Jestem teraz porucznikiem de la Tour w armii austriackiej, głównym dowódcą Rycerzy Złotego Sztyletu. Jest nas tu w Paryżu czterystu szlachetnie urodzonych mężczyzn, którzy przysięgli strzec i bronić króla i jego rodziny. Nie zawiedziemy was. Proszę zajrzeć pod lichtarz. I spalić ten papier.

Raz jeszcze przeczytałam wiadomość, po czym zmiełam ją w dłoni. Porucznik de la Tour wyjął prosty cynowy lichtarz z koszyka z narzędziami, włożył do niego świecę, zapalił i postawił na stole przede mną. Robiło się coraz ciemniej, a on potrzebował światła do pracy. Jednak kiedy ją skończył, zostawił lichtarz na stole, a ja spaliłam jego wiadomość w dogasającym płomieniu. Kiedy świeca wypaliła się do końca, odwróciłam lichtarz. W metalu wyryty był mały złoty sztylet, a kiedy go dotknęłam, podstawa lichtarza otworzyła się, odsłaniając pustą tubkę. W środku znajdowała się kolejna wiadomość, a kiedy ją rozwinęłam, moim zdumionym oczom ukazały się setki podpisów, każdy ze słowami „Do śmierci”.

Były to z pewnością podpisy Rycerzy Złotego Sztyletu, którzy przysięgali nas bronić. Łzy popłynęły mi po policzkach. Tyle nazwisk. Tak wielki honor. Taka odwaga. Szybko zwinęłam papier, wsunęłam go z powrotem do lichtarza i zamknęłam dno.

Z całych sił starałam się ukryć przed Amelią i pozostałymi kobietami radość i nową nadzieję, które mnie ogarnęły tego wieczoru, gdy na cenne pół godziny pozwolono mi dołączyć do rodziny. Chciałam powiedzieć Ludwikowi, co się wydarzyło, lecz w drzwiach stało kilku członków Gwardii Narodowej i oczywiście nie ośmieliłam się nawet szepnąć słowa o wizycie porucznika de la Tour. Grałam w wista z Mousseline, a Ludwik czytał książeczkę Ludwikowi Karolowi. Śmialiśmy się i obejmowaliśmy.

Kiedy przyszła Amelia, by zabrać mnie do moich apartamentów, pocałowałam Ludwika na pożegnanie w policzek i szepnęłam: „Mam dobre wieści”. Nie mogę się doczekać, by mu o nich opowiedzieć.

14 lutego T712

Axel znów jest z nami! Wrócił mimo moich ostrzeżeń i próśb, które zawierałam w listach, by nie ryzykował utraty wolności i nie przyjeżdżał do Francji. W naszych cennych chwilach sam na sam całował mnie namiętnie i powiedział, że nie mógł być daleko, że stale się o mnie martwi i przez cały czas myśli, jak uwolnić mnie i moją rodzinę z pułapki, która się nad nami zamyka.

Choć nadal jest piękny jak posąg, wygląda teraz jak człowiek ścigany. Ma szczuplejszą twarz, a w jego kochanych niebieskich oczach widać zmęczenie. W jego włosach ściągniętych do tyłu w stylu republikańskim i związanych czarną wstążką pojawiły się pasemka siwizny.

Przyjechał tu jako przedstawiciel królowej Portugalii (to oczywiście tylko przykrywka) i ma na sobie ogromną czarną pelerynę i czarny kapelusz o dziwnym kształcie, jaki noszą portugalscy szlachcice. Towarzyszą mu ciemnowłosi portugalscy służący i wszędzie zabiera ze sobą szarego wilczura Malachiego. Mówi, że to najlepszy obrońca, jakiego mógłby mieć, łagodny i czuły, lecz w ciągu paru sekund zdolny rzucić się do gardła każdemu, kto by zaatakował jego pana. Nie mogłam nie zauważyć, że Malachi warczał za każdym razem, gdy podczas wizyty Axela do pokoju wchodziła Amelia.

Axel został z nami przez większość dnia, mówiąc nam cicho i ostrożnie to, co najbardziej chcieliśmy usłyszeć: że trwają poważne wysiłki, by wyrwać nas z rąk tej okropnej Legislatywy, która od zeszłej jesieni sprawuje rządy we Francji.

Nie mam odwagi zapisać wszystkiego, o czym się dowiedzieliśmy, ale okazuje się, że naszym najwierniejszym sojusznikiem pozostaje król Gustaw. Zrobił o wiele więcej niż Stanny i Karol, którzy powoli zbierają niewielką liczbę żołnierzy w Koblencji. Zeszłej jesieni Gustaw odważnie wysłał niemal całą szwedzką flotę do Normandii (nic o tym nie wiedziałam) z zamiarem wysadzenia na brzeg dwóch tysięcy żołnierzy. Mieli potem ruszyć na Paryż, zbierając po drodze poparcie w lojalnych zachodnich prowincjach Francji. Gdyby ten wielki plan się powiódł, nie mam wątpliwości, że Szwedzi i wierni Francuzi zdobyliby stolicę. Rewolucja upadłaby, a wszyscy niegodziwi delegaci zostaliby aresztowani i osądzeni jak zdrajcy, którymi są.

To byłyby wspaniały dzień!

Gustaw szykuje drugą inwazję, lecz tymczasem może nas wydostać z Tuileries, jeśli zgodzimy się uciekać pojedynczo. Jednakże Ludwik nadal sprzeciwia się wszelkim planom ucieczki. Dał słowo generałowi Lafayette'owi, że nie będzie próbował opuścić Tuileries, i zamierza go dotrzymać. Axel powiedział mi, że jego zdaniem Ludwik jest głupi i uparty (a kiedy taki nie był?), a jednak szanuje jego prawość.

11 lutego 1712

Falszywy powiew wiosny sprawił, że przed moimi oknami wcześniej zakwitły drzewa. Ja też trochę rozkwitam po długiej zimie nieustannego pisania listów i męczącego czekania. Za przyzwoleniem cudownego doktora Concarneau, któremu udało się przekonać Legislatywę, że jestem bardzo chora i potrzebuję ciepła i wypoczynku, udało mi się spędzić



kilka dni z Axelem w SaintCloud.

12 lutego 1712

Otulona silnymi ramionami Axela, z dala od świata, prawie nie zdaję sobie sprawy z upływu czasu.

Kiedy mnie całuje, jestem podniecona jak za pierwszym razem. Zatraciłam się w nim, w oszołomieniu, w marzeniu o szczęściu.

- Mój najdroższy aniele - szepnął, gładząc mnie po policzku, całując w usta, policzki, czoło. - Tyle razem przeszliśmy.

- Rzykowałeś dla mnie wszystko: karierę, życie rodzinne, swoje własne.

- Gdybym tylko mógł zrobić więcej - odparł czule, ocierając łzy, które jego słowa wycisnęły mi z oczu. - Nie wiesz jeszcze, że znaczysz dla mnie więcej niż życie?

Czy kiedykolwiek jakąś kobietę kochano tak jak mnie?

Kochamy się, śpimy, jemy, rozmawiamy, spacerujemy, trzymając się za ręce w ogrodach przy niezwykle ciepłej pogodzie. Jest zupełnie tak, jakbyśmy mieszkali na wyspie spokoju i miłości położonej na morzu wrogości i niebezpieczeństwa.

Dziś rano mijałam wyłożoną lustrami ścianę i odważyłam się spojrzeć na swoje odbicie, co robię bardzo rzadko, gdyż przygnębia mnie widok mojej ściągniętej, bladej twarzy. Ku memu zdumieniu ujrzałam rozpromienioną, szczęśliwą kobietę z lekko zaróżowionymi, zapadniętymi policzkami. Moje oczy były jasne i dostrzegłam w nich nawet dawny figlarny błysk.

Och, Axel, działasz dla mnie cuda!

27 lutego 1712

Dziś po południu Axel wyjechał do Brukseli. Żyjemy nadzieją, że w ciągu następnych kilku miesięcy uwolni nas albo król Gustaw, albo armia zebrana przez Stanny'ego i Karola. Tymczasem możemy liczyć na ochronę ze strony Rycerzy Złotego Sztyletu. Porucznik de la Tour, który nadal pracuje jako robotnik w pałacu i pilnuje mnie, zapewnia, że pięćdziesięciu z czterystu rycerzy w przebraniu paryskich rewolucjonistów przebywa stale w pobliżu pałacu i opracowało serię sygnałów, tak że w nagłym wypadku mogą się stawić przy naszym boku w ciągu paru minut. Trzymam przy sobie cynowy świecznik i korzystam z niego do otrzymywania i wysyłania korespondencji.

22 marca 1712

Dziś zawołałam Zofię, żeby pomogła mi się ubrać, i z jej pomocą włożyłam coś na kształt sztywnego gorsetu z dwunastu warstw grubej tafty.

- Ale pani nie znosi gorsetów - zauważyła, zawiązując mocno konstrukcję. - Poza tym

jest pani tak chuda, że już go pani nie potrzebuje. - Zofia zrobiła się dość pyskata i opryskliwa. Amelia i ordynarne Pokojowe Ludu pogardzają nią i stale z niej szydzą. Wprawdzie robi co w jej mocy, by pozostać damą i nie dać się sprowokować, ale wiem, że ich okrutne słowa i drwiny denerwują ją i wytrącają z równowagi. Namawiałam ją, by wyjechała wiele miesięcy temu, ale nie chciała mnie zostawić. Cenię sobie jej lojalność bardziej, niż potrafię wypowiedzieć.

- To nie jest zwykły gorset - odparłam. - Kazałam go zrobić specjalnie dla mnie.

Kiedy skończyła go sznurować, podeszłam do szafy i wyjęłam nóż, który trzymam tam w ukryciu. Powiedziałam Zofii, żeby zaryglowała drzwi (Amelia często wpada bez słowa!), i podałam jej nóż.

- Przebij mnie - powiedziałam, zamykając oczy. Stałam przed nią i odważnie czekałam na cios.

- Co?

- Powiedziałam: Przebij mnie.

Zakłęła po niemiecku i nie powtórzę tu tego słowa.

- Jako twoja pani, rozkazuję ci wbić mi ten nóż w pierś z całych sił.

Z okrzykiem, jaki jeszcze nigdy nie wydarł się z jej ust, Zofia ugodziła mnie czubkiem ostrza, które odbiło się od sztywnej materii gorsetu.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Widzisz, Zofio, wcale nie oszalałam, choć pewnie tak uważasz. Ten gorset zapewni mi bezpieczeństwo. Nie przebije go nawet kula muszkietu. Kazałam zrobić taki sam dla Ludwika.

Usłyszałam stłumiony dźwięk. Zofia płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Zdumiałam się. Nigdy nie widziałam, by moja rozsądna, praktyczna Zofia płakała. Uświadomiłam sobie, że postąpiłam zupełnie bezmyślnie, domagając się, by to ona sprawdziła, czy gorset jest dość solidny. Wiedziałam, że nie zrobi mi krzywdy, lecz ona nie miała o tym pojęcia.

- Och, wasza wysokość - wyszeptała przez łzy. - Tak bardzo się o panią boję!

W tej chwili uświadomiłam sobie, że bardzo się martwiła o moje bezpieczeństwo i dzielnie radziła sobie ze swoimi troskami, ukrywając je przede mną pod maską zniecierpliwienia i irytacji.

- Najdroższa Zofio - powiedziałam, obejmując ją.

- Jesteś dla mnie taka ważna! Jestem wdzięczna, że mam cię przy sobie. Ale nie wolno ci się martwić, naprawdę. Niebawem nas ocalą. Zapewniam cię, że to już nie potrwa długo.

Nagle dobiegł nas wrzaskliwy śpiew z sąsiedniego pokoju. Pokojowe Ludu niedawno

dodały do swojego repertuaru nową piosenkę, przywiezioną z Marsylii przez mężczyzn, którzy napływali do Paryża, by pomóc bronić miasta.

- Do broni, obywatele! - śpiewały. - Twórzcie bataliony! Maszerujmy! Niech skażona krew zaleje nasze pola!

Jęknęłam, słysząc fałszywy śpiew.

- Och nie, tylko nie to!

Zofia uśmiechnęła się lekko, a potem spojrzała na mnie poważnie.

- Gdyby pani mądra matka była tutaj, wasza wysokość, poradziłaby, byś nie pokładała wiary w gorsetach i urojonych obrońcach z zagranicy. Powiedziała by, żebyś uciekała z mężczyzną, który cię kocha.

- Z Axelem.

- Oczywiście.

- Uciekliśmy zeszłego lata. Pamiętasz? Tylko nie zajechaliśmy daleko, bo Gwardia Narodowa złapała nas i odstawiła z powrotem.

Zofia zniżyła głos.

- Wiesz, pani, co mam na myśli. Musisz wyjechać z tym Szwedem sama. Ja zabiorę dzieci. Proszę zostawić króla jego losowi.

- Gdybym to zrobiła, czy kiedykolwiek zdołałabym sobie wybaczyć?

- Król chciałby, żebyś była z dziećmi bezpieczna.

- Przez cały ten okropny czas, od pierwszych dni niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźliśmy, nigdy do mnie nie przyszedł i nie namawiał, żebym wyjechała sama.

Zofia zasznurowała usta i nic nie powiedziała, ale w jej oczach malowała się pogarda.

- Nie powiem nic przeciwko mojemu władcy. Jednak są takie chwile, kiedy żałuję, że nie ma więcej rozsądku.

Nie było już nic więcej do dodania, więc poprosiłam Zofię, by wyswobodziła mnie z ciężkiego gorsetu i schowała go w szafie razem z halkami.

Zauważyłam, że przez resztę dnia była dla mnie mniej opryskliwa.

15 kwietnia 1712

Mercy przysłał mi sekretną wiadomość, w której napisał, że mój brat Leopold nie żyje i że cesarzem jest teraz jego syn Franciszek, zaledwie chłopiec. Co to dla nas oznacza? Axel będzie wiedział. Czekam na jego następny list.

10 maja 1712

Dzikusy z Paryża mają nowe urządzenie do egzekucji kryminalistów, które nazywają Ostrzem Wieczności. Przypomina ogromny pniak do rąbania drewna. Ciężkie, ostre jak

brzytwa ostrze opada z wielkim hukiem na szyję biednego skazańca i w jednej chwili odcina mu głowę, która odpada na bok, a z szyi tryska fontanna krwi.

Ludwik mówi, że wielkie tłumy gromadzą się, by patrzeć, jak działa ta maszyna do zabijania. Wszyscy uważają, że to bardzo sprawiedliwe i bliskie ideałom rewolucji, którymi są Wolność, Równość i Braterstwo. Ostrze Wieczności zrównuje wszystkich w godzinie śmierci, podczas gdy w przeszłości szlachetnie urodzeni byli ścinani mieczem, a zwykli ludzie byli wieszani lub umierali w czasie tortur.

Drzę na myśl o tym, że za pomocą tego urządzenia o wiele łatwiej można komuś odebrać życie. To wszystko jest takie zimne i precyzyjne, tak pozbawione uczucia i godności. Amelia czyta mi gazetę „Przyjaciół Ludu”, w której pisarz Marat twierdzi, że jeśli we Francji ma znów zapanować spokój, trzeba odciąć dwieście tysięcy głów.

Takie niedorzeczne stwierdzenia stają się coraz bardziej powszechne. Amelia zmusza mnie, bym wysłuchiwała tych bzdur, ale staram się puszczać je mimo uszu. Ten Marat jest jeszcze brzydszy od Mirabeau i ma jakąś paskudną chorobę skóry, przez którą śmierdzi. Doktor Concarneau mówi, że wszyscy mężczyźni w Paryżu starają się być jak najbardziej brudni i śmierdzący, by okazać się prawdziwymi zwolennikami rewolucji. Noszą długie wąsy, postrzępione luźne spodnie i drewniaki. No i oczywiście czerwono-białoniebieskie kokardy oraz czapki wolności. Doktor też zaczął nosić luźne spodnie, bo gdy chodził w obcisłych, opluwano go.

15maja 1712

Wszyscy jesteśmy bardzo podnieceni, gdyż znaleźliśmy się w stanie wojny i armia austriacka nadciąga, odnosząc jedno zwycięstwo za drugim. Francuscy żołnierze nie mają za grosz odwagi i uciekają jak króliki na widok prawdziwych austriackich oddziałów. Kiedy Francuzi spotkali się z Austriakami pod Lille, byli tak przerażeni i skonfundowani, że zamordowali własnego dowódcę!

Niebawem Austriacy dotrą do Paryża i będziemy bezpieczni. Tymczasem paryżanie stają się coraz bardziej podejrzliwi w stosunku do siebie i używają straszliwej maszyny, by odcinać sobie głowy.

7 czerwca 1712

Porucznik de la Tour ostrzegł mnie, że mój dziennik może zostać wykorzystany przez rewolucjonistów, by skazać mnie jako wroga ludu, więc od teraz piszę na skrawkach papieru, które chowam w lichtarzu stojącym na moim stole.

Axel przesłał mi wiadomość, że król Gustaw, nasz wielki przyjaciel i dobroczyńca, nie żyje. Zginął zaszytyetowany przez szlachcica, który - jak mówi Axel - nienawidził go za jego

liberalne poglądy. Axel pozostał więc bez obrońcy, ale nadal bardzo aktywnie wspiera austriackie i pruskie oddziały, które na pewno niebawem się tu zjawią. Sam może poprowadzić armię, wspierając księcia Brunszwiku, który dowodzi połączonymi siłami wojsk.

Śnię o Axelu, dumnym i przystojnym, jadącym na siwym koniu na czele setek silnych wojowników, którzy z hukiem wpadają na dziedziniec pałacu, by pobić Gwardię Narodową i pełnych nienawiści paryżan. Sen jest tak sugestywny, że kiedy się budzę, nadal wydaje mi się, że słyszę tętent koni.

28 czerwca 1712

Coś poszło nie tak. Armii austriackiej jeszcze tu nie ma i nie mogę pojąć dlaczego.

5 lipca 1712

Moja biedna kochana Mousseline stała się kobietą. Zrobiłam wszystko co w mojej mocy, by przygotować ją na ten dzień i sprawić, aby z radością przywitała zmiany zachodzące w jej ciele. Mam nadzieję, że cieszy się, iż może zostać żoną i matką. Gdybyśmy tylko żyli w normalnych czasach, byłaby już zaręczona, a może nawet zamężna. Ma prawie czternaście lat i jest bardzo ładna, choć muszę wyznać, że ma w sobie coś z szorstkiego sposobu bycia ojca i brakuje jej wdzięku.

Kiedy patrzę na moją kochaną córkę, widzę przyszłość i wraca mi odrobina nadziei. Pewnego dnia będę trzymać w ramionach wnuki i opowiadać im o tych strasznych czasach, w których przyszło nam żyć, o tym, jak zostaliśmy ocaleni i jak przywrócono królowi należną mu władzę.

Pewnego dnia...

21 lipca 1712

Wczoraj Amelia razem z sześcioma Pokojowymi Ludu chwyciła mnie brutalnie pod ramiona i zaciągnęła do składziku ze szczotkami, miotłami i narzędziami. Wzywałam pomocy, lecz zakryły mi usta brudnymi łapami i zagroziły, że zamkną mnie tam bez jedzenia i wody, jeśli jeszcze raz krzyknę.

Zdarły ze mnie ubranie, nawet moje stare i pocerowane majtki, i zostawiły mnie w koszuli odartej z cennej koronki, którą odcięły. Amelia triumfalnie wyrwała mi z ucha jeden złoty kolczyk, rozrywając przy tym koniuszek, który zaczął krwawić.

Wszystko stało się bardzo szybko i niezgrabnie, gdyż składzik był mały, a kobiety stale na mnie wrzeszczały, wpadając na ściany i przewracając wiaderka i pudła. Nie wiem, co jeszcze by ze mną zrobiły, gdyby nagle drzwi składziku nie otworzyły się z hukiem i nie stanął w nich porucznik de la Tour, jak zwykle w ubraniu robotnika. Jego obecność na jakiś

czas powstrzymała kobiety.

Porucznik udawał, że szuka pudełka z gwoździami, które trzyma w składziku, i Amelia, która sporo z nim flirtowała, wyprosiła kobiety, by mógł znaleźć to, czego szukał.

Stałam cała czerwona w podartej koszuli, bosa, z ucha ciekła mi krew. Przerazona, próbowałam ukryć zawstydzenie. Trzeba oddać porucznikowi, że nie próbował zareagować na tę scenę gniewem, jaki z pewnością czuł, lecz dalej szperał w składziku, nie zwracając na mnie uwagi. Zdjął tylko spokojnie kurtkę i podał mi, jakby ten gest był najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

- A, tutaj jest! - powiedział, gdy Amelia obserwowała, jak przeszukuje półki. Podniósł metalowe pudełko i uśmiechnął się do Amelii, która odpowiedziała mu uśmiechem.

- Czy mogę panią odprowadzić do jej pokoju, madame? - zapytał mnie spokojnie. - A może była pani w drodze do pokojów męża?

- Tak - zdołałam wydusić dość głośno i zdecydowanie, zanim zdumiona Amelia zdążyła zaprotestować. Wszystko przebiegło tak szybko i gładko, że po kilku sekundach znalazłam się na korytarzu uwieszona na ramieniu porucznika, który prowadził mnie do Ludwika.

- Dziękuję, dziękuję - szepnęłam. - Mogły mnie zabić.

- Nie pozwolimy, by stała się pani jakakolwiek krzywda - odszepnął. - Proszę pamiętać, że stale nad panią czuwamy.

Oddał mnie pod opiekę kilku oficerów Lafayette'a, którzy znajdowali się w niewielkim apartamencie Ludwika. Trzeba przyznać, że zachowywali się elegancko, nie jak niezdyscyplinowani żołdacy pod ich dowództwem. Obrzucili mnie jednym zaskoczonym spojrzeniem, po czym szybko odwrócili wzrok, podali mi koc, bym mogła się okryć, a nawet chusteczki, by owinąć ucho. Ludwika nigdzie nie było widać.

- Jeśli mogę coś powiedzieć, sire - porucznik de la Tour zwrócił się do jednego z oficerów - kobiety, które usługują tej damie, okazały nadmierny zapał w imieniu ludu. Może mogłyby służyć rewolucji gdzie indziej. Tymczasem ufam, że dama znajdzie się tu w dobrych rękach.

- Oczywiście. Wracaj teraz do pracy.

Patrzyłam, jak odchodzi. Było mi przykro, że tracę go z oczu, ale też wiedziałam lepiej niż kiedykolwiek, że jeśli będę go potrzebowała, razem z innymi Rycerzami Złotego Sztyletu przybędzie mi na ratunek.

7 sierpnia 1712

Dzwony alarmowe dzwonią bez końca, godzina za godziną, a ich denerwujący dźwięk

nie daje nam spać i przypomina, że Paryż stał się sceną chaosu.

Dzyń, dzyń, dzyń, bez końca. Ostrzeżenie. Wezwanie do boju. Dobiega z każdego zakątka miasta, potem zaczynają warczeć bębny i wiemy, że jeszcze jedna grupa milicji została postawiona w stan gotowości z pikami, nożami i toporami.

Niebawem wybije północ i z okna widzę blask setek pochodni poruszających się w pobliżu pałacu. Zamieszki zaczęły się w dzielnicy SaintAntoine, gdzie znajdują się fabryki i głodni robotnicy bez pracy i chleba. Potem rozszerzyły się na Cordeliers na lewym brzegu, siedzibę wszystkich radykałów, i na dzielnicę, która nazywają QuinzeVingts, najbardziej radykalną ze wszystkich, gdzie tydzień temu mieszkańcy zaczęli się domagać, by pozbawić Ludwika korony.

Koniec z królem! Tego właśnie chcą te dzikie kreatury, ci paryżanie, którzy niemal nie zasługują już, by nazywać ich ludźmi. Nie chcą już Boga, księży, praw ani króla.

Dziś było gorąco i noc nie przyniosła ulgi. Siedzę przy oknie, wachlując się, nasłuchując nieustannego dźwięku dzwonów i warkotu bębnow. Patrzę na ruch na oświetlonych przez pochodnie ulicach. Paryż powstaje.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

10 sierpnia 1712

Zeszłej nocy nie zmrużyliśmy oka. Nawet gdybyśmy próbowali zasnąć, dźwięk dzwonów, warkot bębnow, odgłosy maszerowania i krzyki nie pozwoliłyby nam na to. Nie wspominając już o alarmach, które podrywały pałac mniej więcej co godzina. Przerazała nas każda nowa wiadomość nadchodząca ze Zgromadzenia, od urzędników miejskich lub zbuntowanych paryżan, którzy nocą przejęli rządy we Francji.

Nie jestem już nawet zmęczona, nie spałam tak długo, że wszystko wokół mnie wydaje się nierealne, i muszę się szczytać od czasu do czasu, by wiedzieć, że nie śpię i jestem na swój sposób czujna.

Jednak zeszłej nocy byłam chwilami bardzo śpiąca i dzwony wyrwały mnie niemal z transu. Pamiętam, że weszłam do wartowni, gdzie w otoczeniu dwudziestu żołnierzy odpoczywały dzieci z madame de Tourzel. Nagle wydało mi się, że padnę ze zmęczenia. Ale udało mi się utrzymać otwarte oczy i robić to, co musiałam, choć bolała mnie noga, a umysł pracował bardzo wolno.

Długa noc zaczęła się od zmiany zwyczajów. Z powodu zamieszek w mieście Ludwik postanowił zrezygnować z codziennej ceremonii rozbierania. Zamiast przygotować się do snu, został w koszuli, bryczesach i żakiecie, choć Paziowie Sypialni trzymali w pogotowiu jego jedwabną koszulę, chustkę i białe atłasowe pantofle. Na szczęście włożył czerwoną szarfę Orderu Świętego Ludwika i nie zdjął peruki, nieuczեսanej i lekko przekrzywionej. Pomimo moich próśb nie włożył grubej watowanej kamizelki, którą dla niego zamówiłam, by chroniła go przed ciosami noża i kulami, ale ja włożyłam gorset i nadal mam go na sobie, choć gdy to piszę, uwiera mnie w żebra.

Tuż po północy dowiedzieliśmy się, że mer Paryża uciekł ze strachu przed mieszkańcami i niebawem przysłano do nas posłańca z ostrzeżeniem, że nikt już nad niczym nie panuje. Nie ma prawa ani władzy, tylko żołnierze, z których wielu porzuca broń i miesza się ze zwykłymi obywatelami tworzącymi oddziały milicji.

Na próżno wyglądałam przez okno, karmiąc się złudną nadzieją, że zjawi się mój bratanek Franciszek z cesarskimi oddziałami. A może pojawią się Stanny lub Karol z kawalerią albo nawet (jak w moich snach) zjawi się Axel, niezwyciężony, na swym siwym rumaku.

Mieliśmy tylko jednego obrońcę, porucznika de la Tour, który był z nami przez całą



noc, ubrany w czerwony mundur, który pożyczył od jednego z gwardzistów szwajcarskich. Przy pasie miał długą szpadę i złoty sztylet. Był też z nami Chambertin, który opiekował się Ludwikiem, oraz doktor Concarneau z bandażami, lekarstwami i solami trzeźwiącymi dla Loulou, gdyby zrobiło jej się słabo.

Późno w nocy na dziedzińcu pałacowym zjawił się jeszcze jeden posłaniec, który przekrzykując uliczny szum, powiedział nam, że grupa paryżan utworzyła Komunę i ogłosiła się rządem. Wychylaliśmy się z okna na drugim piętrze, by go usłyszeć

- Bzdura! - wykrzyknęłam, gdy to usłyszałam. - Król nadal jest królem!

- Nie ma króla! Nie ma króla! - wykrzyknął posłaniec, a jego głos przeszedł w pełen melancholii jęk, aż zagłuszyły go dzwony i bębny, którym towarzyszyły teraz wybuchy fajerwerków.

Kiedy otrzymaliśmy tę wiadomość, w pałacu zapanowało tak wielkie poruszenie, iż mogłam jedynie się upewnić, że dzieci są bezpieczne i że jest z nimi Ludwik, który siedział z otwartymi ustami.

Wyczuwając, że znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie, ludzie wpadli w panikę i zaczęli uciekać. Wskakiwali przez okna, biegli przez ogrody i wtapiali się w ciemność, porzucając nas. Dowódca Gwardii Narodowej, oficer o nazwisku Mandat, pozostał z nami na jakiś czas, podobnie jak inny lojalny przyjaciel, oskarżyciel publiczny. Jednak Mandat został wezwany przez samozwańczą Komunę, a później dowiedzieliśmy się, że gdy tylko opuścił pałac, aresztowano go i zamordowano. Kiedy wieść o tym zaczęła się rozchodzić pośród tych, którzy zostali z nami, zapanowała jeszcze większa panika i usłyszałam tupot stóp na korytarzu przed wartownią.

Powoli zaczęło świtać i my też musieliśmy podjąć jakąś decyzję. Czy powinniśmy zostać i ryzykować gniew Komuny, która pozbawiła Ludwika tronu i może kazać nas aresztować, czy też powinniśmy się schronić w budynku Legislatywy, jak radził nam oskarżyciel?

- Jeśli pójdziemy - powiedziałam do Ludwika - będzie wyglądało na to, że poddajemy się Komunie. Nie chcę opuszczać Tuileries. Wolałabym już, żeby przybito mnie do ścian pałacu.

Ludwik rozdarty między mądrą, acz tchórzliwą, radą oskarżyciela a moim przekonaniem, że powinniśmy zostać i walczyć, nie mógł się zdecydować. Nakazał jednak wszystkim pozostałym dworzanom i służącym, by odeszli, nie chcąc, by stała im się krzywda. Powiedział, że powinni zostać tylko żołnierze Gwardii Narodowej i kompania dziewięciuset szwajcarskich najemników sprowadzona do Paryża z Courbevoie i Reuil.

Oskarżyciel nalegał, abyśmy pomyśleli o dzieciach i odesłali je razem z madame de Tourzel do sali zgromadzeń. Już miałam się na to zgodzić, kiedy wystąpił porucznik de la Tour stojący w drzwiach pokoju.

- Zanim podejmiesz jakąś decyzję, wasza wysokość - zwrócił się do Ludwika - chciałbym przedstawić członków twojej wiernej ochrony, Rycerzy Złotego Sztyletu.

Odsunął się na bok, by wpuścić do środka grupę mężczyzn, z których każdy nosił przy pasie złoty symbol bractwa - lśniący sztylet.

W tej dziwnej grupie znaleźli się zarówno starsi, choć nadal żwawi, mężczyźni, jak i chłopcy w wieku piętnastu, szesnastu lat. Sądząc po ich ubraniach, wytartych bądź eleganckich, różnili się bardzo pochodzeniem i dochodami, lecz wszyscy mieli w sobie godność i pewność szlachty. Byli starą Francją, do której przybyłam jako młoda dziewczyna, gdy poślubiłam Ludwika. Teraz składali przysięgę, by bronić monarchy kraju, który znalazł się w niebezpieczeństwie.

Każdy mężczyzna i chłopiec klękał przed Ludwikiem, całował jego wyciągniętą dłoń, powtarzał swoje nazwisko, a po nim przysięgę „Do śmierci!”. Podchodzili jeden po drugim, podczas gdy w tle nadal słychać było odgłosy odchodzącej służby, a z miasta dobiegał tupot maszerujących stóp i krzyki.

Do pokoju wpadł nagle posłaniec, przerywając zaimprovizowaną ceremonię.

- Komunardzi przekroczyli most Saint Michel! - zawołał. - Gwardia Narodowa nie otworzyła do nich ognia! Idą tutaj!

Ludwik wstał i rozłożył ramiona, niczym w geście błogosławieństwa.

- Dziękuję wam, szlachetni rycerze. Ufam, że pozostanę bezpieczny pod ochroną waszą i moich żołnierzy.

- Na stanowiska! - krzyknął porucznik de la Tour i natychmiast wszyscy szlachcice wybiegli, by prawdopodobnie dołączyć do Gwardii Narodowej i szwajcarskich najemników. Kilkunastu zostało z nami jako osobista ochrona.

W tej chwili byłam dumna z mojego męża. Zawrzała w nim krew Burbonów, napęłniła go odwagą i pokazał ducha walki. Jednak kiedy wypowiadał te słowa, usłyszeliśmy w oddali pierwsze strzały i dostrzegłam, że jego twarz kurczy się ze strachu.

Wyrzałam przez okno i zobaczyłam, jak gwardia szwajcarska w czerwonych mundurach ładuje działo i ustawia się w szyku za grubymi pałacowymi murami. Niemal natychmiast wszystkie działa zaczęły strzelać i przez gęstą chmurę żółtego dymu dostrzegłam pierwszych paryżan wpadających na plac Carrousel po drugiej stronie głównego dziedzińca pałacowego. Nieśli długie, ostre piki, na głowach mieli czerwone czapki wolności, a wśród

gąszczy pik powiewały wielkie jedwabne sztandary w czerwono-białoniebieskie paski.

- Proszę odejść od okna, wasza wysokość. - Porucznik de la Tour odprowadził mnie zdecydowanie na drugą stronę pokoju, gdzie Ludwik obejmował dzieci, z Chambertinem i madame de Tourzel u boku.

To ostatnie wyraźne wspomnienie, jakie potrafię przywołać, bo ułamek sekundy później zaczął się ostrzał. Szyby we wszystkich oknach wartowni, w której się znajdowaliśmy, wyleciały, a straszliwy huk sprawił, że Mousseline zaczęła krzyżeć. Wszędzie było pełno szkła i świeżej krwi, a ja nagle uświadomiłam sobie, że odciągając mnie od okna, porucznik prawdopodobnie uratował mi życie.

Prowadzeni przez grupę strażników i rycerzy wybiegliśmy na korytarz, gdzie kulili się służący i urzędnicy, nie wiedząc, co robić. Biegliśmy jednym długim korytarzem za drugim, a drogę zastępowali nam żołnierze i przerażeni członkowie naszego dworu, rzucający się we wszystkie strony, by uciec przed naporem ludzi z dziedzińca. Usłyszeliśmy brzęk rozbijanego szkła i poczuliśmy, jak podłoga drży pod naszymi stopami, gdy kule armatnie raz po raz uderzały w mury pałacu. Dobięło nas rżenie koni i krzyki rannych, poczuliśmy smród prochu. W gardle zaschło mi zupełnie z powodu dymu, ale nie mogłam się zatrzymać, by czegoś się napić ani by pomóc Ludwikowi, który biegł powoli i niezgrabnie. Ranni wyciągali do mnie ręce w niemej, błagalnej prośbie.

Wbiegliśmy do jednej z wielkich galerii, lecz stanęliśmy jak wryci na widok przerażającej sceny, którą sobą przedstawiała. Wszędzie było pełno krwi: na podłodze, dywanach, meblach, ścianach i kotarach. Dookoła leżały oblepione łajnem ciała, z których unosił się smród rynsztoka. Niektóre były pozbawione głów, inne półnagie. Widziałam zakrwawione ciała kobiet z odciętymi piersiami i ciała mężczyzn bez genitaliów. Totalne barbarzyństwo tej przerażającej sceny przekraczało wszystko, co do tej pory widziałam lub sobie wyobrażałam. Zrobiło mi się niedobrze, podobnie jak madame de Tourzel, która odwróciła głowę i chwyciła się za żołądek. Ludwik podszedł do okna z wybitą przez pocisk szybą i zwymiotował do ogrodu.

- Nie patrzcie! - krzyknął jeden z rycerzy czy strażników. - Nie myślcie o tym, co tu widzieliście. Szybko, za nami!

Pobiegałam na oślep. Wystrzały z muszkietów, grzmot dział i drżenie pałacowych podłóg przybierały na sile.

Z każdego pokoju, który mijaliśmy, dobiegały przeraźliwe krzyki, a przez otwarte drzwi widzieliśmy przelotnie brutalnych oprawców, którzy dokonywali okrutnego dzieła.

Pobiegliśmy rzadko używanymi korytarzami, przez zniszczone, puste pokoje, a na

koniec przez zakurzoną starą klatkę schodową, która prowadziła do moich apartamentów. Żołnierze i rycerze weszli tam pierwsi, z szablami i z muszkietami gotowymi do strzału. Zaskoczyli dużą grupę paryżan, którzy grabili moje szafy, rzucając na podłogę suknie, halki, koszule, i rozdierali na strzępy moje piękne meble. Niektórzy z nich zostali zastrzeleni na miejscu, inni zabici, gdy z szeroko otwartymi oczami ruszyli w naszą stronę z zakrwawionymi pikami i nożami, by nas ugodzić.

Kiedy pędzili w naszą stronę, budząc przerażenie i grozę, z ich gardeł wrywały się zwierzęce okrzyki. Przytuliłam dzieci, nie chcąc, by patrzyły na to, co ja widziałam zbyt wyraźnie. Ci dzicy, śmierdzący winem ludzie byli potworni i w pijackim szale zupełnie zdemolowali mój pokój.

Z trudem przychodzi mi opisać, co tam widziałam. Na podłodze wiły się ciała z rozdartymi brzuchami, z których wylewały się zakrwawione wnętrzności, na parkietach rozlewały się mózgi, wszędzie walały się atłasowe suknie pokryte krwią i wnętrznościami. Ciała służących w liberii i urzędników splotły się w groteskowym uścisku śmierci. Na twarzach malował się upiorny wyraz zaskoczenia, przerażenia, rozpacz, bólu. Wokół słychać było jęki umierających i okrutny śmiech rzeźników, rozkoszujących się potwornościami. Kobiety i mężczyźni wymachujący zakrwawionymi nożami, pijani winem z królewskich piwnic i zemstą, odplacali się bezbronnym ofiarom za całe życie pełne skarg.

I krew, strumienie krwi spływające po poźółkłych marmurowych schodach; ciemnoczerwone i rdzawe plamy zakrzepłej krwi, której metaliczny zapach łączył się ze smrodem dymu, prochu i wina unoszącym się w powietrzu.

Nad stosami okaleczonych ciał latały tysiące much. Sierpniowy dzień świętego Wawrzyńca męczennika był duszny i gorący. Przypomniałam sobie historię świętego Wawrzyńca, którego Rzymianie palili żywcem na ruszcie, i nie mogłam przestać myśleć o wielu zamordowanych męczennikach, których widziałam dziś w pałacu. Gdyby nie ochrona strażników i rycerzy, my również mogliśmy zostać męczennikami, a nasze ciała leżałyby na makabrycznym stosie, by potem trafić na wozy i do dołu z wapnem. Podobnie jak po świętym Wawrzyńcu zostałyby po nas tylko popioły.

20 sierpnia 1712

Nie mogę spać. Gdy próbuję zasnąć, wracają koszmary. W lochu, w którym nas uwięziono, jest lekarz, ale odnosi się do mnie bardzo niegrzecznie i nie chce dać mi wody pomarańczowej ani eteru, bym mogła zasnąć.

Śnią mi się krwawe sny. W moją stronę idą ciała pozbawione głów, które przepływają obok z otwartymi ustami. Ciała ścigają mnie po ciemnych korytarzach. Uciekam z całych sił,

ale te okropne stwory, które mnie gonią, są szybsze. Kiedy mnie doganiają, budzę się z krzykiem.

27 sierpnia 1712

Mieszkamy teraz w najmniejszej wieży dawnej rezydencji Karola zwanej Tempie. Żyjemy pod strażą wrogo nastawionych ludzi. Kiedy nas tu przywieziono, Chambertin, Zofia, madame de Tourzel i Loulou mogli nam towarzyszyć. Lecz szybko ich odesłano i uwięziono. Próbuję się dowiedzieć, dlaczego ich przetrzymują, ale nikt nie chce mi tego wyjaśnić.

W pokojach jest bardzo gorąco i wszędzie roi się od szczurów. Ludwik Karol lubi je łapać i wypuszczać pod nosem Mousseline, która krzyczy, gdy przebiegają po jej stopach.

Zabrano mi gruby gorset z tafty, lecz nadal mam pas świętej Radegundy, który matka przysłała mi na czas porodu, i teraz noszę go dla ochrony. Od czasu gdy zaczęłam go wkładać, śpię w miarę spokojnie, choć od czasu do czasu pojawiają się krwawe sny.

Oficjalnie Francja nie ma już króla, jednak to bzdura inie obchodzi mnie, kto przeczyta te słowa albo podsłucha, jak wyrażam swoją opinię w tej sprawie. Mój mąż jest namaszczonego władcą swojego ludu, koronowanym podczas świętej ceremonii i wybranym przez aklamację. Bez względu na to co mówi Komuna czy Robespierre, jest i zawsze będzie królem.

Ten mały arogancki prawnik Robespierre uważa się za głos ludu, lecz na pierwszy rzut oka widać, że jest zbyt dziwny i nie zrównoważony, by kogokolwiek reprezentować. Obserwowałam go, gdy przyszedł do sali zgromadzeń w tym strasznym dniu, kiedy nas tu uwięziono. Jak na takiego małego człowieczka mówił bardzo głośno i ludzie rzeczywiście go słuchali, zamiast ignorować jak większość przemawiających. Wyglądał jednak dość osobliwie. Chodził tam i z powrotem w butach na wysokich obcasach, jak podenerwowana kobieta, a nie silny czy zdecydowany mężczyzna. Miał nerwowy tik i mięśnie na jego policzku co chwila podskakiwały. Obgryzał paznokcie, ciągnął się za ubranie i wygładzał kołnierz, a jego pełna blizn, paskudna cera miała kolor, który kiedyś nazywaliśmy Gęsimi Odchodami. W sumie przyprawiał mnie o drzenie.

Zakrywam te słowa ręką, przez co trochę rozmazuję atrament, ale w pokoju jest przedstawiciel Komuny i może zapytać, co takiego piszę. Na razie tego nie zrobił.

7 września 1712

Serce wali mi tak mocno, że z trudem łapię oddech. Przed chwilą widziałam coś, w co nie mogę uwierzyć, a jednak wiem, że widziałam to na własne oczy i nie był to senny koszmar.

Grupka paryżan, śpiewając i wymachując sztandarami, przysłała na otwartą przestrzeń

przed koszarami straży i zaczęła hałaśliwie paradować przed naszymi oknami. Na pikę nabili głowę i przybliżyli ją do okien, żebyśmy mogli zobaczyć, do kogo należała.

Poczułam, jak cierpnie mi skóra. To była Loulou! Moja najdroższa przyjaciółka i powierniczka. Kobieta, której oprócz Zofii ufałam najbardziej na świecie. Miała otwarte usta i wytrzeszczone oczy, a jej włosy powiewały na wietrze. Krzyknęłam i zakryłam oczy, ale wcześniej zauważyłam jeszcze inny kawałek ciała nabity na pikę. To były kobiece genitalia.

Odbiegłam od okna i rzuciłam się na łóżko. Długo płakałam, a potem postanowiłam, że muszę zapisać to, co się przydarzyło najbardziej uroczej, najwierniejszej i najdroższej kobiecie, jaką znałam. To takie okropne! Raz jeszcze zapiszę jej nazwisko, składając choćby tak niewielki hołd tej, którą bardzo kochałam:

Maria Teresa de SavoieCarignan księżniczka Lamballe 1749-1792 Requiescat in pace

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

1 października 1712

Co wieczór przez nasze apartamenty przechodzi mężczyzna w ciemnej pelerynie i szpiczastym kapeluszu. Nalewa oliwy do lamp, przycina knoty i zapala. Aż do teraz nie zwracałam na niego uwagi. Ale dziś wieczorem, kiedy wszedł do pokoju i postawił znajomy cynowy lichtarz na stole, przy którym siedziałam z robótką na kolanach, skinął mi głową.

Spojrzałam mu w twarz. To był porucznik de la Tour! Zachnęłam się, lecz powstrzymałam okrzyk. Przedstawiciel Komuny, który zawsze siedzi w naszym wspólnym pokoju i podsłuchuje wszystkie nasze rozmowy, zasnął przy kominku i niczego nie zauważył. Nawet Ludwik, który trzymał Ludwika Karola na kolanach i rysował dla niego mapę francuskich prowincji, nie podniósł wzroku, gdy gwałtownie wciągnęłam powietrze.

Mężczyzna zapalił lampy w każdym pokoju, zostawił nam świece na noc i wyszedł. Czekałam, aż zrobi się zupełnie ciemno, a potem poszłam przygotować się do spania, zabierając ze sobą lichtarz. Już w swoim pokoju szybko odwróciłam go do góry dnem i poszukałam w środku wiadomości. Znalazłam - od Axela!

Od miesiący nie miałam od niego żadnych wiadomości. Napisał, że od lipca jest z armią austriacką, lecz raz go schwytano, a potem był ranny pod Thionville. Jego rana już się goi i znów jest z wojskiem, które szykuje się do ataku na Lille. Píše, że plany trochę się pokrzyżowały, bo myślał, że Austriacy już dawno dotarli do Paryża, ale ma nadzieję, że to nastąpi niebawem.

Głowa do góry, moja najdroższa. Mój aniele, moja ukochana. Myślę o Tobie z każdym oddechem.

Całuję jego kochany list i po twarzy płyną mi łzy. Wiem, że powinnam go spalić, ale nie mogę się zmusić, by zniszczyć ten bezcenny kawałek papieru, który on trzymał w swoich dłoniach, i słowa, które napisał. Będę spała dziś w nocy z jego listem pod poduszką w nadziei, że będę o nim śnić. Modłę się, by wolność nadeszła już niebawem.

7 października 1712

Dziś rano przed świtem wyrwał mnie brutalnie ze snu ktoś, kto zaczął mną potrząsać i krzyczeć mi prosto w twarz. W przygaszonym świetle lampy dostrzegłam, że to Amelia ubrana w nową, starannie uszytą białoczerwoną suknię, obecnie najmodniejszą w Paryżu. Na szyi miała zawieszony na łańcuszku szary kamyk z Bastylji. Z jej uszu zwisały kolczyki w kształcie miniaturowej gilotyiny - mówiono mi o tej modzie, ale nie mogłam uwierzyć, że to

prawda.

- Wstawaj, obywatelko - powiedziała z werwą. - Zostaniesz przesłuchana przez Straż Obywatelską.

Ścisnęłam poduszkę, szukając ukrytego pod nią listu. Zastanawiałam się, jak mogę go teraz zniszczyć albo gdzieś schować.

- Czy straż da mi czas na ubranie się?

- Tylko szybko. - Nawet nie drgnęła, nie zrobiła żadnego ruchu, by zapewnić mi odrobinę prywatności.

- Jeśli straż pozwoli, chciałabym zmienić bieliznę...

- zaczęłam.

- Naprawdę myślisz, że ktoś ma tu ochotę oglądać twoje stare, kościste ciało? - rzuciła zniecierpliwiona Amelia. - Chodzi nam tylko o to, że jesteś podejrzana jako wróg rewolucji. Daj sobie spokój z ubieraniem i stań na środku pokoju.

Zrobiłam co mi kazała, trzymając poduszkę i list schowane za plecami.

Amelia skinęła na swoich towarzyszy w sąsiednim pokoju.

- Porozmawiam z tą starą suką tutaj. - Do mojej małej sypialni weszło dwóch mężczyzn i dwie kobiety z lampą, którą postawili na stole. Byli młodzi, młodsi od Amelii, która była mniej więcej w moim wieku lub trochę starsza. Mężczyźni mieli na oko jakieś dwadzieścia pięć lat, kobiety - koło dwudziestki. Patrzyli na mnie.

- Obywatelko Kapet, Straż Obywatelska Komuny, oddział Tempie, domaga się, byś odpowiedziała na następujące pytanie. Masz jakieś kosztowności?

- Tylko obrączkę.

- Czy złożysz przysięgę, by bronić rewolucji?

- Podczas koronacji mojego męża złożyłam przysięgę, że będę mu posłuszna. Nie mogę jej teraz odwołać.

- Odmawia. Zapiszcie to - powiedziała Amelia do jednego z mężczyzn, który zaczął się rozglądać za butelką atramentu i papierem. Wywiązało się małe zamieszanie i skorzystałam z okazji, by wsunąć list Axela do powłoczki poduszki.

- Czy przysięgniesz, że nie miałaś kontaktu z żadną obcą siłą, której celem jest zniszczenie rewolucji? - zapytała Amelia.

- Pisałam listy do moich sióstr i braci - odparłam zgodnie z prawdą, nie wspominając o setkach innych listów, które zakodowane wysyłałam do wielu zagranicznych ksiąząt i rządów. - A oni nie są sympatykami rewolucji.

- Twój bratanek Franciszek wypowiedział Francji wojnę.



- Skoro tak mówisz, obywatelko. Nie wolno mi czytać żadnych gazet.

- Twoje słowa mają niewielkie znaczenie - rzuciła Amelia, chodząc powoli dookoła mnie, a małe gilotyny w jej uszach lśniły w blasku świec. - Wiemy o wszystkim, co robisz. Znamy każde twoje kłamstwo. Niebawem zostaniesz wezwana przed Trybunał Rewolucyjny i skazana jako zbrodniarka.

Podeszła bliżej i spojrzała na mnie znacząco.

- Tak jak twoja wielka przyjaciółka Loulou.

Na jej słowa dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Raz jeszcze stanął mi przed oczami makabryczny widok głowy mojej przyjaciółki i jej intymnych części, które wystawiono na widok całego świata. Wyobraziłam sobie okropny strach, panikę i cierpienie, jakie musiała znieść Loulou z rąk komunardów.

- Nie spieszyliśmy się z nią - ciągnęła Amelia obojętnym tonem, obserwując moją reakcję. - Nie dla niej szybkie podcięcie gardła lub jeden cios w brzuch. Nie, twoja przyjaciółka Loulou, księżniczka - podkreśliła to słowo z udaną emfazą - zasłużyła na długą i powolną śmierć. Obudziliśmy ją wcześniej, jak dziś ciebie. Potem wyciągnęliśmy na zewnątrz i kazaliśmy jej stać na zimnie między dwoma stosami ciał. Odarliśmy ją z ubrania, a Niko i Georges, ci tutaj - wskazała na dwóch mężczyzn - zgwałcili ją. Dwa czy trzy razy? - Odwróciła się do nich, a oni wzruszyli ramionami.

Nie mogłam się powstrzymać. Zaczęłam szlochać.

Amelia wybuchnęła śmiechem i znów zaczęła chodzić wokół mnie, od czasu do czasu podskakując.

- Potem odcięliśmy jej piersi, rzuciliśmy je psom i chyba rozpaliliśmy ognisko między jej nogami. Jedna z jej rąk posłużyła nam za pochodnię. Potem wycięliśmy jej serce, upiekliśmy i zjedliśmy. Ona już wtedy oczywiście nie żyła. Odcięliśmy więc jej głowę i tamto w dole (wiedzieliśmy, że je rozpoznasz), zatknęliśmy na pikę i trochę z nimi pomaszerowaliśmy.

Wstrząśnięta drżałam na całym ciele, lecz ścisnęłam mocno poduszkę i pilnowałam, by list Axela nie wysunął się z powłoczki. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam nikogo zabić jak w tej chwili Amelię.

Kazała towarzyszom przeszukać mój pokój, co zrobili z ochotą, zrzucając pościel i cienki materac na podłogę. Otworzyli komodę, w której trzymałam resztę swoich rzeczy, i wyrzucili jej zawartość na podłogę. Wylali też wodę z miednicy. Na szczęście nie przyglądali się zbyt dokładnie cynowemu lichtarzowi, bo na pewno odkryliby, że jest pusty w środku. Kiedy skończyli, Amelia raz jeszcze zwróciła się do mnie:

- Obywatelko, Straż Obywatelska zaleci, byś trafiła na listę podejrzanych. Zostaniesz przesłuchana raz jeszcze. Tymczasem masz jeszcze jedną pamiątkę po swojej zmarłej przyjaciółce.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej coś, co położyła przede mną na stole. Było to skurczone ludzkie ucho.

14 listopada 1712

Boję się o Ludwika.

Został zdradzony, i to przez długoletniego przyjaciela. Ślusarz Gamin, który uczył go robić zamki i przez wiele lat pracował u jego boku na strychu w Wersalu, zadenuncjował go. Powiedział delegatom na nowe zgromadzenie otajnej kryjówce na dokumenty, którą zbudował w pokojach Ludwika. Zaprowadził ich do pałacu i pokazał im niszę ukrytą w ścianie.

Znaleźli w niej metalową szkatułę pełną ważnych papierów. Niektóre z nich były dowodem na to, że Ludwik wysyłał i otrzymywał wiadomości od innych władców. Cała ironia polega na tym, że to ja wysyłałam i otrzymywałam niemal wszystkie wiadomości, kiedy byliśmy w Wersalu, nie Ludwik. Jednak dla Straży Obywatelskiej i dla Trybunału Rewolucyjnego będzie to prawdopodobnie mało istotny szczegół.

Nie mam żadnych nowych wiadomości dotyczących postępów wojsk austriackich, jednak pora roku nie sprzyja ruchom dużej armii. Gdziekolwiek teraz jest, zatrzyma się na zimowy biwak aż do wiosny.

18 grudnia 1712

Pada śnieg. Kulimy się przy ogniu owinięci w chusty i kurtki z powodu zimnego wiatru, który wpada przez stary kominek. W pokoju zawsze jest pełno dymu, ale nasi strażnicy nic z tym nie robią, a ja wiem, że nie należy oczekiwać pomocy ze strony Straży Obywatelskiej. Nasze dobro niewiele ich obchodzi.

Siedem dni temu Ludwik został osądzony przez nowe ciało rządzące, Konwent. Dziś opowiedział o tym pierwszy raz.

- Mój proces był tylko formalnością - rzekł. - Wszystko trwało zaledwie kwadrans. - Ton jego głosu był zrezygnowany, lecz pełen godności, bez śladu uzalania się nad sobą. - Oskarżyli mnie o zbrodnie przeciwko rewolucji. Potem udali się na naradę, a mnie przyprowadzono z powrotem tutaj. Nikt nie przemawiał za mną ani przeciwko mnie. Stałem tam tylko, czułem zaskakujący spokój i czekałem, co powie prokurator. Nic takiego nie wydarzyło się od czasów Karola I - dodał po chwili. - Od stu pięćdziesięciu lat nie zamordowano króla w majestacie prawa.

- Nie, Ludwiku, na pewno się nie ośmielą!

- Widziałaś, co napisali parę dni temu na murze czerwonymi jak krew literami.

LUDWIK OSTATNI. To omen.

- Co to jest omen, papo? - Ludwik Karol wspiął mu się na kolana.

- Omen to znak, że coś się wydarzy. Zwykle coś, czego nie chcemy. - Wstałam i podeszłam do miejsca, gdzie siedział Ludwik z synem na kolanach. Położyłam dłoń na ramieniu męża i trzymałam ją tam, gdy on mówił dalej.

- Pamiętasz nasze lekcje o angielskim królu Karolu, którego dawno temu zabili jego poddani?

- Tak, papo. Odcięli mu głowę toporem. Takim, jaki dał mi Robert, mysołap. - Robert był synem jednego z republikańskich strażników, rówieśnikiem Ludwika Karola, który teraz sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej miniaturową gilotynę; małe ostrze z przymocowanym do niego ciężarkiem.

- Och, nie! - wykrzyknęłam i wyrwałam mu z ręki ten okropny przedmiot.

- Ale, maman, wszyscy chłopcy to mają. Zabijamy tym myszy. I ptaki też, jeśli uda się nam je złapać.

- Nie wolno ci mieć nic wspólnego z tą okropną, okrutną machiną! - powiedziałam do syna. Ludwik ciągnął swoją lekcję historii.

- Rzecz jasna Anglicy postąpili bardzo źle, zabijając swojego króla. Szybko to sobie uświadomili i osadzili na tronie jego syna, następnego Karola, który był bardzo sympatycznym człowiekiem, tylko trochę za bardzo lubił panie.

Ludwik Karol wybuchnął śmiechem. Jest takim radosnym dzieckiem, obdarzonym ciepłą, słoneczną naturą. Nawet tutaj, w pałacu przypominającym więzienie, zawsze znajduje sobie zabawę, a dobry humor go nie opuszcza.

- Chcę teraz, żebyś zapamiętał jedno: cokolwiek się wydarzy, nadal jestem prawowitym królem Francji, a ty delfinem. Tron należy do ciebie i twoich dzieci. Jeśli ja umrę, ty zostaniesz królem Ludwikiem XVII.

- Tak, ojczu. Powtarzałeś mi to wiele razy. Ale ty nie umrzesz.

Ludwik czule pogłaskał go po głowie.

- Jeszcze nie, mały królu. Jeszcze nie.

Staram się nie myśleć o tym, co może się nam przydarzyć tej zimy. Odmawiam modlitwy, raz po raz czytam bezcenny list Axela i co wieczór czekam niecierpliwie na nadejście człowieka, która zapala lampy. Czasami jest nim porucznik de la Tour, czasem ktoś inny. Nigdy nie wiem kto. Aby uspokoić nerwy, robię na drutach rękawiczki i szaliki, a nawet

zaczęłam haftować poduszki na krzesła. Mousseline mi pomaga. Doskonale radzi sobie z haftem i ma więcej cierpliwości ode mnie. Jutro przypadają jej czternaste urodziny. Tak bardzo żałuję, że nie poznała swojej babki i imienniczki, wielkiej Marii Teresy.

20 stycznia 1713

Nadeszły straszliwe wieści. Ludwik ma jutro umrzeć! Kiedy przyszedł nam o tym powiedzieć, starał się zachować godność i odwagę. Miał na sobie czerwoną szarfę Orderu Świętego Ludwika i cenny złoty medal z napisem Odnowiciel Francuskiej Wolności i Prawdziwy Przyjaciel Swojego Ludu.

Pocałował nas po kolei, czule objął i wszyscy płakaliśmy razem, nie wstydząc się, mimo że w pokoju byli strażnicy i przedstawiciel Komuny. Ludwik Karol i Mousseline raz po raz wołali „Ojczy, ojczy”, aż nawet surowi strażnicy musieli odwrócić głowy, bo kulili się na ten widok.

- Już nigdy nie ukończę mojej historii fauny i flory lasu w Compiègne - rzeki ze smutkiem Ludwik. - Nigdy nie zobaczę, jak dorastają moje ukochane dzieci, ani nie zestarzeję się z moją piękną żoną, która zrobiła co w jej mocy, by uczynić mnie lepszym człowiekiem.

Powtarzał nam raz po raz, że nas kocha, i widziałam, jak wielkim bólem napawa go rozstanie. Kiedy na koniec przyszły strażnicy, by go zabrać, przytulił nas mocno, a potem odciągnął mnie na bok. Zdjął obrączkę, ucałował ją i wsunął mi w dłoń.

- Zwalniam cię - powiedział cicho. - Axel to dobry człowiek. Wyjdź za niego i bądź szczęśliwa!

Patrzyłam przez łzy, jak go wyprowadzają, mojego szlachetnego, głupiego, pełnego najlepszych intencji, irytującego męża i starego przyjaciela. Kiedy nadeszły kłopoty, zawsze stałam u jego boku. Teraz, w jego ostatniej godzinie, nie będzie mnie przy nim. Nie mogę znieść tej myśli.

21 stycznia 1713

Dziś rano słyszałam warkot bębnow i wiedziałam, że prowadzą Ludwika na szafot. Miałam nadzieję, iż dzieci nadal śpią nieświadome, że ich ukochany ojciec za chwilę umrze.

Uklękałam przy łóżku i odmówiłam modlitwę za jego duszę.

Dziś wieczorem lampy przyszedł zapalić porucznik de la Tour. Udało nam się zamienić kilka słów, kiedy nas nie podsłuchiwali, i powiedział mi, że razem z innymi Rycerzami Złotego Sztyletu był w tłumie, który zgromadził się na egzekucji Ludwika. W pewnej chwili kilku rycerzy próbowało go ocalić, lecz powstrzymała ich Gwardia Republikańska.

- Umarł dzielnie - oświadczył porucznik. - Nie było w nim goryczy. Nie pozwolił

związać sobie rąk ani się skrępować. Odszedł godnie. Muszę jednak wspomnieć jednej dziwnej rzeczy. Nalegał, by mieć na sobie podarty, czarny płaszcz, bardzo stary. Wyglądał w nim jak włóczęga, a nie król.

- Oczywiście. To płaszcz jego ojca. Cenił go jak największy skarb.

- Kazali mu zdjąć go przed egzekucją i rzucili w tłum. Ludzie podarli go na strzępy. Wybaczył im to i wszystko inne. Powiedział: „Wybaczam tym, którzy są winni mojej śmierci”.

- To takie do niego podobne.

Kiedy porucznik wyszedł, stałam przez długą chwilę, nasłuchując okrzyków chłopców na ulicach, którzy przekazywali wieści dnia.

- Egzekucja Ludwika Kapeta! - krzyczeli. - Były król nie żyje! Madame gilotyna poślubiła obywatela Kapeta!

2 marca 1713

Przynoszą mi teraz codziennie specjalną supel, bo jestem bardzo chuda. Po śmierci Ludwika nie mogłam jeść i czarne suknie wiszą na mnie jak na kiju.

Noga znów zaczęła mnie boleć i lekarz więzienny pozwala mi brać krople laudanum, gdy ból staje się nie do zniesienia. Laudanum pogłębia jednak moje koszmary. Mousseline, która jest dla mnie bardzo dobra i opiekuje się mną niemal jak matka, mówi, że mój zły nastrój i smutek to efekt lekarstwa, i nalega, żebym go nie zażywała.

W nocy śpimy z dziećmi w jednym pokoju. To wielka pociecha mieć je przy sobie. Rzadko wychodzę z tego pokoju, tylko na czas posiłków, które spożywamy przy stole przed kominkiem we wspólnym pokoju. Napawa mnie to smutkiem, bo pamiętam, jak Ludwik siedział w swoim wielkim fotelu i uczył Ludwika Karola. Wolę siedzieć na łóżku i robić na drutach, podczas gdy Mousseline czyta mi powieści albo historie o katastrofach morskich i piratach.

Kiedy szcnotkuję włosy, wychodzą całymi garściami. Są teraz zupełnie siwe.

Jeden ze strażników zabawia się, szkicując nas pastelami. Bardzo dobrze udało mu się uchwycić podobieństwo dzieci. Ludwik Karol ma pełne policzki i żywy, figlarny wyraz niebieskich oczu. Mousseline, jak w życiu, jest krucha i delikatna, ładna, choć nie piękna, a w jej spojrzeniu czai się smutek. Ale kiedy rysuje mnie, na szkicu widnieje kobieta o ściągniętej twarzy, z zapadłymi policzkami, podkrążonymi oczami i głębokimi zmarszczkami. Czy to mogę być ja?

24 marca 1713

Boję się, że próbują otruć Ludwika Karola. Tak często choruje, ma rozpalone czoło,

placze i trzyma się za bok, gdzie odczuwa ból. Czasami paskudnie kaszle i dusi się, gdy próbuje się położyć, więc trzymam go na kolanach, a on zasypia oparty o mnie. Ja też próbuję spać, ale często powracają koszmary, a wtedy zrywam się z krzykiem, budząc także jego.

Mam niewielki zapas oleju ze słodkich migdałów, który dał mi doktor Concarneau. Trzymam go pod ręką na wypadek, gdyby Ludwik Karol poważnie zachorował.

Ludwik Karol, mój ukochany synek, jest teraz królem Ludwikiem XVII. Oczywiście rewolucjoniści chcą się go pozbyć. Są bez serca, okrutni, nie zawahają się przed zabiciem dziecka. A jeśli uda im się tego dokonać za pomocą wolno działającej trucizny, unikną oskarżeń o okrucieństwo. Bo jego śmierć nastąpi pozornie z powodu długotrwałej choroby, a nie w wyniku zabójstwa.

Zaledwie kilka tygodni temu czuł się dobrze. Teraz jest blady i często odczuwa ból. Co to może być, jeśli nie trucizna?

10 maja 1713

Ludwik Karol czuje się lepiej i jestem zakłopotana. Dosypują mu trucizny do jedzenia czy nie?

Dostałam nowe wiadomości od Axela, ale nie ośmielę się ich tu powtórzyć. Jego wieści podniosły mnie na duchu, podobnie jak ciepła pogoda oraz różowe i żółte róże, które widzę z okna.

Czy to przez tę pogodę czuję się taka zmęczona? Nadal żywię się głównie leczniczą zupą i chlebem.

18 maja 1713

Zjawił się. Zielony Upiór. Człowiek, o którym mówią, że rządzi teraz wszystkim i wszystkimi. Maksymilian Robespierre.

Usłyszałam niewielkie zamieszanie w korytarzu, a potem wszedł do mojej sypialni. Leżałam na łóżku, a Mousseline mi czytała. Kiedy ujrzała tego paskudnego człowieczka w jasnozielonej kamizelce i spodniach, z jastrzębią twarzą poznaczoną bliznami po ospie i oczami, które wydawały się ogromne za grubymi okularami, wydała bezwiedny okrzyk.

- Nie bój się, Mario Tereso - powiedział obłudnie wysokim, nosowym głosem. - Przyszedłem, by pomóc twojej rodzinie.

- Pomógł pan zabić mojego ojca - odparowała moja odważna córka. - A teraz chce pan zaatakować moją matkę. Nie widzi pan, że jest chora?

- Mousseline, moja droga, zostaw nas samych. Odszukaj brata. Chyba gra w piłkę na dziedzińcu.

- Twój zmarły ojciec - przerwał mi Robespierre - stał się ofiarą Konwentu. Nie

mogłem zapobiec jego śmierci. Ale jej nie chciałem.

- Nigdy nie uwierzę w ani jedno pańskie słowo - rzekła Mousseline, wychodząc. - Chce pan nas wszystkich zabić.

Odwaga mojej córki sprawiła, że zaczęłam się o nią bać. Ale przecież cały czas żyję w strachu o moje dzieci.

Zielony Upiór - nie potrafię myśleć o nim inaczej - stukając obcasami wypolerowanych butów o nagie deski, wszedł dalej do pokoju i przyciągnął sobie krzesło. Wyjął z kieszeni płócienną chustkę i starannie je wytarł, po czym usiadł. Jego szybkie ruchy zdradzały, że jest bardzo spięty, ale starał się nad sobą zapanować. Zaczął obgryzać paznokcie i zauważyłam drgający mięsień na jego policzku. Od czasu do czasu przykładął rękę do policzka, jakby chciał powstrzymać drzenie, ale bez skutku.

- Nie uszło mojej uwagi, że jesteś bardzo mądrą kobietą, obywatelko - powiedział głosem cichym, lecz złowrogim. - A w tej chwili mądre kobiety stanowią zagrożenie dla Francji. Wydaje mi się, obywatelko, że ściśle współpracujesz z inną mądrą kobietą, obywatelką Roland, moją rywalką.

JeanneMarie Roland była szanowaną przywódczynią wojującej partii w Konwencie, żyrondyistów. Nigdy jej nie spotkałam, a już na pewno z nią nie spiskowałam. Ale Zielony Upiór był innego zdania. Milczałam, a on mówił dalej.

- Ty i obywatelka Roland spiskujecie, by zniszczyć rewolucję. Razem prowadzicie tajną korespondencję z buntownikami z zachodu. - Miał na myśli chłopów z Wandei, którzy od miesięcy otwarcie się buntowali. - Iz naszymi wrogami, Austriakami. - Nadal mówił cicho, lecz zaczął niemal syczeć. Zaciskał zęby, a mięsień w jego policzku drgał konwulsyjnie. - Wrogowie stoją u naszych bram, a nawet już je sforsowali. Nasz kraj nigdy nie znalazł się w większym niebezpieczeństwie. Nigdy dotąd ty i twoje dzieci nie byliście bardziej zagrożeni.

Czułam grozę ukrytą w jego słowach i nagle przeraziłam się, niemal wpadając w panikę. Gdzie jest Ludwik Karol? Gdzie jest Mousseline? Czy ten straszliwy człowiek przyprowadził ze sobą żołnierzy, by zabrać moje dzieci?

Robespierre lekko zerwał się z krzesła i zaczął chodzić przede mną, obgryzając paznokcie.

- Jeśli zakończysz swoje daremne spiskowanie, ocalę twojego syna. Jeśli nie...

Poczułam, że serce podchodzi mi do gardła. Zakręciło mi się w głowie i przez chwilę myślałam, że umrę, lecz szybko się opanowałam.

- Wiemy od pewnego czasu, że ta zdrajczyni, obywatelka Roland ze swoją bandą zdrajców chce odwrócić bieg rewolucji, przywrócić monarchię i osadzić na tronie twojego

syna jako następnego króla. Złożyliśmy przysięgę, by temu zapobiec za wszelką cenę. Moglibyśmy wysłać was wszystkich w objęcia Ostrza Wieczności. Ale by osiągnąć swój cel, wolę używać bardziej subtelnych środków. Dzięki temu moi wrogowie pozostają w niepewności.

Ze wszystkich sił próbowałam zapanować nad ogromnym strachem, który rósł we mnie. Potęgowało go każde przenikliwe spojrzenie małych oczu drobnego delegata. Jednak gdzieś w głębi umysłu zrozumiałam, że ten próżny, fircykowaty, niebezpieczny człowiek, który nosił koronki u szyi i mankietów, pudrowaną perukę i wysokie obcasy w dawnym dworskim stylu, popełnił błąd. Pozwolił, by zwiody go jego własne obawy.

Kiedy przemawiał swoim wysokim, nosowym głosem, powoli zaczynałam pojmować, o co w tym wszystkim chodzi. Robespierre, Zielony Upiór, bał się jeszcze bardziej niż ja! Bał się wszystkich, nie tylko obywatelki Roland i jej żyrondistów, nie tylko zbuntowanych chłopów na zachodzie i widmowej armii austriackiej (która jak wiedziałam z listów Axela, była w zupełnym odwrocie), lecz głównie kruchości własnej władzy. Strach przed straszliwą karą prześladował go i nie dawał mu spokoju.

Bardzo dobrze, wykorzystam to, by zdobyć przewagę.

Wstałam, czując się trochę niepewnie na bolącej nodze, więc przytrzymałam się żelaznego słupka łóżka. Nigdy nie czułam się bardziej królową, którą kiedyś byłam i którą byłam nadal.

- Proszę natychmiast uwolnić mnie i moje dzieci, a kiedy znajdziemy się pod opieką armii austriackiej, powiem panu wszystko, co wiem i pomogę panu pokonać wrogów.

Roześmiał się, wydając z siebie suchy, straszliwy dźwięk, jakby się dusił. Był to bardziej kaszel niż śmiech. Podszedł do mnie.

- Proszę mi wszystko powiedzieć natychmiast albo skażę pani syna na gilotynę.

- Nie ośmieli się pan! Cała Francja powstanie przeciwko panu.

- Cała Francja, madame, powstanie i nazwie mnie błogosławionym.

Raz jeszcze zebrałam się na odwagę i wyprostowałam się. Uświadomiłam sobie, że nawet w cienkich pantofelkach jestem wyższa od Robespierre'a w butach na wysokich obcasach.

- Proszę nas uwolnić albo wydam rozkaz zniszczenia Paryża.

Zobaczyłam, że zbladł, i poczułam, że ogarnia mnie euforia. Axel byłby ze mnie dumny, pomyślałam.

W tej chwili znajoma postać w ciemnej pelerynie i szpiczastym kapeluszu weszła do pokoju, niosąc pojemnik z oliwą do lamp, krzemień i nóż do przycinania knotów. Nuciała coś



pod nosem, pochłonięta codzienną czynnością zapalania lamp.

- Zostaw to! - wykrzyknął Robespierre.

Mężczyzna zatrzymał się na chwilę, a potem podszedł do stołu, przy którym staliśmy z Robespierre'em naprzeciwko siebie.

- Za pozwoleniem, sire, robi się ciemno i muszę zapalić lampy. To potrwa tylko chwilę.

Staął między nami, tak że znajdował się na wyciągnięcie ramienia od poirytowanego Robespierre'a. Zauważyłam, że mięsień na jego policzku drga.

- Przestań natychmiast! Nie wiesz, kim jestem?

Mężczyzna odwrócił się, jakby chciał spojrzeć mu w twarz i wylał oliwę na nieskazitelną zieloną kamizelkę Robespierre'a.

- Głupi prostak!

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że prawie uszły mojej uwagi. Mężczyzna, którym był oczywiście porucznik de la Tour, skrzesał iskrę, od której zajęła się kamizelka Robespierre'a. Cofnęłam się do rogu pokoju, gdy z suchych warg Zielonego Upiora wyrwał się przeraźliwy krzyk:

- Wody! Wody! - wrzeszczał Robespierre, dusząc rękami ogień, który wcale nie był groźny. Palił się wprawdzie jeden koniec jego kamizelki, ale było więcej dymu i paniki niż ognia.

Do pokoju wpadło trzech strażników z dzbankami wody, którą wylali na prychającego, czarnego od dymu Robespierre'a. Gdy gasili ogień, mężczyzna w kapeluszu zniknął. Nie widziałam, jak wychodził.

Robespierre zapewnił mnie groźnym tonem, że jeszcze usłyszę o nim i o Straży Obywatelskiej, a następnie wyszedł, by poszukać więziennego doktora. Był w opłakanym stanie i ssał poparzone palce. Nie wyglądało jednak na to, że jest ranny, choć jego peruka została nadpalona, a kosztowna koronka u jego szyi i nadgarstków była brudna od dymu i popiołu.

Tego wieczoru po raz pierwszy od miesiący zjadłam kolację ze smakiem.

5 lipca 1713

Przyszli po niego wcześniej rano, czterech wielkich, krzepkich mężczyzn ze Straży Obywatelskiej. Wpadli do pokoju, w którym spaliśmy, Ludwik Karol, Mousseline oraz ja, i zażądali, bym oddała im syna.

Oczywiście odmówiłam. Wstałam z łóżka i rzuciłam się między Ludwika Karola i oprawców, odpychając ich i krzycząc na nich, podczas gdy oni próbowali go chwycić. Nie

miałam wstydu ani dumy. Myślałam tylko o tym, by powstrzymać tych zbrodniarzy przed zabraniem mi syna. Drapałam ich połamanymi paznokciami i ugryzłam jednego w ramię do krwi. Zagroziłam im jedyną bronią, jaką posiadałam, drapaczką do głowy z kości słoniowej. Na koniec błagałam ich ze łzami, by nie zabierali mi syna.

Wszystko na próżno. Mieli już tego serdecznie dość i w końcu powiedzieli mi, że jeśli natychmiast nie oddam im Ludwika Karola z własnej woli, zabiją oboje dzieci.

Musiałam go puścić. Od tamtej pory stale płaczę. Boję się, że już nigdy go nie ujrzę.

11 lipca 1713

Jeśli czekam dość długo, widuję go. Prowadzą go obok małego okna wartowni na dziedziniec, gdzie codziennie po południu ćwiczy. Czasami wyprowadzają go o pierwszej lub drugiej, czasem dopiero o czwartej lub piątej. Siedzę przy oknie i czekam.

Podsłakuje, śpiewając coś pod nosem, w czerwonej czapce wolności na głowie. Mój kochany chou d'amour, mój kochany mały król. Pewnego dnia, z Bożą pomocą, zostanie koronowany. Tak bardzo pragnę doczekać tej chwili!

3 sierpnia 1713

Dali mi pół godziny na pożegnanie z moją ukochaną córką i na spakowanie rzeczy. Kiedy zapytałam, czy wrócę jeszcze do Tempie, urzędnik tylko pokręcił głową. Wiem, co miał na myśli, i jaki los mnie czeka.

Początkowo kręciło mi się w głowie i było mi słabo, ale to minęło. Nagle pojawiła się nieoczekiwana myśl, że być może znów zobaczę Ludwika.

Usiadłam z Mousseline, jak matka ze mną wiele lat temu przed moim wyjazdem z Wiednia, i porozmawiałam z nią. Obie wiedziałyśmy, że jeśli jakim cudem nas nie ocala, będzie to nasza ostatnia rozmowa. Powiedziałyśmy sobie to, co najważniejsze: że bardzo się kochamy. Cudowna, kochana Mousseline wyznała, że chciałaby oddać swoje życie za moje.

- Opiekuj się bratem. Pewnego dnia oboje będziecie wolni. Bądź dla niego matką.

Razem pomodliłyśmy się o siłę i o wybawienie z rąk wrogów. Potem przyszedł po mnie kapitan straży i pod silną eskortą zabrano mnie do Conciergerie, gdzie zdarto ze mnie ubranie i zbadano mnie. Zabrano mi większość moich rzeczy.

Jestem teraz oficjalnie obywatelką Marią Antoniną Kapet, wdową, więźniarką numer 280, czekającą na proces, w czasie którego zostaną skazana na śmierć.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

11 sierpnia 1713

Powoli wstaje świt. Pierwsze nieśmiałe światło wpada przez jedno malutkie okno ciasnej celi, a ponieważ nie mam świecy, piszę przy blasku poranka. Dozorcy, którzy śpią ze mną w celi, chrapią dalej, nie zwracając na mnie uwagi. To jedyna pora dnia, kiedy mogę mieć trochę prywatności - teraz i późno w nocy, kiedy pijani dozorczy zapadają w sen.

Byłam chora, ale już czuję się lepiej. Szok wynikający z przenosin do tego miejsca i świadomość, że niebawem stanę przed sądem, osłabiły mnie i przez kilka dni byłam na łasce więziennego lekarza oraz pokojówki, którą mi przydzielono, przemilej, posłusznej dziewczyny o imieniu Rozalia. Przez kilka dni ledwie zdawałam sobie sprawę, że żyję. Pamiętam tylko, że widziałam twarz lekarza i czułam zapach wody pomarańczowej, którą dla mnie nalewał. Karmiła mnie Rozalia.

Prawda jednak wygląda tak, że się zestarzałam. A jako stara kobieta, jestem słaba. Czasami boję się śmierci, a czasem jestem odważna i dzielna. Moje ciało zwiotczało, przypominam stare drzewo pozbawione jesienią liści, które zaczyna usychać. Kiedyś byłam piękna, tego nadal jestem pewna.

Źle tutaj sypiam i umysł nie zawsze mam jasny. Obrazy z przeszłości zlewają się w jedno z terazniejszością i od czasu do czasu gubię się w tym wszystkim. Cella jest mała, ciemna i naga. Cuchnie w niej pleśnią, a kiedy pada deszcz, woda spływa po kamiennych ścianach.

17 sierpnia 1713

Po długim czasie bez miesięcznych przypadłości teraz zaczęłam krwawić niemal bez przerwy. Rozalia zabiera brudną bieliznę i przynosi czystą, ale muszę ją często zmieniać, a wtedy od dozorców oddziela mnie tylko cienki, poplamiony parawan. Często jestem zakłopotana. Brudny, ciemnowłosy złodziej o imieniu Barassin, z przyklejonym do ust uśmiechem przychodzi o różnych porach dnia i nocy, żeby opróżnić mój nocnik. Zarabia też pieniądze, wpuszczając do mojej celi ludzi, którzy za kilka monet mogą się na mnie gapić.

Przedstawiam sobą niezłe widowisko, to pewne. Była królowa, która mieszkała kiedyś w wielkim pałacu kapiącym od złota i marmurów, pełnym kryształowych żyrandolii aksamitnych kotar, teraz żyje w jednej małej więziennej celi z gnijącymi ścianami i kilkoma odrapanych meblami.

Mam tu tylko dwie suknie: podartą czarną i zwykłą białą, poranną. Rozalia wysła

moją jedyną parę zakurzonych czarnych butów do kuchni, by je tam co wieczór czyścili. Mówi mi szeptem, że wielu innych więźniów, w większości arystokratów, przychodzi do kuchni, by złożyć hołd moim butom, a nawet całuje je ze czcią!

To bardzo wzruszające i pocieszające. Wiem, oczywiście, że w ten sposób składają hołd mojemu zmarłemu mężowi, a nie mnie. Ja jestem tylko symbolem wszystkiego, co stracili.

27 sierpnia 1713

Cud nad cuda, nie mogę uwierzyć w to, co się wydarzyło!

Zeszłego wieczoru około dziewiątej, kiedy dozorca w mojej celi upił się i zaczął drzemać, włochaty wyszczerzony Barassin przyprowadził gościa z wielkim wilczurem.

- Oto ona, więźniarka 280, niegdyś królowa. Mówią, że nie pozostanie tu już długo.

Dozorcy poruszyli się nieznacznie na krzesłach, kiedy Barassin wprowadził gościa, ale nie zwrócili na niego zbytnej uwagi. Byli przyzwyczajeni, że wystawia się mnie na pokaz.

Kiedy tylko ujrzałam Malachiego, który podszedł do mnie i polizał mnie w rękę różowym językiem, wiedziałam, że moim gościem jest Axel. Zaczęłam szybko oddychać i nie patrzyłam na niego. Czułam, że krew napływa mi do policzków.

Wybuchnął rubasznym śmiechem.

- To ona? Co za widok. Ci potężni tak nisko upadają!

Usłyszałam brzęk monet. Axel dawał Barassinowi i dozorcóm całkiem sporo pieniędzy.

- Może pójdziecie do tawerny i przyniesiecie nam trochę wina? Sami też się tam napijcie.

- Dziękujemy. Jest pan bardzo hojny. - Wyszli we trójkę, zamykając za sobą drzwi na klucz. Zostaliśmy z Axelem sami. Nasłuchiwał przy drzwiach, a gdy upewnił się, że sobie poszli, podszedł do mnie i wziął mnie w ramiona.

Przez długą chwilę staliśmy objęci. Nie liczyło się nic poza jego ciałem przytulonym do mojego, jego znajomym zapachem, ciepłem i żywotnością.

- Mamy bardzo mało czasu - rzekł Axel po chwili i poprowadził mnie do małego stolika, przy którym usiedliśmy. - Nocą piętnastego września przyjdę po ciebie około północy. W jednej z cel w tym skrzydle będzie się odbywała pożegnalna uczta. Rycerze Złotego Sztyletu będą podawać jedzenie i stać na straży. Wyciągniemy twoich dozorców na ucztę, w czasie której dojdzie do bójki. Wtedy wymkniemy się stąd razem. Przepląciłem jednego ze strażników, by pozwolił nam opuścić więzienie główną bramą.

- A moje dzieci?

- Porucznik de la Tour wydobędzie je z Tempie i przywiezie na miejsce, gdzie będziemy na nie czekać.

Wziął mnie za rękę i uśmiechnął się.

- Nie masz się czego obawiać. Tym razem się uda. Zobaczysz.

- Dokąd pojedziemy?

- Do Szwecji. Do Fredenholm. W tej spokojnej, cichej okolicy było ci tak dobrze. Będziemy tam wszyscy bezpieczni z dala od Robespierre'a i jego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Wiesz, że on jest szalony.

- Wiem. Poznałam go.

- Wszyscy wiedzą o waszym spotkaniu. Jesteś najdzielniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek żyła.

- Dziś wieczór czuję, że jestem najszczęśliwszą.

- Pamiętasz to wesele, na które poszliśmy we Fredenholm?

- Oczywiście.

- Kiedy tam dotrzemy, mój najdroższy aniele, wyprawimy własne. Zechcesz?

Nie mogłam powstrzymać łez.

- Będę taką starą, brzydką panną młodą.

- Dla mnie, moja ukochana, będziesz najpiękniejszą panną młodą, jaka chodziła po ziemi. Poza tym utuczmy cię na dobrych szwedzkich bułkach i ciastkach, malinach i rybach.

Mogę teraz myśleć tylko o jego uśmiechu i miłości w jego drogich oczach. Przyjdzie po mnie. Wiem to na

345 pewno. Jeszcze tylko dziewiętnaście dni. Wiem, że w ciągu dziewiętnastu dni wszystko może się zdarzyć. Mimo to ufam Axelowi. Gdybym tylko mogła przesłać wiadomość Ludwikowi Karolowi i Mousseline, żeby razem ze mną mogli z radością czekać na ten dzień.

Odliczam godziny.

5 września 1713

Jeszcze tylko dziesięć dni. Przyjdzie po mnie. Przyjdzie.

13 września 1713

Już tak niedługo, że zaczynam się bać. Modłę się o uwolnienie.

17 września 1713

Wszystko było tak dobrze ustalone. Axel zaplanował wszystko do najmniejszego szczegółu, a jest przecież bardzo drobiazgowy.

Nie mogliśmy tego przeprowadzić bez pomocy Barassina (który jak się okazało, jest jednym z Rycerzy Złotego Sztyletu, zupełnie się co do niego myliłam) i kilku urzędników, których Axel dobrze opłacił szwedzkim i austriackim złotem. Pomogła nam również Eleanora Sullivan, która pożyczyła Axelowi swój powóz.

Rozalia Lamorlière, moja pokojówka, nie wiedziała nic o planie ucieczki. Nie chciałam wystawiać jej na niebezpieczeństwo. Była dla mnie taka dobra.

O północy piętnastego, kilka godzin przed przybyciem Axela, Barassin przyniósł mi list z ostatnimi instrukcjami i paczkę. Była w niej para niebieskich spodni, czerwona karmaniola, czarny płaszcz i czarne męskie buty - mundur oficera Komuny. Znajdowały się tam też fałszywe dowody tożsamości i paszporty dla mnie i dzieci.

Przez cały wieczór byłam okropnie zdenerwowana i nie mogłam przestać się trząść. Powiedziałam dozorcóm, że chyba mam febrę i dzięki temu trzymali się ode mnie z daleka, na ile tylko pozwalały im warunki w ciasnej celi.

Około dziesiątej usłyszałam gości przybywających na ucztę, która odbywała się niedaleko mojej celi. Więźniowie skazani na śmierć często wydają ucztę w noc poprzedzającą egzekucję. To dość makabryczny rytuał. Rozalia mówi, że teraz tylu się ich skazuje na śmierć, iż czasami dziennie odbywa się dwadzieścia egzekucji. Nikogo więc nie dziwiło, że jeden z moich współwięźniów zegnał się w tę noc z życiem, bez wątpienia zachęcony przez Axela i Rycerzy.

Poczułam ostry zapach potraw i nagle zachciało mi się jeść. Niebawem usłyszałam śpiewy i krzyki. Uczta stawała się hałaśliwa. Gdy mój złoty zegarek (wiszący na łańcuszku na gwoździu wbitym w ścianę) wskazywał prawie jedenastą, rozległo się pukanie do drzwi celi. Był to Barassin, który oznajmił, że razem z moimi dwoma dozorcami został zaproszony na ucztę. Dozorcy wyszli, a Barassin zaryglował drzwi.

Kiedy otworzył je około północy, do celi wszedł Axel w czarnej sutannie z latarnią w ręce. Czekałam w moim przebraniu.

- Szybko! - rzucił Axel. - Chodź za mną. Schyl głowę. Nie pokazuj twarzy. Jeśli nas zatrzymają, ja będę mówił. Razem jesteśmy w drodze do celi skazańca. Gdy tylko wyjdziemy na dziedziniec, powiemy, że udajemy się do sali zgromadzeń Trybunału Rewolucyjnego, by poinformować ich o spotkaniu ze skazanymi.

Zwalczyłam pragnienie, by wziąć Axela za rękę i próbując iść jak mężczyzna, ruszyłam za nim mrocznym korytarzem. Kiedy mijaliśmy celę, w której odbywała się uczta - drzwi były otwarte na oścież - ujrzałam moich dwóch dozorców z pełnymi talerzami, wyraźnie pijanych. Nie zwrócili na nas uwagi większej niż na innych w korytarzu.

Zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim zauważą, że zniknęłam.

Kiedy dotarliśmy do pierwszej z trzech bram więzienia, pokazaliśmy nasze dokumenty i przepuszczono nas. Przy środkowej bramie dozorca oświetlił nam twarze latarnią i spojrzał na mnie ostro, lecz przepuścił nas, więc pomyślałam, że jesteśmy bezpieczni. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do głównej bramy i ujrzelśmy przy niej blisko dwudziestu żołnierzy, usłyszałam, jak Axel gwałtownie wciąga powietrze.

- Nie ma naszego człowieka - szepnął Axel. - Musimy zawrócić.

Odwróciliśmy się, przeszliśmy przez otwarty dziedziniec i ukryliśmy się pod portykiem, gdzie kilku stajennych czyściło konie. Staliśmy w cieniu, lecz oświetlał nas blask latarni Axela.

Co mogliśmy zrobić? Byliśmy w pułapce. Gdybyśmy wrócili do mojej celi, mogłabym już nigdy z niej nie wyjść. Nie mogliśmy jednak przejść przez główną bramę, bo nie było tam opłaconego przez Axela strażnika. Już samo to budziło niepokój. Czy został aresztowany? Wyjawiał plan Axela, a może tylko znaną mu jego część?

Kiedy tak staliśmy, stajenni skończyli pracę i odprowadzili konie.

- Chodźmy za nimi - szepnęłam, a Axel, nie wiedząc, co robić, zgodził się. Weszliśmy do stajni. Przez okna widziałam wozy i jeźdźców przejeżdżających przez bramę dla dostawców. W przeciwieństwie do głównej bramy tej pilnował tylko jeden strażnik.

Myślałam bardzo szybko. Axel jest dobrym woźnicą, z pewnością da sobie radę z małym wozem. Potrzebowaliśmy teraz tylko wozu wyładowanego pustymi workami po mące, beczkami lub pudłami. Moglibyśmy udawać dostawców.

- Masz koszulę pod sutanną?

- Tak.

- To zdejmij sutannę i staraj się wyglądać jak woźnica.

- Zrobił, co kazałam, a potem zaczęliśmy szukać odpowiedniego pojazdu. Na szczęście o tej porze w stajni zostało niewielu stajennych - była już prawie pierwsza w nocy - i nikt nas nie zaczepił, gdy przeszukiwaliśmy boks po boksie. W końcu znaleźliśmy stary wóz, do którego zaprzęgliśmy zaspanego, lecz zdatnego konia.

- Requirujemy cię na potrzeby państwa - powiedział do niego Axel, mocując uprząż, którą zdjął ze ściany. Naszym ładunkiem były puste worki, duży gliniany dzban i koce. Wspięliśmy się na kozioł i Axel lekko dotknął konia długim patykiem, który znalazł na dnie wozu. Ruszyliśmy.

- Do Gentilly? - zapytał strażnik przy bramie.

Kiedy Axel skinął głową, przepuścił nas.

Gdy tylko wyjechaliśmy na ulicę, ucisk w moim żołądku zelżał. Ruszyliśmy ostro przed siebie, lecz w odległości jakichś dziesięciu metrów zobaczyłam wyłaniający się z cienia duży kształt. Okazało się, że to barykada wzniesiona pośpiesznie z cegieł, desek, połamanych łóżek, stołów i krzeseł, rzuconych bezładnie na ulicę. Nie mogliśmy przejechać.

Axel ściągnął lejce, zamierzając zawrócić. Jednak kiedy wóz niezgrabnie zawracał, ujrzelśmy grupę ludzi, paryżan i komunardów, z latarniami i pochodniami. Najwyraźniej w milczeniu szli za nami, gdy zbliżaliśmy się do barykady. Nie mogliśmy ich przejechać. Raz jeszcze wpadliśmy w pułapkę. W środku dostrzegłam Amelię. Stała triumfalnie, marszcząc władczo brwi, z pistoletem w dłoni.

- Zsiądźcie i pokażcie się!

Axel zeskoczył z wozu i pomógł mi zsiąść.

- Zdejmij kapelusz - powiedziała do mnie. Co mogłam zrobić? Zdjęłam i długie siwe włosy opadły mi na ramiona.

Amelia szeroko otworzyła oczy.

- Głupia! - rzuciła. - Naprawdę myślałaś, że uda ci się uciec przed Strażą Obywatelską? - Do stojących najbliżej niej mężczyzn powiedziała: - Rozpoznaję tę kobietę jako więźniarkę 280. Zabierzcie ją natychmiast do Conciergerie i oddajcie w ręce kapitana straży!

Axel stanął przede mną, wyciągnął pistolet i wymierzył do Amelii.

- Puść ją!

- Zabierzcie ją! - powtórzyła Amelia.

Ruszyli w moją stronę. Axel wystrzelił i jeden z mężczyzn padł na ziemię. Amelia wypaliła do Axela i trafiła go w ramię. Krzyknęłam. Upadł. Rzuciłam się na Amelię, lecz chwyciło mnie kilku komunardów i zaczęło ciągnąć drogą w stronę, z której przyjechaliśmy, w stronę więzienia.

- Nie martw się, więźniarko, on przeżyje! - zawołała za mną Amelia. - Przynajmniej tak długo, abyśmy mogli torturami wyciągnąć z niego prawdę.

- Kiedy nadejdą armie, by nas ocalić, to wy wszyscy umrzecie! Straszliwą śmiercią! - rzuciłam w jej stronę.

Amelia wybuchnęła śmiechem.

- To ty umrzesz, więźniarko 280! I to szybko. Straż Obywatelska nie pozwala, by wrogowie rewolucji umknęli przed sprawiedliwością.

30 września 1713

Prawie nic mi nie zostało. Żółta rękawiczka syna, mały aniołek подарowany mi



niegdyś przez Axela, obrączki moja i Ludwika oraz pas świętej Radegundy. I ten dziennik, zapis mojego życia.

Ale tak naprawdę czego mi jeszcze potrzeba? Nie zostało mi już dużo czasu.

Każdego ranka i wieczora do mojego okna przylatuje wróbel, mały ciemnobrązowy ptaszek z żółtymi nóżkami i pomarańczowym dziobem. Jest chudy, widzę, jak drży istroszy piórka w jesiennym wietrze. Daję mu okruchy z ciemnego chleba. Jedzenie odpowiednie dla chłopów i wróbli, nie dla królowej!

Gdyby tylko był gołębiem pocztowym i mógł polecieć do Axla, który jest teraz chyba w Szwecji! Wolny i szczęśliwy. Wiem, że został ranny, ale wydaje mi się, że wrócił do zdrowia. Siedzi na krześle nad pięknym jeziorem z Malachim przy boku. Myśli o mnie.

Rozalia daje mi tyle wody pomarańczowej, i eteru, że przesypiam niemal całe dnie. Nocami słyszę jednak krzyki. Zabierają na śmierć tylu więźniów, coraz więcej każdego dnia. Są przerażeni. Niech ich Bóg błogosławi!

Nota Rozalii Lamorlière, pokojówki wdowy Kapet w więzieniu Conciergerie, spisana wieczorem 16 października 1793 roku i dołączona do tego dziennika

Moją panią, wdowę Kapet, była królową Marię Antoninę zabrali dziś rano z celi członkowie Trybunału Rewolucyjnego, którzy ją skazali, oraz kat Henri Sanson. Pomogłam jej się ubrać i schować włosy pod płócienny czepek. Przygotowała go na ten dzień, czysty i biały. Nie pozwolili jej go jednak zatrzymać. Obcięli jej włosy i związali ręce.

Wysłałam za nią na dziedziniec. Kulała, gdyż bolała ją noga, ale się nie skarżyła. Widziałam, że idąc, porusza ustami, i wiedziałam, że odmawia modlitwy i śpiewa piosenkę zapamiętaną z dzieciństwa. „Żołnierze pułku, bądźcie silni, bądźcie odważni”. Posadzili ją na wozie tyłem jak zbrodniarkę. To było bardzo okrutne z ich strony.

Szłam przy wozie przez całą drogę na plac i stanęłam za żołnierzami w miejscu, z którego mogłam widzieć moją panią, ale nie widziałam wyraźnie, bo płakałam. Weszła szybko na szafot i położyła się pod ostrzem. Niektórzy mówili, że nastąpiła katu na stopę i przeprosiła go, ale ja tego nie słyszałam.

Rozległ się głośny grzechot i ostrze opadło. Ujrzałam, jak kat podnosi jej głowę i przechadzając się po szafocie, pokazuje ją tłumowi. Ludzie krzyczeli radośnie, a niektórzy tańczyli i śpiewali. Kilka osób było smutnych i milczących, a gdy jej głowę rzucono na nagie deski i zabrano ciało, grupa mężczyzn podniosła w geście hołdu złote sztylety.

Nigdy jej nie zapomnę. Była wielką damą, najlepszą, jaką znałam, i bardzo odważną. Znałam ją lepiej niż ktokolwiek inny przez wiele tygodni i mogę przysiąc, że była bardzo dobra. Na egzekucję ubrała się na biało, bo zawsze mówiła, że jest niewinna, a ja jej wierzę.

Moja pani dokonała ostatniego wpisu w tym dzienniku. Wyobrażała sobie własną śmierć, opisała śmierć naszego króla, pisała o synu i córce, o tym, jak bardzo ich wszystkich kocha. Była tak dobra, że napisała też o mnie. Aż do końca nie traciła nadziei.

Zanim zaczęłam pisać w tym dzienniku, znalazłam w jej modlitewniku liścik. Oto co napisała:

16 października, czwarta trzydzieści nad ranem Niech Bóg się nade mną zlituje!

Nie mam już łez, by opłakiwać moje biedne dzieci.

Zegnajcie, żegnajcie!

Maria Antonina

## NOTA DO CZYTELNIKA

Sekretny dziennik Marii Antoniny to fikcja literacka - powieść, a nie próba historycznej rekonstrukcji. Czytelnicy, którzy pragną zapoznać się z autentyczną biografią Marii Antoniny, znajdą ją w mojej książce *To the Scaffold* {Droga na szafot} oraz w przypisach i bibliografii tam cytowanej.

Axel Fersen był postacią historyczną i darzył Marię Antoninę szczerym uczuciem. Eryk narodził się w wyobraźni autorki, podobnie jak Amelia, Zofia i ojciec Kunibert o krzaczastych brwiach. O ile wiadomo, Maria Antonina nigdy nie pojechała do Szwecji; Rycerze Złotego Sztyletu naprawdę istnieli, lecz ich poczynania pozostają tajemnicą.

Historycy pozostają wierni źródłom i jeśli są dobrzy w swym rzemiośle, nie odbiegają od tego, co można w rzeczonych źródłach wyczytać. Powieściopisarze wymyślają sceny, dialogi, motywacje i całe historie. Jednak w tym wypadku wszystko, co wymyśliłam, wynika z głębokiej wiedzy o życiu Marii Antoniny i otaczających ją ludzi; wszystko poparte jest wieloletnimi badaniami nad historią końca osiemnastego wieku. Przypomina to bogate złoża historycznego torfu, który latami badałam, warstwa po warstwie.